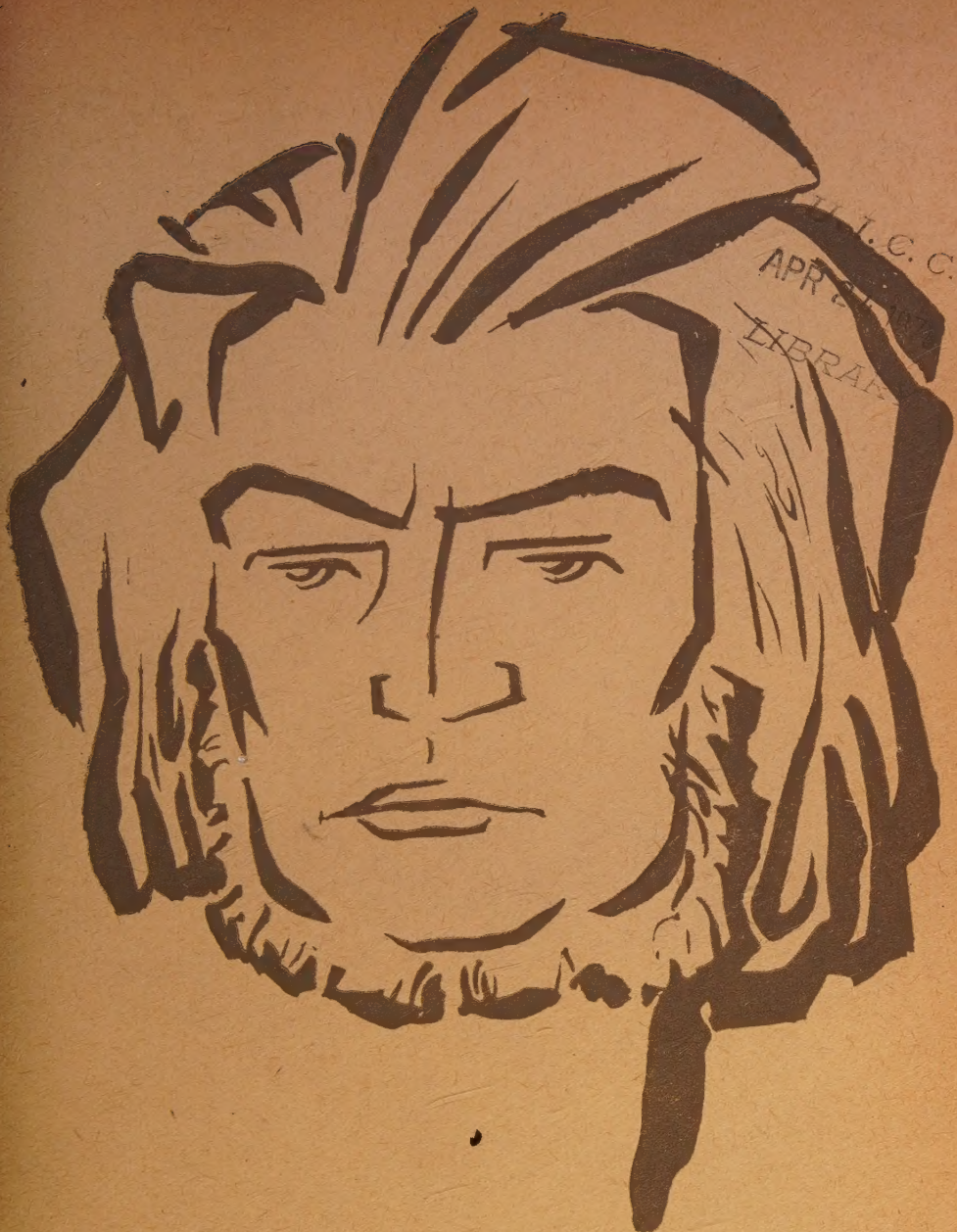
U. L. C. C.
APR
LIBRA

11

TWÓRCZOŚĆ

TWÓRCZOŚĆ

LISTOPAD 1955

11

Rysunek na okładce Mieczysława Jurgielewicza

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI LISTOPAD 1955 Nr 11

SPIS TREŚCI

Adam Mickiewicz
POBÓR REKRUTA (przeł. *A. Mauersberger*)
Str. 5

Jarosław Iwaszkiewicz
LOZANNA
Str. 7

Jadwiga Chamiec
SEJMOWYCH WERESZCZAKÓW RÓD ZNAMIENITY
Str. 8

Stefania Podhorska-Okołów
W PUSTELNI OLIZARA
Str. 31

Helena Bychowska
U WÓD KARLSBADU
Str. 41

Teofil Syga
TOAST
Str. 69

PIERŚCIEŃ Z LIRĄ
Str. 75

Ludwik Uhland
DO MICKIEWICZA (przeł. *Leopold Lewin*)
Str. 81

Maria Dąbrowska
SZKICE Z PODRÓŻY
Str. 82

Manfred Häckel
MICKIEWICZ W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH MU NIEMCÓW
Str. 91

Ludwik Hieronim Morstin
„PAN TADEUSZ" HOMEROWY
Str. 99

Julian Przyboś
TRZY WIZJE
Str. 110

Kazimierz Wyka
O KOMEDII W „PANU TADEUSZU"
Str. 121

Jerzy Zagórski
* * * (ZNAM INNE BORY...)
Str. 137

Pola Gojawiczyńska
MICKIEWICZ MOJEJ MŁODOŚCI
Str. 138

Paweł Hertz
Z DZIENNIKA LEKTURY
Str. 140

Hanna Malewska
GENIUSZU ŚWIETNOŚĆ
Str. 143

Hanna Mortkowicz-Olczakowa
DWIE OMYŁKI
Str. 146

Stanisław Piętak
MÓJ MICKIEWICZ
Str. 151

Filip Piestrak
PIEWCA MIŁOŚCI I BRATERSTWA LUDÓW
Str. 154

Leonard Podhorski-Okołów
MOJA DROGA DO MICKIEWICZA
Str. 157

Julian Przyboś
WOBEC NAJWIĘKSZEGO
Str. 162

Włodzimierz Słobodnik
WIECZORY Z MICKIEWICZEM
Str. 165

Alojzy Śliwa
NAJBLIŻSZE MI DZIEŁO MICKIEWICZA I CO MU ZAWDZIĘCZAM
Str. 173

Stanisław Zieliński
ZNAD BRZEGU MORZA
Str. 176

Książka miesiąca
PRZY CZYTANIU LISTÓW MICKIEWICZA — Julian Stryjkowski
Str. 183

Konrad Górski
O SŁOWNIKU MICKIEWICZOWSKIM
Str. 189

Archiwum
DWA DOKUMENTY — *Teofil Syga*
Str. 206

Wśród książek
„PAN TADEUSZ" W PRZEKŁADACH ROSYJSKICH — *Seweryn Pollak*
Str. 214
O PRZEKŁADZIE „PANA TADEUSZA" NA JĘZYK HEBRAJSKI — *Józef Lichtenbaum*
Str. 220
„PAN TADEUSZ" PO CHIŃSKU — *Olgierd Wojtasiewicz*
Str. 224

Na widnokręgu
Z PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 228
PIERWSZE STRZAŁY WYBORCZE — *Julian Stawiński*
Str. 230
FERNAND LÉGER — *Zbigniew Herbert*
Str. 235

Noty
Str. 237

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, cent. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udzi... oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja E... portu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5778/c z dnia 7.X.1955 r. Nakład 5660. Druk ukończono w listopadzie 1955 r. B-6-12954

Adam Mickiewicz

POBÓR REKRUTA

Rozporządzenia rozwożą zawsze po nocy, potajemnie i nie można przewidzieć kiedy: raz na dwa lata czy rzadziej — to zależy od wojny albo dezercji w czasie pokoju. Żądają od pana — trzech, pięciu, piętnastu ludzi z tysiąca dusz chłopskich. W jednej chwili przestrach, zdumiałość, osłupienie ogarnia całą rodzinę pańską. Spada wielkie nieszczęście, jakby ktoś bliski umarł. Trzeba własną przyłożyć rękę i rzucić na śpiące strzechy przekleństwo, rozpacz, śmierć. Wówczas każdy płacze.

Trzeba posłać po wójta.

I wybiera się ludzi zdrowych liczbę trzy razy większą od naznaczonej. Niech zostawi dzieci, żonę, rodziców zniedołężniałych, wszystkich, których jest ostoją — to nic, byle wiek popisowy, wzrost słuszny, budowa silna, warunki przepisane ustawą! Spisuje się nazwiska. Spis oddaje się wójtowi, który wyznaczone chałupy obstawia strażą. Wchodzą. Zanim pomyśleć można o obronie albo ucieczce, rzucają się na człowieka, przewracają go, wiążą śród krzyku i daremnego oporu spółbraci. Prowadzą go na plac, skąd wyruszy z towarzyszami niedoli, pojmanymi tak samo jak on. Wieś cała jest tylko jękiem, krzykiem, bólem bez nadziei. Gdyby można było przewidzieć nieszczęście, wszyscy mężczyźni uciekliby do lasu, bo zostać żołnierzem, to umrzeć, to na dwadzieścia lat, czyli na zawsze, wyrzec się ojczyzny, rodziny, wszystkiego, czego zaznać i co pokochać można na tym padole. Żona stanie się wdową, dzieci sierotami, starej matce zabraknie chleba, a żona, właśnie żona, drugi raz wyjdzie za mąż, bo na to zezwala ustawa. Żona, ona także, patrzy na rekruta jako na zeszłego ze świata i widzi przy domowym ognisku miejsce puste.

Poborowa Komisja jest w powiatowym mieście. Ciągnie tam żałobny kondukt. Więźniów pędzonych pod strażą odprowadza cała ludność. Kobiety, starcy, dzieci płaczą, zawodzą i krzyczą. Kobiety podnosząc lament śpiewają nieszczęśliwemu. W improwizacjach rozdzierających raz po raz powraca: Odbierają go — Czy nie dość był kochany? Czy pamięta dzień ślubu, lata dzieciństwa, miłości? Doświadczani tą okrutną próbą po kilku godzinach marszu stają do nowych katuszy. W wielkiej sali czekają sędziowie, nikczemne łotry: za

Récit d'Adam Mickiewicz sur le recrutement en Russie. Rękopis Karoliny Olivier (1840). Pierwodruk Leopold Wellisz: *Une amitié polono-suisse. Adam Mickiewicz, Juste et Caroline Olivier et l'épisode Lèbre — Towiański.* Lozanna 1942.

zaciągnionego czy bezpiecznego od zaciągu rekruta będą płaceni od dziedzica. Zanim chłop przed Komisją stawi się, ma się rozebrać do naga. Dla natury prostej i czystej rozkaz ten jest sromotą i torturą. Chłop od bezeceństwa się wzdraga i przeszyty dreszczem, drży jakby konał. By podniósł głowę, biorą go pod brodę, jak zwierzę. Trzymają go za nos, by otworzył usta i w otwartych ustach grzebią mu palcami, przepatrując zęby. Badają go całego w takiż sposób najbezwstydniej.

Obchodzą się z nim jak z bydlęciem. Bestialscy tyrani nie dowiedzą się nigdy o cierpieniach moralnych, do jakich jest zdolny prostoduszny chłop.

Gdy przeszedł już przez wszystkie upokorzenia i jest na wpół umarły od udręczeń i jest już bez duszy i utracił wszelkie czucia jako człowiek, słyszy nagle: *Occiput.* Natychmiast nożyce przejeżdżają mu po głowie wycinając przy skórze włosy wzdłuż czaszki. Wtrącony do sąsiedniej izby, odtąd już na zawsze przynależy do armii rosyjskiej, traci własne imię, serce, duszę i przeszłość. A jeśli padnie: *Sinciput,* jako niezdolnego do służby, puszczają go wolno. Teraz zaś przypuśćmy, że za wielu jest w o l n y c h: zmartwienie spada znowu na dziedzica. Powinien rozpocząć na nowo ohydne widowisko zakończone wczoraj. Co to, to nie. Na to się on już nie zgodzi. Okropności są jeszcze zbyt świeże. Zwróci się więc w stronę swego kamerdynera, który służy mu od lat dwunastu wiernie, przywiązany do jego domu, i powie: — „Weźcie go".

Któż opisze spojrzenie sługi oderwanego tak nieludzkim sposobem od pańskiej rodziny, od wszystkich jej patriarchalnych tradycji i łaskawości, którym powinien ufać? Nikt i nigdy nie wypowie myśli, jakie zapadły w duszę tego to pana i sługi: któż zgłębi przerażający żal biedaka, nędzny upadek możnego.

Co się zaś tyczy żołnierzy, są oni od razu pod silnym konwojem wysyłani na krańce Cesarstwa i poddani pod taki systemat, że zapominają o dawnym życiu. Są bici, aż pogodzą się z pułkiem i poza pułk nie sięgną już wzrokiem na świat i ojczyznę. Jedna czwarta żołnierzy — dezerteruje, połowa — umiera.

Przekład
Adama Mauersbergera

Jarosław Iwaszkiewicz

LOZANNA

Mieczysławowi Jastrunowi

Senne łabędzie płyną na noc do przystani,
Kładą głowy i gasną jak łódki przy wyspie,
Mewy siedzą jak perły na kamiennej grani
I ludzie już czekają, co się komu wyśni.

Miasto, co się układasz do snu pod gwiazdami,
Milczysz, nie nasłuchujesz, bo na wodzie cisza,
A cisza nie nabrzmiewa zmarłymi głosami.
Przecież. Z Litwy wołano — ale on nie słyszał.

Czekam, kiedy głos zabrzmi nad tą wodą czystą
I przypomni człowieka; bo ty nie pamiętasz,
Jaki się w tobie niegdyś dźwignął z ruin cmentarz
I oblał się twą rosą czystą i rzęsistą.

Zapomniany, nieznany nasz najdroższy człowiek,
Zabłąkany w tłum gości. Zaciśniętym ustom
Nie odpowie mrugnieniem żadna z obcych powiek,
I odchodzi zgarbiony, z źle związaną chustką...

Śpi jezioro, na górach nie słychać klekotu
Kołatek stad, co zeszły w doliny fiołkowe,
Świeży śnieg błysnął jeszcze ostatnią pozłotą,
Już góry mgłą wieczorną otulają głowę.

Składam skrzydła jak łabędź, jak łabędź odpływam,
Wśród obcych ludzi tłumu, na obcym okręcie,
Chmury na niebie rosną i grom się odzywa,
Deszcz gwałtem strun za chwilę lustro wody złamie.
Próżno — nie zabrzmi niby w Starym Testamencie
Głos: Adamie — Adamie —

Pisałem nad Lemanem 8 i 9 sierpnia 1955

Jarosław Iwaszkiewicz

Jadwiga Chamiec

SEJMOWYCH WERESZCZAKÓW RÓD ZNAMIENITY

Śnieg kurzył przez dwie doby. Zawalił wioski, zaniósł drogi, wyrównał do czysta rowy i opłotki. W piątek około południa przestało wreszcie padać i zerwał się ciepły wiatr. Wylęgnięty hen, w pińskich bagnach, przedarł się przez kolczastą obręcz poleskich borów i wpadł w otwarty nowogródzki kraj. Tu dopiero zaczął hulać. Dął szerokim przedwiosennym tchnieniem, harcował polami, czochrał łby przydrożnych wierzb i huczał w parkowych szpalerach.

W bibliotece tuhanowickiego dworu, jak codziennie przed podwieczorkiem, zgromadzili się domownicy marszałkowej Wereszczakowej. Z kafli szafirowego na toczonych nogach pieca rozchodziło się łagodne ciepło a na kominku trzaskał ogień równie jasny jak w zimie, choć nie tak gorący, gdyż z racji ustępującego mrozu palono dziś osiką. Pokojowy kozaczek Iwaś raz po raz dorzucał na palenisko gładkie drwa, które natychmiast buchały płomieniem odbijającym się w mosiężnych guzach lejbika.

Pani Franciszka z Ancutów Wereszczakowa zajęta była sortowaniem kwiatowych nasion. Nisko schylona nad jesionowym stołem, gdyż wzrok miała niezmiernie krótki, nieomal dotykała nosem srebrnej tacki, przegartując po niej podobne do kapuścianych ziareczka lewkonii. Uśmiechała się przy tym myśląc, jak to letnią porą zakwitną pod oknami pachnące, biało oblepione pałkucie.

Na brzeżku tej samej rogowej kanapy przysiadła niby ptak na gałęzi rejentówna Kościeszanka. Sierota i krewna Ancutów znalazła w Tuhanowiczach przytułek i opiekę, gdy — mimo pięknych oczu i postaci sylfidy — nie udało się bezposażnej pannie do lat czterdziestu przekroczyć progów hymenu. Palce rejentówny migały zajęte robótką *frivolité*, ale za każdym razem, gdy za drzwiami bawialni głośniej odezwały się skrzypce, palce te nieruchomiały, talia łamała się wpół, sztywniała łabędzia szyja a z ramion osuwał się lazurowy szal w drobne palmy, pięknie harmonizujący ze spłowiałym karmazynem obicia. W takich chwilach wygięta w dziwaczny flores postać panny Zefiryny zdawała się barokowym ornamentem, podkreślającym swoją sztucznością pełną znaczenia prostotę brzydkiej głowy w czepcu i rozrosłego kształtu królującego na środku kanapy.

Nie odrywając od zajęcia pracowitych palców, marszałkowa przysłuchiwała się koncertowi, którym w poobiednich godzinach raczył domowników podstolic Apolinary Hornostaj, używający tytułu Kawalera, ponieważ, jak twierdził z dwuznacznym uśmieszkiem, posiadał prawo do Orderu Podwiązki. Pan Apo-

linary miał za sobą bujną i szumną przeszłość. Dziedzic starożytnego imienia i znacznej fortuny roztrwonił ją szybko na hulanki, hazardy i kosztowne wojaże, tak że w kwiecie męskiego wieku został goły jak bizun a ciągle z tym samym, co w młodości, apetytem do przygód i uciech. Nie posiadając własnego funduszu zaczął wieszać się przy różnego autoramentu utracjuszach, bądź dopomagając hulakom dogryzać resztek fortun, bądź też sterując nieopierzonymi żółtodzióbami, których świerzbiły odziedziczone po przodkach dusie. Wprędce zdobył sobie sławę nieocenionego mentora, równocześnie niezłe ze swoich elewów ciągnąc zyski.

Niestety, skończyły się zbytki i rozmach przedwojennego życia. W Litwie nastała bieda. Szły na eksdywizje szlacheckie folwarki i chwiały się wielkopańskie fortuny. Obywatelstwo coraz ciaśniej przyciągać musiało pasa, coraz trudniej było o bogatych pupilów. Podstolicowi nie pozostawało nic innego, jak osiąść u bogatych krewnych lub pieczeniarskim obyczajem puścić się w objazd po dworach i pałacach. Wybrał to ostatnie. Lękał się bowiem nudów stałej rezydencji i wciąż jeszcze żywił nadzieję na lepszą losów odmianę. Ruszył tedy na wędrówkę, ale nie w obdrapanej kałamaszce jak pospolita rezydencka hołota, lecz w pamiętającym lepsze czasy żółtym koczyku, zaprzężonym w rasowe, choć dychawiczne szkapy, i z przytroczoną do powozu walizą, pełną podniszczonej paryskiej garderoby, którą dowcipnie kufrem po nieboszczce karecie nazywał.

Zjawił się był w Tuhanowiczach późną jesienią i póty odkładał z dnia na dzień wyjazd, aż spadły śniegi i koczyk trzeba było zatoczyć do wozowni, by czekał suchej wiosennej drogi.

W zimowej nudzie wiejskiego dworu pan Apolinary stał się prawdziwą atrakcją. Wieczorami w kawalerskiej murowance dokształcał młodych Wereszczaków, rozwijając przed nimi kuszący obraz zakazanych uciech lub opowiadając pieprzne anegdoty, przy których młodszy Józef rżał jak źrebię, a starszy Michał uśmiechał się z zażenowaniem.

Był przy tym szarmanckim kozerem i świetnym opowiadaczem własnych i cudzych przygód, w których naga prawda przeplatała się z kolorowym łgarstwem, a cięty dowcip tchnął cynizmem przeżytych doświadczeń. Nawet marszałkowa wysłuchiwała chętnie tych awantur arabskich, tak kontrastujących z prostotą tuhanowickich obyczajów, i znajdowała w nich dziwną przyjemność. Panna Zefiryna, cała w wypiekach, nie odrywała oczu od sardonicznie uśmiechniętej twarzy Kawalera. Nie mogąc nań patrzeć, z równą namiętnością wsłuchiwała się w jego muzykę.

W przeciwległym rogu biblioteki cześnikowa Mirecka grała w karty z wojskim Hrycyną. Ona — ciotka nieboszczyka marszałka, on — także krewny Wereszczaków, poczciwe Żmudzinisko, z dawna u nich na rezydencji osiadły. Para ta liczyła w sumie lat blisko półtorasta i dziwaczny stanowiła kontrast: czerstwy rydz naprzeciwko otulonej czarnym czepcem zmurszałej purchawki. Wojski, brat łata, gadatywus i facecjonista, cały dom potrafił rozweselić a za Wereszczaków w ogień gotów był skoczyć. Pani Mirecka, cierpka i gniewliwa, gadała a raczej kłóciła się tylko podczas gry w karty, stanowiącej jedną z jej dwóch namiętności. Drugą był mops Trezor, ohydne psisko, tak upasione, że chodząc przewalało się z łapy na łapę. Pani cześnikowa zgrzytająca na wszyst-

kich nie wyłączając pani domu, jedynie dla Trezora znajdowała czułe słówka i karesy a lękając się, by faworyt nie schudł na obfitym tuhanowickim stole, łasowała dlań smakołyki przechowywane w kieszeni pod spódnicą.

Teraz mops spał na kobiercu, od czasu do czasu warcząc przez sen, gdyż usposobienie miał równie zgryźliwe jak jego pani. Za każdym warknięciem cześnikowa mówiła pieszczotliwie:

— Coś tobie strasznego przyśniło się! Zbudź się, kociuku!

I ostrożnie szturchała go laską. Trezor łypał przekrwionym ślepiem i stęknąwszy obracał się na drugi bok a pani Mirecka wracała do mariasza, rzucając szybkie, badawcze spojrzenia to na leżące karty, to na ręce wojskiego. Przy tym jej obwisła warga nie przestawała się ruszać, jakby cześnikowa nieustannie coć przeżuwała. Ilekroć pan Ignacy wyświęcał mariasza, a staruszek miewał w kartach wenę, tylekroć cześnikowa mruczała z nieukontenowaniem:

— Jakoś asanowi nadto szczęści się — i szarpała gniewnie koronkę czepka.

— Zadawaj, waćpani, panuleńku mój. A to przed herbatą gotowiśmy nie skończyć — przynaglał wojski.

Cześnikowa z wahaniem podjęła ze stołu przedostatnią kartę. Zobaczywszy ją przełknęła głośno.

— Skupujesz asan szóstką?

— Ma się rozumieć, że skupuję!

Zamruczała ze złością i rzuciła niżnika. Wojski zabił i wziął ostatnią kartę. Zagwizdał z zadowoleniem.

— Nie świstaj acan, tylko obrachuj.

Pan Ignacy przysunął tabliczkę i zaczął półgłosem dodawać. W miarę tych obliczeń cześnikowa coraz energiczniej szarpała swój czepiec.

— Kralka — dziesięć. Dwa mariasze w kozyrnej maści — razem mamy dziewięćdziesiąt. Król z wyżnikiem w obcej maści — trzydzieście... Razem sto dwadzieścia. I pamfil jedynaście. Sto trzydzieście jeden, jak obszył!

Popatrzył na cześnikową iskrzącymi się z uciechy oczami i podkręcił białego wąsa.

— Dubla, panuleńku mój! Nózi na stół!

— Zabieraj sobie, zabieraj! — zgrzytnęła popychając spodek, aż zabrzęczały groszaki. — Krew ostatnią z człowieka by wytoczył!

— Dubla. Podwójnie się liczy! — wołał przekornie.

— Nie nukaj asan. Sama wiem.

I wpijając bazyliszkowy wzrok w uszczęśliwionego zwycięzcę zadarła do kolan suknię i zagłębiła rękę w kieszeni.

— A pfe, panuleńku! Kto widział tak irytować się. Taże złość piękności szkodzi — przekomarzał się staruszek.

Szperała w głębi kieszeni, aż spośród skrawków wędlin i okruchów wygrzebała zatłuszczoną sakiewkę i wyliczyła dwa złote groszy dwadzieścia.

Wojski zabrał się do tasowania kart.

W rewanżowej partii musiało cześnikowej dopisywać szczęście, bo podśmiewała się zadowolona i zapomniała o czuwaniu nad snem Trezora.

Skrzypce w bawialni znów zapłakały głośniej a tak rzewnie i przejmująco, że nastroszony łebek rejentówny przekrzywił się w bok a dziewicze piersi uniosło przeciągłe westchnienie. Pani marszałkowa odsunęła tackę, wsparła brodę na zwiniętej pięści i ona, tak zawsze trzeźwa, zadumała się raptem.

Zmrużywszy krótkowzroczne oczy patrzyła przed siebie, jakby się czemuś pilnie przyglądając. Nawet pan Ignacy zasłuchał się i na moment znieruchomiał z gotową do bicia kralką w podniesionej ręce.

Bo muzyka podstolica miała przedziwny dar przenikania w najskrytsze tajniki ludzkich serc, poruszania w każdym jego własnych tęsknot i żałości. Porywała do marzeń, wzniecała niepokój, budziła żal za tym, co się stać mogło, a nie stało i już nie stanie się nigdy.

Skoro tylko smyczek dotknął strun, przeobrażała się spalona namiętnościami, wytarta jak zużyty miedziak twarz pana Apolinarego. Łagodniały usta i miękło wyostrzone spojrzenie, a oczy stawały się młode i smutne. Przytuliwszy skrzypce słuchał, jak opłakują zgubiony skarb duszy, zabite dobro, zmarnowane piękno... jak płaczą nad przegraną człowieka, co nie miał siły chcieć.

Ale czar tej muzyki najmocniej odczuwała córka domu, Maria. Niby czuły kamerton odpowiadała drżeniem serca na nie wiedzieć czyje namiętne wołanie, na tęsknotę bez nazwy i kształtu, przenikającą w białe ściany panieńskiego pokoju.

Ten dwuokienny narożny pokój z inkrustowanym łóżkiem, otuloną tiulem gotowalnią, lśniącym pudłem nowego fortepiano i biblioteczką pełną francuskich romansów — był uroczą samotną „jaskinią", gdzie kryła się *„jeune incomprise"* sam na sam ze swą melancholią i dokąd uciekała od nudy pospolitych zdarzeń, by rozczytywać się w dziejach poetycznych kochanków, cierpieć nad ich losem, tęsknić i marzyć wraz z nimi.

Siedziała właśnie nad romansem, którego treść zestrajała się przedziwnie z niepokojącym czarem muzyki, i błądząc nieprzytomnym wzrokiem po rozwianych w śniegowym wirze sylwetach drzew, marzyła:

„Valérie! O, Valérie!... Jakżeś godna zazdrości, ty najszczęśliwsza spomiędzy ziemianek, ty, którą ubóstwiał anielski Gustaw. Gustawie! O takim jak ty kochanku każda z czułych dziewic marzy, w każdej nowej twarzy szukając wyśnionych rysów, w każdym głosie jedynego tonu, który duszy i sercu odpowie! O, gdyby choć przed zgonem, choć na moment z takim kochankiem tęsknymi spotkać się pióry!..."

Westchnęła, przyciskając palcami karty książki.

„Wszak w powszechnej ojczyźnie przyrodzenia każde stworzenie ma istotę bliźnią. Każdy ton, każdy promień spojony z podobnym sobie łączy się w harmonię dźwięków i barw. A moje serce?"

Skrzyżowała ramiona, by stłumić jego szybkie bicie.

„Wierzę, że jest gdzieś, choć na krańcach świata, ktoś, kto do mnie myślami wzajemnymi leci..."

W pamięci przesunęła się jasnowłosa głowa Wawrzyńca Puttkamera. Czyżby on? Nie! Ktoś inny. Tajemniczy, nieznajomy, daleki...

Patrzyła na kasztany targane podmuchami zawiei, na gnące się w dzikich harcach cienkie miotły topoli — i nie wiedziała, że patrzy. Nie dostrzegała również walczących z wichurą chłopów, którzy przekopywali ścieżkę do murowanki. Olśnione kłującą bielą oczy zaszły łzami, a w tych łzach zjawiła się i zaraz znikła zatarta a przecież wyraźna, nieznajoma, młodzieńcza twarz.

— Gustawie! Anielski Gustawie!

Wyciągnęła ramiona i czym prędzej je opuściła na głośne skrzypnięcie nienaoliwionych zawiasów. Obejrzała się. W uchylonych drzwiach garderoby, po-

nad śnieżną i pienistą bielą muślinu zobaczyła twarz, która, nie wiedzieć czemu, wydała jej się podobną do znikłej przed chwilą zjawy. Przetarła oczy i zawstydzona własną niedorzecznością, uśmiechnęła się do Teklusi Stypułkowskiej, swojej towarzyszki i powiernicy. Weszła ona do pokoju, trzymając w wyciągniętych rękach świeżo uprasowany szlafroczek. Uniosła w górę pianę falbanek i przechyliwszy czarnowłosą główkę powiedziała po swojemu przeciągle i śpiewnie:

— Pięknie ja jego ururkowała. Nie?

— Pięknie. Ale dlaczego ty, a nie Ulana?

— Alboż to na jej ręce? Takie delikatne! Prosto marcowy śnieg.

Chwilę jeszcze przyglądała się zwiewnej pajęczynie, potem powiesiła ją w szafie i oparłszy się o kant splotła zwykłym gestem palce na piersiach pod brodą:

— Maryniecka pójdzie na herbatę? Już prędko piąta.

— Nie pójdę.

— Za co?

— Nie chce się. Ach, gdybyś wiedziała! Ta książka...

— Pani marszałkowa znowu zirytuje się, że Maryniecka nic jeść nie chce. Bo i prawda, że w ostatnia pora czegoś pomizerniała...

— Doprawdy?

Maria zerknęła w zwierciadło. Niestety! Policzkom daleko było do wymarzonej romantycznej bladości. Wciąż jeszcze okrągliły się dziecinnie i różowo. Odwróciła się zniechęcona.

— Chcesz mnie pocieszyć. A ja przecie widzę. Czysta piwonia.

Teklusia pokiwała głową.

— I spohadać trudno. Jakże to? Znaczy rumianość nie piękna?

— Fi!...

— A ja bym nie wiem jak kontenta była rumieniec taki mając. Bo u mnie co? Kości daj skóra. I biała ja — aż straszno!

— Tak właśnie pięknie, Teklusiu. Myślisz, że Julia, Korynna czy Waleria miały czerwone policzki? Jakże z takim gminnym rumieńcem marzyć o miłości? Umierać z tęsknoty? Czekać?

— A za co czekać, kiedy ono i samo przyjdzie, kochanie znaczy się. Nikogo dola jego nie ominie. Każdemu będzie, co jemu pisane. Kochanie... mogiła.

— Dlaczego mogiła?

— A toż Maryniecka sama o niej tylko co wspomniała.

— Umierać z tęsknoty, Tekluniu, to znaczy cierpieć. Szkoda, że nie umiesz po francusku. Przeczytałabym tobie listy Gustawa i Walerii. Zrozumiałabyś.

Teklusia potrząsnęła główką i skierowała się do drzwi. Przechodząc koło okna powiedziała:

— Jak ten stary Antośko męczy się. Co rusz na łopacie opiera się i dyszy. A wiatr go mało nie obali. Znaczy Marynia na herbatę nie pójdzie?

— Nie.

— Może tutaj przynieść?

Maria klasnęła w dłonie.

— Tak! Przynieść orzechów i piernika. Posiedzimy razem. Ja opowiem tobie treść romansu, a ty mnie na gitarze pobrzdąkasz i swoje staromodne piosenki pośpiewasz. Szczególniej tę o Filonie.

Teklusia uśmiechnęła się.

— Ona wszystkim w Zaosiu ulubiona była. Ciotka Mickiewiczowa i mama wciąż ją śpiewały i nas, dzieci, nauczywszy... To ja zaraz wracam.

Wyszła. Skrzypnęły drzwi i nastała cisza, którą wnet wypełniła płynąca z bawialni muzyka. Ale czy podstolic grał teraz inaczej, czy wyrwana z ekstazy Maria nie była w stanie tak silnie egzaltować się muzyką — dość że słuchała jej z większą niż pierwej obojętnością, zagłębiwszy się w przerwanej lekturze romansu pani Krüdener.

Rokokowy zegar na konsoli wydzwonił piątą. Razem z tym dźwiękiem urwała się muzyka i pan Apolinary wyczekująco spojrzał na drzwi sieni. Bawiąc od paru miesięcy w Tuhanowiczach poznał niezmienną regularność tutejszego życia i wiedział, co za chwilę nastąpi. Jego twarz odzyskała już swój zwykły wyraz: przymilność gotowych do pochlebstw ust i ostrą czujność spojrzenia. Czekał.

Jakoż nim w sali jadalnej szafkowy zegar dokończył kuranta, drzwi sieni otworzyły się na oścież i ukazała się kuta srebrna taca a za nią przygarbiona figurka Walentego. Podstolic poruszył nozdrzami łowiąc jałowcowy cuch wędliny i podbiegł na palcach do lokaja.

— Co też nam dziś dacie, kochaneczku?

— Sama świnina. Kumpie, polędwica, kiełbasa myśliwska — wyliczał Walenty wyciągając cienką jak u oskubanego koguta szyję, by wskazać brodą różowe niby kocie języczki płatki polędwicy i ciemnoczerwone plastry biało obrzeżonej szynki.

— Ach! Ach! — węszył krogulczym nosem Kawaler. — Cały świat zbiegłem, ale takich wędlin jak w Litwie nigdzie... doprawdy że nigdzie!... A półgęska dziś nie dacie?

— Dawne skończyły się, a nowe jeszcze w wędlarni wiszą.

— Szkoda... szkoda... A masełko, kochaneczku? — zaniepokoił się.

— Zaraz dadzą.

I Walenty potuptał do biblioteki.

Marszałkowa, dzierżąca żelazną dłonią ster nienaruszalnego domowego porządku, zezwalała zimową porą na jadanie podwieczorku w bibliotece, bo jej samej nie chciało się ruszać od kominka.

— Zbiegaj, Iwaś, po samowar. A po drodze posłuchaj, sercuniu, pode drzwiami gościnnego, czy też pan podkomorzy nie zbudził się. Jeśli wstał, proś na herbatkę.

Chłopak rad, że wreszcie skończy się popołudniowa nuda, rzucił się do drzwi. Pędząc cwałem przez bawialnię wpadł na Kawalera i tak go silnie łbem potrącił, że mimo swej okazałej tuszy podstolic o mało nie stracił równowagi.

— Uważaj, hultaju! — krzyknął i trzepnął w ucho skonfundowanego Iwasia.

— Dureń! — mruczał owijając w fular i układając na fortepianie swoje cenne skrzypce. Potem wyjął z kieszeni fraka szyldkretowy grzebień i zbliżywszy się do zwierciadła jął uważnie zaczesywać długi kosmyk misternie maskujący wyłysiałe ciemię. Dopełniwszy tej czynności zadarł głowę, wypiął pierś, wciągnął zaokrąglony brzuch i bacznym spojrzeniem zlustrował swą wytworną postać. Kontent z egzaminu — strzepnął woniejącą lawendą chustkę

i wkroczył do biblioteki. W progu obrzucił bacznym spojrzeniem pokój jak zapaśnik plac boju, nim na niego wkroczy. Zwyczaj ten, nabyty w dziwacznych i zmiennych kolejach losu, stał się jego drugą naturą. Skłoniwszy się szarmancko, posuwistym krokiem ruszył do pani domu.

Że zaczynało się ściemniać, marszałkowa porzuciła wytężające wzrok zajęcie i przyglądała się rozkładanej przez rejentównę kabale, przerywając dobrotliwym śmiechem zawiłe wywody Zefiryny.

— *Oh, cabale!...* — zawołał podstolic. — To mnie prawdziwie interesuje.

— Właśnie skończona. Czekają mnie, sercuniu, niezwyczajne siurpryzy. Gość, liczne towarzystwo...

— O to w Tuhanowiczach nie trudno — skłonił się Kawaler.

— Zwłaszcza że na jutro całe sąsiedztwo zapowiedziało się. Ale słuchaj waszmość dalej. Karty przepowiadają mnie daleki wojaż.

— O!

— Zapewne do Nowogródka na wiosenne kontrakty — chichotała marszałkowa klepiąc Zefirynę po zwiędłym liczku. — Twoje karty mądre, sercuniu, przewidujące!

— Teraz moja kolej, *belle cartomencienne!...* Mogę wyciągnąć?

Siadł tuż obok Zefiryny i tak się nad nią pochylił, że dotknął skronią nastroszonych pukli panny. Drgnęła. Złocone karty wypadły jej z rąk. Wybrał sam.

— Oto mój kolor. Król pik.

Zefiryna drżała jak ptak, w którego wpatruje się wąż boa. Zaledwie zdołał powściągnąć uśmiech nad tym rozdygotanym panieńskim truchełkiem.

— *Fatiguée?* — spytał pieszczotliwie. — To może ja położę kabałę dla pani?

— *A la bonne heure!* — klasnęła w dłonie marszałkowa.

— Zagrałbyś, panuleńku mój, na czwartego w kiksa zamiast babskimi bzdurami zajmować się — zawołał z kąta wojski. — Ale waszmość coś ostatnio od kart stronisz.

Kawaler skrzywił się.

— Interesuje mnie wyłącznie *bonne avanture.*

— Odkąd że to, proszę ja kogo?

— Odkąd mam zaszczyt być gościem w Tuhanowiczach.

W istocie mierziły go tutejsze groszowe kiksy i bostony, żałosne karykatury dawnych świetnych gier. Gdzież one? Gdzie sławni na cały świat partnerzy, szał i ryzyko hazardu, góry dukatów na zielonym stole, cichutki brzęk złota przepływającego od gracza do gracza, niby tajemnicza, zmienna rzeka losu.

— Jaki jest pani kolor, *mademoiselle?* Zapewne dama *coeur...*

W tej chwili wszedł do biblioteki Stefan Wereszczaka, podkomorzy nowogródzki, a w ślad za nim przydreptał Walenty z obrusem przewieszonym przez ramię i wparadował spocony z emocji świeżo przyjęty lokajczuk, eskortowany i poszturchiwany przez ochmistrzynię. W końcu wtargnął Iwaś z wielkim parującym samowarem i zaczęły się przygotowania do podwieczorku. Walenty nakrył okrągły stół, a imość Kuroczycka rozstawiała na nim domowe specjały odgarniając niecierpliwie opadające na ramiona liliowe wstęgi czepka.

Podkomorzy, ucałowawszy rękę marszałkowej, rozsiadł się w fotelu.

— Jakże, sercuniu? Wywczasował się brat choć trocha?

— Za wszystkie czasy, pani bratowo — odparł tłumiąc ziewanie i mruga-

jąc zaspanymi, nieco skośnymi jak u wszystkich Wereszczaków oczami. — W Gutowszczyźnie nigdy, mossamo, dosyć wyspać się nie mogę. Wiecznie tysiące spraw. Jak to w domu.

Dźwignął się z fotela i podszedł do kominka.

— Podrzuć, Iwaś, drew. Taże widzisz, sercuniu, że wygasło.

Buchnął płomień. Podkomorzy obrócił się plecami do ognia i rozgarnąwszy poły żupana nagrzewał sobie krzyż, bo mu pod wiosnę dokuczały ischiase.

— A gdzie to — mossamo — nasz pan Józef?

— Zaraz po obiedzie z leśniczymi i obławnikami w knieje poleciał. Przed jutrem naradzają się.

Podkomorzy skinął z uznaniem.

— Józio całkiem w Wereszczaków wdał się. Błazen jeszczeż, a czy polowanie, czy sejmik, czy feta — wszędzie on pierwszy. Ani obejrzym się, pani bratowo, kiedy go marszałkiem, jak nieboszczyka ojca, szlachta okrzyknie.

— Ale z rysów raczej — do jaśnie wielmożnego rodzica marszałkowej, do starego pana Ancuty podobny. Ten sam rzymski nos, panuleńku mój, ta sama wydatna senatorska broda...

Marszałkowa uśmiechnęła się z zadowoleniem i wyciągnęła do pana Hrycyny tabakierkę.

— Waszmość, sercuniu, o mojej tabaczce przy kartach zapomniałeś...

— To już pozwól, bratowa dobrodziejka, że ja acańskiwa swoją potraktuję. W jesieni z Gdańska wiciną sprowadzona.

Podkomorzy otworzył złotą tabakierkę. Zalśniły diamenty otaczające portret nieboszczyka króla. Częstował koleją. Oni zażywali. Kichali. Marszałkowa przez roztargnienie zagarnęła swoją wielką jak prześcieradło chustką porzuconą na stoliku robótkę i chciała wszystko razem wpakować do kieszeni. Ledwo ją Zefiryna powstrzymała.

Podkomorzy wykichawszy się do syta wszczął z Hrycyną dyskurs o łowach, bo obaj kochali się w nich na zabój.

Kawaler zaś, który od wejścia Wereszczaki przycichł, czując, że stryjaszek nie nadto go weneruje, krążył koło stołu i nie mogąc doczekać się podwieczorku, zacierał ręce, niuchał, sapał i przymilał się do ochmistrzyni, komplementując nie tylko jej wyroby, ale i pulchne wdzięki, na co imć Kuroczycka odpowiadała zażenowanym śmieszkiem.

W tych lansadach nastąpił na łapę Trezora, który ze swojej strony milczkiem patrolował stół. Mops warknął i rzucił się do łydek podstolica. Ledwo zdążył uskoczyć za fałdzistą kieckę ochmistrzyni i uchronić swoje nankiny.

— Poszedł precz, bydlaku! — syknął patrząc z obrzydzeniem na tłustą bestię.

— Trezorek! Pójdź tu, kociuku! Pójdź do pani! — zachrypiała cześnikowa powstając z kanapy, by zająć swoje zwykłe miejsce po prawicy marszałkowej. Wszyscy obsiedli stół. Szczęknęły noże, zadzwoniły widelce i zapanowało milczenie. Rejentówna urzędowała przy samowarze, z gracją Hebe rozdając parujące wonnym nektarem filiżanki, a Kuroczycka stanęła za krzesłem pani. Błogi uśmiech opromieniał jej oblicze tak doskonale okrągłe, że gdyby na perkatym nosie oprzeć ostry koniec cyrkla, można by drugim zatoczyć najforemniejsze koło. Była rozanielona, bo nie znała większej radości niż podawać gościom swoje specjały, patrzeć, jak znikają z talerzy, i łowić uchem pochwały.

— Czy to kiełbasa z tego kabana, co na maślanicę zakłuty? — spytała półgłosem marszałkowa.

— Tak jest, pani dobrodziejko.

— Za mało korzenna, sercuniu.

— Aj, aj, aj, nieszczęście ty moje! Jaż tyle co zwyczajnie i pieprzu, i kolendru...

— A saletry?

— Takoż.

— To dobrze. Znaczy nie popsuje się. A że nie taka smaczna, nie szkodzi sercuniu... Byle dar boży nie zmarnował się.

— A gdzież to *mademoiselle Marie*? — spytał podkomorzy, ocierając zawiesiste wąsy.

— Dziwaczy, sercuniu dobrodzieju. Ani jej zmusić do jedzenia. Marzeniami romansami żyje, bo taka dziś podobno moda. Ot, bieda z młodymi.

Westchnęła. Dziwactwa i kaprysy córki zaczynały ją niepokoić. „Pora jej za mąż" — myślała. „Już osiemnaście lat. A w powiecie o partię odpowiednią trudno. Chyba by Puttkamer... Wprawdzie w długach po uszy, ale człowiek zacny i rozumny. Cóż, kiedy i on, mimo że najwyraźniej Marią zajęty, jakoś nie deklaruje się. Choć ty rzucaj wszystko i dziewczynę do Wilna na karnawał wieź.

Podsunęła podkomorzemu piernik.

— Niechaj brat poprobuje... Bardzo Kuroczysi udał się. A ciotunia dobrodziejka?

Cześnikowa mimo braku zębów jadła z zadziwiającą szybkością. Jej potężne szczęki poruszały się jak automaty, nie przestając żuć nawet w chwilach gdy omiótłszy szybkim spojrzeniem stół, ściągała z talerza co grubsze płaty szynki i wtykała je na przemian w rozwarty pysk Trezora i w czeluść swoje kieszeni. By ułatwić sobie zadanie, zasiadając do stołu podginała spódnicę do kolan i przykrywała je serwetą a domownicy mieli dość taktu, by nie zauważać tych manewrów.

— Dużo gości bratowa dobrodziejka na jutro spodziewa się? — zagadnął podkomorzy.

— Nie tak wiele. Nie więcej jak pół kopy.

— A w tym pół tuzina moich chłopaków.

— Prawdziwie jest się czym pochwalić, sercuniu dobrodzieju!

— Jenerał Niesiołowski będzie?

— Spodziewam się. Takoż sędzia Roztocki z Ruty, no i Bartniki, Kołdyczewo. Ot, najbliższe sąsiedztwo.

— A Michel uśpieje wrócić?

— Miał wrócić, na pewno.

— Czy tylko trakt nie nadto zawiany, żeby gdzie z drogi nie zbili się, panuleńku mój — wtrącił pan Ignacy Hrycyna.

— Właśnież to! W polu dmie aż straszno.

Michał pośpieszał, jak mógł, by przed wieczorem dobić do domu. Póki trakt biegł między drzewami, konie szły pewnie, ale gdy za Worończą wyniósł się na wzgórze, gdy urwał się dwurząd topoli i przed podróżnymi rozłożyło się

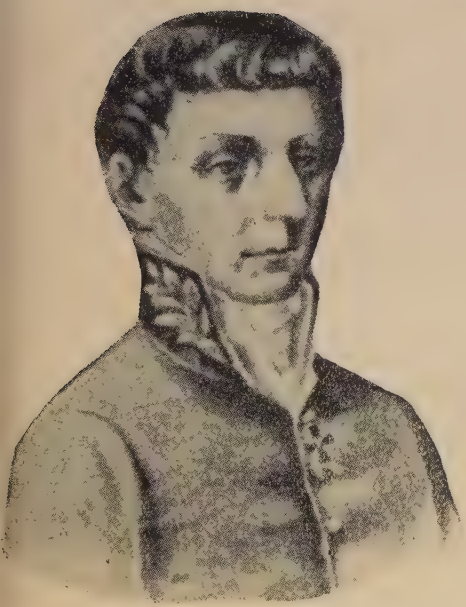

Nauczyciele Adama Mickiewicza w uniwersytecie wileńskim. Na górze: Joachim Lelewel, na dole: Ernest Groddeck i Leon Borowski.

Jan Czeczot, najwcześniejszy i najlepszy przyjaciel poety. Jego głównie staraniom zawdzięczamy wydanie pierwszych tomów Poezyj Mickiewicza. Reprodukcja rysunku z natury R. Wilczyńskiego, wykonanego na kilkanaście dni przed śmiercią Czeczota w r. 1847.

gładko zawiane zbocze, szkapy nastroszyły uszy i stąpały ostrożnie, wyczuciem tylko trzymając się ubitego zimą, a niewidocznego pod śniegiem szlaku. Nagle lewy lejcowy kasztan zapadł powyżej kolan. Za nim prawy.

— Z naboju zbili się — oznajmił stangret obracając się do siedzących z tyłu panów.

— Weź się w prawo! — rozkazał Michał. Stepan skręcił tak ostro, że sanie przechyliły się gwałtownie i gdyby nie krępująca go wilczura, siedzący po prawej stronie Wawrzyniec Puttkamer byłby zwalił się w śnieg.

— Ot i w kanawę wjechali — stwierdził furman ściągając lejce.

— To skręcaj w lewo, w lewo, mówię tobie! — niecierpliwił się Michał, rozluźniając szubę, by w razie czego móc łatwiej wyskoczyć. Stepan targnął lejcami. Dyszlowe konie szarpnęły, skręciły w lewo i z kolei lewa szpaczka buchnęła w podmokły śnieg. Wyskoczyła zaraz i przyciskała się do boku wałacha, drżąc nerwowo. Tymczasem lejcowa para kotłowała się w głębokim śniegu i plątała bezradnie z przeraźliwym brzęczeniem dzwonków.

— *Szczob jewo pokruciło!* W prawo źle i w lewo źle. Gdzie to czortowyj nabój dziewał się? — mruczał strapiony Stepan, drapiąc się w głowę.

— Nie ma co, musisz szlak odnaleźć. Zakasuj poły i leź w śnieg. Dawaj mnie lejce.

Chłop zrzucił kożuch. Stłumił westchnienie i zrezygnowany skoczył w lewo. Zapadł tylko do kolan. — Znaczy nie kanawa, bo byłoby mnie po pas. Widać kobyła w jakąś jamę wwaliła się.

Pobrnął naprzód i po chwili wyrósł przed końmi wyższy nagle o pół łokcia. Widać trafił na twardy nabój. Ruszył przed siebie.

— Zmierzch za pasem a do domu jeszcze werst pięć z hakiem. — Diabli nadali zawieję. Już i jeść chce się — westchnął Michał, odchylając nastawiony powyżej głowy kołnierz i rozglądając się po niebie. — Prr! Stój, maleńka! — uspokajał denerwującą się szpaczkę.

— Schwyciłeś mnie prosto z drogi, nawet nie zdążyłem przebrać się, frak u mnie cały wymięty. Jakże ja damom zaprezentuję się? Pani marszałkowa gotowa mnie wziąć za złe... — kłopotał się Puttkamer.

— Matka nie darowałaby mnie, żebym ciebie z gubernskich sejmików wracającego do Uniechowa puścił, zamiast prosto do Tuhanowicz wieźć. Jakże! Wiadomości z własnych ust deputata! W czas wileńskich sejmików poczty doczekać się nie mogła, choć przecie kurier najciekawszych detali nie podawał. Cóż dopiero, gdy o nasze Grodno idzie!

— O wileńskich detalach ja takoż dopiero w powrotnej drodze dowiedziałem się, w Solecznikach Węgrzeckiego przypadkowo spotkawszy.

— Musisz opowiedzieć. Myślę, że i stryjaszka zastaniem, bo na jutrzejsze polowanie zapowiedział się.

— A... siostra twoja... — Puttkamer zająknął się. — Zdrowa?

— I *Marie* z przyjazdu pana Lorenca ucieszy się.

— Ach...

— Ty dopiero* w jej oczach na bohatera kreowałeś się.

— Nie wiedzieć co doprawdy.

---

* teraz

— Mówię tobie. Już po kościuszkowskich uroczystościach uważałem, że twoją elegią u trumny naczelnika deklamowaną bardzo się zainteresowała.

— Doprawdy?

— Póki byłeś zwykłym sobie sąsiadem-hreczkosiejem, w jej oczach nic nad innych nie wywyższało ciebie. Ale gdy zostałeś powiatowym deputatem, orędownikiem szlachetnej sprawy, a jeszcze kiedy poetą okazałeś się...

— Porzuć, porzuć, Michale!...

— Nie dziwacz. Alboż nie pisujesz wierszy?

— Takie pisanie... Ot, *pour passer le temps*... — usiłował zbagatelizować swoją słabostkę.

— Tak i pisujesz. A dla Marii poetyczność — grunt.

— Kanawa z prawej strony — zameldował wracający z rekonesansu Stepan. — Jakoś pojedziem. Byle tylko lewej ręki trzymać się.

I zabrał się do porządkowania uprzęży przodkowych koni. Mamrotał przy tym:

— Nabój przed wami jak strzelił, a wy durne czort wie czego w kanawę wepchali się. Nastąp, kasztan. No! Prrr! Nazad! Noga! Nastąp się!

Wyrównawszy rzemienie, ujął konie przy pysku, wyprowadził na ubity szlak i wrócił do sań.

— Ty, Stepan, przemókł do nitki, co? — zatroskał się Michał.

— Nie ze wszystkim — nieszczerze odparł stangret.

— Czekajże, w Tuhanowiczach rozgrzejesz się. Konie oporządziwszy, zaraz na piekarnię przychodź. Sam ja ochmistrzyni nakażę, żeby tobie uczciwy traktament wystawiła.

Zsiniałą twarz chłopa rozjaśnił błogi uśmiech. Skoczył na kozioł, owinął się kożuchem, odebrał z rąk panicza lejce i trzasnął z bicza. Pojechali.

— To, powiadasz, w Grodnie tylko młodzi z tobą trzymali? — nawiązał Michał przerwaną wypadkiem rozmowę.

— Tak. Za to starszyzna, szczególniej majętniejsi... Mówię tobie, nasłuchałem się. „Jakobin, mosanie! Sankiulot!"

— Stare żubry!

Puttkamer zaśmiał się.

— Nawet moim dwudziestu czterem latom nie darowali. Słyszałem, jak Szukszta mełł w zębach: „Smarkacz, mosterdzieju, błazen" — i ruszał wściekle wąsiskami.

— Wiadomo. — Szukszta, Pukszta, Łuciata, Puciata — kpy z całego świata! — zaśmiał się Michał.

— Tyle pociechy, że mój głos wolności kmiotków się domagający, choć głosem wołającego na puszczy pozostał — przecie do protokółów obrad sejmikowych wciągnięto.

— To dobrze. Splendor dla familii i przed potomnością zasługa.

Michał wypowiedział to zdanie tonem, jakiego zwykł używać, gdy rozmowa schodziła na temat znakomitości rodów i szlacheckich tradycji, tonem tak pełnym powagi i namaszczenia, jakby przez jego usta przemawiały wieki. Ale zaraz wrócił do swojej zwyczajnej intonacji.

— Chwała Bogu, że w naszej guberni obyło się bez takich hec jak w Wilnie.

— Bez hec, ale i bez rezultatów.

— A tamże co za rezultaty? Tak samo większość opierała się.

— Wcale nie większość, Michale. Mniejszość.

— Podobno sam marszałek Słonimski oponował.

— I prałat Pustowski razem z bratem. I regent Umiastowski na trzeciego. Aleć to jeszcze nie większość.

— Najwybitniejsi obywatelowie. Czemuż oni nie z nami, a przeciw nam? Czemu uczucie zwykłej ludzkości i filantropii jakobińskimi hasłami nazywają?

— Poseł oszmiński, ów Paszkowski, którego, jak powiadają, marszałek Słonimski razem z bratem wysadzili, by zamiast nich przeciw uwolnieniu chłopstwa gardłował — prawdziwie nikczemną figurą się okazał. Jego mowa na posiedzeniu miana wstydem i hańbą imię Polaka okrywa... bo nie jako Polak, ale jako „wierny poddany tronu" i „członek ogromnego społeczeństwa cesarstwa rosyjskiego" przemawiał, i póki nie będzie ogłoszona wola monarchy, od debat nad sprawą chłopską się odżegnywał. Ale też ktoś mu sztukę wypłatał! Odrysowaną szubienicę do pleców mu przyszpilili.

— Kto taki?

— Mówią, akademicy. Rektor Malewski zaprzecza, ale on swoich studentów zawsze broni.

— I na czym skończyło się?

— Na tym, że Paszkowski do Szłykowa z donosem poleciał, a gubernator zaraz po sesji salę opieczętować kazał i policmejstra zawiadomił, że kroi się jakiś kryminał i że na rozruch się zanosi. Przez całą noc podwójne ronty po mieście krążyły.

— Popatrz, jaki gorliwiec! Choć Zyberg Plater przecie.

— Co stąd, że Plater? Tak zwykle bywa, gdy Polak carskim „czynem" się błaźni.

— Toż on gwałtu nad posłami dopuścił się. Zniewagi szlacheckiego stanu.

— Tak całe Wilno krzyczało. Tumult się zrobił nie do opisania. Niektórzy marszałkowie, nie wiedząc, co czynić, razem z deputowanymi do swoich powiatów porozjeżdżali się. Resztę Romer u siebie na Bakszcie zebrał i przez parę dni radzili. Tak do nich podobno przemawiał, że szlachta płakała jak bobry i uradziła co zechciał.

Pochylił się do ucha Michała:

— Boć za swoim mistrzem cała loża Gorliwego Litwina opowiedziała się.

— I co uchwalili?

Wawrzyniec odparł:

— Zwołać Komitet, opracować petycją w sprawie uwolnienia włościan i carowi przesłać.

— I to cały rezultat?

— Zawsze większy niźli w Grodnie.

Rozmawiali o tych najżywotniejszych dla chłopstwa sprawach w obecności pańszczyźnianego chłopa i ani im na myśl przyszło, że tu i o Stepana losy chodzi. A on zdawał się nic nie słyszeć, zajęty końmi, które pomknęły ostrym kłusem, dorwawszy się pod Horbatowiczami do świeżo wyjeżdżonej drogi.

— Dobrze szło, panowie szlachta z Horbatowicz szlak nam przetarli, do swoich odryn na sianożęci jeżdżąc — odezwał się i strzelił z bata.

Wpadli w zaścianek. Brzęk dzwonków rozbrzmiewał donośnie wśród cichych, zawalonych śniegiem sadów i dworków „okolicy". Z bram wyskakiwały Bukiety i Zagraje i z głośnym ujadaniem pędziły za sankami. Krzątający

się w obejściach panowie bracia, rozpoznawszy tuhanowicki zaprzęg, grzecznymi ukłonami witali sąsiada.

Z ganeczka jednej z chat schodziła właśnie dziewczyna w kożuszku i podkasanej spódnicy, dźwigając oburącz ciężki cebrzyk. Dostrzegłszy z daleka nadlatujące sanie, postawiła go, co prędzej opuściła suknię i jakby przygotowując się do bezcelowej przechadzki, szła zwolna ku furtce, naciągając rękawice. Nagle stanęła jak wryta. Utkwiła na moment pociemniałe spojrzenie w barczystej postaci marszałkowicza i zaraz spuściła oczy, a jej krągłą twarzyczkę oblał rumieniec tak żywy i gorący, że hrabia Puttkamer zauważył z zachwytem:

— Ależ to istna róża! Szczęśliwy lord Michel!

Michał uchylił czapki. Dziewczyna zarumieniła się jeszcze gwałtowniej, ujęła w dwa palce rąbek samodziałowej spódnicy i dygnęła zgrabnie.

— Co za płeć! *Parole d'honneur*, u naszych panien rzadko coś podobnego spotkać można. A jaka przy tym gracja! Jaki szarm! Skąd u zaściankowej szlachcianeczki...

— Świeże powietrze... praca... ruch — bąkał niechętnie Michał i zaraz przeskoczył na inny temat:

— Ot, my już tak jak w domu. Jeszcze tylko przez las.

Za Horbatowiczami zaczynały się dębowe i brzozowe zagaje, poprzerzynane chłopskimi pólkami, pasami nowin i nieuprawnymi karczowiskami. Dalej las gęstniał, zwierał się coraz bardziej, aż przeszedł we wspaniały wysokopienny bór. Z obu stron jak brązowe kolumny dźwigały się pnie masztowych sosen tak strzelistych i wysokich, że mimo potężnej grubości odziemków zdawały się wiotkie niby trzciny i tak jak trzciny kołysały się w podmuchach wiatru, otrząsającego śnieg z podniebnych wierzchołków.

— Piękny las! — chwalił Puttkamer mierząc wzrokiem wyniosłość rdzawych pni.

— Ojciec nieboszczyk pilnował go jak oka w głowie — odparł Michał, nie wspominając, że sam równie zazdrośnie strzegł puszczy, że nie mógł znieść zgrzytu pił i tępych uderzeń toporów i że zawsze dreszczem boleści przenikał go śmiertelny trzask i jęk padającego drzewa. Wyrąb lasu był dla niego ciężkim przeżyciem, toteż za każdym razem do upadłego walczył z Józefem, nim zgodził się wpuścić do boru kupieckie siekiery.

Kochał te swoje knieje inaczej niż młodszy brat, dla którego lasy były cenną złotodajną żyłą oraz terenem łowieckich przygód i triumfów. Józef przebiegał je na czele jazgotliwej psiarni, głosem rogów i wrzaskami naganiaczy gwałcąc ich piękno i spokój. Michał zaś lubił włóczyć się samotnie. Z dwururką przez ramię błądził wśród ciszy, szumu i szelestu lub na grzbiecie Foudre'a zapuszczał się aż w Płużyńskie bory do Świtezi, by słuchać klechd rybaków, zapuszczających sieci w siną głąb jeziora. Lubił przysłuchiwać się sennym pieśniom koniuchów nocujących na nadserweczańskich ługach i dziwacznemu, głuchemu tupotowi popętanych koni. Lubił zasypiać przy ogniskach smolarzy i budzić się przed świtaniem, gdy zahukają wiosennie sowy, gdy otrąbią słońce zapadłe na nocleg żurawie, a błota zakipią i zabulgoczą godowym graniem cietrzewi.

— Ależ macie jodły! Chyba ze sto lat nie ruszane.

— A na co one kupcom! Chwała Bogu, że choć ze świerczyny niewielki dla nich pożytek, to i rosną sobie staruszki.

Piętrzyły się po obu stronach drogi czarne, ogromne i zwiesiwszy kosmate, oblepione śniegiem łapska, skrzypiały zrzędnie, niepokojone swowolnymi igraszkami wiatru.

Michał, namiętny lubownik grzybobrania, znał dobrze te miejsca. Tu, w cieniu nawisłych gałęzi, gnieździły się w zielonym mchu różowe, powykręcane rydze, nie tak silnie pachnące, jak te drobne, szarawe, co plenią się po trawach i suchych mszarach, za to wielkie niby rzeszota.

Wjechali teraz w bagnistą zapadlinę, ciągnącą się zarosłymi turzycą i żurawiną rojstami i spłachciami hałego błota wzdłuż całego kompleksu borów, aż ku Płużynom, ku jezioru Świteź. Wiatr hulał tu bezkarnie wśród brzózek i karłowatej sośniny, a na śniegu znaczyło się mnóstwo zatartych i świeżych wilczych tropów, biegnących śniadymi łańcuszkami przez haliznę.

— Tylko co przeszły — mruknął Puttkamer uważnie przyglądając się świeżym śladom. Raptem chwycił Michała za rękę:

— Widzisz? Popatrz!

Wychylony z sanek, wskazywał odległą o kilkadziesiąt sążni grupę brzózek, za którą przesunął się szary cień. Za chwilę pojawił się drugi, potem trzeci. Teraz widzieli już zupełnie wyraźne długie, podkasane kształty, pomykające jeden za drugim wąsko wydeptanym śladem.

— Trzy, cztery, pięć... — rachował Puttkamer. — Damy jutro tym złodziejom! *A propos,* kogo na polowanie spodziewacie się?

— Strzelb z piętnaście. Sami najbliżsi sąsiedzi. Zresztą nie wiem, to wydział Józefa.

Minąwszy torfiaste młaki wydostali się na wysoki grunt, porosły liściastym borem. To było najpiękniejsze miejsce tuhanowickiej kniei. Drzewa nie nadto zwarte otwierały widoki na dalekie mgliste perspektywy lub okalały słoneczne polany. Grupy brzóz, świerków i grabów tworzyły malownicze, niby ręką artysty układane klomby i urocze ustronia. Tu, wśród kamieni i traw, szemrał strumień, tam liliowiały wrzosiste pagórki, owiane cieniem dębowych konarów, ówdzie splatały się z sobą koralowe gąszcze głogów jarzębin i kaliny, a tam znów zieleniał cienisty leszczynowy gaj.

Wszystko pokryte teraz śniegowym kożuchem, uśpione, pozornie martwe. Ale w pędach krążyły już żywe soki, a w pąkach poczynała się utajona wiosenna praca. Patrząc na las pod śniegiem Michał widział go w pełnej krasie lata. Przypominał skwarne lipcowe południa, zapach zgniecionych ziół, sprężyste poduchy macierzanki, splamione lepkim sokiem czernic, słodycz nagrzanych w słońcu poziomek i rozkoszniejszą od nich słodycz kraśnych ust.

Puttkamer od dłuższego czasu obserwował twarz młodego sąsiada. Piękną twarz o regularnym owalu, miękkich, ocienionych wąsikiem ustach i szerokim czole marzyciela. Spytał z uśmiechem:

— O czym duma jego lordowska mość?

Michał uśmiechnął się z zażenowaniem:

— O wiośnie, lecie... Czy ja wiem zresztą o czym...

— A kędy pojedziem, paniczu? Prosto do pałacu czy na Karczewę? — zapytał stangret.

— A jak tobie zdaje się?

— Po mojemu lepiej na Karczewę. Szlak przez wioskę wyjeżdżony, a chciaw-

szy prosto — droga może być nieprzetarta. Tamże góry, wądoły. I wieczór już blisko.

— To jedź na Karczewę.

Minęli wieś i jechali skrajem wzgórza wzdłuż krętej doliny Serweczy. Po lewej ręce ciągnęły się porosłe drzewami strome i urwiste jary, po prawej w dole siniały olchowe zarośla i kępy łóz na nadrzecznych sianożęciach. Wreszcie w mierzchnącej dali zamajaczyły wysokie lipy tuhanowickiego parku. Stopniowo ukazywały się coraz wyraźniejsze zarysy drzew, kaplicy i budynków. Wjechali w podwórze. Poczuwszy stajnię i żłób, konie zarżały rozgłośnie.

Na folwarku zaczął się już codzienny przedwieczorny ruch. Skrzypiały studzienne żurawie, piszczały wrota stodół. Zgarbieni parobcy taszczyli na plecach ogromne nastroszone więzie siana, a baby szły do chlewów dźwigając obciążone wiadrami koromysła. Na zdeptanym śniegu walały się kupki świeżego nawozu, garście słomy i rozwleczone kłaki siana. Pod cugową stajnią wyprzęgano właśnie saneczki, którymi Józef tylko co wrócił z lasu. Stał teraz z ekonomem, otoczony gajowymi, i wydawał ostatnie rozkazy.

— Witaj, mości hrabio! — zawołał rozpoznawszy gościa.

— Czołem, Nemrodzie!

Stepan ściągnął lejce. Józef mijając konie przejechał dłonią po grzbiecie szpaczki.

— Zgrzałeś kobyłę, hultaju!

— Droga ciężka, paniczu — sumitował się stangret.

— Daj jemu spokój, Józio — ujął się za Stepanem Michał.

— Bo ty, Michel, tylko o swoje bachmaty dbałbyś. Reszta tobie furda.

— Porzuć, serdeńko. Nie dziecinnij. A jak tam Foudre? — zwrócił się do ekonoma.

Długie oblicze imć Bucewicza z boleśnie uniesionymi brwiami i obwisłym wąsem wyrażało beznadziejny smutek.

— At... Cóż, mosterdzieju...

— Jak to? — szarpnął się Michał. — Chory?

— Za co miałby być chory?... Zdrowy jak rybka.

— Nie zołzuje?

— At... a za co miałby zołzować?

— Bo był trochę niewyraźny, gdym wyjeżdżał, a asan robisz taką pogrzebową minę...

Józef poklepał ekonoma po ramieniu.

— Nie znasz naszego Bucewicza? Toć on i na weselu hulając, *requiem* ma na gębie wypisane. Ruszaj! — krzyknął przyczepiając się z tyłu do sanek.

Rozgłośny dźwięk dzwonków ożywił cichy dwór. Wszczęła się bieganina, trzaskanie drzwiami, błysnęły zapalane świece. Puttkamer spojrzał w okno narożnego pokoju i zdawało mu się, że dojrzał za szybą jasną główkę. Podniósł rękę do czapki, ale nim zdążył się ukłonić, znikła, czy może wcale jej nie było, bo zrzucając w sieni szubę, słyszał nuconą dźwięcznym głosem arię Ombra Odorata przy cichutkim wtórze fortepiano.

— Jak ich nie było, to nie było, a jak zjawili się, to oba i jeszcze z najmilszym gościem na dodatek — mówił podkomorzy ściskając Puttkamera, nim ten zdążył podejść do pani domu. — Witaj-że, mości grafie!

Wystawił bratankom rękę do pocałowania i uścisnął obu.

— Jakże tam, panie Józefie? Ty gadaj pierwszy, bo jak zaczniemy — mossamo — przyjezdnych wypytywać, końca temu nie będzie.

— Wszystko gotowe, stryjaszku dobrodzieju — raportował Józef i zwięźle zdał sprawę z przygotowań.

— Co za miła siurpryza! A taki karty Zefirynki miały słuszność. Nie mogłeś mnie, duszko, większej przyjemności zrobić, jak przywożąc z sobą hrabiego — mówiła marszałkowa, serdecznie witając młodzieńca.

— I to prosto z Grodna! — chwalił się Michał.

— A Bożeż mój! Toż my do północy waćpanu, sercuniu, spać nie damy, o nowiny pytając. A *„Wiadomości Brukowe"*, Michasieńku, mnie przywiozłeś?

— Są, proszę mamy.

Uradowała się.

— Dawaj-że ich! Niechaj obaczę, jakie to nowe facecje ten hultaj „szlachcic na łopacie" wymyślił.

Chwyciła pisemko i przysunąwszy świecę, podniosła je do samych oczu.

— Ale nim zaczniem hrabiego męczyć, warto by coś przekąsić — upomniał się Józef.

— Aj, sercuniu, duszko! Wstyd mnie zrobiłeś, doprawdy. Taką niegodziwą gospodynię w *„Wiadomościach"* opisać by warto. Zaraz, zaraz! Nim dadzą wieczerzę, wędlinki przegryziecie... — i potrząsnęła podręcznym dzwonkiem.

Wawrzyniec, rozmarzony ciepłem, milczał, grzejąc rękę nad ogniem i strzygł uchem w kierunku, skąd dobiegał śpiew. Lecz gdy skończono przekąskę, zakropioną wybornym krupnikiem, podkomorzy wziął go w obroty:

— Siadaj-że, mości hrabio, i opowiadaj.

Więc Puttkamer zdał szczegółową relację z przebiegu grodzieńskich sejmików.

— A jakże na naszej świętej Żmudzi? Jak tam szlachta popisała się? — chciał wiedzieć Hrycyna.

— Wybornie, panie dobrodzieju. Większość, tak jak i w Wileńskim, za uwolnieniem trzymała. Opowiadał mnie Węgrzecki, ten żywy *„Kurier Litewski"*, zabawną historię o kowieńskim wicemarszałku i o jenerał-gubernatorze...

— Gadaj-że, gadaj!

— Marszałek Meyer, jak wiadomo, bardzo zacny człowiek, tak sprawą uwolnienia kmiotków przejął się, że rozesłał po powiecie cyrkularz. A chcąc obywatelstwo do poczciwej decyzji tym łacniej nakłonić, ułożył go w formie schemy, na której po jednej stronie napisał: „Zgadzam się na uwolnienie chłopów" i dopisał „Tytus", a po drugiej: „Nie zgadzam się" z dopiskiem „Neron".

— Ależ na sposób wziął się! — plasnęła w ręce marszałkowa.

— Żmudzin, panuleńku mój! Wiadomo!

— Podpisywali się tedy wszyscy pod Tytusem, boć żaden Neronem nie chciał zostać, i tak sobie po powiecie cyrkularz krążył, aż dowędrował do Puń, majątku dymisjonowanego rosyjskiego jenerała, Kochowskiego. Ten ani myśląc na uwolnienie chłopów się zgodzić...

— Zwyczajnie — Moskal! — przerwał Hrycyna.

— Polak, łaskawy panie dobrodzieju, Polak! Tylko w carskiej służbie zmoskwiczony. *Tandem*, będąc *contra*, a nie chcąc osławić się mianem Nerona, wziął ze sobą papier, siadł na sanie i do Wilna, do Korsakowa pojechał. Stary

usłyszawszy, w czym rzecz, rozdąsał się i żandarmów do Wolda po Meyera posłał.

— A cóż jemu — mossamo — stało się? Zwyczajnie taki dobry człowiek...

— Zaraz dokończę, jaśnie wielmożny dobrodzieju. Biorą tedy żandarmi Meyera i prosto z kibitki przed jenerał-gubernatorem stawiają. A był akurat w gabinecie jakiś pułkownik, który w przejeździe do Peterburka przyszedł zameldować się. Korsakow pewno byłby swoim zwyczajem do tej pory złość z siebie wydychał i o wszystkim zapomniał, ale podekscytowany obecnością pułkownika, któremu chciał widać zaimponować, jaki to z niego despota, rozbuńdziurzył się na Meyera. Zaczął krzyczeć, grozić, że każe powiesić marszałka, car najwyżej powie: „Ot, zbiesił się stary Korsakow", a Meyer będzie wisiał. I nie wiedzieć ile podobnych nagadał mu duserów. Jak państwu wiadomo, ma on zwyczaj łajając kogoś, za guzik go schwycić, targać i u obecnych pytać: „Nie prawda? Nie mam racji?" Tak i teraz czynił. Krzycząc szarpał i targał nieszczęsnego tłuściocha, aż w końcu zwrócił się do pułkownika: *„Wied'wy znajetie kto eto Nieron?!"* Tamten zmarszczył się, nadął, myśli. Nareszcie wyprężył się, stuknął obcasami i mówił: *„Niet, wasze wysokopriewoschoditielstwo, nie znajus! Po armii u nas takoj familii nie imiejetsia. Razwie on służit wo fłotie?"*

— A niechże go, mossamo! — parsknął śmiechem podkomorzy, a za nim Michał.

— A phi! A phi! — zanosiła się marszałkowa, której ataki śmiechu całkiem przypominały kichanie. — A phi! *Quelle ignorance!* A phi!

— Durak, panuleńku mój! — bił się po kolanach uszczęśliwiony wojski. Nawet Józef, który, zmorzony powietrzem, zdrzemnął się był przy kominku, zbudził się i zarżał po swojemu.

— I jakiż koniec? — spytał podkomorzy, ocierając załzawione oczy.

— Taki, że jenerał-gubernator uśmiał się jak państwo i Meyera do Wolda spokojnie odpuścił.

Podkomorzy z uznaniem skinął głową.

— Korsakow dobry, sprawiedliwy człowiek, chociaż dziwak i kapryśnik. A najważniejsze — mossamo — że nieprzekupny, co u rosyjskich urzędników rzadko zdarza się. Gdyby takich więcej z Peterburka w Litwę przysyłano, inaczej — mossamo — działoby się u nas!

— A taki, panuleńku mój, ja jemu nie wierzę. Póki co: dobrze, pięknie, ale niechajby tylko o polską narodowość poszło, zaraz pokazałby rogi! Moskal Moskalem i kwita!

— Nie każden Moskal jednaki — przerwał z żywością Puttkamer. — Ot, chociażby syn Korsakowa, Włodzimierz Aleksandrowicz. Poznałem go u ciotki mojej, Sacken-Ostenowej, w Wilnie i rozmawialiśmy długo. Wywnioskowałem, że on tak samo jak my despotyzmu nienawidzi, „czynowniczestwem" się brzydzi i Polaków jako braci Słowian miłuje. A takich jak on podobno w Rosji więcej i między szlachtą, i w armii... ba! nawet w cesarskiej gwardii!

Michał poparł przyjaciela.

— A samże cesarz nie liberalny monarcha?

Podkomorzy pokiwał głową.

— Cesarz, co jedną ręką da — drugą odbiera.

— Przecie nadanej Królestwu konstytucji nie odebrał — zaoponował Put-

tkamer. — I wciąż równie gorąco o polskiej *nationalité* się wyraża, zarówno w publicznych przemówieniach, jak w prywatnych z wybranymi rozmowach. I poczynione w tronowej mowie obietnice każdego roku powtarza.

— Obietnice! — machnął ręką podkomorzy. — Szczerszy od cara cesarzewicz wyraźnie powiedział — mossamo — co o nich myśli: *„Les promesses de l'Empereur sont de la fausse monnaie"*...

— A przecie cesarz wciąż daje dowody swojej dobrej woli. Ot, chociażby Kościuszkowskie uroczystości.

— Phi! Daj ty mnie spokój, panuleńku mój. Po to, żeby oczy zamydlić.

— Nie, mości dobrodzieju! Nikt nie może zaprzeczyć, że Aleksander jest liberalnym monarchą, a przy tym człowiekiem rozumnym i szczerym filantropem. Najlepszy dowód, że, jak twierdzą wtajemniczeni, po Kongresie członkiem Polskiego Wschodu został.

— O masońskich sekretach nie ma co gadać, bo i tak, panuleńku mój, nikt nie wyrozumie, jaki w nich cel i jaka prawda. Sam diabeł się nie rozezna.

Wawrzyniec spojrzał na Michała, który uśmiechnął się nieznacznie, i rzekł:

— Porzućmy tedy masoństwo. Weźmy co inszego. Wszak w lipcu cesarz oddzielny Litewski Korpus ustanowił.

Hrycyna zatrzepotał rękami.

— Po to, by do reszty zmoskwiczyć Polaków!

Puttkamer zniecierpliwił się.

— Et, panie dobrodzieju! Tak że niesposób mówić! W korpusie sami Litwini, Wołyniacy i Podolacy służą i mundury noszą do polskich zbliżone. To już krok do spolszczenia zabranych guberni i do połączenia ich z Królestwem. A na sztandarze Korpusu dwugłowy wprawdzie, ale srebrny, orzeł na piersiach naszą Pogoń nosi.

— A na czele Korpusu nie Polak, a cesarzewicz Konstanty stoi. To monstrum, ten dziki zwierz, co naszych najzasłużeńszych jenerałów precz poprzepędzał... Kniaziewicza, Dąbrowskiego, Wielhorskiego! A tych, panuleńku mój, nieszczęśników, którzy w wojsku zostali — przed frontem lży, poniewiera, oficjerski mundur hańbi... Po pysku podobno bije! Polskich oficjerów!...

Podkomorzy, który już parokrotnie otwierał usta chcąc się odezwać a w zapale nie dano mu przyjść do słowa, zirytował się w końcu. Trzasnął o stół tabakierką.

— A pozwólcież, mossamo, że i ja swoje wtrącę!

Młodzi umilkli zawstydzeni, ale stary Hrycyna, oburącz zasłoniwszy oczy, powtarzał z boleścią:

— Po pysku, panuleńku mój! Po pysku...

Podkomorzy namyślał się chwilę, by na każdy argument stosowną dać replikę. Nareszcie zaczął z powagą:

— To, co — mossamo — wojski o moskwiczeniu Polaków w Korpusie Litewskim w żalu wyrzekł, nie zdaje mi się słuszne ni prawdziwe. Może w tym cesarskim posunięciu jakaś dobra idea się kryje, którą my, sparzywszy się na dwoistym postępowaniu Aleksandra, niesprawiedliwie podejrzewamy. Ale to, com na początku — mossamo — powiedział, to i dopiero podtrzymuję. Aleksander chwiejny, słaby i podwójną grę prowadzi. A że prowadzi, zaraz asanom *formalitater* dowiodę.

Tu podkomorzy odchrząknął, rozsiadł się głębiej i zaczął przebierać indeksem lewej ręki palce prawej:

— *Primo:* poddanie konstytucyjnego nominalnie Królestwa tyrańskim rządom cesarzewicza. *Secundo:* mianowanie cesarskim pełnomocnym komisarzem zaprzysięgłego wroga polskości — *cette sale canaille, ce gredin de Novosilcoff.* *Tertio:* — i to najważniejsze — odsunięcie księcia Adama od wszelkiego udziału w rządzie Królestwa, a wysadzenie na namiestnictwo jenerała Zajączka, który na starość — mossamo — jak prawdziwy zając uszy po sobie kładzie i w rękach Wielkiego Księcia powolnym jest narzędziem.

Młodzi ludzie z uwagą słuchali tych wywodów. Podkomorzy przerwał na chwilę, by zażyć tabaki, wykichał się i tak kończył:

— *Summa summarum* ja i teraz niczego dobrego nie spodziewam się, choć Litwini tyle nadziei w marcowym sejmie pokładają. Królewiacy za to mniej na pomyślny obrót spraw publicznych liczą, bo im już dopiekły twarde rządy cesarzewicza i donosy Nowosilcowowskiej psiarni. A co się dzieje w wojsku? Strach pomyśleć! Samobójstwa jak zaraza się szerzą. Toż nie minęło dwa lata, jak młody Wodziński na swoje życie się targnął. Wzorowy oficjer, dziecię najlepszego domu. Znałem kiedyś jego ojca... A insi, których nazwiska tylko mi wiadome... Biesiekierski, Nowicki, bracia Trembińscy... Kwiat naszej młodzieży...

Urwał. Wszyscy milczeli w bolesnej zadumie. W półmroku zacisznego pokoju zdawały się przesuwać blade i skrawione cienie ofiar przemocy, tragicznych rycerzy honoru, co strzelali się w Łazienkach pod pomnikiem zwycięskiego króla, by tym rozpaczliwym aktem zadokumentować światu, że polski żołnierz to nie rab, a wolny człowiek.

Wreszcie Puttkamer przerwał milczenie.

— Z tym wszystkim to nie wina cesarza. Boć rany zadawane przez Konstantego Aleksander goić usiłuje. Sam książę Adam, który niejednokrotnie porównywał cesarzewicza do Domicjana, cesarza Tytusem nazywał. A jego osąd musi być słuszny, boć nikt tak jak on nie zna imperatora.

— Zapewne! Tylko że książę, mossamo, idealista i dawnym hasłom wierny, pragnąłby i w przyjacielu te same upatrywać cnoty. Niestety, zdaje mnie się, że i książę zaczyna tracić wiarę.

Korzystając z nowej przerwy w rozmowie, Józef spytał:

— Co to takiego, że wieczerzy nie dają?

— Bo widzisz, duszko, kołduny lepią. A że na jutro dość inszej roboty...

— Jeśli kołduny, to gotówem czekać.

— Zaraz ja na Kuroczyckę zadzwonię.

Ochmistrzyni wnet zjawiła się w drzwiach.

— Co tam u was z wieczerzą?

— W ten momencik, jaśnie wielmożna pani dobrodziejko. Jeszcze tylko ostatnie dwie kopy dla pana wojskiego i dla pana podstolica.

I zaaferowana potoczyła się do sali jadalnej, by przypilnować nakrywania stołu.

W piekarni panował rwetes i żar. Brzęczały patelnie, dzwoniły moździerze, stękały torturowane wałkami makutry. Z saganów buchały kłęby gęstej pary, tłuszcz pryskał, syczał i skwierczał. Na tle ognistych czeluści poruszały się jednostajnym ruchem dwie białe postacie kuchcików, obracających skrzypiące

rożny, a w mrocznym kącie baby skubały kaczki, raz po raz wysiąkując w zapaski pozatykane puchem nosy. Opodal na ziemi rozsiadła się ciężarna Awdotia, która od samego południa wierciła mak w glinianej misce, ściskając ją dygocącymi ze zmęczenia kolanami, a przy stole, ociekając siódmym potem, dziewki lepiły siódmą kopę kołdunów. Nad całą tą pracującą czeredą unosił się ciężki opar smażeniny i korzennych przypraw, grzmiący głos kucharza i jego ciężka ręka, uzbrojona kopyścią.

Hryc Tkaczuk, przezwany z pańska Grzesiem, zrobił we wczesnej młodości zawrotny skok z kurnej chaty do pałacowej kuchni. Z wiejskiego dłubinoska w zgrzebnych portkach przedzierzgnął się w dworskiego kuchcika, a gdy stary Michałko umarł — awansował na kucharza, nieograniczonego władcę sześciu podręcznych bab i czterech kuchcików. Sam nie pojmował, jak to się stało. Ot, szczęście, daj chodzi.

Korzystając z nieobecności ochmistrzyni, Grześ coraz to pociągał łyk gorzałki i przysiadał się do kuma Stepana, zajadającego pod oknem obiecany poczęstunek. Obok na ławie siedział stróż nocny, Antośko, przeprowadzając łakomym wzrokiem każdy kęs słoniny, niknący w wąsatej gębie stangreta. Stepan jadł zwolna, jak przystało, przerywając jedzenie towarzyską rozmową.

— Ja by chyba rozpękł się, tyle mięsa i ciasta zjadłszy — mówił półgłosem, wskazując stosy jadła zalegające stoły i półki.

— Żeby tylko tobie dali!... — mruknął Antośko.

— Powiedz ty mnie, kumie, czy u panów kindziuki większe niźli u nas, że stolko żarcia w nich się zmieści?

Grześ zaśmiał się.

— Dziwo że większe! Z rodu samą tłustość żrą, to im się kichy rozepchają jak u tuczonych kabanów. Co inszego chłopskie flaki, co nie raz i nie dwa z głodu do krzyżów przysychały. Te się tak prędko nie rozciągną.

— Ej, Hryc. A przez to u ciebie tak prędko rozepchały się, że dwa razy tyle co pany zjeść zdążasz — wtrącił zgryźliwie Antośko.

— A tobie, stary, zazdrość? Twoje jem?

W drzwiach izby kredensowej znów ukazała się zasuszona a groźna figurka Walentego, który co pięć minut zjawiał się jak *deux ex machina* i szeplenił:

— Dawaj kołduny, czorcie! Jaśnie państwo czeka!

Na widok pańskiego „oka" i „ucha" Grześ co żywo zerwał się z ławy.

— Już kończają, panie Walunio. Zaraz dajem.

Poniósł się jak biała burza po piekarni i by okazać przykładną gorliwość, wrzeszczał, łajał i przeklinał ile wlazło. Wreszcie, wytrzaskawszy po tłustych pyskach kuchcika, który przypalił pieczeń i słysząc, że za Waluniem zamknęły się drzwi kredensu, znów podszedł do Stepana. Zsunął na kark czapkę, otarł rękawem zgrzane czoło i burknął:

— Kołdunów im dziś koniecznie zachciało się. A ty, człowieku, rozedrzyj się. Szczob ich pokruciło!

— Cyt! — szepnął przestraszony Stepan.

— A co mnie! Czort ich pobierz! Sam ty gadał, mają chłopów uwalniać i do cara już pismo pisali. Uwolnią — kędy indziej pójdę. Gdzie tylko zechcę. —

— Ze wszystkim zdurił — westchnął zgorszony Antośko.

— A bo tobie tu źle? — szeptał Stepan.

— Choć i nie źle, a przez to nadojadło. Jak sobaka wciąż na tym samym sznurku targaj się.

Rozkraczył się, przytknął flaszkę do ust i przechylił głowę, Stepan wpatrywał się z gapiowatym podziwem w młodego kucharza. Strach co z tego Hryca zrobiło się! Hardy stał się, zadufany w sobie, czysty pan! Gorzałka mu do łba uderzyła czy może z tłustego żarcia? Tak chyba i będzie. Toć każdy koń po owsie wierzga.

— Skończone, sława Bohu — westchnęła przy stole Małaszka.

— Gotowe, pane! — pisnęła Prakseda.

Grześ przetarł zamglone oczy i schował flaszkę do kieszeni. Wrzasnął:

— Dawajcie, dziewki, rzeszota! A ty, Oleśko, przystawiaj sagan do ognia. Nie ten, czortowy synu! Tamten płaski z bulionem. Co robisz? Szczob twoju mater...

Za chwilę na wrzący rosół posypał się grad krągłych białych pierożków i po piekarni roszedł się przedziwny, jedyny na świecie zapach litewskich kołdunów.

Poczuł go podstolic powracający z przedwieczornej sjesty w murowance. Wciągnął z lubością i poświstując zajrzał do sali jadalnej. W progu spotkał się z Walentym, który właśnie szedł anonsować wieczerzę.

Zanim mężczyźni zdążyli wypić wódkę, do jadalni weszła Maria. Wszedłszy zatrzymała się i chwilę patrzyła z roztargnieniem, mrugając powiekami. Ze zbyt mocnym rumieńcem na wystających policzkach, z wydatnym Ancutowskim nosem, wąskimi wargami i zaostrzoną brodą wydała się Puttkamerowi wręcz niełada, choć niezmiernia droga. Ukłonił się. Dostrzegłszy go odpowiedziała głębokim dygiem i uśmiechem, który natychmiast przeistoczył jej twarzyczkę. Blade źrenice spojrzały spod czoła dziwnie i zwodniczo, jak oczy świtezianki, policzki zadrgały miękką falą, ożyły wąskie usta. Gdy zbliżała się — przysiągłby, że płynie, tak powiewną miała postać, tak lekkie ruchy.

— Nie wiedziałam, że i pan Lorenc z Michelem przyjechał...

Podała mu rękę, którą prawem dawnego znajomego do ust przycisnął. O coś zagadnęła. Coś zagadała do brata. Wawrzyniec nie wiedział co. Ważne było, że jest i że za chwilę siądzie obok.

Humory, już po wódce różowe — poprawiły się jeszcze, gdy wniesiono płaskie, srebrne, dymiące parą wazy. Wszyscy z uroczystym namaszczeniem zabrali się do kołdunów. Dmuchali na wrzący bulion, delektowali się każdym pierożkiem z osobna, ostrożnie, ze znawstwem rozgryzając miękkie, tryskające korzennym tłuszczem ciasto. W przerwach między jedną a drugą łyżką komplementowano panią domu, gratulowano ochmistrzyni, chwalono talenty domorosłego kucharza i rozprawiano o jedzeniu, jak to przy wieczerzy.

Maria i Puttkamer niewiele się odzywali. Ona raz i drugi zapytała o podróż do Grodna i o wrażenia. Jemu czegoś wydało się, że czyni to zdawkowo, ot po prostu dlatego, że wypada — więc posmutniał i odpowiadał półgłosem, bez humoru. Maria wyczuła jego nastrój i postarała się naprawić roztargnienie. Poprosiła o przepisanie dla niej elegii na śmierć Kościuszki. Rozpromienił się, ogromnie zażenowany, i obiecał. Zdziwił ją chłopięcy rumieniec na tej męskiej, poważnej twarzy. Spojrzała po swojemu, ukośnie, spod rzęs:

— Nie wiedziałam, że pan Lorenc poeta.

Z oczami w jej oczach odparł:

— Nie jestem nim. Tylko czasem...
— Co?
— Ach, nic właściwie.
— Proszęż dokończyć.
— Czasem chciałoby się... kiedy serce zbyt pełne... chciałoby się wyrazić, co w potocznej mowie trudno... czego nie podobna...

Wzruszyło ją, że, taki zwyczajnie wymowny, plącze się przed nią jak żaczek. Nie pytała więcej. Zamyślona zaczęła bawić się chlebem, lepiąc białe i czarne gałeczki. Puttkamer, zadowolny, że może nie wykręcając zbytnio głowy do woli patrzeć na nią, spoglądał to na perłowe uszko wychylające się ze światłych włosów, to na szyję giętką jak łodyga kwiatu, to na wdzięczną spadzistość ramienia. Z kolei zatrzymał wzrok na białych palcach i już go nie odrywał, walcząc z najgłupszą w świecie pokusą, by nakryć je gorącą dłonią jak schwytane ptaszki.

Maria, przesuwając po obrusie białe i czarne kuleczki, zastanawiała się nad dziwactwami swojego serca. Choć nigdy tego nie wyjawił, wiedziała, że Lorenc ją kocha. A ona? Podobał się jej, to pewna, rozumny, szlachetny... i piękny! Bardzo piękny! Lecz kochać go wzajem? Kochać? „Czymże jest miłość?" — dumała. Jeżeli spokojem i słodyczą bezpiecznej pewności — odczuwała ją chyba. Bo gdy patrzył na nią czule, gorąco, skłonna byłaby złożyć na jego piersiach głowę płonącą od marzeń o wyśnionym kochanku, anielskim Gustawie.

Ale jeżeli miłość jest czym innym? Jeżeli jest dzikim porywem serca, cierpieniem, tęsknotą? Jeżeli jest burzliwym, rwącym potokiem? Czy wolno wyrzec się jej? Czy wolno poprzestać na ciszy spokojnego jeziora?

Po wieczerzy na prośbę Puttkamera Maria śpiewała w bawialni arię Ombra Odorata. Śpiewając patrzyła w niego pytającym spojrzeniem. A gdy jej dawał dobranoc, wylękła się żaru jego ust. Zdawały się parzyć palce.

Z uwagi na jutrzejsze ranne wstanie nie zwlekano z udaniem się na spoczynek. Panowie szli do murowanki gęsiego wąską, rozkopaną w głębokim śniegu ścieżką. Przodem wojski, za nim Puttkamer i obaj bracia. Spomiędzy kudłatych chmur przeświturał księżyc jak kłaczek mdłego blasku. Wichura nacichła, ale z południa wciąż pociągał miękki, przedwiosenny powiew. Wojski mruknął:

— Na jutro pewna odelga. Będziem się, panuleńku mój, taplać po pas w wodzie, jeśli nad ranem przymrozek nie ściśnie.

— Ściśnie, ściśnie — pocieszał wszechwiedzący Nemrod.

— A gdzie to nasz podstolic podział się? Wieczerzę zjadłszy, panuleńku mój, zniknął jak kamfora.

— Politycznych dyskursów nie znosi, więc wcześniej do siebie poszedł.

Wchodząc na ganek murowanki, posłyszeli w sieni jakieś hałasy, tupoty, kobiecy śmiech i bas podstolica tremblującego starą francuską riturnelkę:

Oh, bijou, si je te tenois,
comme autrement tu sifflerois!

— Cóż się tam dzieje? Do kogóż to, panuleńku mój, pan Apolinary koperczaki stroi?

Michał uchylił drzwi, zajrzał i odwrócił się z palcem na ustach.

— Nie przerywajmy serenady.

Weszli po cichu. Pan Apolinary wspinał się właśnie po trzeszczących schodach do przechylonej przez poręcz, rechoczącej na całe gardło Ulany. Dziewka była hoża i twarda w sobie jak rzepa, bo takie tylko pokojówki zwykła brać do posługi doświadczona, przewidująca i dbała o zdrowie synów marszałkowa. Ukazanie się panów nie zmieszało dziewczyny. Śmiała była i obyta z nimi. Zbiegła więc ze schodów nie śpiesząc zbytnio, przegięta i zalotnie roześmiana. Wyrwała się z rąk zastępującego jej drogę podstolica, wyszczerzyła białe zęby do młodszego panicza i pisnąwszy: „dobranoc" wyskoczyła na ganek.

Młodzi ludzie ze śmiechem otoczyli pana Apolinarego gratulując mu werwy i wigoru. Tylko Józef zauważył dość kwaśno:

— Pan dobrodziej, widzę, nie traci czasu.

Kawaler podniósł palec.

— Należy korzystać z każdej okazji, przyjacielu! Życie szybko przemija! *Oh, si jeunesse savait...*

— A dokończ-że, panuleńku mój. Odważ się. Było nie było.

— *Si vieillesse pouvait?...* Nie! To zakończenie wcale nie pasuje do naszego podstolica — śmiał się Michał, obejmując wpół Kawalera.

— Kto wie? — chichotał przekornie wojski. — Kto wie...

— Nie sądź, asan, po sobie! — parsknął podstolic, ale staruszek odciął się zaraz:

— Cóż? Waćpan ledwo o dziesięć lat ode mnie młodszy, a wyszumiałe piwo podobno wcześnie siłę traci! Ale czas nam spać, panuleńku mój. Najwyższy czas.

Rozeszli się po izbach.

Puttkamerowi dano narożny pokój z widokiem na pałac. Zrzuciwszy szubę stanął w szczytowym oknie i zapatrzył się w oświetlone serduszko okiennicy. Co Maria teraz robi? Zabiera się do snu?... Czyta? Marzy?... Ogarnęła go wielka tęsknota, by być z nią. Zajrzeć w głąb nieodgadnionych czu. Odczytać je. Pojął, że nie zazna spokoju, póki nie będzie miał jej wciąż przy sobie. Postanowił: „Jeszcze tej wiosny zdeklaruję się." To go uspokoiło. Ale na krótko. Bo zaraz przyszło mu na myśl, że to nie wszystko. Że chociaż mu ją dadzą i choć będzie miał prawo kochać ją, czuwać nad jej snem, wiedzieć, co robi o każdej porze dnia i nocy — może nie uda się zdobyć jej serca, odgadnąć myśli, doścignąć marzeń.

W tej chwili znikło świetliste serduszko. To świeca dopaliła się i Maria nie zdążyła doczytać ostatniego listu Gustawa... Jakże teraz zaśnie? Przytulając do poduszki rozpaloną twarz, westchnęła:

„Świeco niedobra, właśnie pora była zgasnąć..."

Jadwiga Chamiec

Stefania Podhorska-Okołów

W PUSTELNI OLIZARA

I

Siedzieli we dwóch z młodym poetą, Gustawem Olizarem [1], na tarasie jego willi „Artek", zapatrzeni w jeden z najbardziej uroczych widoków świata. Na wprost nich, poza gładką jak lustro taflą zatoki, dźwigał się pod opalizujące już niebo potężny zwał Ajudahu, na prawo roztaczał się bezkres morza, które wchłonęło całą świetlistość słońca, znikającego już za górami. Taras tonął w miękkim cieniu. Mocno pachniały róże, nagrzane całodziennym upałem.

Mickiewicz przeniósł zwolna wzrok z morza na Olizara, pogrążonego w smętnych dumaniach. Ciepła fala współczucia objęła mu serce. Ten romantyczny Gustaw miał też swoją Marylę. Była nią Maria Rajewska, Rosjanka, córka generała, którą poznał, gdy był kijowskim marszałkiem szlachty. Panna musiała mieć wiele zalet i uroku, skoro kochał się w niej i Puszkin. Ani jeden z tych dwóch poetów nie zyskał jej wzajemności. Wyszła za mąż za Sergiusza Wołkońskiego, dekabrystę, i towarzyszyła mu na zesłanie. Ale w owo pogodne, nasycone aromatem i blaskiem popołudnie któż mógł przypuszczać, co stanie się za kilka miesięcy?

Kozaczek w barwach Olizara przyniósł dwa długie cybuchy, sięgające marmurowych płyt tarasu, nabite przednim tytoniem, podał kolejno gościowi i gospodarzowi, po czym, przyklęknąwszy, zapalił je. Jak zwykle, w błękitnych obłokach fajkowego dymu zawiązała się pogawędka o poezji polskiej i rosyjskiej. Mickiewicz zagadnął go o Puszkina. Nagle Olizar zmienił się na twarzy, wstał z miejsca, przeszedł się po tarasie i nic nie odpowiedział. Mickiewicz zrozumiał swój mimowolny nietakt. Przypomniał sobie, jak przed paru tygodniami pani Sobańska zapytała go o Marylę. Zerwał się wówczas z krzesła i w nagłym porywie zawołał:

— Ani słowa o tym! ani słowa więcej!

Wypadł z pokoju i przez parę dni nie pokazał się u pięknej pani.

Ale źródła jego wybuchu były nieco odmienne. Nie mógł znieść w ustach tej kobiety, świadomie budzącej pożądanie i tak ochoczo dającej rozkosz zmysłową, imienia Maryli, które pozostało dla niego na zawsze nietykalnym relikwiarzem najwznioślejszych uczuć młodości. Teraz, patrząc na rozdrażnionego Olizara, mimo woli porównywał jego losy ze swoimi. On, Mickiewicz, miał już

poza sobą przezwyciężoną, przepaloną rozpacz Gustawa. Jej popioły zostały w celi bazyliańskiej. Ale ten „poeta młody", co mniemał, że kontemplacją natury uleczy ranę serdeczną, i nawet samotnię swoją nazwał z grecka *„Kardijatrikon"* („Lek serca"), czy długo jeszcze pozostanie „młodzieńcem, przemienionym w głazy", głuchym na stąpanie dni nadchodzących?

II

Odpowiedź przyszła prędzej, niż się spodziewał. Nazajutrz z rana zapukał do jego kwatery w oficynie kozaczek Olizara, oznajmiając, że pan prosi na śniadanie, bo przyjechał gość, który chciałby się widzieć i z panem Mickiewiczem. Ubrał się zatem szybko i pospieszył do willi. W jadalni przed oknem, otwartym na niezmierzoną przestrzeń nieba i morza, ciemniała sylwetka, nieobca poecie.

Kiedy gość się odwrócił, Mickiewicz ujrzał dobrze znaną podłużną twarz, zakończoną ostrym podbródkiem, tonącym w wysokich kołnierzykach i czarnym halsztuku, usta o dolnej wardze pełnej, górnej prawie niewidocznej, długi nos z lekkim garbkiem, nieco zapadłe policzki, za okularami nieprzeniknione oczy krótkowidza, grube brwi i nad wąskim czołem gęstą, ciemną czuprynę, według ówczesnej mody zaczesaną z boku na skronie. Twarz uparta o skupionym wyrazie, twarz raczej badacza lub statysty niż poety, a jednocześnie tak bardzo odpowiadająca oskarżycielskiej postawie autora komedii *Bieda z tym rozumem,* której urywki czytał Mickiewicz w styczniu w pierwszym numerze almanachu Bułharyna *„Russkaja Talia"*.

Gribojedow z niezwykłą jak na niego żywością podbiegł do Mickiewicza, wyciągając ramiona. W pamięci ich obu ożyły długie wieczory w północnej stolicy, przegadane i prześpiewane z Rylejewem, Bestużewem, Kuechelbeckerem, Odojewskim, Malewskim, Jeżowskim... Jakieś tchnienie atmosfery spiskowej wionęło przez cichą samotnię Olizara.

A i on zmienił się do niepoznania. Oczy, jeszcze wczoraj zmatowiałe, zgaszone zapaliły się żywym blaskiem, znikła poprzeczna bruzda na czole, ruchy z ociężałych stały się szybkie i zdecydowane, radosna determinacja zastąpiła poprzednią ospałość.

— Czy pan wie, panie Adamie — rzekł Gribojedow — że ja od paru miesięcy jeżdżę ustawicznie pana śladami? Naprzód z Petersburga do Kijowa, a teraz na Krymie. No, i traf, a może i nie traf, sprawił, że oto spotykamy się nareszcie u naszego kochanego Olizara.[2]

To „kochanego" było powiedziane ze specjalnym naciskiem. Mickiewicz zrozumiał: Olizar był wtajemniczony w sprawy sprzysiężenia. Innym okiem spojrzał teraz na niego. A Gribojedow ciągnął dalej:

— Tak się szczęśliwie złożyło, że pan jeden spośród nas, panie Adamie, obraca się w kole tych, którzy przy zachowaniu pozorów liberalizmu, naprawdę są sługami cara. Pan wie, o kim mówię? — zapytał.

— Wiem — odpowiedział Mickiewicz — o jenerale de Witt.

— I o pani Sobańskiej także — dodał Gribojedow.

Mickiewicz zarumienił się. Czyżby ta urocza kobieta była szpiegiem?

— Nie wiem, czy pan ją słusznie podejrzewa — rzekł, siląc się na spokój. — Natomiast jestem pewien, że nas, Polaków, śledzi w Odessie zausznik Witta,

Tomasz Zan, przyjaciel poety. Reprodukcja litografii Villaina według rysunku Deverne'a.

Przyjaciel poety, Ignacy Domeyko, według akwarelowego portretu A. Kurowskiego.

niejaki Boszniak, rzekomy entomolog i zbieracz muszli. Kręci się koło nas, usiłuje zawsze skierować rozmowę na sprawy osobiste i rodzinne. Typowy szpieg, jak z romansu Coopera wyjęty.

— Na szczęście pojechał teraz do Tulczyna śledzić Pawła Pestela i resztę naszych w armii Wittgensteina. Inaczej na pewno mielibyśmy go tu na karku. A czy wiesz, panie Adamie, że Witt za pośrednictwem Boszniaka chce się za wszelką cenę wkręcić do naszego Związku? Pestel jest zachwycony tym projektem, ale Wołkoński i Juszniewski stanowczo się temu sprzeciwiają.

— I mają słuszność — porywczo zawołał Mickiewicz. — Witt to człowiek bez ojczyzny i bez sumienia. On nie wie nawet, do jakiego narodu należy i jaką religię wyznaje.

— To, co mówisz, panie Adamie — rzekł Gribojedow — jest dla nas bardzo cenną wskazówką. Będę się starał przekazać ją tam, gdzie należy. A teraz niech mi pan opowie coś o sobie.

Rozmowa potoczyła się o wrażeniach krymskich i o projektach Mickiewicza na przyszłość. Gribojedow pochwalił zamiar Mickiewicza przeniesienia się na Kaukaz. Byliby wtedy bliżej siebie. A przy tym klimat... Gribojedow stwierdził z przyjemnością znaczną poprawę w wyglądzie Mickiewicza. Morskie wichry starły szaro-zielonkawą, chorobliwą cerę, jaką miał w Petersburgu, na policzkach zakwitły rumieńce, z oczu znikł wyraz przygnębienia. Pomimo niewielkiej różnicy wieku Gribojedow patrzał na Mickiewicza z uczuciem starszego brata. W tym uczuciu tkliwość mieszała się z podziwem. Czuł, że ten, często niezręczny, towarzysko mało obyty młodzieniec ukrywa w zanadrzu prawdziwe pioruny, które dopiero miały uderzyć.

III

Obudził go świergot ptaków i poranny chłód. Instynktownie naciągnął na siebie kosmatą burkę (kupioną na bazarze w Bachczysaraju) i spojrzał w otwarte przez całą noc okno. Świtało. Za czarnymi pniami cyprysów, otaczających oficynkę, w której mieszkał, nie gęstniała już szafirowa ciemność nocy. Śniade niebo brzasku z każdą chwilą bladło, aż stało się perłowe. Adam przeciągnął się, aż w kościach zachrzęściło, i wciągnął głęboko w płuca rzeźwe morskie powietrze. Nie chciało mu się spać. Lubił tę godzinę przedświtu, kiedy morze i góry budziły się do nowego dnia. Zerwał się z posłania, narzucił na siebie burkę i tak, jak stał, ze zmierzwionym włosem, z twarzą, jeszcze nie ostygłą od twardego, zdrowego snu młodości wybiegł na dwór.

Lekki powiew przebierał po gałązkach cyprysów jak po strunach i szemrał wśród gładkich liści okrągło strzyżonych laurów, które pełniły straż przy wejściu do willi. Żaluzje u okien były tam spuszczone, jak zielone powieki na oczach zmęczonych. Służba jeszcze nie zaczęła się krzątać naokoło domu. Biała willa spała, jak hurysa, w ramionach pnących róż.

Mickiewicz wstąpił na taras, skąd widać było morze. Leżało, jak bladoróżowa koncha, pofałdowana w łagodne bruzdy, pod bladoróżowym niebem. Tylko z lekka siniejące pasmo horyzontu oddzielało te dwie głębiny.

Mickiewicz instynktownie wyciągnął ramiona ku jaśniejącej przestrzeni. Wszystkimi mięśniami ciała, wszystkimi komórkami mózgu, przyśpieszonym rytmem serca wyczuwał radość istnienia. Od kilku dni, odkąd udało mu się

odłączyć od towarzystwa odeskiego i zboczyć z drogi, aby spędzić jakiś czas w pustelni Olizara, czuł się jak jeden z tych ptaków, które w dzień Wniebowstąpienia nabywa się na rynkach rosyjskich miast od przygodnych przekupniów, otwiera klatki i wypuszcza na swobodę. Wiedział, że musi wrócić do klatki, tym mocniej więc odczuwał krótkotrwałe szczęście wolności.

Za wcześnie było jeszcze na kąpiel w morzu, ale doskonała pora do przechadzki. Duszny powiew z południa zapowiadał upał. Mickiewicz wrócił do oficyny, ubrał się pospiesznie i wyszedł na drogę, wiodącą do wsi Partenit. Było już zupełnie jasno. Ajudah, podobny niedźwiedziowi, od którego wziął swoją nazwę, przypadł olbrzymim cielskiem do morza, jak zwierz do wodopoju. Na jego podłużny grzbiet wypełzł złocisty wąż blasku. Słońce wzeszło.

Mułłę Mikmet-Bilula nie zdziwiły wczesne odwiedziny Mickiewicza.[3] Poznali się przed kilku dniami, kiedy poeta zapytał go o drogę, jedyną drogę, wiodącą na wierzchołek Ajudahu właśnie ze wsi Partenit. Z krótkiego zapytania wywiązała się dłuższa rozmowa o poezji. Mułła, jak na prowincjonalnego kapłana, był człowiekiem wykształconym i oczytanym. Umiał nawet na pamięć kilka utworów Hafisa i Saadiego i lubił je wygłaszać, o ile znalazł chętnego słuchacza. W ciszy górskiej wioski całe życie marzył o tym, żeby móc porozmawiać z prawdziwym poetą. I oto los okazał się dla niego łaskawy. A jeszcze kiedy Mickiewicz wygłosił mu kilka swoich liryków po francusku i zwierzył mu się z zamiaru opiewania Krymu, radość jego nie miała granic.

— Dlaczego tak długo rozmawiałeś, ojcze, z tym *„kiafirem"* (niewiernym) — zapytała go córka, jedyna pociecha po stracie ukochanej małżonki.

— Bo widzisz, dziecko — odpowiedział — to jest prawdziwy biul-biul (słowik), który śpiewa nie gorzej od Hafisa i Saadiego. A przy tym to jest wygnaniec ze swojej ojczyzny, którą mu zabrał car.

Dziewczyna nie pytała więcej, ale odtąd łaskawszym okiem patrzała na cudzoziemca. I kiedy teraz, idąc do krynicy z dzbankiem na głowie, spotkała go na ścieżce, spłoniła się ciemnym rumieńcem i bez pośpiechu naciągnęła na twarz zasłonę. Zdążyła przedtem rzucić mu palące spojrzenie wąskich i skośnych oczu, które przeszyło Adama jak ostrze sztyletu. Takie wąskie i nieco skośne oczy miała Maryla...

Mułła ucieszył się na widok gościa. Powitali się ceremonialnymi ukłonami Wschodu, przykładając kolejno dłoń do czoła i do piersi, po czym zasiedli na ławeczce w cieniu olbrzymiego orzecha. Wkrótce wróciła córka mułły z dzbanem źródlanej wody i zabrała się do przyrządzania kawy. Smukła i zwinna jak jaszczurka, w wypłowiałym na słońcu zielonawo-brunatnym czarczafie, który miał maskować, a naprawdę kusząco uwydatniał kształty jej gibkiej postaci, usiadła opodal na piętach przed trójnogiem z węglami, postawiła na nich dwa mosiężne tygielki z kawą i zaczęła rozdmuchiwać żar. Na jej wzdęte policzki padł ceglasty blask, kłócąc się ze złotymi krążkami słońca, przesianymi przez gęste liście orzecha.

Mickiewicz drgnął. Widział już kiedyś takie wzdęte policzki kobiety, rozdmuchującej węgle pod dzbankiem z kawą... Doktorowa Kowalska na wycieczce saniami w gospodzie pod Kownem... Ale wtedy była zima i tamta

była kobietą dojrzałą, jak rumiane zimowe jabłko, a to młodziutkie dziewczątko, zaledwie rozkwitające, jak gałąź migdała...

Adam uśmiechnął się. Jakże tamto wszystko było dalekie, zamglone, spłowiałe, nierzeczywiste, jak nienapisana ballada! A i on sam, tamten nauczyciel kowieński, to przecież był całkiem inny człowiek niż ten, co wypytywał w tej chwili mułłę o znaczenie słów tatarskich, których dźwięk mile uderzył jego ucho. Ta niefachowa lekcja języka była znacznie ciekawsza i weselsza niż ślęczenie nad książką Sękowskiego o Wschodzie.

Gawędzili tak od niechcenia, popijając drobnymi łykami gęstą jak smoła kawę z malutkich mosiężnych czareczek, zapatrzeni w zieleń liści, spoza których przeświturywała błękitno-szara opoka. Nagle w tę głęboką ciszę letniego przedpołudnia, kiedy ptaki skończyły już swoje poranne rozhowory, a pasikoniki jeszcze nie zaczęły stroić skrzypeczek w nieobeschłej od rosy trawie, wpadł metaliczny dźwięk miarowo uderzających o skałę podków. Nie było wątpliwości: jakiś jeździec powoli wspinał się w górę po ścieżce, wiodącej do meczetu. Mickiewicz i mułła jednocześnie podnieśli głowy, wsłuchując się w niespodziewane dźwięki.

— To nie tutejszy koń — szepnął Mikmet — to koń ze stepu. Słyszysz, jaki ma krok? Jakby się rwał do biegu. Nasze konie stąpają ostrożnie, statecznie.

W tej chwili zaszeleściły gałęzie i ze szmaragdowej gęstwiny liści wynurzyła się sylwetka konia i jeźdźca o niezwykłym wyglądzie. Jeździec był w białym stroju Beduina. Tylko na głowie miał zieloną chustę w żółte pasy, ściągniętą sznurem z wielbłądziej szerści. Za rzemiennym pasem błyskał sztylet, a spod zawoju mieniły się stalowym blaskiem oczy jasne, siwe, nie tatarskie i nie arabskie. Pod nosem, łukowato wygiętym, jak dziób kobuzi, wił się od ucha do ucha wspaniały, zawiesisty wąs. Złota broda spływała mu na piersi.

Coś władczego biło z tej dumnej postaci, jakby zrośniętej z koniem mlecznej maści, o małej główce, rozdętych, z lekka różowiejących chrapach, łabędziej szyi i suchych jak struny, cienkich w pęcinie nogach. Adama olśniło to zjawisko, niezwykłe nawet tu, w dawnym państwie Girejów. Coś majaczyło mu w pamięci, jakieś wieści mówione czy szeptane, czyjeś dzieje piękne, niezwykłe i niewiarygodne jak bajka wschodnia. I — nagłe olśnienie: ależ to Emir Rzewuski![4] Przecież to dla jego złotej brody Arabowie nazwali go „Złotym Emirem".

A jeździec tymczasem lekko zeskoczył z konia, puścił go wolno i zbliżywszy się do siedzących na ławce, przyłożył kolejno dłoń do czoła i piersi. Mułła odwzajemnił się mu takim samym ukłonem, po czym przybysz zapytał go o coś po tatarsku. Mickiewicz drgnął: w tym krótkim zdaniu posłyszał swoje imię. Mułła wskazał na Adama. Nieznajomy zwrócił się ku niemu i wpił w niego stalowe źrenice. Adam zdążył tylko krzyknąć: „Emirze, to ty!" i znalazł się w sprężystych ramionach przybyłego. Długo trwali w bratnim uścisku ci dwaj, co ujrzeli się po raz pierwszy w życiu, ale zrozumieli się bez słowa. Mułła stał z boku, olśniony, niemal przerażony tym dziwnym powitaniem przybyłego z giaurem. Dowiedziawszy się, kim jest dostojny gość, ucałował, jak każe obyczaj, połę jego płaszcza emirskiego. I jemu nieobca była cześć, jaką Beduini otaczali tego władcę trzynastu trybutów arabskich.

— Muszę ci wyjaśnić, Adamie, po co ścigałem ciebie po całym Krymie —

rzekł Emir, kiedy po spożyciu doskonałego pilawu z baraniny z ryżem, którą to potrawą uraczył ich gościnny mułła, zasiedli pod orzechem. Słońce prażyło i nawet tu, w cieniu, dawał się we znaki upał. Emir zsunął zawój z głowy i wówczas ukazało się jego wysokie, cofnięte nieco w tył czoło, które czyniło go jeszcze bardziej podobnym do drapieżnego ptaka. Słusznie Kozacy nazywali go Orłem-Atamanem.

Adam z ciekawością przyglądał się Emirowi. Czy rzeczywistość odpowiada legendzie? Kim jest w istocie ten błędny rycerz pustyni, który przewędrował Turcję, Egipt, Syrię, Palestynę, a w poszukiwaniu koni dla stadnin cara Aleksandra i siostry jego Katarzyny, królowej Wirtemberskiej, przemierzył wzdłuż i wszerz Arabię, zgłębił jej wszystkie tajemnice, zbratał się z Beduinami i umiał zdobyć sobie ich podziw, miłość i cześć tak wielką, że trzynaście trybutów arabskich obrało go sobie swoim emirem, czyli wodzem.

Jak wyglądała naprawdę jego romantyczna przyjaźń z lady Esterą Stanhop, tą niezwykłą kobietą, córką para Anglii, siostrzenicą znakomitego męża stanu, Williama Pitta, która porzuciła wielki świat towarzyskiego blichtru i obłudy, aby osiedlić się w opuszczonym maronickiem klasztorze w górach Libanu, gdzie Arabowie otaczali ją wyjątkową czcią i nadali jej przydomek „Malek", co znaczy „Anioł"? Wiele innych pytań cisnęło mu się na usta, ale nie śmiał ich zadawać wspaniałemu mężowi, którego strój i sposób bycia tworzył mieszaninę dwóch, zdawałoby się, przeciwnych sobie pierwiastków: biblijnego i teatralnego. Chwilami Adam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rozmawia nie z władcą pustyni, ale z bohaterskim tenorem włoskiej opery.

A tymczasem Emir, zgodnie z przysłowiowym obyczajem swego rodu („Z Czartoryskim żyć, z Radziwiłłem pić, z Ogińskim jadać, z Rzewuskim gadać"), gadał, gadał, gadał...

— Imaginuj sobie, panie Adamie, jaką miałem przygodę w ruinach starożytnej Palmiry, którą, jak wiesz zapewne, doszczętnie zawiały piaski pustyni. Leżę sobie i wypoczywam na tym piasku, przewracam się z boku na bok, aż tu widzę, z piasku wystają stopy marmurowe. Pogrzebałem trochę, aż tu i kolana się pokazały. Myślę sobie: musi to być jakiś posąg antyczny. Zawołałem moich Beduinów, żeby odkopali całą tę kamienną osobę. Wyobraź pan sobie: autentyczna Niobe. Ale, jak panu pewno wiadomo, Arabowie należący do sekty wehabitów uważają każdą podobiznę ludzką za objaw bałwochwalstwa. Więc natychmiast jeden z moich zuchów cisnął kamieniem i uszkodził głowę posągu.[5]

Tu nastąpiła długa i zawikłana opowieść o fortelach, do jakich uciec się musiał Emir, aby przekonać Beduinów, że posąg pochodzi z państwa Skandera, wielkiego padyszacha Północy, i musi tam wrócić, aby na miejscu ulec zniszczeniu. Załadowano go więc na wielbłąda i odwieziono na przystań w Saidzie, skąd dostał się do Tarsu, gdzie przez półtora roku spoczywał u Francuza, pana Peretier, stamtąd przetransportowano go morzem do Stambułu i do Odessy, wreszcie lądem do posiadłości Emira.

— Ale nie zachowałem go dla siebie — ciągnął dalej Emir. — Darowałem memu dziadowi, Adamowi Czartoryskiemu, do świątyni Sybilli, w Puławach.[6] A teraz z innej beczki. Nie po to tłukłem się tu przez step i Perekop, żeby ci moje awantury arabskie opowiadać. Ważniejsze teraz toczą się sprawy. Czy wiesz, że w Tulczynie pod Wittgensteinem stoi studwudziestotysięczna

armia, a pod Sackenem stupięćdziesięciotysięczna z główną kwaterą w Kijowie? Wojna z Turcją wisi na włosku. A gdy ten włosek pęknie, powinna wybuchnąć rewolucja. Rosyjscy spiskowcy chcą obalić cara. My chcemy zrzucić jarzmo niewoli. Musimy być gotowi. Ja za moich mołojców ręczę. Pójdą za mną do piekła, nie tylko na cara. Nie wiem, jak u was na Litwie, ale u nas szlachta bardzo ociężała. Wielu jest niezdecydowanych, a nawet niechętnych. Pszenica i gorzałka pod rządem carskim dobrze płaci. Inni nie wierzą w konieczność i w powodzenie powstania. Trzeba hasła, co by tę stojącą wodę ruszyło. Panie Adamie! Ty jeden mocen jesteś to uczynić: porwać do czynu. Zbudź wśród nas mściciela!

Mickiewicz milczał. Słowa Emira głęboko zapadły mu w duszę. Mściciel! Przecież to był bohater poematu, który coraz wyraźniej wyłaniał mu się z chaosu pojedynczych obrazów i zmiennych rytmów.

IV

Kiedy Mickiewicz ze swej oficynki szedł na poobiednią kawę i pogawędkę na taras, dobiegła jego uszu z sąsiedniego gaiku granatów ożywiona rozmowa dwóch głosów. Jeden należał do Olizara, drugi był nieznany. Rozmawiali po rosyjsku. Z pojedynczych słów Mickiewicz domyślił się, że mówią o roślinach.

— Panie Adamie — zawołał Olizar, ujrzawszy go z daleka — chcę pana zapoznać z moim najbliższym sąsiadem i doradcą w hodowli roślin. Oto pan Mikołaj Hartwis, dyrektor ogrodu aklimatyzacyjnego we wsi Nikity, a to Adam Mickiewicz, polski poeta. Warto, panie Adamie, żebyś zobaczył te cuda, tych przybyszów z Azji i Afryki, których pan Mikołaj hoduje w swoim ogrodzie.

— Z całą przyjemnością obejrzę owoce pana pracy i wiedzy — rzekł Mickiewicz — ale przedtem chciałbym prosić pana o pewną wskazówkę. Pan tu pewno zna wszystkich w najbliższej okolicy. Czy nie mógłby mi pan wskazać w pobliżu jakiejś biblioteki, w której znalazłbym dzieła o Krymie i Tatarach?

— Oczywiście. Niedaleko stąd, we wsi Kuneis, mieszka księżna Golicynowa. Wiem, że posiada cenną bibliotekę. Na pewno znajdzie pan tam to, co panu jest potrzebne. Jeśli pan zechce, mogę pana tam jutro zaprowadzić.

— Tylko, panie Adamie — wtrącił się do rozmowy Olizar — nie przestrasz się pan czasem księżnej Golicynowej. To niewiasta olbrzymiego wzrostu, męskiej postawy i głosu tubalnego. Ale, co ciekawsze, to przyjaciółka serdeczna pani Krüdener, wiesz, tej samej, co napisała powieść *Waleria* i kiedyś była bratnią duszą i powiernicą Aleksandra I. Księżna razem z nią zakładała kolonie pietystów, a potem zorganizowała wraz ze swymi współwyznawcami żeglugę wielką barką po Wołdze. W drodze zerwała się burza, wichura zerwała żagle, złamała maszt i byliby wszyscy potonęli, gdyby nie przytomność umysłu i energia księżny, która ocaliła ich od niechybnej zguby.

Ale Mickiewicz już go nie słuchał. Jeden szczegół zaprzątnął jego myśli: przyjaciółka pani Krüdener, autorki *Walerii* ...Ileż to nocy przedumała nad tą książką Maryla! „Świeco niedobra! właśnie pora była zgasnąć! i nie mogłam doczytać — czyż podobna zasnąć? Waleryjo! Gustawie! anielski Gusta-

wie." A dla niego samego, czyż to nie była jedna z tych książek „zbójeckich", co „zwichnęły osadę jego skrzydeł i wyłamały do góry"?

Tak! Musi poznać tę panią Golicynową. Już miał przystać na propozycję Hartwisa, gdy nagle błysnęła mu jakaś myśl. Wziął na bok Olizara.

— Czy to nie znowu jakiś kolekcjoner roślin i spiskowców? — zapytał go szeptem.

— Bądź pan spokojny! — roześmiał się Olizar. — To nie drugi Boszniak!

Umówili się z Hartwisem, że następnego dnia pójdą do wioski Kuneis.

*

W pokoju, który nosił nazwę biblioteki, panował przyjemny półmrok i chłód. Żaluzje były spuszczone. Tylko jedno okno od północy odsłonięte i uchylone wpuszczało od czasu do czasu oddech ogrodu, pachnący różami.

Mickiewicz, oparty na ręku, siedział przy stole nad otwartą księgą, ale jej nie czytał. Oczy miał przymknięte, a pod powiekami przelatywały mu stłoczone obrazy. Czatyrdah jak namiot z buńczukiem śniegu na szczycie, ścieżyna górska, przytulona do skalistego zbocza; przed nim szyja i głowa konia, którego dosiadał, ostrożne stąpanie kopyt, próbujących każdy kamień, na lewo przepaść bez dna, na prawo nawisła nad głową ściana, a tam daleko w dole — morze — nie-morze z pływającymi w jego głębi obłokami, tymi samymi, co na niebie.

A teraz nagła zmiana widzenia: krużganki pałacu chanów, szmer „fontanny łez", a obok w maleńkim jak ptasie gniazdo wirydarzu mauzoleum z krzyżem i półksiężycem: grób Potockiej. Jest noc. „Tam na północ ku Polsce świecą gwiazd gromady" — dzwoni w uszach uparcie ten jeden wiersz. Urośnie z niego cały sonet. I — jak przeczucie dalekiego zgonu: „Polko! i ja dni skończę w samotnej żałobie..."

Drzwi skrzypnęły, ktoś je otworzył i wszedł do pokoju. Mickiewicz podniósł ociężałe powieki. Stała przed nim pani tego domu, księżna Golicynowa, wyprostowana, władcza, prawdziwe wcielenie codziennej rzeczywistości przed zapatrzonym w swoje wizje poetą.

— Drogi panie — zaczęła niskim, ciepłym altem. — Niech mi pan nie odmówi i zostanie dziś u mnie na śniadaniu, a potem weźmie udział w naszej konnej wycieczce do wsi Liman. Wśród jej mieszkańców utrzymuje się tradycja, że pochodzą w prostej linii od osadników genueńskich. Zechce pan nam towarzyszyć, prawda? Wierzchowiec dla pana jest przygotowany.

Mickiewicz skłonił się w milczeniu. Wiedział, że wszelki sprzeciw byłby tu daremny, a zresztą uśmiechała mu się ta przejażdżka w góry po ranku, spędzonym nad książkami.

Towarzystwo było przeważnie damskie.[8] Jechali z początku parami, potem, gdy droga zaczęła się zwężać — gęsiego. Po dwóch godzinach jazdy dotarli do góry Kikineis i stanęli nad przepaścią. Głęboka i wąska rozpadlina zamykała przejście. Któryś z panów chciał zmusić swego konia do skoku, ale koń cofnął się raptownie i niefortunny jeździec zsunął się z siodła na kamienie. Mickiewicz uśmiechnął się do siebie. Przed kilku dniami w jego oczach Emir jednym skokiem przesadził ten wąwóz... Ale to był Emir! I jakiego miał konia!

Powstało zamieszanie. Zaczęto się naradzać, co czynić dalej. Czy szukać

przejścia, czy wracać do domu? Wtem zauważono brak Mickiewicza. Gromadkę, stłoczoną nad urkiskiem, zaczął ogarniać niepokój. Co się stało z poetą? Raptem któraś z pań krzyknęła:

— Patrzcie! Patrzcie! Przecież on jest już na drugiej stronie!

Rzeczywiście Mickiewicz stał na gładkiej drodze za wąwozem i najspokojniej kreślił coś w notatniku. Okazało się, że podczas ogólnej narady zaczął rozglądać się po terenie i trafił na ścieżkę, ukrytą wśród zarośli, która bezpiecznie doprowadziła go na drugą stronę.

— Mają panie szczęście, że znalazły takiego *„siurundżi"* (przewodnika) — rzekł Tatar masztalerz i pokiwał głową.

— *Siurundżi! Siurundżi!* — zaczęły wołać panie i skierowały swoje wierzchowce śladami poety.

Wracali przy księżycu. W srebrzystym blasku majaczyły zarysy gór, gaje oliwne, samotne figi, pokręcone jak widziadła. Mickiewicz zamykał pochód. Trzymał swego konia na wodzy, żeby odłączyć się od towarzystwa i nie być zmuszonym do prowadzenia banalnej rozmowy. W gronie obojętnym czuł się zawsze samotny.

Myślał o ludziach, z którymi zetknął się bliżej w ciągu ostatnich dni. Czy to sprawił przypadek, że niemal każda ręka, która wyciągnęła się do niego przyjaźnie, była ręką spiskowca, bojownika wolności? Nawet Olizar, ten romantyczny Gustaw, zdawałoby się, śmiertelnie ugodzony w serce, ożył w zetknięciu ze sprawami sprzysiężenia. A Gribojedow, ten pozornie chłodny dyplomata, ile ognia było w jego słowach i bratnim uścisku! A Emir, ten błędny rycerz pustyni, czyż na jej niebie nie szukał słońca wolności dla swojej ojczyzny?

Cudzoziemki, z którymi jechał, pół żartem, pół serio nazwały go „przewodnikiem". A on coraz mocniej czuł, że posłannictwem jego jest być przewodnikiem, wodzem duchowym narodu. Czuł, że tamci wszyscy, bracia w niedoli i wygnaniu: Zan, Czeczot, Sobolewski, Malewski, Jeżowski, i ci nowi przyjaciele-Moskale: Rylejew, Bestużew, Odojewski, Gribojedow, towarzysze walki, że oni wszyscy, że każdy z nich jest tylko cząstką, ziarnem kamiennym tej olbrzymiej bryły, z której on, Mickiewicz, ma wykuć nadludzką postać mściciela, bohatera wolności.

I choć z dalekiej Litwy „nikt nie woła", on wie, że tam czekają na jego wieszcze słowo jak na hasło surmy bojowej.

Z dna wąwozu, którym jechał, zaczęły rosnąć ku niebu dwa olbrzymie cienie: Wallenrod i Halban. Ci dwaj zaświadczą przed narodem, że, jak Alf, na obcej ziemi nie zapomniał o krzywdach swojej ojczyzny.

Stefania Podhorska-Okołów

PRZYPISY

1. Poeta romantyk, patriota polski, kontaktujący się z dekabrystami, przeżył dramatyczne uczucie zakochania się bez wzajemności w Marii Rajewskiej, przyszłej Wołkońskiej. „Różnica narodowości i wyznania stanęła jako przeszkoda, abym znalazł w jej sercu pożądaną odpowiedź na moją miłość", pisze w swych pamiętnikach Olizar. (L. Grossman: *Balzac w Rossji*).

„I tu... (na Krymie — p.a.) spotkał się był Mickiewicz... z poetą Gustawem Olizarem i spędził kilka dni w jego uroczej, u stóp Ajudahu położonej posiadłości... Olizar był niefortunnym rywalem Puszkina, na próżno starającym się o rękę Marii Rajewskiej i po otrzymaniu odmowy żyjącym tu w całkowitym odosobnieniu." (Leonard Podhorski-Okołów: *Łudziłem despotę — Realia Mickiewiczowskie)*

2. Osamotniona „parcela" Olizara, dobrze zakonspirowana wskutek pustelniczego trybu życia jej właściciela, służyła za punkt oparcia dla wysłanników tajnych związków. Gribojedow, który wyruszył z Petersburga śladem Mickiewicza i jechał tą samą trasą przez Kijów, mógł mieć pewne uzupełniające instrukcje... Nici, które można znaleźć w niedopowiedzeniach dziennika i listów Gribojedowa, prowadzą do samotnego ustronia tajemniczego Olizara. (Leon Gomolicki: *Dziennik pobytu Adama Mickiewicza w Rosji).*

3. W nr 119 *„Tygodnika Illustrowanego"* z roku 1870 znajduje się artykuł Rządkowskiego i Bilińskiego o *Sonetach Krymskich.* W artykule tym pisze Biliński, że będąc w latach 1858—1862 na Krymie rozmawiał z kilku osobami, które znały Mickiewicza. Między innymi Aleksander Ascher, Węgier z pochodzenia, mówił, że Mickiewicz mieszkał kilka tygodni u stóp Ajudahu, w willi „Artek", skąd robił wycieczki w góry. Widział na wpół zrujnowaną oficynę, ocienioną cyprysami, gdzie w dwóch pokoikach mieszkał Mickiewicz. W Bachczysaraju kupił sobie tatarską burkę, która służyła mu za okrycie w dzień, a posłanie w nocy. W sąsiedniej wiosce Partenit rósł orzech włoski, pod którym poeta odpoczywał. Tu go gościnnie podejmował miejscowy mułła, Mihmet Bilul... Tatarzy z tamtejszych okolic opowiadali, że był tu przed laty „biul-biul" (słowik), który śpiewał jak Saadi i Hafis.

4. „Emir konno przez stepy przejechał przez Perekop na Krym i widział się z Mickiewiczem, który pod jego wrażeniem napisał *Farysa."* (wstęp Wład. W. do *Zbioru dzieł* Tymka Padurry).

„Świeżo opowiadano mi, że kiedy Mickiewicz był w Krymie, Rzewuski obyczajem beduińskim puścił się konno stepami przez Perekop — i podobno miał się z nim spotkać, tak niby przypadkiem, i z tego spotkania się powstał *Farys."* *(Dzieła* Lucjana Siemieńskiego, t. V, str. 326; *Emir Tadż-El-Faher.* Wizerunek Emira według *Powieści ostatniego teorbanisty* spisał Roman Szkarłupko).

5. Według cytaty z dzieła Emira: *Sur les chevaux orientaux et provenants des races orientales.* (Lucjan Siemieński: *Emir Tadż-El-Faher).*

6. Czyżby to była słynna „Niobe" nieborowska, której piękny poemat poświęcił K. I. Gałczyński?

7. Mikołaj Hartwis, dyrektor ogrodu aklimatyzacyjnego we wsi Nikity, nieopodal Ajudahu, odwiedzał Mickiewicza w „Arteku" i bywał z nim u księżny Golicynowej we wsi Kuneis, gdzie korzystał z biblioteki. (Rządkowski i Biliński).

8. Cała przygoda podczas wycieczki do wsi Liman opisana zgodnie z relacją Bilińskiego.

Helena Bychowska

U WÓD KARLSBADU

Przed Bochovem szosa weszła w las i jęła piąć się powoli w górę. Las — niewysokie świerki pomieszane z krzepkimi dębczakami — podchodził tuż do drogi i zdawał się czyhać na dogodną chwilę, by zamknąć przejazd powozom, sunącym jego wąskim korytarzem. Stopniowo jednak, rzednąc i malejąc, zostawał pod wzgórzem, z którego rozciągał się widok na rozległe pola, pasiaste zagony i zarośla chmielowe, kłębiące się po wysokich żerdziach.

Bliskość mieściny zwiastowały teraz drzewa owocowe, dwoma rzędami rosnące wzdłuż szosy. Wśród oprószonych kurzem liści połyskiwały tu i ówdzie kuliste jabłka, zielone z jednej, ale już lekko zarumienione z drugiej strony, lub matowiały podłużne, fioletowe śliwki, zdobne w perełki zakrzepłego żywicznego soku.

Powóz jechał wolno i krajobraz przesuwał się obok leniwy i bezludny, pogrążony w cichej drzemce upalnego, ale już kończącego się lipcowego dnia.

Na zakręcie drogi, wiodącej w stronę rynku, stał malutki szary kościołek, i gdy zmęczone konie, bez pośpiechu ciągnące ciężką kolasę, zwolniły nieco kroku, jadący mogli zobaczyć w mrocznej głębi światełko wiecznej lampki przed ołtarzem, w kruchcie zaś kamienne posągi świętych, osypane przydrożnym kurzem. Na czworokątnym rynku powóz zaturkotał po wyboistej drodze, spod kół rozprysnęły się krople wody, wąskim strumieniem płynącej z kamiennego koryta przy studni. Natychmiast jednak wsiąkły w sypki piach, nie pozostawiając po sobie śladu.

W powozie jechali dwaj panowie. Młodzi jeszcze, równi chyba wiekiem i podobni do siebie z ubioru, różnili się, jak widać, usposobieniem i ciekawością do świata. Jeden, o bujnej, rozwianej czuprynie, skupionym obliczu, w którym płonęły ciemne oczy pod śmiało wzniesionymi brwiami, o mocno zarysowanym podbródku, co na silną wskazywał wolę — patrzył wokół i zdawało się, że pragnie unieść ze sobą i na własność zachować najpiękniejsze ze spotykanych widoków. Widać też było, że myśl nieustannie pracuje pod wyniosłym, rozumnym czołem i że ożywia je i do refleksji pobudza nie tylko piękno krajobrazu i gasnącego letniego dnia.

Drugi — o sympatycznej, pociągłej twarzy okolonej ramką jasnoblond bokobrodów — drzemał spokojnie, oparty o poduszki powozu.

Imię pierwszego miało go wsławić na lata i stulecia, imię drugiego zaś prze-

jęła i przechowała historia jedynie jako okruch szkiełka, na które padł blask słoneczny i do życia je pobudził. Pierwszym podróżnym był Adam Mickiewicz, drugim zaś Kalikst Morozewicz, który dziwnym zrządzeniem losu na drodze poety w Dreźnie się znalazł.

Morozewicz drzemał zatem, ukołysany kolebaniem się powozu i wypitym na postoju w Lubeńcu winem. Na wpół leżąc na oparciu wtulił głowę w poduszki, pozwalając, by lekki, ciepły wietrzyk igrał pasemkiem włosów spadających na blade czoło. Zabrakło więc Adamowi towarzysza do pogawędki. Zresztą nawet rad był milczeniu, gdyż roje myśli, urywki rozmów odbytych z przyjaciółmi w Pradze, dźwięki słów wypowiedzianych w obcej mowie, niejasne wspomnienia i skojarzenia kłębiły się w jego głowie, niezupełnie jeszcze uporządkowane i opanowane. Szukał w pamięci brzmienia nowo zasłyszanych nazwisk, usiłował odtworzyć w myśli melodię tej mowy szorstkiej a pieszczotliwej, którą tam w Pradze pragnął mówić i mówił, podobnie jak Hanka, Šafářik i Čelakovský usiłowali i — mówili jego ojczystym językiem.

Powóz kołysał się lekko, podskakiwał po nierównych, choć piaszczystych koleinach, to wjeżdżając na wzgórza, to znowu staczając się w doliny. Krajobraz zmienił się, stał się bardziej urozmaicony. Za zakrętem przy mostku zostały na równinie ostatnie żerdzie chmielu i pola makowe, do rojów wypoczywających podobne motyli, i teraz z coraz częściej spotykanych jarów tchnął wilgotny chłodek, nasycony wonią olszyn, zgniłych liści i polnych kwiatów.

Świerki podeszły do drogi wysokie, posępne, gęsto zarosłe od dołu, suchymi, poplątanymi gałęziami zazdrośnie osłaniając tajemnicze głębie lasu bez podszycia, lasu rosnącego na skalnych pokładach, osypanych starym, burym igliwiem.

...Mówili bracia S ł a w i a n i e... — Mickiewicz uśmiechnął się przypominając sobie jak tę właśnie pisownię wyjaśniał zapalony Čelakovský — ...że tu są prastare czeskie ziemie, że tu jak pod warstwą tynku ukryte jest oblicze Czech, pogodne słowiańskie oblicze pod ponurą maską niemczyzny... Choć język brzmi tam obcy — mówili — wiele znajdziesz tam prawdziwych Czechów, a gdy nazwy jeograficzne zbadasz — pradawna historia czeska, historia słowiańska przemówi do ciebie bliskim, znajomym językiem...

...Mluv český, Adame, lide ti porozumějí... Mluv polský a také se ti ozvou přátele...

Czy dobrze powtarzam? Czy tak brzmi ta dziwna, śpiewno-łkająca mowa, tak bliska, jakby to była mowa Mikołaja Reja czy też samego Jana z Czarnolasu...

Jak to mówił wczoraj Franciszek?... Że moje *Ballady „jsou cosi přerozkošného... Naděje pro budoucí časy..."* Biedak całą noc nie spał, czytając je, bo tak go *„očarovaly a pozbavily snu"*...

I znowu uśmiech wypływa na wargi poety. Jest w nim radość i pobłażliwość zarazem. Radość, że jednak wyrwane z serca słowa, sercem i uczuciem spojone w nierozerwalną całość jak jaskółcze gniazda, znalazły drogę do bratnich serc. Pobłażliwość — bo przecież te zachwyty, których w Pradze był przedmiotem, owa *„naděje pro budoucí časy"* jeszcze troszkę przesadna i kto wie, czy się ziści...

Myśli o czeskich przyjaciołach, z którymi się wczoraj *„U modrého hroznů"*

na Ovocnim trhu pożegnał, i o dziełach ich, jakimi się z nim podzielili, powracają znowu niemal z tą samą siłą, z jaką owładnęły go dziś z rana, gdy znalazłszy się w powozie, długą miał przed sobą drogę i czas wolny do rozmyślań.

Oto Franciszek Čelakovský, choć chwiejny w swoich politycznych wyznaniach, najbliższy jest mu swoją twórczością.

...Nie rozumie mnie wprawdzie... nie pojmuje jeszcze tego, co ja nazywam „romantycznością", przejął ode mnie tylko element ballady romantycznej, a sam raczej o Walter Scotta się opiera i w nim źródła natchnienia i wzoru szuka, ale sam przecie wyznał, że znalazł w moich balladach *„vyjadření oněch zasad podle nichž už sám davno pracoval"*... Znalazł w nich *„lidovost"*. Przecie *Trhlá dívka,* romantyczna, iście romantyczna ballada Čelakovský'ego, jest siostrą przyrodnią mojej *Romantyczności,* chociaż na innym gruncie wyrosła...

Starając się odtworzyć w myśli słowa ballady o szalonej dziewczynie, Mickiewicz oparł się o poduszki powozu i zapatrzył na krajobraz, który teraz wystąpił przed nim w nowej krasie, rozpraszając poprzedni bieg myśli.

Szosa biegła znów w dół i wokół, jak okiem sięgnąć, wznosiły się zaoblone, porosłe lasami wzgórza, podobne z dala do wielkich kędzierzawych głów. Słońce stało nad nimi już nisko, złocąc miodowym światłem tylko ich wierzchołki, podczas gdy przednią ich część podzierzgnął już zielonkawo-fioletowy, jednolity cień.

Powóz wjechał na szczyt wzgórza i furman zatrzymał konie.

— Karlsbad! — powiedział, pokazując ręką na leżące w wąskiej dolinie miasteczko.

— Karlovy Vary! — echem odezwała się w myśli Adama tyle razy powtarzana w Pradze nazwa.

Zatrzymanie się powozu obudziło Morozewicza. Odgarnąwszy z czoła potargany kosmyk włosów wyprostował się i spojrzeniem dużych, szarych oczu obiegł okolicę.

— Wysiądźmy na chwilę! — powiedział otwierając drzwiczki powozu.

Wysiedli i podeszli kilka kroków naprzód, stając na skraju szosy.

Pod nimi wąską serpentyną wiła się droga, ostrymi zakosami spadająca w dół, to ginąc wśród zieleni krzewów i małych domków, to pojawiając się znowu na zakrętach. Wokół zwartym łańcuchem stały kopulaste wzgórza, a u ich stóp, w dolinie, po której płynęła srebrzyście sina rzeczka, leżało miasto, podobne z góry do dużej pstrej jaszczurki, drzemiącej w cichej i jakby zielonym mchem wyłożonej szczelinie.

— *Man sagt bei uns: ein Brillant in smaragdener Fassung!* — znowu odezwał się furman.

Zniecierpliwiony Mickiewicz machnął ręką, nakazując mu milczenie. Skośne promienie słońca zza najwyższego wzgórza bladymi smugami padały przez gęstwinę rosnących na nim drzew, pieszcząc czerwone dachówki małych, ciasno przywartych do siebie domków, wieżyczkę kościoła i czworokątną basztę strażnicy miejskiej, zakończoną spiczastym dachem. W dolinę z gór powoli opadała leciutka fioletowo-błękitna mgła i w mgle tej barwy matowiały, zieleń gasła, zacierały się kontury budynków. Miasteczko pogrążało się w przeźroczystym zmierzchu i zdawało się, że z chwilą gdy słońce skryje się za górami, zniknie również, rozwieje się jak mgła, wtopi się w ciemną zieleń drzew, schodzących nad samą rzeczkę.

— Slunce za horami,
Po dalích se stmívá,
Spěchej, koni, za lesíkem domek,
Tam draha přebyvá...

— wyrecytował Mickiewicz.

— Czyje to?... Zapewne praski nabytek? — zapytał śmiejąc się Morozewicz.

— Čelakovský — *Jízda k milé* — odparł Mickiewicz. — Dziwną mam pamięć do tych rzeczy. Wciąż mi się w myśli odzywają...

— *Wollen wir weiter fahren, gnädiger Herr?* — zwrócił się furman do Mickiewicza. — *Es ist schon spät geworden.*

— *Ano, jedeme dál!* — odparł Adam, siłą słowiańskiej mowy łagodząc ostrość niemieckich dźwięków.

Gdy znowu zajęli miejsca w powozie, Morozewicz powiedział:

— Ciekaw jestem, kogo też zastaniemy w Karlsbadzie? W Dreźnie i w Pradze słyszałem, iż wielu Polaków już zjechało i jeszcze ma przybyć do wód.

— Nic mi do tamecznych gości — odparł Mickiewicz — To wiem jedno, że Odyniec przyjedzie niebawem. Póki zaś nie przyjedzie, pragnę nieco spokoju zażyć. Chciałbym myśli pozbierać, odpocząć, może leczyć się będę... Nie chcę żadnych nowych znajomości zawierać ani też starych odnawiać... Książki wiozę od Czechów, pragnę rozpatrzeć się w ich dziełach...

Tymczasem powóz zjeżdżał coraz niżej, zwalniając nieco na zakrętach, aż znalazł się przed bramą miejską. Nie była jeszcze zamknięta i tłoczyli się przy niej mieszkańcy i właściciele domów, jedni przez drugich zachwalając nowoprzybyłym swoje mieszkania.

— Pani Szymanowska dom przy Neue Wiese mi polecała — *„Zum Weissen Pfeil"* — rzekł Mickiewicz. — Tam zajedziemy chyba.

Wąska ulica Kreuzgasse — Křižová — zaraz przetłumaczył w myśli jej nazwę Mickiewicz — biegła wzdłuż rzeczki i dwurzędu drewnianych i murowanych domków. Kopyta koni zadudniły po bruku, podczas gdy po drewnianych a miejscami kamiennymi płytami wyłożonych chodnikach sunął pstry i ożywiony tłum kuracjuszy i mieszkańców. W miasteczku zmrok się już robił i tylko wysoko w górze, nad spiczastą wieżyczką miejską jaśniało błękitnoróżowe niebo, delikatne i jakoś nie po letniemu smutne. Tu i ówdzie zapalano już latarnie, stanowiące nowość jeszcze w tym mieście, gdzie od kilku stuleci spotykało się pół Europy i gdzie pieniądz płynął tak samo obficie jak woda ze słynnego Sprudla.

Wtem skądś z góry rozległy się dźwięki fanfary. Króciutka i prosta, lecz tryumfalna melodia powtórzona kilka razy zamilkła, odzywając się nikłym, nieśmiałym echem w zagłębiu doliny. — To strażnik miejski — wyjaśnił furman. — Stary zwyczaj w Karlsbadzie. Byle kogo też nie witają tak z wieży, tylko prawdziwych panów.

Im dalej posuwał się powóz, tym trudniej było utorować dla niego drogę, gdyż na ulicy ruch panował jeszcze duży. Jezdnią sunęły powozy, rozwożące gości od źródeł i z promenad, w lekkich, zgrabnych landach jechały piękne panie w jasnych sukniach i szerokich kapeluszach, ozdobionych barwnymi kwiatami i piórami. Towarzyszyli im eleganccy, uprzejmi panowie, w czarnych i popielatych surdutach i wysokich cylindrach, na chodnikach zaś, wśród pos-

politszego tłumu, widać było modnisiów opierających się na wąziuteńkich laseczkach, ostrożnie wybierających miejsce, by nie poplamić o koła powozów swych niepokalanie białych spodni. Szli też oficerowie, zgodnie z prastarą tradycją uzdrowiska nie noszący broni w tym mieście zdrowia i pokoju, z domów zaś wychodziły ustrojone mieszczki i z dużymi fajansowymi dzbanami śpieszyły do źródeł po ostatnią na ten dzień porcję gorącej wody. Słychać było okrzyki i dowcipy, skądś rozlegał się śpiew, zdawało się, że jest to dzień świąteczny. Przeważał jednak język niemiecki i Mickiewicz znowu gorzko zamyślił się nad upokarzanym językiem Słowian, który tu, gdzie powinien rozbrzmiewać swobodnie i dźwięcznie, odzywał się jak dalekie echo, przytłumione i wstydliwe.

— Sprudel! — dumnie oznajmił furman pokazując szarawe o tej porze kłęby pary, wydobywające się na kształt dymnych obłoków zza niewysokich oszklonych budynków, skupionych nad rzeką, przeciętą w tym miejscu mostkiem.

— Jak się nazywa rzeka? — zainteresował się Morozewicz.

— Tepl!

— Ciepła!... — roześmiał się Mickiewicz serdecznie uradowany. — Ciepła, słowiańska rzeka! Że też na każdym kroku nie mogę się tu opędzić słowiańszczyźnie!

— Niechybnie wpływ „czeskich budzicieli" — żartobliwie zauważył Morozewicz.

— Nie. Duszę mam, jak widać, tak na wskroś słowiańską, że jak owa gałązka różdżkarza na ukrytą słowiańskość wszędzie tu reaguje.

— *„Zum Weissen Pfeil"!* — rzekł furman zatrzymując powóz przed dwupiętrową wąską kamieniczką na Nowej Łące. Z sieni natychmiast wybiegła niewiasta w średnim wieku. W zmierzchu zajaśniała biel jej czepka i prostokąt fartucha. W ślad za nią wypadli młoda dziewczyna i chłopiec, którzy zdjęli z powozu bagaż przybyłych, podczas gdy gospodyni uprzejmie zapraszała ich do środka.

Dostali dwa pokoje z oknami wychodzącymi na rzekę. A w rejestrze przyjezdnych tak oto, ku hańbie historii, wpisano ich nazwiska:

„Kurgast Nr 1697 — Adam von Mickiewicz, kaiserlich-russischer Beamter aus Petersburg. Zum Vergnügen. Auf einige Tage. In Begleitung eines Herrn von Morozewicz, Gutsbesitzer aus Lublin. Karlsbad den 24. Juli 1829."

*

Jest wczesny ranek. W szybie na oścież otwartego okna przegląda się skrawek bladobłękitnego nieba i zieleń, skąpana w delikatnym, różowym świetle wschodzącego słońca. Powietrze jest ciche i przeźroczyste, po wczorajszej mgle ani śladu. W bujnych koronach drzew dzwonią poranne pieśni ptaków. Cichutko i jednostajnie szemrze Tepla, przeskakując po kamieniach sterczących z nierównego dna. Rzeka nie jest głęboka, jest to raczej wąski strumień, ujęty w kamienne brzegi w kilku miejscach spięte klamrami mostków. Miejscami, tam gdzie jest płytszy, prześwituje dno, a wtedy na tle ciemnozielonych oślizgłych kamieni widać pluskające się pstrągi.

Naprzeciw okna, za rzeką, długi rząd wąskich dwupiętrowych kamieniczek. Są one barwne: niebieskie, seledynowe, lila, kremowe i białe, ozdobione zielonymi i brązowymi okiennicami i gdzieniegdzie czerwonymi płytkami gontów. Stroją je również rzeźby, godła i napisy tak samo barwne jak one: *Schöne Königin, Grüne Papagei, Drei Mohren, Weisser Hase*... A za nimi wspina się w górę las. Czerwień dachów odcina się jaskrawo od szmaragdowego tła grabów i świerków, słońce zaś dodaje im blasku, złoci je, barwi na różowo. Tam wysoko na skale stoi altana wsparta na smukłych białych kolumienkach, a nieco na uboczu, na tle nieba rozpina swoje ramiona duży żelazny krzyż. A nad tym wszystkim zawiesza się kopuła niepokalanego błękitu.

— Niebo czyste... Jak morze wiszące... — myśli stojący przy oknie Mickiewicz. Pod oknem szeroki parapet, zwisający nad ulicą na kształt niedużego daszku. Skaczą po nim wróble, zaglądając zuchwale w okno. Widocznie czekają na okruchy, do których przyzwyczaili je jego poprzednicy w tym pokoju.

Pokrzepiony snem i odpoczynkiem poeta trochę pogodniej niż wczoraj patrzy na świat, choć w głębi serca drzemie wąż melancholii. Drzemie już od lat i zawsze przypomina o sobie. Ot i teraz — widok jasnego nieba, schludnych domków i czystość pogodnego poranka powinny go uśpić zupełnie, a tu mimo woli przypominają się słowa listu, tak niedawno jeszcze skreślonego do drogiej przyjaciółki, z którą przy pośpiesznym wyjeździe z Petersburga Adam nawet nie miał czasu się pożegnać...

...„zachwyca mnie widok zieloności, zapach wiosny, śpiewy ptaków... ale przecież smutno podróżować z myślą, że gdziekolwiek przyjadę, nikt mnie nie powita, nikt się z mojego przyjazdu nie ucieszy... wyrzekłbym się zieloności i słowików, i wież gotyckich..."

Ach nie, nie! Tamta melancholia, melancholia pierwszych dni rozłąki z najbliższymi sercu istotami i z krajem, do którego kto wie, czy powróci, ustąpiła na czas jakiś przed zalewem nieoczekiwanych przeżyć, przed wspaniałymi krajobrazami Gór Olbrzymich, przed rozmowami w podróży, przed praskimi rozmowami wreszcie, przed tym ciepłem, jakim powiało na niego od przyjaciół Czechów, tak serdecznie podejmujących go w Pradze... Przecież śpiewka, którą Kamaryt ułożył i którą odważyli się zanucić przy winie „czescy budziciele" tchnęła weń rześkość, ba, nawet radość życia.

Bratře, zpivej, dívky libej, vino pivej
Jsi li Čech, nebo Lech!

Ale zaraz przypomina się ostatnia zwrotka piosenki, która inne myśli sprowadza do głowy:

Nic si stejskat, měčem blejskat, bratře náš!

Mieczem błyskać, bracie nasz!... Mieczem. Czy jednak sam tylko miecz powinien rozstrzygać o tym, co powoli dojrzewa w Czechach, w Polsce a nawet w samym źródle zła — w Rosji? A cóż siła ducha? Kto siłą ducha natchnie tych, co za miecz pochwycą? Który poeta wielki i odważny potrafi znaleźć dla słów swoich drogę do ludzkich serc i umysłów? Kto naród zagrzeje do czynu? Jak?...

Żywym jeszcze echem odzywają się w pamięci praskie rozmowy, w których o tym była mowa. Mickiewicz słyszy spokojny, niski głos Hanki, który rozważa ideę *Konrada Wallenroda*, chwaląc śmiałość pomysłu i jego celowość. Pamięta też grawiurę, którą bibliotekarz praski położył przed nim na stole. Widnieje na niej szlachetna, piękna głowa Jana Żiżki siwym otoczona włosem. Patrzy z płomienną mocą i wiarą tragicznie samotne oko starca, który umiłował lud i wolność.

— Napisz poemat o Żiżce, Adamie! — mówi Hanka. — Stwórz dzieło wielkie, słowiańskie dzieło, takie jak twój, jakże polski, *Wallenrod*. Opiewaj czyny bohaterów, pobudź ludzi do czynu, o czynach wielkich ludzi im mówiąc!

Jak?... Jak!

Ubrać Żiżkę w szaty nowego czesko-polskiego Wallenroda? Grunwald... Wspólna to przecie była sprawa, gdy oddziały czeskie obok polskich na wspólnego szły wroga. Można napisać o tym wspaniałą epopeję, poemat, dramat nawet. Można. Ale co powiedzieliby Czesi, gdyby ich Żiżka wystąpił w innej postaci, w odmiennych, niż oni by to chcieli, kolejach losu? Ukryty pod płaszczem czesko-polskim służyłby wspólnej, słowiańskiej sprawie, ale czy ci, którzy mu dzisiaj Jana Żiżkę na bohatera podsuwają, czy oni pierwsi nie poczuliby doń żalu za to, że prawdę historii zmienił, fakty odwrócił, że nie otwarcie, lecz mgliście o nim mówił i z ich, przede wszystkim ich bohatera uczynił bohatera innych również Słowian?

Nie, Czesi sami powinni sławę Jana Żiżki głosić. Wszak piszą tak wiele, wydają dzieła ogromne... Wśród narodów słowiańskich bezsprzecznie trzecie zajmują miejsce i warci są, by stać się narodem niepodległym, by utrwalać swój byt na ziemi, wcielać myśl czeską, która, niestety ...unosi się jeszcze w krainie marzeń politycznych... Gdyby się znalazł taki poeta, który by odważnym piórem wszystkie dzieje Żiżki skreślić zechciał — uczyniłby rzecz wiekopomną, rzecz niezmiernie cenną i kto wie, czy nie przyśpieszyłby nawet biegu czeskiej historii... Tak, tylko Czesi pisać o nim mogą, z nich on wyrósł, dla nich, dla husyckich chłopów i mieszczan walczył.

A poza tym on, Mickiewicz, dalekie jeszcze i mgliste zamysły w sercu nosi i im dalej jest od ojczyzny, od Litwy, tym mocniej myśl ta do serca kołacze... Czy się oblecze w formy, a jeżeli się oblecze, to w jakie?

Pukanie do drzwi przerywa bieg myśli poety. Z dzbankiem gorącej wody wchodzi do pokoju dziewczyna, która wczoraj pomogła przenieść na górę rzeczy nowoprzybyłych gości. Malutki czepeczek z białej koronki kokieteryjnie jak motyl przysiadł na jasnoblond włosach, szeroka niebieska spódniczka i biały fartuszek falują przy każdym ruchu gibkiego ciała. Ciasno opięty stanik uwydatnia kształtną pierś i barwą harmonizuje z niezabudkami dziewczęcych oczu.

— *Gut Morgen, gnädiger Herr! Haben Sie gut geschlafen?*

— *Dobrý den!* — odpowiada Mickiewicz, który bezwiednie uparł się mówić po czesku.

— *O, milostpan mluví český?* — radośnie zdziwiła się dziewczyna — *Nejste vy nahodou Čech?*

— Nie, jestem Polak. A ty — Czeszka?

— *Maminka je Češka* — odpowiada dziewczyna, rumieniąc się lekko. — *A ten druhý pan — také Polak?*

— Ano.

Dziewczyna postawiła dzbanek z wodą na umywalce i skierowała się ku drzwiom, odprowadzana życzliwym uśmiechem Mickiewicza. Wtem zatrzymała się nagle i oblawszy się pąsem szepnęła, zdobywając się na odwagę:

— *Milostpane, jabych se rada naučila nějakou polskou pisničku... Jiste že znate polské pisničky?... Ja rada zpěvám.*

Uśmiech miała szczery, na zaokrąglonych policzkach tworzyły się przy nim małe dołeczki.

— Ależ nauczę cię, nauczę! — roześmiał się Mickiewicz. — Będę tu przecież kilkanaście dni. A jak ci na imię?

— Mariechen! — z przyzwyczajenia odparła dziewczyna, ale poprawiła się natychmiast: — *Ale maminka mne volá Maruška!*

— A po polsku — Maryla — powiedział Mickiewicz i wolno odwrócił się do okna.

*

Na początku XIX stulecia Karlsbad był już nowoczesnym uzdrowiskiem, w którym z roku na rok wprowadzano dalsze ulepszenia i udogodnienia dla coraz liczniej napływających z całej Europy gości. W szybkim tempie znikały drewniane zabudowania, które w przeszłości tyle razy stawały się przyczyną i pastwą pożarów. Ustępowały one miejsca wdzięcznym i schludnym kamieniczkom, dwu i trzypiętrowym, noszącym na froncie napisy i godła mieszczańskie, a niekiedy nawet tarcze herbowe. Wraz z rozwojem zakładów kąpielowych powstało też kilka hoteli miejskich czyli też domów gościnnych, a wśród tych domy „Czarny Niedźwiedź", „Pod Złotym Bykiem" i „Pod Wesołym Chłopem" wodziły prym, były najlepiej urządzone i zaopatrzone we wszystko, co gościom mogło sprawić ukontentowanie. W mieście pojawiły się restauracje, a niejaki Filip Valentin Keil, dawny kamerdyner dobroczyńcy Karlsbadu, lorda Findlatera, w słynnej Sali Saskiej prowadził wykwintną kuchnię, której otwarcie zapowiedział w taki oto wymyślny a uprzejmy sposób:

„Niżej podpisany ma zaszczyt zawiadomić Szanowne Publikum, iż nabywszy w Karlsbadzie dom znany pod nazwą Sali Saskiej, dał w nim urządzić pierwsze piętro, gdzie dwa odmienne *tables d'hôte* w różnej porze i różnej cenie prowadzi. Do dyspozycji zaś tych gości, którzy zechcą spożywać posiłek w odosobnionym gronie — posiada wiele wolnych a również odosobnionych pokojów. Niżej podpisany pochlebia sobie, że Panowie Cudzoziemcy, którzy okażą mu ten zaszczyt i kuchnię jego odwiedzą, otrzymają pełną satysfakcję, gdyż ceny im obiecuje niskie... Tańce zaś i grę w bilard można będzie, jak dotąd, w dolnych salonach uprawiać..."

Życie skupiało się przy źródłach. Z tych zaś gorący strumień Sprudla najwięcej ściągał ku sobie osób, jako że był najbardziej znany i moc jego leczniczej wody najwięcej ulgi w schorzeniach przynosiła. Zbierali się tu jednak nie tylko chorzy. Tu, pod oszkloną przestronną galerią, spotykali się również ci, co przyjeżdżali do wód li tylko *zum Vergnügen*, na romanse i plotki, na polityczne nieraz intrygi oraz dla innych osobistych celów, których nikomu, prócz najbardziej wtajemniczonych a bliskich sobie osób, nie wyjawiali.

Franciszek Malewski prowadził sprawy wydawnicze poety w Rosji. Reprodukcja portretu W. Wańkowicza.

Maryla (Maria Puttkamerowa, z domu Wereszczakówna). Według miniatury współczesnej odtworzył Kazimierz Mordasewicz.

Minęły już czasy, gdy z życiodajnych źródeł Sprudla, Mühl i Neubrunnu korzystano wyłącznie dla kąpieli, które brano w specjalnych pomieszczeniach dla ludności bogatszej, w innych dla uboższej, a całkiem osobno, w tak zwanej *Judentaufe*, dla Żydów, którzy niekiedy z tak dalekich stron jak Polska na piechotę do wód ciągnęli. Brano kąpiele również po domach prywatnych co zamożniejszych, gdzie wybitne osobistości i piękne panie całe dni trawiły w wannach, nieustannie zasilanych gorącą wodą ze Sprudla, przynoszoną w konwiach, albo też — jeżeli dom bliżej źródła się znajdował — doprowadzaną specjalnymi drewnianymi rynnami. W wannach — zgodnie z dawnymi metodami kuracji — spożywano posiłki, pisano listy i pamiętniki, ba, nawet przyjmowano wizyty, prowadzono dysputy i snuto intrygi. Im dłużej chory w gorącej wodzi wytrwał, tak zwaną *Hautfresskur* stosując — jak owa słynna ze swej delikatnej skóry Philippina Welser — im bardziej czerwone i bąblami okryte stawało się jego ciało, tym skuteczniejsze, sądzono, było działanie wody, która w ten sposób choróbsko z nieszczęśliwej ofiary kuracji wypędza. Pito też wodę Sprudla na miejscu, w wannach, i pito nienajgorzej, bo niektórzy — co gorliwsi pacjenci — dochodzili do pięćdziesięciu kubków dziennie. Ale światły umysł doktora Dawida Bechera kres tym praktykom położył. U schyłku XVIII wieku doktor Becher zalecił kąpiele wraz z piciem wody połączyć, z tym jednak, by wodę pito u źródeł, co schorzałym wątrobom, nerkom, woreczkom żółciowym, kościom i kiszkom szybszą i skuteczniejszą pomoc przynieść miało. Chętnie też zaczęto korzystać z przepisów doktora, porzucono ciemne pokoje, w których z umieszczonej przy oknie wanny tylko z dala można było życie miasta oglądać — i tłumy kuracjuszy i sybarytów zaczęły pojawiać się przy źródłach i na Młyńskiej Kolumnadzie, gdzie gwoli rozrywki publiczności co dzień przygrywała muzyka. Ożywił się znacznie ruch miejski, rozkwitł handel, zaludniły się aleje przy Saskiej i Czeskiej Sali, park i Aleja Puppa przy końcu Starej Łąki i ustronne dotąd ścieżki, wiodące wzdłuż biegu Teplej poza miasto, ku Pocztowemu Dworowi, ku Dorotheenau, ku nowo wybudowanej Sali Przyjaźni. Na skałach jęły pojawiać się dziękczynne napisy, w rozmaitych językach sporządzone, wśród których nie zabrakło również i polskich, jako że Polacy coraz liczniej ku Sprudlowi zjeżdżać poczęli. Wśród nich zaś były osoby tej miary, co Ignacy Krasicki, Julian Ursyn Niemcewicz, Jan Paweł Woronicz, Kazimierz Brodziński i słynna pianistka, Maria Szymanowska, której grę sam Goethe podziwiał.

Wtedy to właśnie wielki Olimpijczyk z Weimaru, który tu po raz trzynasty w roku 1823 wody przyjmował i zażywał kąpieli, otoczony, jak zawsze i wszędzie, estymą i... miłością, napisał do Humboldta, że... „Weimar, Karlsbad i Rzym są jedynymi miastami, w których mieszkać bym pragnął.".

Istotnie, piękne to było miasto, o dziwnym, zniewalającym uroku, toteż gdy wrażliwy na krasę Mickiewicz rankiem tego dnia wraz z Morozewiczem z domu wyszedł — od razu uległ jego czarowi.

Zorientował się, że zamieszkali w głównej części miasta. Świadczyły o tym bogate kamieniczki — szczególnie tutaj ozdobne — bliskość kościoła na niewielkim wzniesieniu, przerzucone przez Teplą liczne mostki, obszerny plac przed budynkiem, który na teatr wyglądał, przede wszystkim zaś oszklona duża hala, z której przez otwór w płaskim dachu buchały w niebo kłęby puchatej pary. Przez parę zaś, na kształt srebrzystej strzały, przebijał się promienny,

lśniący i smukły promień wody, rozpryskując się na tle niepokalanego lazuru na tysiące drobniusieńkich brylantowych kropelek, mieniących się w słońcu przedziwną grą tęczy.

Stanęli w podziwie, nie bacząc na pstrokaty tłum, który już od wczesnego ranka wypełniał uliczki miasta. Ludzie przechodzili obok, potrącali ich, torując sobie drogę ku źródłu, gdzie obsługujące je kobiety napełniały białe porcelanowe lub fajansowe kubki kuracjuszy gorącym życiodajnym płynem.

— Fenomenalny dar natury! — odezwał się Morozewicz. — Zdaje się, że tam w głębinach ziemi bije potężne serce Karlsbadu.

— Tyle mi o Sprudlu pani Maria opowiadała, alem nie sądził, że jest aż tak piękny — odparł Adam nie odrywając wzroku od termy. — Czesi też hymny pochwalne na cześć swojego Vřídla śpiewali, chociażem na to nie zwracał uwagi... Dziś jednak widzę, że strumień ten prawdziwie zasługuje na pędzel malarza i pióro poety.

— Wielu też poetów śpiewało jego chwałę, panowie! — odezwał się po polsku jakiś mężczyzna, stojący obok z kubkiem wody w ręce. Ubrany był skromnie i bezpretensjonalnie, ale biegające mysie oczka, osadzone głęboko przy ostrym, spiczastym nosku, nadawały jego twarzy wyraz niezbyt sympatyczny. Od chwili już przysłuchiwał się rozmowie nieznajomych Polaków, których jeszcze u wód nie widział, choć bywał tu co dzień i listę polskich gości — około stu osób — znał niemal na pamięć.

— Panowie chyba od niedawna tu bawią, bom ich dotąd nigdzie nie spotykał? — zapytał.

— Tak, od niedawna — sucho odparł Mickiewicz, bynajmniej nie uszczęśliwiony ze spotkania rodaka.

— Widzę to, widzę — ciągnął niezrażony tym natręt. — Zapewne też nikogo z rodaków panowie jeszcze nie widzieli. A jest ich tu co niemiara. Wprawdzie Polnischer Saal od kilku miesięcy zamknięta stoi, ale całe wykwintne towarzystwo polskie i rosyjskie spotyka się teraz w Alei Puppa i we Freundschafts Saal, w Sali Przyjaźni, przede wszystkim zaś u doktora Mitterbacha, na Kreuzgasse. U niego też cała nasza arystokracja się leczy...

— A któż spośród Polaków jest teraz u wód? — zainteresował się Morozewicz.

— Z godzinę chyba musiałbym wszystkich wyliczać! Powiem o najważniejszych personach. Wczoraj przybył tu własnym powozem jego eminencja arcybiskup warszawski, Jan Paweł Woronicz...

— Woronicz! — prawie wykrzyknął Adam.

— Tak jest. Przybył schorowany wielce, widziałem go, gdy z powozem na rynku się zatrzymał. Twarz żółta, pod oczami worki...

— Któż jeszcze? — przerwał Mickiewicz gadule.

— Jeszcze?... Ano jest tu jaśnie oświecony książę Konstanty Czartoryski, mieszka na Alte Wiese „Pod Dwoma Bocianami", jest pani hrabina Chrapowicka, Radziwiłłówna z domu... pan hrabia Mieczysław Potocki z Tulczyna, pani hrabina Ożarowska, pani hrabina...

— Tytuły, tytuły!... Z poetów nie masz-że nikogo?

— Nie, panie.

— A z... Wilna?

— Z Wilna, owszem, ale też tytułowani.

— Kto?... Kto...?

— Pani hrabina Ewelina Chrapowicka, pan hrabia Konstanty Tyzenhaus, pan...

— Tyzenhaus studiował w uniwersytecie wileńskim — półgłosem wyjaśnił Mickiewicz Kalikstowi. — Teraz, o ile wiem, ornitologią się zajmuje. Dziwak, ale poczciwy.

— A panowie skąd są, jeżeli wolno zapytać? — zainteresował się z kolei nieznajomy.

Mickiewicz i Morozewicz wymienili spojrzenia.

— Ja — *aus* Petersburg! — rzekł Adam.

— Nazwiska zaś nasze znajdziesz pan na liście kuracjuszy! — dodał Morozewicz i ująwszy Adama pod ramię oddalił się z nim w stronę Sprudla.

*

Uzyskane od nieznajomego wiadomości zainteresowały Adama, ale zarazem wzbudziły w nim pewne obawy. Obawy przed koniecznością nawiązania stosunków, przed prowadzeniem życia towarzyskiego tu, gdzie pragnął odpocząć, obawy przed nawiedzaniem znajomych, przed bywaniem na assamblach i obiadach. Nazwiska, które usłyszał — z wyjątkiem nazwiska arcybiskupa warszawskiego — niewiele go w gruncie rzeczy obchodziły, ale wśród nie wymienionych przez gadułę Polaków mogli być ludzie bardziej mu bliscy.

— Tych utytułowanych będę unikał — postanowił — nic mi po nich. Ale do doktora Mitterbacha pójść trzeba, niech mi na ten czas, co tu na Odyńca czekam, jakąś kurację zaordynuje... Przy okazji zaś czegoś nowego może się dowiem o innych rodakach...

Zanim jednak zdobył się na pójście do Mitterbacha, musiał przyjąć wizytę innego lekarza, który sam się zgłosił pod „Białą Strzałę", prosząc gospodynię — panią Stattler — o wprowadzenie go do „księcia polskich poetów". Lekarzem tym był *„chevalier Jean de Carro, docteur en médecine des facultés d'Edinbourg, de Vienne et de Prague"*.

Jean de Carro przyszedł po południu na czwarty dzień pobytu Mickiewicza u wód. Przez ten czas poeta, poniechany przez Morozewicza, nowymi zajętego znajomymi, już obszedł był miasto, oglądając źródła i ciekawsze pomniki przeszłości, zwiedził rynek, gdzie bez przerwy zatrzymywały się powozy, wiozące coraz to nowych gości, wiedziony ciekawością zagłębił się w cienistą aleję, wiodącą od Böhmischer Saal ku rozległym szmaragdowym łąkom i polanom leśnym, porosłym stokrocią i liliowymi dzwonkami, i znalazł altanę Doroty na ustronnej skale, która to altana miała stać się później ulubionym miejscem jego szpacjerów i rozmyślań.

Jean de Carro, Francuz z Genewy, osiadł w Karlsbadzie przed kilku laty. Przybył tu wprawdzie jako pacjent cierpiący na przewlekłą podagrę, ale pokochał miasto, które mu ulgę w cierpieniach przyniosło i — sam lekarz — przyłączył się do gremium tamtejszych eskulapów, by wraz z nimi innym chorym w cierpieniu pomagać. A że obejście miał światowe, wiek poważny, biegle kilkoma językami władał i ciekaw był życia — stał się lekarzem modnym, którego porad zasięgały utytułowane osobistości i najznakomitsi ludzie ze świata nauki i sztuki. Umysł de Carro miał lotny, wyobraźnię bystrą

i żywą, nic więc dziwnego, że chciwie czerpał z kroniki towarzyskiej, która się przędła przy termach — barwna, urozmaicona, pikantna, obfita w wydarzenia wagi światowej i osobistej. Czytał też dużo, o ile mu na to zawód i czas wolny pozwalały, zapamiętywał szczegóły, kojarzył postacie i wydarzenia i zapisywał je w swym Almanachu, który, prowadzony z roku na rok, miał stać się w przyszłości księgą poszukiwaną, niezmiernie cenną i rzadką, źródłem wiadomości o pobycie, chorobach i dziełach wielu osób, które historia naznaczyła piętnem sławy a niekiedy nieśmiertelności.

Prawie już siedemdziesięcioletni *chevalier* de Carro sam również zabawiał się w mecenasa sztuki i to w sposób dość szczególny. Zapragnąwszy po wsze czasy i na wsze strony rozsławić życiodajny strumień Sprudla, ów boski dar — *Gottesgabe* — Karlsbadu, odnalazł Odę łacińską ku czci Sprudla ułożoną przez czeskiego humanistę Bohuslava Lobkovitza, pana na Hassensteinie. Uzyskał też u różnych poetów przekłady jej na piętnaście języków Europy i zamierzał właśnie wydać to dzieło ku zbudowaniu potomności i ku chwale umiłowanego Kaiser Karlsbadu. Wśród dwudziestu dwu przekładów znalazł się również przekład polski nieznanego mu bliżej autora. A że jego znajomość języków, acz wielka, nie sięgała aż nad Wisłę, postanowił u „księcia poetów polskich" — miano, jakim po Krasickim Mickiewicza obdarzał — zasięgnąć opinii co do jego dokładności i wartości poetyckiej. A może myślał, że wielki poeta polski, o którym od innych u wód bawiących Polaków dawniej już słyszał był, zechce mu łaskę uczynić i nowy przekład Ody sporządzi... Wszak mówili mu kiedyś i pełen powagi *monsieur* Casimir Brodziński, i poeta klasyczny Jules Ursin Niemcewicz, z którymi miał zaszczyt i przyjemność w termach czas trawić, że Adam Mickiewicz jest zjawiskiem niezwykłym na firmamencie poezji polskiej i choć nie zawsze słuszną idzie drogą, talent okazuje niepospolity, jedyny, rokujący najszczytniejsze nadzieje...

Wchodząc tedy po schodach zaścielonych samodziałowym barwnym chodnikiem, który tłumił odgłos jego czarnych płytkich pantofli, myślał Jean de Carro, w jaki sposób najbardziej uprzejmy a dyplomatyczny, nie urażając poety i nie będąc natrętnym, naprowadzić go na myśl zrobienia nowego przekładu Ody. Nazwisko Mickiewicza tak bardzo przecie uświetniłoby jego polyglottę, w której poza Aleksandrem Dumasem z Paryża nie było żadnego, co choć w pewnej mierze mogłoby się równać z imieniem wielkiego Słowianina, pełnym już niegasnącego blasku...

W pokoju, którego okna wychodziły na północno-zachód, panował przyjemny chłodek i Jean de Carro, zmęczony upałem szczególnie nieznośnym w kotlinie, w jakiej leżało miasto, od razu poczuł się lepiej. Na tle zieleni drzewa za oknem ujrzał Mickiewicza, jego niesforne włosy, dumny profil i śmiały wzlot brwi nad ciemnymi oczami. Twarz tchnęła szlachetnością, a usta, znamionujące silną wolę, przeznaczone były do wypowiadania słów pięknych i żarliwych. ...Lwia rasa... — pomyślał de Carro, który w swojej wieloletniej praktyce lekarza różnym twarzom się przyglądał. Teraz też od razu zdał sobie sprawę, że ma przed sobą człowieka naprawdę nieprzeciętnego i że ci, którzy mu przedtem o Mickiewiczu mówili, nie zwiedli go ani trochę, a może nawet powiedzieli mu zbyt mało. Jego uważnych oczu nie uszedł jednak cień melancholii na czole poety i gorzka rysa smutku, żłobiąca leciutką bruzdę wokół wyrazistych, pięknych ust.

Uprzedzony przez gospodynię o wizycie słynnego lekarza Mickiewicz spodziewał się zobaczyć typowego Szwajcara, pełnego w dodatku rubasznego humoru, z jakim często się u innych lekarzy spotykał. Ujrzawszy jednak przed sobą szczupłego starszego pana w czarnym surducie, o siwych włosach, pociągłej ujmującej twarzy i mądrych czarnych oczach, patrzących życzliwie a zarazem ciekawie, zdziwił się przyjemnie i pośpieszył na powitanie gościa.

— Szczęśliw jestem, że jako jeden z nieoficjalnych gospodarzy Kaiser Karlsbadu mogę powitać u Sprudla księcia polskich poetów — powiedział de Carro z wrodzoną subtelnością lekarza i znawcy ludzi wybierając do rozmowy język francuski. — Zaszczyt to nie tylko dla mnie, ale i dla całego naszego miasta, w którym wielu już znakomitych poetów, pisarzy, muzyków i malarzy różnych czasów i różnych narodowości gościło, szukając ulgi w cierpieniach i odpoczynku dla strudzonego ciała i umysłu.

— Dziękuję za słowa uznania, *monsieur* de Carro, ale księciem poetów przedwcześnie mnie pan nazywa. Na to miano długą i naprawdę wielką pracą zasłużyć trzeba — odparł z uśmiechem Mickiewicz. — Ja zaś niewiele jeszcze w życiu zdziałałem.

— Wiem od rodaków pańskich i od przyjaciół Czechów, jak dalece zasługuje pan na najwyższe uznanie — powiedział siadając *chevalier* de Carro. — Nawet wczoraj jeszcze jego ekscelencja ksiądz biskup Woronicz, którego miałem zaszczyt odwiedzieć dla konsultacji, wspomniał o panu. Mówił, że rad był się z panem widzieć, i mnie doradzał, bym pana pod „Białą Strzałą" odwiedził.

— Cieszy mnie to bardzo. Jakże się czuje ksiądz biskup?

— Polski Bossuet — bo innego miana nie znajduję dla twórcy *Sybilli* — osłabiony jest bardzo na ciele i na duchu...

— Nie dziwię się, że na duchu... Wszak przed wyjazdem dokonał koronacji cara na króla polskiego — z goryczą zauważył Mickiewicz.

Mądre oczy de Carro spoczęły na jego twarzy z wyrazem zrozumienia i współczucia. Tu, w Karlsbadzie, w mieście, gdzie ustawała wszelka nienawiść, gdyż cierpienie jednoczyło ludzi, nauczył się on jednakowo współczuć wszystkim ludziom, poza granicami cudownego miasta skłóconym ze sobą, nienawidzącym się i zwalczającym nawzajem. Dla Woronicza zaś, który już po raz drugi przyjeżdżał do wód, powziął szczególną sympatię. Wzrosła ona jeszcze bardziej, gdy przeczytał francuski przekład *Sybilli,* „bohaterskiego poematu, poświęconego chwale dawnych czasów i nadziei na piękniejsze dni" — jak wyraził się o nim później w swoim pamiętniku. Podjął więc rozmowę ciepło i serdecznie, tym bardziej że jako szwajcarski obywatel znał i rozumiał doniosłą prawdę wolności i wielką za nią tęsknotę tych, którzy jej nie posiadali.

— Ciężka choroba sprowadziła dziś tego znakomitego starca do Karlsbadu. Obawiam się nawet, czy... Jest przecież w wieku mocno podeszłym...

— Siedemdziesiąt dwa lata...

— Właśnie... I choć widziałem niejedno już cierpienie wywołane kalectwem lub niemocą, sam cierpię, ilekroć widzę go u źródeł wlokącego się z trudem, bliskiego ulegnięciu słabościom, które zdają się go wprost przytłaczać... Toteż powtarzam sam przed sobą: *Redde seni validas vires!*

— *Redde seni validas vires?*... Nie znam tego. Zdaje się, że pan czyjeś słowa cytuje? — rzekł Mickiewicz.

— Owszem, słowa te są cytatem. I przyznać się muszę, że są one również jedną z przyczyn, dla których pozwoliłem sobie spokój pana zakłócić moimi odwiedzinami.

— Zaciekawia mnie pan, *monsieur le docteur*. Słucham pana.

Nie spuszczając z gospodarza spojrzenia łagodnych i mądrych oczu jął de Carro opowiadać o słynnej łacińskiej Odzie Lobkovitza *In Thermas Caroli Quarti*. Oryginał tej Ody, wyryty na czarnej, marmurowej płycie został już umieszczony na Młyńskiej Kolumnadzie dzięki wydatnej pomocy pana oberstburggrafa Czech, hrabiego Karola Chotka, który wiele dla Karlsbadu już zdziałał — przekłady zaś na inne języki, sławiące Sprudel — Vřídlo-Source de la Vallée, on, *chevalier* de Carro, ma zamiar wydać drukiem jego polyglottę, zawierającą ponadto portret i biografię pana Bohuslava Lobkovitza, uwagi o Odzie i o historii znakomitego źródła, jak również rycinę przedstawiającą widok ruin słynnego zamku Hassenstein. Wydania podejmuje się drukarnia Schönfelda w Pradze...

— Czy może czytał już pan Odę podczas którejś z przechadzek po Młyńskiej Kolumnadzie?

— Nie. Ale rad bym ją poznać.

Zachęcony zainteresowaniem, jakie zabrzmiało w głosie Mickiewicza, zaczął Jean de Carro deklamować Odę z pamięci, przyjemnym, ciepłym barytonem skandując łacińskie wiersze.

Fons, Heliconiadum merito celebrante cohorti,
Unde tibi latices calidi, venaeve meantis
Sulphuris, aut vivae, dictu mirabile, calcis?
Per terras Siculamine ignis qui provocat Aetnam
Id facit? An Stygii forsan vicinia Ditis
Has tepefecit aquas? Baïarum littora cedant,
Atque Antenoreum prospectans unda Timavum,
Et quae caeruleo consurgit proxima Rheno,
Nobilitata tuo, sanctissime Carole regnum
Interitu. Quantas emittit in aëra bullas!
Aspice, quam varie lapides et marmora pingit
Per quaecunque fluit! Vix ipsa coloribus Iris
Collucet totidem! Felix per secula mana,
Fons sacer, humano generique salutifer esto!
Redde seni validas vires, pavidaeque puellae
Formosam confer faciem, morbisque medere
Omnibus, et patrias accedat laetior oras,
Quisquis in hac lympha fragiles immersit artus!

— Pięknie to brzmi i godny pochwały jest pański pomysł, panie doktorze. Na jakież języki została przełożona Oda Lobkovitza?

— Na wszystkie prawie języki europejskie, jak również na język hebrajski i dialekt gallicki... — w głosie doktora zabrzmiało nagle leciutkie wahanie i jakby niedomówienie.

— A cóż mój język ojczysty? Jestli także przekład polski?

Jean de Carro uśmiechnął się zakłopotany.

— Owszem... Ale wersja polska, w moim skromnym mniemaniu, nie należy do najpiękniejszych... Pragnąłbym więc... może pan, *monsieur* Mickiewicz, zechce się z nią zapoznać i sąd swój o niej wydać. A może... — wymowna pauza pozwoliła Mickiewiczowi zgadnąć niedokończoną myśl doktora.

— Proszę mi więc pokazać tekst polski. Czy ma go pan przy sobie? — przerwał szybko doktorowi. — Jestem jego naprawdę ciekaw.

Jean de Carro wyjął z kieszeni surduta złożony we dwoje papier, na którym ostrym kaligraficznym pismem widniał tekst przekładu: *Na Cieplice Karola IV*. Mickiewicz odłożył na okno fajkę, którą zapalił był słuchając opowiadania lekarza i zaczął czytać półgłosem:

Zdroiu! wart głośney Helikonu sławy,
Którą by wieki wiekom podawały,
Powiedz: coć grzeje i moc dziwną dawa?
Skąd siarki barwa i wapna zaprawa?
Gorąco Etny ognistey pieczary
Lub daiąć Stykstu piekielne pożary?
Wyższy nad Baiów tak chwalone wiele
I te, co wsławił Antenor kąpiele,
I przy modrawym Renie położone,
Karola zgonem Wielkiego wsławione.
Patrz: jak wre, burzy i w krople się pieni!
Łoże ma z kształtnych usłane kamieni,
Iż tęcza tyle nie ma barw w swym stroiu.
Dla dobra ludzi płyń nam, błogi zdroiu!
Twey chory zdrowie, stary czerstwość wodzie,
Płeć piękna świeżość wróconą urodzie
Winna niech będzie! I niech z cieplic twoich
Każdy z pociechą wraca znów do swoich.

— Cóż, przekład jest dobry, bardzo dobry. Archaiczny trochę, ale może go pan śmiało włączyć do swojej polyglotty — powiedział Mickiewicz zwracając lekarzowi przeczytany tekst. — Szkoda, że autor jest nieznany.

— Czy jednak nie zechciałby pan... — niepewnie podjął de Carro, ale widząc cień niechęci, jaki nagle osnuł czoło poety, nie dokończył swej myśli. Powstając z wygodnego krzesła powiedział co innego: — Czy nie zechciałby pan może bliżej zapoznać się z naszym miastem? Rad bym pokazał, co jest w nim naprawdę osobliwego, rzeczy, na które bez przewodnika goście nie zawsze zwracają uwagę. Chętnie podjąłbym się roli pańskiego cicerone.

— Chętnie też z propozycji pańskiej skorzystam, *monsieur* de Carro, choć nie bez obawy, że czas panu zabiorę. Ale interesuje mnie wasze miasto, jego historia... Przede wszystkim zaś interesuje mnie to, co do dziś jest w nim słowiańskiego lub świadczącego o jego słowiańskim pochodzeniu, jak ot, chociażby nazwa tej niepozornej rzeczki...

De Carro uśmiechnął się. Że też ci Słowianie zawsze o to pytają! A zwłaszcza Polacy! Niemal wszyscy, z którymi w czasie swej kilkuletniej praktyki tutaj się zetknął, nagabywali go o to, wiedząc, że sam historią uzdrowiska

się zajmuje i zna ją na pamięć z wszystkimi jej słowiańskimi i niesłowiańskimi szczegółami.

Ale że czas wizyty się kończył, pośpieszył pożegnać się z gospodarzem, nie zrażony tym, że właściwego celu nie osiągnął. Podał więc Mickiewiczowi nazwę domu, gdzie mieszkał, i ulicę, raz jeszcze zapewnił, że był uszczęśliwiony rozmową z nim i że zawsze jest do jego usług. Wyszedł — szczupły, z lekka pochylony, czarno ubrany, i chodnik na schodach natychmiast zagłuszył jego starcze, lekkie kroki.

Mickiewicz został sam.

*

Rozpoczął kurację, jaką mu zapisał doktor Mitterbach: picie wody Vřídla — uparcie trzymał się tej szorstkiej czeskiej nazwy — na czczo przed posiłkiem, kąpiele w gorącej wodzie źródlanej, dieta i długie spacery. Tym ostatnim był szczególnie rad. Czuł, jak stopniowo sił mu przybywa, sypiał też coraz lepiej i wczesne wstawanie, które go początkowo męczyło, przestało być uciążliwe, a nawet zaczęło sprawiać mu przyjemność.

Morozewicz prawie zupełnie odłączył się od niego, choć mieszkał obok. Ciągnął jednak Adama do grona nowych znajomych, szczególnie podkreślając wdzięk obu panien Łabęckich, Zofii i Heleny, i Mickiewicz kilka razy musiał prośbom jego ustąpić. Spędził zatem w gronie rodaków parę godzin na szpacjerach, przy muzyce w Czeskiej Sali, jak również na Kolumnadzie podczas obrządku picia wody.

Ale odkąd zaczęli go osaczać domorośli poeci, prosząc, by ich utwory przeczytał i ocenił, odkąd zaroiło się w rozmowach od plotek miejscowego wielkiego świata, zwłaszcza zaś, gdy ci i owi do rosyjskiego pociągnęli towarzystwa, zaczął od nich stronić, bo biorąc wody, jak powiedział do Morozewicza, „nie był w humorze słuchania głupich wierszy, które go nudziły", ani tym bardziej zajmowania się obłudnie pochlebczą rozmową w gronie arystokracji rosyjskiej.

Często więc odbywał samotne przechadzki, wybierając miejsca malownicze a ustronne, gdzie mógłby spokojnie rozmyślać, choć życie w mieście ciekawiło go i pociągało swym wiecznym ruchem i nieustanną zmianą twarzy przepływających przez uzdrowisko kuracjuszy i gości. Dwa razy też spotkał się z uprzejmym a wymownym doktorem de Carro, który go oprowadził po mieście i wiele cennych a ciekawych historii i facecji o życiu w Kaiser Karlsbadzie opowiedział.

Niekiedy przed zapadnięciem wieczoru, gdy harmonia nieba, skośnych promieni słońca i cichej, złotawą poświatą powleczonej zieleni staje się najpełniejsza, wspinał się na Petershöhe — na Petřín — i stamtąd przyglądał się miastu.

Gdy wszedł tam po raz pierwszy — kręte ścieżki biegły pomiędzy smukłymi pniami grabów i świerków — szlakiem, którym ponoć kiedyś, w roku 1711, Piotr Wielki na nieosiodłanym chłopskim koniu na górę wjechał, tu puchar szampana na chwałę Karlsbadu wychylił i w przepaść go rzucił — stanął oczarowany widokiem, jaki ujrzał przed sobą.

U stóp jego kolorowe domki przycupnęły nad rzeką, ulicami podobnymi

do kreseczek snuli się maleńcy jak mrówki ludzie, pojazdy wyglądały jak dziecięce zabawki, a po drugiej stronie rzeki, za zboczami spływających ku miastu wzgórz, niezabudowanych jeszcze i okrytych soczystą zielenią, wiła się popielata wstęga szosy wiodącej ku dalekiej Pradze. Na miasto zstępowała już lekka fioletowo-niebieska mgła, a tam, gdzie biło serce Karlsbadu, niby srebrzysto popielaty pióropusz, brylantową przekłuty szpilą, kłębiła się para ze Sprudla.

W wyobraźni starał się ujrzeć Vary, prastarą osadę słowiańską, z której wyrosło dzisiejsze uzdrowisko. Wprawdzie legenda, gloryfikująca mądre czyny cesarza Karola IV, a pomijająca wszelkie słowiańskie ślady w tym miejscu, choć temu jawnie przeczyły nazwy pobliskich osiedli: Role, Dalovice, Drahovice, Doubí — twierdziła inaczej. Siostrzana wersja legendy o odkryciu wód w Aachen, głosiła legenda karlovarska, że psy cesarza Karola, który z pobliskiego zamku w Lokti w tutejsze lasy na łowy wyjechał, spłoszyły jelenia i goniąc za nim wpadły w jeziorko z „wrzącą wodą". A że cesarz wiele w świecie bywał i wody akwizgrańskie sam pono odwiedził, kazał zbadać odkryte cieplice; gdy zaś lekarze jego nadworni stwierdzili, że mają one moc leczniczą, sam pierwszy do źródła jeździł i chorą nogę w jego „warze" kąpał. Tutaj zaś kazał wznieść osadę, której ostatnim śladem, prócz starej czeskiej nazwy Vary, jest owa czworokątna wieża strażnicza, skąd strażnik miejski fanfarą wita zjeżdżających do miasta znakomitych gości. Jean de Carro, który mu tę wersję opowiadał, zdobiąc ją z właściwym sobie wykwintnym dowcipem w mnóstwo barwnych szczegółów, nie pominął żadnej nazwy słowiańskiej i nie starał się ich niemieckimi zastąpić. Zyskał tym przychylność poety, która wzrosła jeszcze bardziej, gdy lekarz o Polskę jął wypytywać i o rodzinne strony poety. Wiedział bowiem, że nie była to zwykła kurtuazja lekarza światowca, który stara się pozyskać sobie względy pacjenta. Czuł, że w pytaniach Jeana de Carro kryła się głębsza sympatia, która kto wie czy nie była sympatią do Słowian w ogóle.

Z przyjemnością więc sam wypytywał lekarza i słuchał zajmujących anegdot z życia miasta i sławnych ludzi oraz znakomitych osobistości, które w Karlsbadzie przebywały, a że *chevalier* de Carro styl miał piękny, język barwny i żywy — przed poetą z całym przepychem wyrastały obrazy wspaniałych zabaw, festynów i balów, jakie próżny kwiat arystokracji i świat panujących u wód urządzały. Padały nazwiska monarchów, książąt i hrabiów, marszałków i admirałów, a wśród nich nie zabrakło również nazwisk polskich lub nazwisk osób z Polską związanych, jak na przykład króla Augusta Mocnego, który kilkakrotnie wody Sprudla zażywał, albo też hrabiny Czyńskiej, z domu księżniczki Czartoryskiej, co się wsławiła jedną z najwspanialszych uroczystości urządzonych w mieście w 1786 roku.

Jean de Carro, choć chętnie opowiadał o partii szachów hrabiego Józefa Thuna, w której to poprzebierane dzieci były żywymi figurami szachowymi, ustawionymi na obróconej w szachownicę murawie, i choć sam we współczesnych zabawach brał udział, z nie mniejszą ochotą cytował słowa jednego z najstarszych lekarzy Kaiser Karlsbadu — Vaclava Payera, który już w roku 1521 twierdził — i Jean de Carro po czesku przytoczył jego słowa — iż *„prameny dal Bůh pro ţuəapɹpzn a nikoliv pro krátochvíli bohačů"*. Zaraz też inne przytoczył słowa, tym razem niejakiego generała Wołkowa, które

do szczerego śmiechu pobudziły Adama, jako że z własnych obserwacji do podobnej doszedł konkluzji. Otóż generał ów, jak widać bystry i trochę złośliwie dowcipny, tak opisywał życie przy wodach. *„On se réveille, on se leve, on s'habille, on se rassemble, on se drogue, on se heurte, on s'excuse, on se retire, on se repose, on se rencontre, on se regarde, on s'arrête, on se salue, on se parle, on se plait, on s'aime, on se..."*

Chevalier de Carro z wielką czcią mówił też o największym niemieckim geniuszu — Johannie Wolfgangu Goethem, którego wprawdzie nie leczył, lecz był świadkiem kilkakrotnej jego bytności u wód.

— Leczył się tu również Fryderyk Schiller. Biedak był tak osłabiony, że do wód na ośle jeździć musiał. Dziwna jest jednak potęga geniuszu — każdy mu bowiem ustępował z szacunkiem z drogi i nawet dzieci, najmilsze, ale też najzłośliwsze na świecie stworzenia, nigdy żadnym ostrzejszym dowcipem go nie dotknęły... — mówił de Carro i Mickiewicz ze wzruszeniem myślał o ulubionym poecie, dotkniętym tak przykrym cierpieniem.

Do Mickiewicza przyłączał się niekiedy Konstanty Tyzenhaus i Roman Sołtyk, oryginał wielki, którego jednak de Carro do *„personnages remarquables"* Karlsbadu zaliczył. Wszakże towarzystwo Sołtyka na dłuższą metę nużyło Adama, gdyż ten były artylerzysta prawdziwie wojskowym odznaczał się temperamentem i zbyt lubił zwracać na siebie powszechną uwagę, zwłaszcza zaś przy Sprudlu, gdzie wiele rozmaitych skupiało się ludzi.

Konstanty Tyzenhaus, który podobnie jak Sołtyk w kilka dni po Mickiewiczu do Karlsbadu przybył, był o kilka lat starszy od Adama i odznaczał się usposobieniem raczej milczącym. Z dawnego animuszu byłego pułkownika wojsk napoleońskich, który, pokrzepiony nadzieją pokładaną w gwieździe cecarza, z zapałem rwał się pod Lipskiem do walki, nie zostało ani śladu. Zawiedziony w patriotycznych marzeniach, wstrząśnięty stratą swojego ukochanego wodza, księcia Józefa, i klęską Napoleona, Tyzenhaus ukojenia dla myśli szukał w pracy naukowej i całkowicie poświęcił się badaniu życia ptaków. Założywszy w swoim majątku pod Wilnem muzeum ornitologiczne, pisywał rozprawy naukowe i drukował je w pismach zagranicznych, nosząc się z zamiarem napisania większego dzieła o ptakach wszystkich części świata.

Raczej przez grzeczność podtrzymując rozmowę o wydarzeniach dnia i przebywających u wód Polakach, wysłuchując opowiadań Mickiewicza o podróży, którą niedawno przebył od Petersburga przez Hamburg, Berlin, Drezno i Pragę do Karlovych Varów, prawdziwie ożywiał się jedynie wtedy, gdy mógł dowoli rozprawiać o pierzastych mieszkańcach lasów i gajów i przysłuchując się ich świergotaniu w karlovarskich gęstwinach rozpoznawać po głosie ich gatunki, wiek, a nawet... przeżycia. Mickiewicz chętnie słuchał wywodów dziwaczejącego pułkownika, który między innymi wiele ciekawych domysłów snuł na temat niedawno znalezionej na Litwie sowy lapońskiej. Bacznie też nadstawiali wraz z Tyzenhausem ucha w lasach w nadziei, iż uda im się tu odkryć jakiś nowy okaz. Obydwaj wspominali przy tym, jak to tajny radca stanu, Johann Wolfgang von Goethe, w wędrówkach swych po okolicach i namiętności do mineralogii ulegając odkrył gatunek glinki, kaolinem zwanej, która rychło posłużyła przedsiębiorczym mieszkańcom do założenie w pobliżu słynnych fabryk porcelany.

Gdy tak czas swój dzielił pomiędzy kąpiele, picie wody, przechadzki, słuchanie anegdot i zapoznawanie się z dziejami miasta, w wielojęzycznym chaosie uzdrowiska zacichały pomału głosy czeskich przyjaciół, które tak natarczywie i wyraziście szły za nim w pierwszych dniach pobytu. Wprawdzie niekiedy majaczyła przed nim szlachetną siwizną okryta głowa Żiżki i mowa czeska swą śpiewną, chropawą melodią odzywała się w uszach, ale okres pierwszych, żywszych impresji już minął.

Zacichały w nim też i oddalały się również głosy inne, stokroć bardziej bliskie, tak niedawno jeszcze wypełniające całą jego istotę. Niekiedy budziły je przypadkowo zasłyszane echa głosów cudzych, które zdawały się mieć brzmienie tamtych, podobnie jak mimolotne spojrzenie czyichś wilgotnych oczu, długimi przesłoniętych rzęsami, wdzięczne pochylenie czarnowłosej główki, czyjś profil ujrzany na Kolumnadzie lub w powozie, przywodziły na pamięć inne drogie oczy, włosy, spojrzenie, gesty, niestety już niepowrotnie stracone.

Nieraz zastanawiał się sam, czy to wszystko odchodziło od niego oddalane i zacierane siłą odległości, czasu, nadmiarem nowych przeżyć i wzruszeń, czyli też sam odpychał od siebie wszystko, co było tak drogie i tak bolesne? Czy tu w hucznym dla innych, lecz zacisznym dla niego Karlsbadzie, gdzie pragnął być innym niż był dotychczas, gdzie nie chciał zmuszać się do rzeczy, do jakich jeszcze niedawno zmuszało go towarzyskie życie w obu stolicach Rosji, czy tu nie chciał również świadomie oderwać się od wspomnień zaprawionych goryczą, od bólu, którego dotychczas nie potrafił rozwiać na żadnym wietrze?

Tak, jechał tu ze stolicy czeskiej z pragnieniem odpoczynku, z pragnieniem przemyślenia wielu spraw ważnych i nie tylko osobistych. Tu nareszcie po niespokojnych dniach poprzedzających jego odjazd z Petersburga, po uciążliwej, acz urozmaiconej tyloma wrażeniami podróży, po arcyciekawych wreszcie spotkaniach praskich, które Bóg wie jakie jeszcze mogą wydać owoce, tu pragnął zostać jedynie sam ze sobą, by zważyć w sobie dojrzewające już postanowienie, by przezwyciężyć wahania i rozstrzygnąć niepewności, z których najpierwszą i najważniejszą było pytanie: czy jeszcze tam powrócę?

Tu czuł się wolny. W kieszeni leżał paszport wydany na pięć lat, a pięć lat dla poety jadącego do Rzymu, a może i do Francji z piersią pełną tęsknot i bólu za tych, co zostali tam, skąd się wyrwał — to pięć lat pracy i walki bez obawy kajdan, zesłania, Sybiru. Ale serce już rwało się z powrotem, do nich...

Pewnego dnia, gdy błądził w ulubionych zakątkach pomiędzy Dorotheenau i Sitz der Freunde i odczytywał na skałach napisy wdzięcznych Sprudlowi kuracjuszy, natknął się na dwa, które poruszyły go do głębi, choć każdy w odmienny sposób.

Z jednego tchnęła gorycz zawiedzionych nadziei, rozpacz serdeczna, ale nie prywatna, jakiej wielu autorów dawało wyraz umieszczając na skałach tablice z wierszami, poświęconymi swoim ukochanym. Nie, słowa, które przeczytał, napisał jeden z tych nieszczęśliwych Polaków, którzy po zgaśnięciu — jakże zwodniczej! — gwiazdy napoleońskiej zostali znów odarci ze złudzeń i marzeń o wolności, krzepiących serce.

Polaku, za cóż pijesz wody wrzące —

czytał Mickiewicz

Có je Wulkanu moc czyni gorące?
Wszak Twe podobne łzy do tego ścieku.
Pij więc łzy własne, dar smutnego wieku,
A w głębi skał tych kuj grobowiec sobie.
Nie masz Ojczyzny! Cóż po życiu Tobie!...

Rana w sercu znowu zaczęła jątrzyć, chwilowo tylko i pozornie zasklepiona biegiem codziennych wydarzeń. Z ponowną bolesną siłą zakołatały wileńskie wspomnienia, odezwały się głosy, z którymi niegdyś w jeden chór głos własny łączył. Powróciły zwątpienia. Dziś oni — przyjaciele — zostali tam, a on, niby wolny, jedzie na zachód ku nieznanym brzegom, ku ciemnym może losom... Czy dobrą obrał drogę? Czy na tej drodze, która przecież może i powinna stać się drogą walki, zdoła zespolić się z tymi, co może czynnie i może niedługo orężem walczyć będą?... Czyli też ma za oręż porwać? Ale gdzie — tam? Czy tu? I kiedy, kiedy?!...

Dziś bez Ojczyzny, tak dalece bez Ojczyzny, że nawet tu, w tym międzynarodowym kłębowisku ludzi, gdzie zgodnie z prastarą tradycją nie odróżnia się wroga od przyjaciela, gdzie każdy własne oblicze posiadać ma prawo — został na liście gości, ozdobionej rysunkiem Sprudla, symbolicznie jednoczącego wszystkich — zapisany jako *„russisch kaiserlicher Beamter aus Petersburg"... Aus Petersburg!*

O, goryczy!...

Pij więc łzy własne! — woła nieznany rodak, podobnie jak on obecnie zachłystując się bólem i poczuciem bezradności.

Ale coś się buntuje w poecie przeciwko tym słowom... Łzy? — mówi do siebie — łzy o postawie biernej świadczą, o ukorzeniu się przed losem, o założeniu rąk i czekaniu. Na co? Na jaki cud, kiedy walczyć trzeba?

Tak, walka, walka! Ona rozstrzygnie o wszystkim.

Poruszony do głębi napływem myśli o tragicznym losie ojczyzny i o swoim własnym rozdarciu, szedł poeta dalej, uciekając od napisu na skale, który rany jego najgłębszej dotknął.

Droga biegła tuż nad rzeką, która w wesołych i częstych zakrętach żwawo toczyła swe beztroskie wody pomiędzy wierzbami i gęstymi zaroślami olszyny. Po prawej stronie na podłużnej, ładnej łące wznosił się piętrowy budynek Posthofu. Stało tam kilka powozów, a w ogrodzie, gdzie przechadzało się jakieś towarzystwo, brzmiał wesoły śmiech i głośne rozmowy. W rzece przy brzegu pluskało się stadko białych kaczuszek, a samotna kobieta w ciemnej sukni rzucała im kawałki chleba, które one łapczywie i zręcznie chwytały w wodzie nie pozwalając im umknąć z prądem.

Jakąś sielską prostotą powiało na Mickiewicza od tego widoku. Kędzierzawe kopuły lip i kasztanów rosnących przy Pocztowym Dworze, ciepły koloryt usianej kwiatami łąki, cisza już prawie wiejska i nagły, jakże znajomy zapach malin, które podała mu w białym kubeczku mała dziewczynka, wynurzywszy się z zarośli — przypomniały mu dalekie rodzime krajobrazy Litwy. Jak do-

brze byłoby wyciągnąć się teraz pod tamtym rozłożystym dębem na łące i poprzez postrzępione liście patrzeć w niebo, gdzie leniwie żeglują białe obłoki.

...Ach, gdybym mógł pisać! — myśli poeta. Jakże by chciał znowu usłyszeć gdzieś w tajemnej głębi serca nagłą melodię, która zaczyna się prząść sama, snuje, układa, przybiera barwy, porasta w słowa dźwięczne i ciche, w radosne i smutne, pełne rozpaczy i najwyższego umiłowania — a wszystkie proste, tak proste, że najprostszy nawet człowiek musi je pojąć i do serca swojego przyjąć.

Ale w sercu Adama jest cicho i głucho. Zamilkły w nim dźwięki, zgasły słowa i nawet płomienne deklamacje Franciszka Čelakovskiego w Pradze ani rzewne i melodyjne poszepty kołyszących go wieczorami fal Teplej nie poruszyły w nim strun poezji, nie znalazły drogi ku ukrytym słowom.

Od czasu do czasu tylko jak strzępki błyskawic, jak migot spadających gwiazd rodzą się w myśli frazy, muzycznym frazom podobne, kilka słów, które na chwilę powtórzą wargi, by je zaraz wiatr porwał i uniósł. Czy zostanie choć jedno z nich w pamięci, czy wróci jeszcze, by w pełniejsze przyoblec się kształty? Kto to wie... I czy wtedy, gdy wrócą — jeżeli wrócą — będą jeszcze potrzebne? Czy te krótkie, przez nikogo, nawet przez samego poetę nie notowane improwizacje nie są czymś najcenniejszym i niepowrotnie pięknym?... Czy te obrazy, które niekiedy jawią mu się przed oczami, by zaraz zniknąć, nie są najpiękniejszym tworem jego wyobraźni, nieuchwytnym, cudownym zjawiskiem, istniejącym tylko w nim samym i tylko dla niego samego?...

Przez wąski drewniany mostek, który lekko poskrzypuje pod jego krokami, Mickiewicz przechodzi na drugi, bardziej cienisty brzeg Teplej i powoli wraca ku miastu, gdyż zbliża się już pora pójścia do Vřídla. Alejka — podobno chłód i szmer jej liści lubił Goethe — biegnie pod zboczem, na którym wysoko w górze stoi druga ulubiona altana poety — Sitz der Freunde. Skały są jej oparciem, a ona jak gniazdko wtuliła się w ich nagie i chłodne ramiona. Ale ręka ludzka wszędzie szukając miejsca dla uwiecznienia uczuć, które nią kierowały, umieściła na tych skałach tablice z napisami znanych i bezimiennych autorów. I tu wzrok poety, ciekawie badający ślady myśli i serc ludzkich, spoczął na wierszu, w którym jakiś okrutnie wzgardzony kochanek tak oto rozpacz swoją wypowiedział:

Avant que le repos puisse entrer dans mon âme,
Avant que la raison puisse étouffer cette flamme,
Combien faut il encore aimer, se repentir,
Désirer, expirer, désespérer, sentir,
Embrasser, repousser, m'arracher à moi même,
Faire tout, excepté d'oublier ce que j'aime!

Słowa te dotknęły drugiej rany serdecznej, dotąd niezagojonej, stale jeszcze jątrzącej się i bolesnej. Maryla!... Rozpacz i żal, pragnienie posiadania i odsuwanie ukochanej od siebie, miłość wzajemna i nagła niechęć, cierpienie bez cienia nadziei — wszystko, o czym pisał zakochany nieznajomy, przeżywał Adam setki, tysiące razy w dzień i w nocy, miotany sprzecznymi uczuciami,

nieraz w myśli jak niewolnik u stóp jej klęcząc, to znów ulegając głosowi chłodnego rozsądku i dumy, który nakazywał zapomnienie, samotność.

Czy jednak myśl jego kiedykolwiek zdoła oderwać się od niej? Czy odwróci się serce, choć obiema dłońmi osłania je przed ponownymi ranami, przed ostrzem wspomnień?

Wspomnienia...

...Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę... — odzywa się nagła melodia w sercu poety i zaraz gaśnie, zapadłszy w głąb serca. Czy wróci jeszcze?... Usta milczą. A przelotny błysk wzruszenia w oczach przesłania wizja białego płaszcza z czarnym krzyżem i baszty zamku świętego Anioła.

Tak, daleka i niepowrotna jest jego droga, która — na razie — wiedzie do Rzymu.

*

Dni upływały, skończył się lipiec, pobyt w Karlovych Varach przedłużał się, a od Odyńca nie było znaku życia. Wyznaczywszy mu wszakże spotkanie u wód nie mógł Mickiewicz jechać dalej, tym bardziej że Antoni pragnął po drodze wraz z nim w Marienbadzie panią Salomeę Bécu, matkę Juliusza, odwiedzić, do której miał pewne polecenia z kraju i z którą był zaprzyjaźniony.

Napisał więc list do Drezna, prosząc, by Antoni nie bawił tam długo, bo go tu już wygląda i musi dla niego umyślnie jeszcze te dni wysiedzieć. Prosił go również, by wyszukał w Dreźnie malarza Byczkowskiego, który wziął do oprawy egzemplarz jego *Poezji*. Chciał mieć ten tomik ze sobą, gdy w dalszą ruszy drogę.

Właśnie wychodził z domu, w zamiarze zaniesienia listu do dyliżansu odchodzącego o tej porze, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

— *Dál!* — powiedział po czesku, sądząc, że to może Maruška, którą polskiej piosenki o chmielu uczył, gdyż dobrze znała tę roślinę uprawianą na pobliskich żateckich ziemiach. Z jakimże wdziękiem, starając się wymawiać jak najlepiej polskie słowa, śpiewała:

Oj, chmielu, chmielu, ty bujne ziele,
Nie będzie przez cię żadne wesele!
Oj, chmielu, oj, nieboże,
To na dół, to ku górze
Chmielu, nieboże...

Nie była to jednak Maruška. W otwartych drzwiach stał wysoki, szczupły chłopiec lat piętnastu czy szesnastu o blond czuprynie i niebieskich oczach. Rumieniec zakłopotania igrał na jego policzkach, postawę cechowała nieśmiałość i wahanie.

— *Vous désirez, mon ami?* — zapytał zdziwiony Adam.

— Czy... czy pan Mickiewicz? — powiedział chłopiec po polsku.

— Tak. Czego pan sobie życzy, młodzieńcze? — w głosie poety drgnęła nutka niechęci. Już go nawet w domu zaczynają nachodzić! Na pewno znów Kalikstowi zawdzięcza wizytę tego, niechybnie, poety!...

W odpowiedzi jednak usłyszał słowa, które go w pierwszej chwili zaskoczyły a potem rozbroiły od razu:

— Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

Jego własne słowa!... *Konrad Wallenrod!*...

Chłopiec wypowiedział je jednym tchem i stał na progu, nie śmiejąc postąpić kroku dalej, wpatrzony w poetę pełnym uwielbienia wzrokiem.

— A to ładne słyszę rzeczy! — roześmiał się Mickiewicz i życzliwie ująwszy młodzieńca pod łokieć wprowadził go do pokoju, mówiąc:

— Proszę wejść dalej.

Chłopiec wszedł i pokonując onieśmielenie odezwał się:

— Zatrzymałem pana... Pan zdaje się wychodził.

— To nic. Z kimże mam przyjemność? — serdecznie zapytał Mickiewicz ruchem ręki zapraszając młodego gościa, by usiadł.

— Cieszkowski... August Cieszkowski... Z Wolina. Jestem tu z matką i z siostrą. Dowiedziałem się... z listy gości dowiedziałem się, że pan tu mieszka, a że... wszystkie pana wiersze czytałem, a *Konrada Wallenroda* umiem na pamięć, chciałem... postanowiłem... — chłopiec plątał się, przejęty i wzruszony, nie znajdując odpowiednich słów, by wyrazić ukochanemu poecie swój zachwyt i hołd.

Widząc to Mickiewicz jął wypytywać młodzieńca o jego studia i ulubioną lekturę i wkrótce uzyskał to, że August nieśmiałości pozbył się zupełnie i z zapałem mu o sobie i o swojej rodzinie opowiadał. Odszedł uszczęśliwiony ogromnie, że dłoń wielkiego poety uścisnął i usłyszał głos jego, który mu odtąd bliskim i po stokroć droższym echem rozbrzmiewać będzie z jego dawniejszych i przyszłych dzieł.

*

Czas się dłużył. Dni stawały się coraz bardziej podobne jeden do drugiego. Niecierpliwość oczekiwania na Odyńca, na nowiny i wzrastające pragnienie zmiany miejsca pobytu wywoływały rozdrażnienie i niepokój.

...Czemu nie jedzie, czemu nie daje znaku życia? — myślał Mickiewicz, starając się lekturą zabić leniwie wlokący się czas. Przeglądał książki, które mu dali Czesi na drogę, chętnie też wracał do Schillera i do Osjana, gdyż i o nich wiele mówiło się w Pradze.

Myślał też o Goethem.

Wiózł do niego list od Marii Szymanowskiej. Znakomita pianistka polecała go w nim wielkiemu starcowi, który ją przed laty w Weimarze swoją *liebste Freundin* nazywał i gry jej słuchał z największym podziwem.

Przed tą wizytą odczuwał niejasną obawę. Z jednej strony miał najwyższe uznanie dla ówczesnej kultury niemieckiej, której Schiller i Goethe byli najwznioślejszymi szczytami. Przed Goethem — tym niedoścignionym wzorem piękna myśli, potęgi słów i głębi uczuć — on sam z pokorą schylał czoło,

ale z drugiej strony wszystko, co niemieckiej, a zwłaszcza pruskiej potęgi politycznej nosiło piętno, budziło w jego sercu bunt, zrodzony z nienawiści, z bezsilności własnej i z bezsilności uciskanych słowiańskich narodów.

Jak pogodzić te dwa uczucia, jak z kultu dla Goethego wyłączyć pierwiastek żalu i nienawiści do narodu, którego był szlachetnym przedstawicielem?

Myślał o tym w Karlsbadzie, gdzie na każdym kroku można było spotkać się ze wspomnieniami o pobycie wielkiego poety, szczególnie zaś mocno odczuł jego bliskość, gdy pewnego dnia znalazł się daleko za Karlovymi Varami, nad brzegami rzeki Eger, w miejscowości Hans Heiling, którą Czesi po swojemu Jan Svatoš nad Ohře nazywali.

Romantyczna legenda upatrywała w wysokich skalnych kominach, w malowniczą grupę nad brzegami rzeki zebranych, skamieniałe wesele pewnej dziewczyny z pobliskiej wioski Doubí, którą wzgardzony, a z diabłem sprzymierzony kochanek wraz ze szczęśliwym rywalem, rodzicami i weselnymi gośćmi w kamienne głazy przemienił.

Widok istotnie był ciekawy i niesamowity, zwłaszcza w księżycowe noce, gdy nad płynącą pomiędzy porosłymi lasem skałami ciemnowodną rzeką szumiały mroczne świerki, gdy na wystające z wody głazy zdawał się wypływać sam wodnik otoczony rusałkami, a przez skłębione chmury obrzeżone srebrzystą poświatą, spoglądała niema i blada tarcza miesiąca. Wysokie skały, ciasno przywarte jedna do drugiej, przybierały wtedy kształty łudząco do ludzkich podobne i skamieniałe wesele, tragicznie martwe i ciche, krzyczało o swym przerażeniu i rozpaczy, budząc grozę przyglądających się im turystów.

Tu lubił przyjeżdżać Goethe.

I tutaj Mickiewicz, siedząc na zwalonych pniach sosen, rozmyślał znowu, jak wiele już razy to czynił, nad romantycznym urokiem ludowych podań, z których poeci, nie patrzący przez mędrca szkiełko, potrafią wyczarować ich prostą, lecz głęboką prawdę. Prawdę tę znał również Goethe.

Gdy siedząc tak patrzył na szerokie w tym miejscu i do jeziora podobne rozlewisko rzeki i na gromadę skał na drugim brzegu, usłyszał w myśli znowu głos Čelakovský'ego, który mu w Pradze swoją *Romantickou lásku* deklamował. Adam, choć miał do tych rzeczy pamięć niezwykłą, zapamiętał jedną zwrotkę o ciekawej, śpiewnej melodii, która łatwo wpadła w muzykalne ucho poety, a teraz siłą wzrokowych skojarzeń z pamięci wypłynęła:

...daleko odtud v dálném kraji
což v dálném kraji mezi horami
protéka jezero velké velmi,
a na tom jezeru ostrov stoji
zarostlý ostrov v dívné kráse...

Zwrotka wypłynęła, melodia przebrzmiała i znowu zgasła jak wiele innych, które się w nim rodziły i umierały, by nigdy nie wstać już z martwych. Któż zdoła odtworzyć niespokojny a tak wiele spraw obejmujący bieg myśli poety?... Goethe — skalne uroczysko — romantyka ludowa — Czesi... I znowu Goethe i — Weimar... I znów obawy, że wizyta ta będzie uciążliwa.

„O 12 wieczór w czwartek w tym miejscu, gdzie byłam raniona gałęzią..." Adam i Maryla; reprodukcja obrazu Łosika.

Józef Zawadzki, księgarz wileński, pierwszy wydawca utworów Mickiewicza, według portretu nieznanego autora.

...Nie mogę z nim mówić w jego ojczystym języku — myśli Adam — nie wolno mi moją szkolną niemczyzną ranić uszu największego niemieckiego poety. Język francuski, który jest mową dyplomatów, międzynarodową towarzyską mową, musi mi dopomóc ominąć wszelkie drażliwe momenty, jakie z rozmowy naszej wyniknąć by mogły. O czym też mówić ze sobą będziemy?... Czy zna on dzieła nasze, utwory naszych poetów i myślicieli?

Mickiewicz przypomina sobie to, co mu o Goethem Maria Szymanowska w Petersburgu mówiła, stara się skojarzyć osobiste, polskie zainteresowania poety z jego zainteresowaniem dorobkiem myśli polskiej...

Cicho bulgocze rzeka, płynąca po kamienistym dnie, cicho szumią wysokie, mroczne świerki... Czas upływa.

*

Wracając do domu zostawił powóz przy Pocztowym Dworze i dalszą drogę szedł piechotą, gdyż na pójście do Vřídla miał jeszcze dość czasu. Przy wejściu do miasta zauważył z dala Tyzenhausa zmierzającego w jego stronę w towarzystwie jakiegoś nieznajomego mężczyzny. Tyzenhaus swoim zwyczajem w milczeniu słuchał, co mówił tamten, cienką laseczką odrzucając z drogi gałązki i kamyki. Gdy zbliżyli się nieco, Adam rozpoznał w nieznajomym owego natrętnego gadułę, który go z Morozewiczem pierwszego dnia przy źródle zaczepił. Wzdrygnął się też cały widząc, że natręt coś szybko do Tyzenzhausa powiedział i że obaj potem zwolnili nieco kroku z wyraźnym zamiarem zatrzymania się na jego drodze. Musiał więc przystanąć, gdy ukłonili się obaj i gdy Tyzenhaus mu nieznajomego przedstawił.

Mysie oczka natręta błysnęły radośnie.

— O, jakże jestem szczęśliwy, że mam możność osobiście pana poznać, panie Mickiewicz! — powiedział kłaniając się. — Pełen jestem uwielbienia dla dzieł pańskich i byłbym mu wcześniej hołd złożył, gdyby mi panowie wtedy u Sprudla wyjawili, kim jesteście...

Mickiewicz uścisnął wyciągniętą rękę Tyzenhausa, skłonił się lekko nieznajomemu i wyminąwszy go bez słowa poszedł dalej swoją drogą. Tyzenhaus dopędził go po kilku krokach.

— Wybacz — powiedział — wiem, że cię to drażni, ale nie mogłem postąpić inaczej. To jeden z rodaków naszych. Maniak, ale nieszkodliwy.

— Mniejsza o to — odparł Adam — więcej już do mnie nie zagada. Wstrętny mi jest patos ludzi tego rodzaju.

— Przyjechał ktoś z Drezna, mówił, że ma dla ciebie jakieś nowiny. Skierowałem go pod „Białą Strzałę".

Mickiewicz pożegnał się i szybkim krokiem poszedł do domu. W pokoju na stole leżał list. Odyniec nareszcie zawiadamiał, że przybędzie do Karlsbadu 10 sierpnia, czyli za dwa dni.

*

Przybył istotnie, lecz ze spóźnieniem, gdyż woźnica w drodze co dwie godziny popasał. Mickiewicz tego dnia na próżno dwa razy wychodził na praską szosę, by powóz jadącego przyjaciela spotkać, ciekaw nowin, rad ze zbliżają-

cego się końca pobytu u wód. Niecierpliwił się też ogromnie nie widząc Odyńca, gniewał się na opieszałość i beztroskę Antoniego, który przecie dobrze wiedzieć musiał, jak bardzo oczekiwany jest w Karlsbadzie.

Ale wieczorem, gdy ubierał się w swoim pokoju i złościł nie mogąc zawiązać chustki na szyi — dał bowiem Morozewiczowi słowo, że pójdzie z nim na polskie *réunion* — na schodach rozległy się kroki i gwar głosów, w którym rozpoznał natychmiast charakterystyczny głos Antoniego i dźwięczny szczebiot towarzyszącej im Maruški. Szybko podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

Na progu z otwartymi ramionami stał Odyniec.

*

Od chwili przyjazdu Antoniego czas popłynął znacznie szybciej. Wesoły i żywy Odyniec nie wiedział, co to melancholia, i nie uznawał samotnych, zamiejskich spacerów. Ulegając jego żywiołowemu temperamentowi musiał Adam w kilku obiadach wziąć udział i w licznym towarzystwie udał się z przyjacielem do Sprudla, gdzie Antoni stając w podziwie zaniemówił nawet na chwilę, wydawszy z siebie owo słynne już „Aaa"... jakim Pielgrzym wita widok Czatyrdahu.

Nieustannie też myśląc o rychłym wyjeździe stał się Mickiewicz mniej czuły na nagabywania rozmaitych osób i podczas towarzyskich wieczorów w Sali Przyjaźni i w Czeskiej Sali chętniej niż przedtem rozmawiał z ludźmi, choć — gdy mógł — od nudziarzy uciekał, zasłaniając się Odyńcem jak tarczą. Wszyscy zauważyli zaszłe w nim zmiany, toteż gdy zbliżył się dzień wyjazdu, bez obawy odmowy zaprosili przyjaciół na obiad pożegnalny, jaki ku czci Mickiewicza kilka osób pragnęło wydać w Sali Przyjaźni.

Od obiadu jednak Adam stanowczo się wymówił.

— Zbyt wiele — powiedział do Odyńca — jest tu wojażujących błaznów, udających panów, którzy wstyd nam tylko robią. Nie rad bym się pokazywać publicznie w ich towarzystwie, bo nas de Carro zaraz do kroniki swojej razem zapisze!

I swój ostatni wieczór w Karlsbadzie spędził z Odyńcem w Dorotheenau, na dalekim spacerze, podczas którego wspominał z tęsknotą i rozrzewnieniem niedawną przeszłość, o nowiny i znajomych wypytywał i długo nie mógł ciekawości swojej nasycić.

*

Przez całą noc padał deszcz. Krople dzwoniły po szerokim parapecie, za oknami bulgotały wody Teplej, szumiały na wietrze drzewa.

Leżąc na łóżku Mickiewicz ssał fajkę, podczas gdy Odyniec zajęty był pakowaniem rzeczy. Robił to z prawdziwym artyzmem i tak zręcznie, że Adam obserwujący go z ciekawością odezwał się żartobliwie, lecz pełen podziwu:

— Dotąd żałowałem, że mój Nikifor, ów *valet de chambre et d'antichambre*, rzeczywisty tajny pijak, kawaler orderu wienika i rondelka, lecz pierwszorzędny służący w Petersburgu, został wraz z moim ulubionym cybuchem z bursztynem. Ale teraz widzę, że nieba są mi przecie łaskawe. Powiedz tylko, kto cię tej sztuki pakowania nauczył?

Zaciągając paski kuferka Odyniec odpowiedział ze śmiechem, w którym wszakże obok żartobliwych nutek zabrzmiały inne, pełne serdecznej tkliwości, szczególnie ciepłe w głosie każdego mężczyzny:

— Kto?... Miłość do ciebie, mój drogi... Tak, tak!...

Deszcz padał i przyjaciele z przykrością myśleli, że jutrzejsza droga będzie smutna i jednostajna, osnuta szarą powłoką mgły i wilgoci. Ranek jednak wstał pogodny. Słońce rozproszyło nisko wiszące nad doliną chmury, wesoło zalśniły w nim mokre jeszcze liście, a żywe barwy dachów jęły powoli matowieć i traciły swój blask w miarę wysychania.

Powóz, który miał ich do dyliżansu zawieźć, czekał na dole.

Zajmując w nim miejsce Mickiewicz pożegnalnym spojrzeniem obiegł Piotrowe Wzgórze, z którego tyle razy w pogodne dnie i w gwiaździste wieczory przyglądał się miastu. Jeżeli do wczorajszego dnia nie żal mu było opuszczać Karlsbadu, to teraz jakiś nagły smutek ścisnął serce. A gdy zobaczył łzy w nieboskich oczach Maruški, gdy mignęła mu przed oczami po raz ostatni brylantowo-srebrzysta i żywa jak rtęć strzała Vřídla, gdy powóz ruszył i za zakrętem nad Teplą zostało barwne i dziwnie ciepłe miasto — smutek wzrósł, zakołatał do serca niepokojem, zbudził uśpioną melancholię, tę samą melancholię podróży, która towarzyszyła mu z chłodnego Petersburga aż do Złotej Pragi.

...Zaczyna się nowy odcinek mojej drogi... — myślał Mickiewicz — Życie każdego człowieka przypomina drogę i takie są one różne, jak różne są ludzkie losy. Dokąd też moja mnie zaprowadzi?...

Powóz toczył się powoli, omijając koleiny i zwalniając na zakrętach, toczył się tą samą drogą ku Dorotheenau, którą Mickiewicz tyle razy podczas swego tu pobytu przemierzał. Gdy jednak ostatnie budynki zostały z tyłu i miasto znikło za kępami drzew, otworzyła się przed jadącymi szeroka panorama, wabiąca oko zielonością lasów, w której ciemne igły sosen i świerków ginęły w puszystych kłębach szmaragdowych klonów, brzóz i olszyn... Miękkie i słoneczne łąki, dzwoniące pszczelim poszumem, spadały po stokach wzgórz, zarośla wierzb i olszyny, okalające brzegi Teplej, rzucały gęsty cień na drogę, a wesołe bulgotanie rzeki, płynącej tu szerokim korytem, łączyło się w harmonijny chór z ptasim świergotem, którym rozbrzmiewały gaje. Powietrze było czyste, lekkie i pełne aromatu. Zapowiadał się piękny, upalny dzień.

Przed Pocztowym Dworem Mickiewicz kazał stanąć i wysiadłszy z powozu powiedział, że dopędzi Odyńca przy dyliżansie. Chciał jeszcze kilka chwil zostać sam.

Nie śpiesząc się wszedł na wzgórze, gdzie stała altana, w której tak często siadywał, i w milczeniu spojrzał przed siebie. Na dole biegła droga, krzyżując się z drugą, boczną a wiodącą wyżej ku praskiej szosie. Droga na wschód. Rosły przy niej rozłożyste stare lipy i potężne kasztany, przez Teplą przerzucony był wąski wiejski mostek.

Tutaj, w tym cichym zakątku, dokąd przewiewne wiatry zanosiły zapachy lip, kwitnących łąk i żywicy, dokładnie w osiemdziesiąt lat od tej chwili miał stanąć po raz pierwszy jego pomnik z prostym napisem: „Adam Mickiewicz Excelentissimus Poeta Poloniae". A potem, dokładnie w sto dwadzieścia lat od chwili, w której żegnamy Adama na wzgórzu w altanie Doroty, ręce

rodaków i ręce braci Czechów po raz wtóry dźwignąć miały jego popiersie, zburzone przez dłonie teutońskich okupantów.

Ale on o tym nie wiedział i w skromności swojej nawet przeczuwać nie mógł...

Stojąc na wzgórzu myślał o tym, że tutaj, w mieście zdrowia i odpoczynku, zostaje jego spokój, zostają ciche dni jego ostatnich rozmyślań i zmagań ze sobą. Odjeżdżał stąd bowiem z postanowieniem, które zaważyć miało na całym jego życiu.

Z dwóch dróg, które u stóp jego biegły do Pragi i do Marienbadu, wybrał tę ostatnią. Była to droga na Zachód.

Była to droga Pielgrzyma.

Helena Bychowska

Opowiadanie zostało odznaczone I nagrodą na Konkursie Mickiewiczowskim w 1955 r.

Teofil Syga

TOAST

Nie w smak było Niemcewiczowi, że na tej uczcie posadzono go naprzeciw owego opryszka, który mu wystudzoną krew burzył. Jakże bo? Ten Jullien de Paris, sekretarz i zaufany Robespierre'a, nie wahał się przecież posłać na szafot miłego Scarpe'a, przyjaciela i przewodnika po dawnym, wykwintnym Paryżu. Sędziwy bard brał sobie teraz wszystko do serca; zawodziło go go nawet zwykłe tłumaczenie sobie, aby się nie rozdrażniać, nieprzyjaznych cyrkumstancji nadzwyczajnym ustanowieniem planet. Raz jeszcze spojrzał na jakobina i wzdrygnął się. Na co człowiek się naraża, aby usłużyć dobrej sprawie — pomyślał, poprawiając chustkę na szyi.

Objął spojrzeniem cały stół. U góry prezydował książę Adam, mając po prawej ręce barona Bignon, po lewej Odillona Barrot. Koło Bignona siedział on, Niemcewicz, z Adamem Łuszczewskim i Karolem Gasc, naprzeciw — Mickiewicz z jakobinem. Stół wyginał się w podkowę, a ponieważ obszerna sala restauracji Desmaresa nie mogła pomieścić wszystkich, w salce sąsiedniej, uchyliwszy drzwi, ustawiono dwa stoły dla młodszych.

Grudzień 1834 roku, obiad dla trzech Adamów emigracji w oktawę ich imienin. Stary poeta układał sobie przemówienie. Trzeba chyba wznieść toast na cześć całej trójki, ale osobno i serdecznie przemówić do Mickiewicza. Udał nam się ten chłopiec; jeżeli narodowość nasza zaginie, na co się zanosi, bo Bóg ze wszech stron nas karze, zostanie *Pan Tadeusz* jako pamiątka naszej przeszłości. Ale wprędce myśl brała inny obrót; uginała się pod brzemieniem trosk i kłopotów. Właśnie wczoraj nadszedł list, donoszący, że skonfiskowany na rzecz cara Ursinów obdarto ze sprzętów, obrazów i książek, a teraz, przed chwilą, wiadomość przez Bignona o przypadku Talleyranda tkniętego paraliżem, gdy siadał do karety.

Niemcewicz począł liczyć lata Talleyranda i swoje. Stwierdzał z niechęcią: i ja dopełniam już kubka życia, przydam może kroplę ostatnią i ta się wyleje. Wspomniał ostatnie kazanie u św. Rocha. Tema było o śmierci; wymowny labuś kar nie wystawiał z diabłami i okropnościami, jak dawniej mnichy wystawiać zwykli. Czemu jednak nie wspomniał o czyśćcu? Jest przecież zgodniejszy ze sprawiedliwością niż wieczne piekło. Chociaż? Cóż by to zaszkodziło dobroci bożej, gdyby taki Gurowski trafił nareszcie do piekła? Albo ten pismak z tygodnika Dwernickiego, obrzucający wszystkich błotem. Bło-

tem? Jakie to dziwne, że ostatniego dnia roku, kiedy u nas śnieg, że powozem nie przejedziesz, tutaj wilgotno, plucha i błoto. Szczęśliwie, że wielką wygodą są omnibusy; za sześć *sous* można aż na koniec miasta pojechać. Nie to, co dawniej.

O, dawniej! *Parisius — paradisus.* Nie żal było wydać 300 dukatów, aby się po nim pokręcić w czarnym stroju lub ciemnym fraku angielskim, jaki właśnie wówczas wchodził w modę. Cóż to było za miasto urocze! W salonie pani Du Deffand spotykało się Hume'a, Walpole'a, Laplace'a; w „synagodze" Holbacha bawiono się magnetyzmem, uprawianym pod kierunkiem Mesmera, a pani Geoffrin przyjmowała jeszcze spóźnionych poszukiwaczy kamienia filozoficznego, wierzących w nieomylność Cagliostra, bo nuż wyniknie z tego jakiś pożytek dla jej fabryki luster! No i attyckie biesiady u pani Vigée-Lebrun: ateńskie stroje, na cześć Erosa pieśni Glucka, wino cypryjskie, rodzynki korynckie, wszystkie potrawy opisane przez Anacharsisa. I wety: bilecik miłosny dla Juliana Ursyna od panny de Guimard z Wielkiej Opery.

Och, cóż to za urocza i zgrabna była panna, choć ją ludzkie języki odmieniały, że słynna tyleż z lekkości tańca, co i obyczajów. I że łatwo tam o konfidencję. Nie została już po niej żadna pamiątka, bo pewnie z Ursinowa ukradli i ów prześliczny rysunek Greuze'a. Przymknął oczy. O, tak. Widzi ją teraz dobrze w otoczeniu skrzydlatych amorków, z których jeden ma twarz tak miłą, tak miłą i, prawdę powiedziawszy, uderzająco podobną do twarzy Juliana Ursyna...

Wspomnienie wywołało uśmiech. Pamięta, pamięta dobrze. Na promenadach czytała w powozie *Konfesje* Jana Jakuba. Czytano wówczas wszędzie i czytali wszyscy: w teatrze, na ulicy, w kawiarniach, w ogrodach, nawet w kąpieli. Na pańskich książkach lokaje dopisywali komentarze. Filozofowano i śpiewano. Figaro tu, Figaro tam, la, la, la.

Pannę Guimard nauczył kilku słów po polsku. One chętnie uczyły się od polskich hrabiów. Lecz jakże był zdziwiony, gdy te same słowa padły ze sceny z ust młodego tragika Talmy. O, dało mu to wiele do myślenia; przez trzy dni posyłał jej nadąsane fiołki zamiast lirycznych róż.

Myśli nie utrzyma się w kolejce dat. Więc przeskoczyła kilkadziesiąt lat w czasie i kanał w przestrzeni, dała się namówić na wspomnienia teatru olimpicznego pani Westris. Ba, to także z francuskiego. Pluto, sędziowie siedzący na worach wełny. Orfeusz przychodzi prosić Plutona o oddanie mu Eurydyki; ten radzi się kanclerza. Staje na tym, by Orfeusz grał o lepsze z pierwszym skrzypkiem orkiestry piekielnej. Wychodzi Paganini. Gdy skończył, zaczyna Orfeusz grać taniec tak wesoły, że Pluto i Prozerpina, wielki kanclerz, wielcy sędziowie w perukach porywają się, zaczynają skakać, wywracać się jeden na drugiego. Uwolniona Eurydyka. Szczęśliwy Orfeusz; warunek, że się nie obejrzy. Do czółna Charona odprowadza ją grzecznie Pluto, a kiedy już Orfeusz wstępuje w czółno, słyszy, że Pluto żegna Eurydykę pocałunkiem. Obziera się Orfeusz i traci żonę powtórnie. Tak to bywa z zazdrośnikami. Czy nie należy tedy przymknąć czasem choćby jednego oka i zasłonić bodaj jednego ucha? To jednak ciekawe, czy panna Guimard wtedy także i z Talmą? Eurydyka!

Nie gwar, który właśnie ustał, lecz cisza przerwała Niemcewiczowi rozmyślania. Patrzono nań z szacunkiem i oczekiwaniem. Więc podniósł się powoli:

dąb wysmagany wiatrami, obarczony wiekiem i klęską, ale wyniosły jeszcze i silny. Zaczął głosem chrapliwym i przytłumionym, ciągle jeszcze przecie wymownym i zdecydowanym, że wiek wysuwa go do przemawiania pierwszym. W tej wielkiej rodzinie, którą widzi wokół siebie, nie ma rówieników, ale jego i pokolenie wyrosłe w jego oczach zrównało jedno cierpienie i jedna nadzieja. Wspomniał przeszłość, zwrócił się ku przyszłości.

Napił się selcerskiej wody z winem i zapowiedział trzy toasty: jeden na przymierze między wolnymi narodami, zagrożonymi przez despotyzm, drugi — na zdrowie trzech przytomnych Adamów, trzeci — na zdrowie znakomitego wieszcza naszego i dzisiejszego solenizanta, Adama Mickiewicza, aby wyrazić, jak silny mają i miały wpływ pienia narodowych bardów.

Osiemdziesiąt gardeł zawtórowało: zdrowie! Dziękowali poecie za toasty trzej Adamowie, dziękował Barzykowski, Malinowski, Morozewicz, Morawski, Jelski, Grzymała, Chrzanowski, Gawroński... Gwar znowu napełnił salę, tu i owdzie rozlegał się rubaszny śmiech. Gdyby tak przymknąć oczy, nie widzieć surdutów i tych kilku zabłąkanych tu Buchmanów — można by przypuścić, że jest się u siebie, wśród kontuszów, w ruinach starego zamku Horeszków.

Uciszyło się znowu. Strużka toastów poczęła płynąć nie leniwo. Kasztelana Platera — dla Adamów, księcia Adama — dla braci w kraju i obecnych gości-cudzoziemców, Adama Łuszczewskiego — z podziękowaniem, Jełowickiego — z kochajmy się...

Stary bard otrząsnął z siebie wspomnienia; wiedział, że musi być zawsze na służbie: jął tedy kaptować Barrota, aby rzucił głos za Polską w Izbie, Gasca, by uczynił to w uczonych towarzystwach, obaj zaś musieli wysłuchać oracji o starożytności polskiego narodu i jego cnotach. Gasc chciał poznać jego opinie o pisarzach francuskich. Starszy pan się zżymał. Tak, zna Chateaubrianda, wcale wybornie prowadzi konwersację i dobrze się ubiera (o książkach przemilczał). — A Balzac? — Hm, książki nie są równe w moralności, lecz wielce przyjemne. *Personaliter* wygląda, że stratny i rozwiązły.

Kolejny toast przykuł uwagę wszystkich. Mówił Ludwik Bignon, wielbiciel i znajomy ks. Józefa Poniatowskiego, w czasach napoleońskich rezydent francuski w Warszawie, dyplomata wytrawny, historyk znakomity, upamiętniony w testamencie Napoleona zapisem na opracowanie historii dyplomacji francuskiej.

Bignon oddał w mowie hołd mężom wyższym nad nieszczęście i niesprawiedliwość. Nie czuję się bynajmniej obcym między wami, panowie, mówił, ale czuję się młodszym. Budzą się we mnie najmilsze wspomnienia. Przypatrzyłem się ojczyźnie waszej z bliska i doznałem jej w imieniu Francji. Będę zawsze o nią walczył. Wywołał imię Napoleona i pobyt swój w Warszawie; wzniósł toast na cześć Polski w ręce tych, którzy stanowią jej chlubę.

Po nim przemawiał Odillon Barrot, a wreszcie podniósł się siedzący obok Mickiewicza Jullien de Paris. Starszy pan znowu się naburmuszył, ale Jullien taktownie, jego zdaniem, pominął osobę „Nieprzekupnego", rozwiódł się natomiast o swej przyjaźni z Kościuszką. Jakobinowi zdawało się nawet, że bohater ten unosi się nad nimi przytomny „braterskiej uczcie" i błogosławi tym, co w jego ślady wstępują. Na zakończenie wzniósł toast na cześć emigracji jako przedstawicielki demokracji polskiej we Francji.

Po tych mowach nastąpiła przerwa i sędziwy poeta dał się sąsiadom namówić na opowiedzenie anegdoty, zasłyszanej od Berangera, o wodzu nowej sekty, panu Saint-Simon, zmarłym w nędzy.

— *Monsieur le comte de Saint-Simon* — mówił — pochodził z młodszej linii książąt de Saint-Simon. W rewolucji spekulował w nabywaniu dóbr skonfiskowanych, a zbogaciwszy się dosyć, postanowił użyć tych bogactw na największy towarzystwa ludzkiego użytek. Zaczął od systemu nowej religii, dającej człowiekowi sposoby nabywania i używania największej masy nauki i rozkoszy. W tym celu nabył wielki dom koło Sorbony i umieścił w nim bibliotekę, instrumenta fizyczne, chemiczne, archeologiczne. Codzienne obiady dla profesorów i uczniów. Rozmawiano, czyniono doświadczenia, wszystko dla nowych odkryć, mających uszczęśliwić ród ludzki. Między młodzieżą najwięcej dającą dowodów geniuszu był Poisson. Saint-Simon miał naówczas za żonę dzisiejszą panią Baur, autorkę *Balu maskowego*. Dwa połączone geniusze, męski i żeński, mówił sobie, powinnyby wydać na świat wyższe nad pospolitych ludzi stworzenie; w tym zapale wziąwszy młodego Poissona zaprowadził go do żony.

— Kochanko — rzekł — coś nam się nie udaje w utworzeniu syna, złącz się z tym nadzwyczajnym młodzieńcem, a ufam, że dacie światu członka Instytutu, jakiego jeszcze nie było. — Żona po niejakich skrupułach dała się namówić. Niecierpliwy cudu Saint-Simon ustawicznie wypytywał żonę, kiedy ma się spodziewać członka Instytutu. Żona zapewniała, że mały Poisson ze wszystkich sił stara się o wielkiego Poissona, nic jednak nie przychodziło. Zniecierpliwiony Saint-Simon uczuł jakiegoś bodźca: „Czemużbym sam nie miał raz jeszcze spróbować?“ — pomyślał. Uszczęśliwiony powodzeniem i wciąż zajęty myślą o stworzeniu wielkiego człowieka, udał się raptownie *da capo* do pani de Staël.

— Jesteś — rzekł — największym geniuszem wieku naszego, pochlebiam sobie, że i ja ci nie ustępuję. Przepędźmy noc z sobą, byśmy utworzyli wspólnie największego z ludzi. — Cóż z tego jednak? Pani de Staël zabrakło hartu i nie chciała dla dobra ludzkości poświęcić tej jednej nocy.

Anegdotka miała wielkie powodzenie i w lot obiegła wszystkie stoły. Tylko stary marszałek Kaszyc wydawał się zmartwiony. „A czemuż ona nie chciała, co by to jej szkodziło?” — mruczał do sąsiadów. No, ale marszałek Kaszyc, wiadomo, zbierał jedynie miody z dykteryjek o psach, koniach i polowaniu.

Tymczasem, choć chwile nie dłużyły się bynajmniej wśród gwaru rozmów i szczęku kieliszków, oczekiwano na przemówienie Mickiewicza, oczekiwano improwizacji. Coraz częściej rozlegały się głosy: kiedy zacznie, czy zacznie, czemu zwleka... wieszcz znany z daru improwizowania nie potrzebuje układać przemówień, składać głosek...

Mickiewicz siedział w fotelu odsuniętym nieco od stołu; samotny wśród tych wszystkich i milczący. O czym myślał, przymknąwszy oczy, czego wyczekiwał, odchylając do tyłu głowę?

Nagle powstał. Gruchnął przez dziesiątek ludzi wydany okrzyk: „Mickiewicz!” Z sąsiedniej salki wbiegli biesiadnicy, pod ścianą ustawiał się potrójny rząd słuchaczy, aby lepiej widzieć. Ucichli wszyscy.

Chwila milczenia. Wzrok Mickiewicza utopiony w siedzącym naprzeciw

oecie; unosi się zwolna ręka, wskazujący palec tkwi nieruchomo nad sto-em.

— Mamy między sobą ludzi — rozpoczyna wreszcie — których życie jest artą historii narodu. Wpośród cierpień wygnania jednym może z najbo-eśniejszych jest, nie dla nich, lecz dla nas, że zdarzyć się może, bo nie wiemy dzie, kiedy i jaki czeka koniec wygnańca, że nad grobem takich ludzi nie ędzie może komu uczcić ich pamięci jak należy, jak tego Polska wymaga. Rzucam więc niejako rękawicę możliwej niedoli, a ubiegając przeznaczenie, po-taram się jedną taką kartę historyczną odczytać i jako nagrobek wyryć w naszej pamięci. Pozwólcie, abym powiedział mowę pogrzebową dla Juliana Ursyna Niemcewicza...

Tu przerwał i rozejrzał się po słuchaczach. A ci oniemieli, poglądając po obie ze zdumieniem. Wrażenie było tyle silne, ile ponure i przykre. Naj-więcej zwracano wzrok na Niemcewicza. Sędziwy bard drgnął jakby po-rażony, ale wprędce się opanował. Uśmiechnął się tylko złośliwie i mruk-nął:

— Dziwny człowiek! Czemuż on się tak śpieszy mnie grzebać?

Mimo że słowa te wypowiedział półgłosem, w panującej ciszy słyszeli je wszyscy.

Mówca zaś, jak gdyby nic nie zaszło, wyraźnym, choć trochę wzruszonym głosem rozpoczął po tym wstępie właściwą mowę pogrzebową.

Julian Ursyn Niemcewicz, urodzony dnia... miesiąca... poeta... mówca... hi-storyk... towarzysz Kościuszki...

Słowa padały gdyby grudki ziemi na trumnę poety, ale teraz patrzano nie na Juliana, lecz na Adama. Potęgą swego geniuszu wyczarował mówca wizję człowieka, zdarzeń, czasów, usuwając poza grób obecnego, aby mu nie prze-szkadzał w wydaniu sądu, aby mu nie mącił kreślonego portretu. Przykre wra-żenie rozwiało się, zdmuchnięte niby wiatrem osobliwą, zaprawdę, impro-wizacją.

Tymczasem do portretu przybywały coraz nowe kreski i barwy. Oto mło-dzieniec biorący udział w wypadkach majowych, oto Sejm Czteroletni.

— Tam stanął Niemcewicz do walki. Z kim? Ze Szczęsnym Potockim. A walka wówczas ze Szczęsnym, to nie walka z Guizotem — mówił, wskazując Odillona Barrot. — Pan polski, to nie minister francuski, to pan potężniejszy od króla Ludwika Filipa. Z takim panem jak Szczęsny Potocki zadrzeć szlach-cicowi jak Ursyn, to nie żarty, panowie, to coś innego niż dzisiaj wasza opo-zycja...

I roztoczył przed słuchaczami, nie, przed widzami przecie, obraz historycz-nych zmagań, całe *theatrum* wypadków, nadzieje, żale, poświęcenie i nikczem-ność. Znowu przerwał na moment, zgiętymi palcami uderzył lekko w stół. Zabrzęczało szkło i serca zebranych odpowiedziały skargą:

— Znamy, znamy głos ten! to jest Targowica!

Ale już mistrz uderzył w ton inny: kosy i sukmany. I Naczelnik w chwale Racławic i w pogrzebowym jęku Maciejowic. Czarne chmury. Petersburg, roz-biór Polski, więzienie, tułactwo. I słońce Napoleona, i rok ów niebieskim oznajmiony cudem, jakieś oczekiwanie tęskne i radosne. Lipsk, orły skrwa-wione i powrót z Francji. Więc znowu rzucił okiem na truchło za stołem i jął mówić jego słowami:

Białe z czerwonem proporce migają,
Nasi wracają.

A gdy wrócili, któż dbał o narodowość, kto podsycał przygasłe ognisko? Nowy zryw narodu i nowy trud starca; wreszcie nowe tułactwo.

Pożywał Niemcewicz gorzki chleb we Francji, był wygnańcem, był nim, a dalej?

Spokojny dotąd głos mówcy załamał się z nagła; przerwał i kończył urywanymi słowy.

— Bóg wie, odgadywać nie śmiem... nie chcę, nie mogę... i kończę, bo już słyszę w sercach waszych tętno gorącego duszy mojej pragnienia, słyszę już, jak grają w piersiach waszych te oto wyrazy...

— Niech żyje! — wstrząsnęło salą. Entuzjazm doszedł do szczytu, ściskano się i całowano, ci, co nie mogli przecisnąć się bliżej do wieszcza, gładzili jego ramiona.

Przez chwilę, jakże krótką, zapomniano niemal o sędziwym bardzie. Był, jak zawsze, opanowany i spokojny. Ale łza, jedna łza spadła na obrus stołu, choć pewnie nikt jej nie zauważył.

Następne mowy nie mogły już obudzić większego zajęcia. Zdawał sobie z tego sprawę Stefan Witwicki, gdy, molestowany, tę jedynie myśl wypowiedział:

Mówił Ursyn, mówił Adam,
Po nich mówić, do nóg padam.

Bignon przekładał Niemcewiczowi, by użył całego swego wzięcia u emigracji i powagi, aby zapobiegać gorszącym sporom wśród Polonii francuskiej.

— Będzie — odparł starzec — jak mówił przed 60 laty powieszony Perkowski w Warszawie:

Kusił się Kaim na brata swojego,
Ale się pogodzili, nic nie będzie z tego.

Lecz oto i obiad miał się ku końcowi. Niemcewicza odprowadzał Januszkiewicz. Po drodze zgadało się o czasach dawnych.

— Pamiętam — mówił poeta — jak tu, w Paryżu, ostatnim krzykiem mody były białe sukienki perkalowe. Nawet królowa się w nich pokazywała. Ba, to wszystko wpływ literatury. Każdy starał się naśladować książki, a kiedy ukazał się *Emil,* dzieciom kazano porzucić peruczki i stroje dorosłych i ubierano je w letnie szaty. Aby się hartowały. I miasto inaczej wyglądało. Saint-Germain nie było jeszcze zabudowane, na przedmieściu św. Antoniego można było ujrzeć niejedną lepiankę, a przedmieście Saint-Marcel było jeszcze polem zarosłym chwastami.

Wróciwszy do domu autor *Śpiewów historycznych* wyciągnął z nawyku seksternik, w którym zwykł był zapisywać wypadki dnia. Ale dzisiaj szło mu niesporo, bo wyostrzywszy pióro dumał nad białą kartką dłużej niż zazwyczaj. To prawda, że i dzień był niezwyczajny. A jak miły! To doprawdy — myślał — dziwny chłopiec z tego Mickiewicza, a jaki koncept uciął!

Spojrzał na leżącą na sekreterze książeczkę i odsunął ją końcami palców. *Kordian*. Hm, mruczał, nowe poema jednego z wariatów naszych. Co za farsy, banialuki, czarty, czarownice, papież, papuga, car, Konstanty, oszkalowani pierwsi obywatele do rewolucji wchodzący. Nigdy jeszcze nie było tylu bazgraczów! Hołota szuka wszelkimi sposobami, jakby się pozbyć przepełniającego ich piersi jadu.

— Są jednak i tacy, którzy dobrymi pismami i na wygnaniu wzbogacają naszą literaturę. Takim jest Mickiewicz, Mochnacki, równie gładki piórem jak niepewny w moralnym charakterze. Albo pan Michałowski. To z natury wielki do rysowania geniusz i znacznie na akwarelach swoich zarabia. Niechże Bóg dobrym błogosławi.

— Ale ten Mickiewicz! Chciałbym jednak, aby o mnie kto tak po śmierci napisał, bo ileż to ja już biografij, mów pogrzebowych od lat pięćdziesięciu spłodziłem. Ostatnio dla męża pani Komarowej; dobry był człowiek i ojciec ludzki dla ubogich.

Poruszył się. Ujął pióro i starczymi, ale równymi i wyraźnymi literami zapisał pod datą 31 grudnia 1834 roku:

„Ostatni dzień roku zwraca zawsze myśl naszą na ulatujący czas, na zbliżanie się nasze coraz więcej do wieczności...

Towarzystwo Literackie dało dziś obiad... Ja wniosłem zdrowie znakomitego wieszcza naszego (a także solenizanta dzisiejszego), Adama Mickiewicza.

Mickiewicz wybornie odpowiedział."

Zegary poczęły wydzwaniać pieśń północną, z ulicy dobiegał gwar podnieconych głosów; żegnano się ze starym rokiem.

Stary poeta westchnął.

PIERŚCIEŃ Z LIRĄ

Nie wiem, jak ci to wszystko napisać. Trzeba by słowa brać nie z głowy, ale wyrywać spod serca, a w moim wieku muszę już unikać wzruszeń. Zazdrościsz mi, Panie Ignacy, że mieszkam na ulicy d'Antin i że codziennie patrzeć mogę na miejsca, gdzie On... Ale miłość, ale tęsknota nie mają swoich miejsc na świecie; nie ma ich nigdzie i są wszędzie. Wygnanie posrebrzyło nam głowy i tak osłabiło oczy, że wszystko widzimy w barwach jesiennych. Pewnie, nie moglibyśmy uciec od starości i w kraju, ale tam chleb nie smakowałby żółcią, a wino octem. Ot, sentymentalny, widzisz, dureń ze mnie, mówiący nie własnymi, tylko jakimiś zasłyszanymi słowami. Ale gdy są nawet cudze, uczucia są na pewno własne.

Wiedziałem już od Bohdana Zaleskiego (jest jeszcze czerstwy, chociaż postarzał bardzo) — że zbierasz wiadomości o życiu Adama, a wczoraj przyszedł twój list z Ameryki. Długo obracałem kopertę w ręku, wpatrując się w pieczęć pocztową: Santiago, Chile. I data: 1870. A potem pobiegłem do rodaków, aby dzielić się z nimi dobrą nowiną, że to, co już przemarło, przegniło, przerzuciło się w proch i nicość — zdolne jest porwać nas, unosić wyżej i silniej, na przekór siwiźnie naszej i schyleniu.

Lecz nim opowiem ci ten epizod z życia mego, co mnie w tułactwie utwierdził i w wierności dla mogiły, w której ujrzałem życie — muszę objaśnić cię twoimi własnymi słowami. Przecież już lat kilkadziesiąt minęło od czasów i wypadków, o których mi każesz pisać, a trudno władać piórem bez wywołania z grobu Adama i tylu, tylu innych. Więc choć wiem, pewien jestem, że pamiętam, że widzę całą ową przeszłość: nie zmarnowałem, nie zgubiłem nic z tego, co wyniosłem z obcowania z nim, ale przelać to na papier z dokładnością nie podobna.

Sam przecie tak mówiłeś; ale zacznę wreszcie, choć wiem, że niewielką miał będziesz z mojej bazgraniny pociechę.

Było to roku 1832. Nie wiem, czy w swych wędrówkach po Francji zajrzałeś kiedy do Besançon. Nie bardzo podłe miasto, coś w kształcie naszego Piotrkowa; pracowita ludność bawi się tam przemysłem zegarowym, bo to o miedzę Szwajcaria; domki miłe i ustronne, osada cicha, słyszysz tylko rwący nurt rzeki Doubs i czasem tęskliwą góralską piszczałkę. Tam właśnie rzuciła nas dumka o żołnierzu-tułaczu. Skończyła się wędrówka borem-lasem, ale zostało przymieranie głodem. Byliśmy na pół-żołdzie. 22 franki miesięcznie na głowę, starszyzna po 60, i mieszkanie w zakładzie, niedaleko starego jak świat uniwersytetu. Możesz sobie wyobrazić, jak wówczas z nami było. To żałość, to kłótnia. Skargi i narzekania i zaraz próba upijania się francuskim cienkuszem i dobierania się do pyzatych Bezansonek. Po upiciu się kłótnie, po kłótniach pojedynki. A wszystko brało swój początek z przeświadczenia, że o nic już troszczyć się nie warto, że i żyć nie warto. Jak gady pęczniały w nas złości, dusiły nas i we śnie, i na jawie zmory i diabliki różnych imion i znaczeń.

Aż kiedyś, w sierpniu bodaj — to pamiętam, że niebo było bez chmurki jednej a powietrze przesycone zapachem dzikiego wina — wpada rozgorączkowany, choć zazwyczaj poruszał się z trudem z powodu odniesionych ran, znajomy ci może Ludwik Michałowski, major siódmego pułku liniowego. Zwołał nas wszystkich, może z pięćdziesięciu się nas zebrało, i wymachując gazetą powiedział:

— Bracia, przychodzę z dobrą nowiną. Rodacy nasi w Paryżu, w Bourges, w Awinionie łączą się w związki ku chwale ojczyzny. Są wieści od Lelewela: Mickiewicz potajemnie przyjechał do Paryża, we Francji prassa w naszym własnym, polskim języku. Może niedługo Mikołaja...

Tu urwał. Bo choć nie skłonny do wzruszeń, przecież był wzruszony nad miarę. Obejrzeliśmy się na siebie oniemiali. A on rozłożył gazetę i czytał:

O matko Polko! Gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genijuszu świetność...

Słuchaliśmy w milczeniu, lecz gdy doszedł do słów, do tych słów pewnie:

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy

gwar i szloch powstał ogromny. Był wśród nas stary wiarus, który nie mrużąc swych okrutnych oczów Hiszpanom kiedyś brzuchy bagnetem wywalał. Ten ryczał głośno; łzy płynęły po bliznach twarzy i kapały jak wosk ze świecy na blachy Virtuti i krzyżyki Honorowej Legii. Cóż tam mówić. My wszyscy — jakby nas coś odmieniło, nie wiem, jak powiedzieć, jakbyśmy z dusznej izby, wiesz, wśród lasu, paproci, zapachu sosen... Wszystko byś wtedy z nami zrobił. I tak jakoś samo z siebie przyszło, że jedni na baczność stanęli, drudzy się w płaczu ściskali, inni wykrzykiwali słowa dla siebie tylko zrozumiałe. Tyle z tego w tej chwili, że gazetę, a był to *Pamiętnik Emigracji*, który pan Podczaszyński wydawać wtedy zaczął, na strzępy porwano, bo każdy chciał własnymi oczami oglądać, co wprzód słyszał.

Aż wieczorem, gdyśmy się znowu zebrali, niechając myszkowania po miejskich zakamarkach, ktoś, nie pomnę już kto, pokazał złotą monetę, depozyt pochodzący z darów na potrzeby powstania, i zaproponował, abyśmy jemu, tułaczowi, my, tułacze, z tej świętej ofiary urobili pierścień. Zgoda była zupełna. Pierścień ze złotą lirą i uroczyste pismo wysłaliśmy na ręce Lelewela z prośbą, aby mu je wręczył.

Nad pismem były długie narady. Nie pamiętam, jak zostało na ostatku, bo dużo było kreśleń i poprawek, a każdy zachęcał do swojej, ale przypominaliśmy mu własne jego słowa:

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało...

A przypominając, upraszaliśmy go gorąco, aby podpierał pospólną sprawę pieśnią, tą pieśnią, która nam i wówczas, i później tyle chwały we świecie przyniosła.

O wręczeniu pierścienia nie będę ci, Panie Ignacy, mówił, bom przy tym nie był. Opowiem ci jednak o dalszej losu kolejce. Jakoś w niedługi czas, wczesną jesienią, przyszedł od Mickiewicza list. Była to odpowiedź na dar i nasze pisanie. List odczytał nam Michałowski; adresowany był do ziomków Litwinów, tułaczów w Besançon. Gdy kończył go nam czytać, ogarnęło nas znowu wzruszenie, o którym by trudno opowiedzieć młodszym, mniej pamiętliwym tych czasów i zdarzeń. Przepisałem sobie ów list jako pamiątkę i teraz go tobie odpisuję, bo pewnie go nie znasz.

— Kochani ziomkowie! — pisał Pan Adam. — Polska, ojczyzna nasza, chociaż sama uboga i znieważona, nie przestaje hojnie nagradzać wszystkich, którzy się dla niej poświęcali. Wam, wojownikom, uplotła wieniec sławy, szeroki na całą ziemię; mnie, który za sprawę narodową walczyłem tylko uczuciem, przesyła przez ręce rodaków dar dla serc czułych najdroższy. Bierzmy

stąd pochop pokrzepiać w sobie nawzajem odwagę i zachęcać się nawzajem do nowych poświęceń się za sprawę ludu, którego żaden wojownik, żaden pisarz, żaden prawy obywatel o niewdzięczność oskarżyć nie może. Narody cywilizowańsze i bogatsze od nas mają poetów większych ode mnie talentem, osypanych skarbami i pochwałami, ale niejeden z tych europejskich geniuszów oddałby może miliony złota i oklasków za jeden pierścień darowany poecie-tułaczowi — od tułaczów-wojowników. Tym pierścieniem obrączkowym, ziomkowie, poświadczacie mnie, żem dochował wiary od dzieciństwa poślubionej ojczyźnie, tym pierścieniem powtórnie z nią się zaślubiam. Sprawiliście dla duszy mojej wesele jubileuszowe, wesele złote. Przyjmijcie ode mnie powtórną ślubną przysięgę, że będę zawsze ojczyźnie wierny i że jej sprawy do śmierci nie opuszczę.

No i wówczas nastąpiło to, o coś się pytał. Czterdziestu trzech tułaczy, byłem wśród nich, przystąpiło do jego przysięgi, przyrzekając na pamięć ojców sprawy do śmierci nie opuścić.

Pomijam zewnętrzną stronę tego aktu, jakkolwiek go nigdy nie zapomnę. Kto z nami nie był, nie zrozumie. Czy przypominasz sobie taki wiersz Adama, gdy Podróżny z końcem dziennych trudów chce wrócić do chatki, w której go powita żona z synkiem na ręku? Otóż takie to były moje zaślubiny z nie zaślubioną żoną w kraju i z nie urodzonym synkiem. Czym ślubów dopełnił? Niech osądzi przyszłość i ci, co mnie znali. Wiem, żem nie zbłądził, bom nigdy nie żegnał się z nadzieją, wiem, żem nie zbłądził, bom w książkach zbójeckich znalazł przewodnika, który sercu niespokojnemu użyczał ochłody.

Świat jest szeroki i w tej jego szerokości mieszczą się prawdy rozmaite. Najczęściej uczą nas one sztuki umierania. On widział dalej; omijał przepaście i choć wiedział, jak się powinno umierać, pokazał nam, jak się powinno żyć. Gdy byłem młody, nie zdawałem sobie sprawy, że nie jest to ani umiejętność, ani sztuka, lecz prawda, której trzeba zaufać, prawda, którą trzeba pokonać okrucieństwo przeznaczenia.

Później przyszły *Dziady, Księgi, Pan Tadeusz*. Nie czytaliśmy ich już wspólnie, gdyż losy rozrzuciły nas po świecie. Mnie zagnały do Algeru, tak, jak ciebie z czasem, Panie Domeyko, na drugą półkulę. I tak mijały lata pełne zdarzeń, egzaltacji nadmiernej, jak w czterdziestym ósmym, lata burzy łamiącej niejeden dąb, lata żniw i lata nieurodzaju.

Upłynęło ich dwadzieścia, nim-em znalazł się w Paryżu. Chciałem, nieznany mu, wyrazić jakimś słowem czy gestem, że wędrówka moja nie była ucieczką, chciałem przypomnieć, że i my dotrzymaliśmy przysięgi, chciałem wreszcie ujrzeć tego, kto był nam wodą w pragnieniu i chlebem w głodzie.

Poczciwy Służalski upominał mnie, abym się nie stroił, bo — mówił — pan Adam tego nie lubi, a przecież, pożal się Boże, co ze mnie za strojniś.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym mógł mnie przyjąć. Spodziewałem się, że zobaczę orła, olbrzyma, czy ja wiem kogo... Ujrzałem starca z włosami białymi, niedbale zarzuconymi na tył głowy, wzrostu raczej miernego, z jakimś gorzkim na ustach uśmiechem. I, czy dasz wiarę, Panie Ignacy, ten widok uczynił na mnie jeszcze większe wrażenie, wstrząsnął mną tak, żem głosu z siebie nie mógł wydobyć. Ale on uderzył we mnie przenikającym na wskroś wzrokiem i, odgadując mój stan, uśmiechnął się z dobrocią, uściskał i rzekł:

— Witaj, rodaku. Ptaki, widzę, zlatują do Paryża o niezwykłym czasie, więc może przyjdzie do czegoś pomyślniejszego.

Na prędce nie mogłem się zdobyć na słowo odpowiedzi, pokraśniałem tylko, bom z tego odezwania się wieszcza zmiarkował, że Służalski musiał mu rymy moje pokazywać. A on rozjaśnił czoło, zapalił lulkę i począł szybko chodzić wzdłuż pokoju, aby mi dać czas ochłonąć.

Gdym się już z widokiem jego oswoił, bąknąłem dość nieśmiało, że my, stara gwardia z Besançon, domagamy się (nieszczęśliwie wymknęło mi się to słowo) pieśni, którą zarzucił, pieśni, co by drzemiący w piersiach płomień znowu rozpaliła.

Nie rozgniewał się. Podszedł do kantorku, szukał w nim chwilę i, mój Boże, pokazał mi ów pierścień z lirą. A potem położył mi dłoń na ramieniu, z aprobatą wspomniał o moich zatrudnieniach literackich i powiedział:

— Ja widzę, że dziś najwyraźniej przyszedł na poetów czas budowania z ostruganych przez nich belek, ociosanych głazów i wypalonych cegieł — tego, co oni w natchnieniu dotąd wyśpiewali. Nadejść już może czas siejby swego żniwa, tego upragnionego owocu dla męża czynu, kiedy jego słowo przybiera formę, odziewa się ciałem, oddycha życiem.

Odrzekłem, żem ptak małego lotu i do wszelkich prac się nagnę. Ale jak rolnik życzy przy pracy świergotu skowronka, tak my, robotnicy, życzymy pieśni, która by wysiłki nasze uskrzydlała. Gdzie zresztą nam równać się z nim!

Spojrzał mi bystro w oczy i zapiął guzik surduta.

— Jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to ci powiem: wszyscy jesteśmy równi sobie, i tylko pod warunkiem, żeby każdy był sobą i orzeł nie nastrajał się na słowika a słowik na orła; głupcy i błaźni zdolni są jedni do lekceważenia tego; kto chce poniżać pisarza dlatego, że Szekspir tragedie doskonałe pisał — ten głupi. Wszystko to są boże ptaki i tylko zielone głowy w porównania się wdają, w rozdawanie honorów albo ich zaprzeczanie. Poezja była, jest i będzie do końca świata, a kto jej nie widzi, ten jest kret i głuchoniemy. Pisz i nie bój się, jeśli masz tylko serce pełne i szlachetną wolę.

Zatrzymał się chwilę i powiedział, podnosząc rękę do góry:

— Jest czas słów i jest czas czynów, rozumiesz? Ja księgi pisałem, ale teraz chciałbym dom z wami stawiać, bo stawianie domu to jest pieśń.

Łowiłem każde jego słowo. Rozumiałem, co mówił, lecz milczałem przez skromność. A on zamyślił się, zatrzymał, usiadł, poprawił stambułkę na cybuchu i zajął się zapalaniem siarniczek. I może niepewny, czym go pojął, dodał:

— Pieśń, pieśń... Polskę należy nam wydzierać, a nie żebrać o nią, zdobywać ją i zapałem, gotowością do nowych ofiar obmyć ją, a nie czekać, aż nam powiedzą: „chcemy Polski".

Poskarżyłem się na los swój. Miałem w kraju bliskich, i tyle lat, tyle lat... Nie wiem, dlaczegom to uczynił, każdy ma chwile słabości, lecz żeby wtedy właśnie... Opisałem mu moje położenie i dni stroskane tych mi bliskich w kraju.

Wtedy jego głowa pochyliła się na piersi, zamknął oczy, jakby uderzony ciosem, ani jednym słowem się nie sprzeciwił, wziął mnie tylko za rękę i rzekł:

— Prawda, prawda. Co robić? Co robić?

Ta jego wyrozumiałość uderzyła we mnie straszliwie. To nieprzyłożenie

jadu do rany, to opuszczenie rąk, dowiodły mi, że jest w nim wielkość. Miał serce i patrzał w serce.

Był wspaniałomyślny do ostatniej chwili. Dalszej rozmowy już ci nie opiszę, bo w tym żalu serdecznym rozum słów nie zapisywał. Siedziałem długo, ale to ci powiem, że gdy w Besançon narodziłem się po raz drugi, tutaj były moje trzecie i ostatnie narodziny. Wyszedłem mocny i jeszcze dzisiaj prostuję moje zgarbione plecy na wspomnienie tej chwili.

Czym go jeszcze ujrzał? Tak, ujrzałem go raz jeszcze. Iść już nie mógł. Więc razem z braćmi nieśliśmy go na naszych ramionach. Nie był ciężki, ramion nam nie uciskał. To tylko trumna uciskała nam serca. Deszcz, choć to był styczeń, wybijał na niej larmo. Pielgrzym kończył drogę, żeglarz dobijał do portu, Herakles wykonał zadane sobie prace.

W głowie mi szumi, uliczka d'Antin okrywa się już zmrokiem, trzeba mi zapalić świecę. Santiago, mówisz? Wszystkie te dalekie drogi są naszym udziałem, naszym krzyżem, ale i naszym wkładem w przyszłość. Jest już nas mało; odprowadzamy się od czasu do czasu na cmentarze i tam jednego żegnamy na zawsze. Pozostał jeszcze Januszkiewicz, i Aleksander Chodźko, i Feliks Wrotnowski, i Leonard Rettel. Zbieramy się niekiedy i opowiadamy sobie o życiu Pana Adama, czujemy jednak, jak to jego życie poczyna osnuwać legenda, jak on sam unosi się nad nami coraz wyżej, aż go tracimy z zamąconych starością oczów. A choć droga nasza ma się ku końcowi, pilnujemy się wszyscy, abyśmy, skromni pracownicy, uprawiali należycie winnicę, jaką nam i pokoleniu naszemu przekazał.

Teofil Syga

Opowiadanie zostało odznaczone I nagrodą na Konkursie Mickiewiczowskim w 1955 r.

Sławna europejska fortepianistka, Maria Szymanowska, z córką której ożenił się Mickiewicz; reprodukcja miniatury Henri Bennera.

„Korynna Północy", księżna Zeneida Wołkońska, moskiewska przyjaciółka poety.

Ludwik Uhland

DO MICKIEWICZA

Na dalekim Wisły brzegu
Naród w boju krwawo broczy,
Echo grzmotu dalekiego
Przez niemiecki kraj się toczy.
Kos i mieczy słychać szczęki,
Kanonada dział gruchnęła
I bojowej pieśni dźwięki:
"Jeszcze Polska nie zginęła!"

Czyj to głos daleki woła?!
Nasłuchuję poprzez ciszę —
Milczy pole dookoła,
Jeno fala się kołysze;
Docierają tylko jęki
Tych, co giną w lasach, jarach,
Smutne, przytłumione dźwięki:
„Polska, Polska już na marach!"

Nagle w cichy syk płomienia
Wdarł się głos trąconej struny.
Jak ten dźwięk się rozprzestrzenia,
Głazy ciska i pioruny!
Mistrzów pieśni życie słucha,
Ożywają martwe dzieła;
Mnie zaręcza mocarz ducha:
„Jeszcze Polska nie zginęła!"

1833

Przełożył
Leopold Lewin

Maria Dąbrowska

SZKICE Z PODRÓŻY

(Z KSIĄŻECZKI O MICKIEWICZU)

1

Dopiero w czasie jazdy autem niemieckiego Związku Pisarzy z Berlina do Wartburga (Eisenach) dowiedziałam się, że zbaczamy ku Weimarowi (gdzie pobyt związany z uroczystościami Schillerowskimi przewidziany był na dnie późniejsze), by odwiedzić poetę Ludwika Fürnberga. Ta dystrakcja podróży wywołuje mieszane uczucia. Z jednej strony przyjemne zdziwienie z powodu łatwości, z jaką jesteśmy zapraszani do prywatnych domów pisarzy (już pierwszy wieczór w Berlinie spędziliśmy w mieszkaniu prywatnym na niewymuszonej rozmowie), co nie jest cechą każdej dzisiejszej podróży; z drugiej strony niemiłe zaskoczenie; dlaczego nie uprzedzono mnie o mającej nastąpić wizycie; czemu narzuca mi się poniekąd bytność u pisarza, o którym nic a nic nie wiem, do czego nie wstyd mi się przyznać, gdyż niewątpliwie i on nic nie wie o mnie. Mój towarzysz podróży, Mieczysław Jastrun, jest w korzystniejszym położeniu. Był już dwa razy w Weimarze, zna, jak to się mówi, „wszystkich"; jego *Mickiewicz* w niemieckim przekładzie też jest mniej więcej znany, przynajmniej w szczupłych kołach, w jakich się obracamy. Jastrun więc objaśnia mnie, że Luis Fürnberg jest autorem książeczki o spotkaniu Mickiewicza z Goethem w Weimarze, ogłoszonej zresztą już i po polsku w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Pani Christa Wollf, młoda, nad wyraz ujmująca osoba i podobno obiecujący krytyk literacki, widząc brak zachwytu na mojej twarzy, zapewnia mnie, że wizyta nie potrwa długo, a na pociechę pokazuje mi fotografie swojej córeczki. Jastrun odwdzięcza się jej tym samym, demonstrując fotografie swojego synka. Pokazywanie sobie wzajem zdjęć rodzinnych noszonych w torebkach i pugilaresach odgrywa, podobnie jak papieros, filiżanka kawy albo herbaty, pewną rolę w podtrzymywaniu wątłych jeszcze węzłów świeżej znajomości.

Jest zimny maj 1955 roku. Spóźniona zieleń cierpnie pod lodowatym wiatrem, sady z trudem usiłują rozkwitać. Napis: *„Ausfahrt!"* Skręcamy z autostrady w igrek zjazdu. Niebawem docieramy do Weimaru, długo szukamy ulicy M. Rainera Marii Rilkego, przy której mieszka poeta. Willa z ogrodem, auto, w dostatnio urządzonym pokoju kawa, likiery, słodycze, głośny śmiech, dużo głośnego męskiego śmiechu; Fürnberg — ogromny, rozłożysty, jowialny i na wszystkie strony „rozrywany": 1 Maj, Dichtertreffen w Wartburgu, Schil-

lersehrung w Weimarze; „jeden z ulubieńców epoki" — myślę pomimo woli. Ożeniony jest z Czeszką, sam urodził się i wychował w Czechach; z chwilą utworzenia się Niemieckiej Republiki Demokratycznej przyjął jej obywatelstwo.

Mimo nielicznego towarzystwa czuję się obco i nieśmiało, jak to bywa śród ludzi prawie lub całkiem nieznajomych; z zajęciem jednak słucham żywej dyskusji na tematy poetyckie i podziwiam Jastruna, który jest jak u siebie, swobodnie bierze udział w rozmowie a nawet popada w gwałtowną polemikę. Zna doskonale nie tylko starą klasyczną, ale i współczesną poezję niemiecką, sypie obficie cytatami, nadając twardo wymawianej niemczyźnie miękkie, śpiewne, iście pod-lwowskie kadencje. Ta dziwna mieszanina twardości i śpiewności dotąd została mi w uchu. Podoba mi się śmiała, nieskrępowana wymiana zdań między polskim i niemieckim poetą; jak to uzdrawia, oczyszcza atmosferę! Lecz Luisa Fürnberga miałam w pełni ocenić dopiero później, podczas następnego tygodniowego pobytu w Weimarze. Poznałam go wtedy jako człowieka dużej kultury, delikatnego, dowcipnego i obdarzonego poczuciem humoru, co zawsze rozładowuje sztywność i oficjalność przygodnych spotkań. Ofiarował mi tomik swoich bardzo subtelnych wierszy oraz książeczkę *Die Begegnung in Weimar (Spotkanie w Weimarze),* którą przeczytałam już w Niemczech, ale dopiero po powrocie do kraju przemyślałam ją i zapoznałam się z jej polskim przekładem. Tej książeczce chcę też słów kilkoro poświęcić. Zdaje mi się bowiem, że każda publikacja na tematy polskie, powstała z inicjatywy i niejako z własnego natchnienia cudzoziemca, warta jest bacznej i serdecznej uwagi.

2

W dwunastu krótkich rozdziałkach Fürnberg daje nam szereg scen rozgrywających się w domu Goethego na Frauenplan, w pokojach gospody (dziś nowoczesnego hotelu) „Pod Słoniem", na ulicy, w parku wreszcie, gdzie znajduje się letni domek Goethego, jego ulubiona samotnia. Jest w tych scenach dużo ciepła, dużo Weimaru i kolorytu epoki. Postacie kreślone są wyraźnie, ręką życzliwą i rozumną, w miarę potrzeby — żartobliwą albo krytyczną. Dialogi toczą się połyskliwie i nawet rozmowy na tematy ogólne nie są nużące. Krótko mówiąc książkę czyta się z ciekawością, z sympatią i jednym tchem.

Powstaje, oczywiście, zagadnienie, na ile jest ona prawdziwa historycznie. Gdy mamy do czynienia z Goethem, zaraz przychodzi na myśl jego *Wahrheit und Dichtung,* tym bardziej tu stosowne, że idzie nie o pracę naukową, lecz o powiastkę „z życia wyższych sfer"... umysłowych. Fürnberg w objaśniającym komentarzu powiada, że jego utwór jest „zaledwie miniaturą, którą autor poważa się nazwać »improwizacją«". Zastrzega się jednak, że jego „improwizacja" nie jest płochym wymysłem, lecz oparta została na przekazach źródłowych. Co prawda głównym z tych przekazów są *Listy* Odyńca, które przywykliśmy uważać za źródło niezbyt poważne ze względu na pewną powierzchowność i naiwność ich autora; cóż jednak robić, skoro do wizyty w Weimarze to jest źródło niemal jedyne. Fürnberg powołuje się również na wykłady Mickiewicza, nie cytuje natomiast *Pamiętników* Holtei'a, którego w przypisach cytuje polski przekład. Ponieważ jednak Karl Holtei (aktor i literat)

występuje w opowiadaniu Fürnberga osobiście, należy przypuszczać, że i to źródło autor *Spotkania* wziął pod uwagę. Co do mnie nazwałabym tę książeczkę nie tyle improwizacją, ile swobodnymi i przyjemnymi wariacjami na temat pobytu Mickiewicza w Weimarze.

3

Dwie rzeczy uderzyły mnie w dziełku Fürnberga szczególnie. Jedną z nich chciałabym wziąć w obronę; drugą — lekko zakwestionować.

Z tekstu Fürnberga wynika, że nie tylko Mickiewicz był pod silnym wrażeniem Goethego i pobytu w Weimarze, lecz i sam wywarł wrażenie i na Goethem, i na weimarskim towarzystwie, a nawet stał się poniekąd ośrodkiem jego zainteresowania. Jakoż z perspektywy czasu rzecz uważając, Mickiewicz był chyba najwybitniejszym zagranicznym gościem owych 80-tych urodzin Goethego. Czy jednak w ówczesnej rzeczywistości mógł być choćby mniej więcej zauważony i oceniony — oto pytanie. W rozmowach z przyjaciółmi (i nie byle jakimi znawcami przedmiotu) zdarzyło mi się słyszeć opinie, że ta właśnie strona książeczki Fürnberga nastręcza wątpliwości. Że Fürnberg stwarza tu mit pod sugestią dzisiejszych prądów współpracy i przyjaźni. Wielki „Olimpijczyk", stojący po sam kres życia na niewzruszonym szczycie popularności, sławy i życiowych zaszczytów, nie mógł tylu względów okazywać młodemu, nieznanemu poecie (a nawet obu młodym poetom) nieznanego kraju. Według tychże opinii Mickiewicz był dla Goethego nade wszystko gościem zaprotegowanym przez bilecik Marii Szymanowskiej, którą autor *Fausta* zachwycał się i jako artystką, i jako kobietą. Przybywającemu w tym charakterze Polakowi mogły być przez grzeczność okazane niejakie wyróżnienia. Podobną interpetację znajdujemy również w polskiej powieści biograficznej, w *Mickiewiczu* Jastruna. Nasz autor posuwa się dalej. W jego ujęciu nie tylko Goethe traktuje wizytę jako marginesowy drobiazg, lecz i Mickiewicz odczuwa zdawkowość własnych odbytych czy możliwych rozmów z Goethem, przetrawia w sobie gorzką obcość i starego radcy dworu, i jego środowiska. A trzeba przyznać, że domniemane stany duchowe wielkiego starca i wielkiego młodzieńca, podkreślające raczej to, co ich dzieli, niż to, co ich mogłoby łączyć, są przedstawione u Jastruna przekonywająco i z ogromnym talentem. W samej rzeczy i Goethe, i Mickiewicz mogli mieć takie uczucia i takie myśli, jakie przypisuje im Jastrun. Ale musieli mieć nie tylko takie nastroje. Spotkanie początkującej wielkości z wielkością tryumfalnie już utrwaloną to rzecz zawiła i przeżycia z tym związane są na pewno dwoiste lub wielorakie. Jastrun pokazuje nam wizytę weimarską od strony, jakby powiedzieć, pejzażu wewnętrznego zupełnie jednoznacznego, wyłącznie smutnego, jakby wskazującego na daremność i konwencjonalność takich spotkań. Jastrun miał prawo dać taką interpretację, choćby przez analogię do późniejszej o pięć lat wizyty Mickiewicza u Wiktora Hugo, gdzie według relacji, nie polskiej nawet lecz francuskiej, nasz wielki poeta doznał rzeczywiście zdawkowego i oschłego przyjęcia.

Fürnberg podszedł do tematu nie tak subiektywnie, pokazał nam wizytę weimarską od strony „pejzażu zewnętrznego". Tą obiektywna interpretacja, wciągająca w grę cały zespół osób uczestniczących niejako w przyjmowaniu

Mickiewicza, wydaje mi się jakby dopełnieniem lirycznej interpretacji naszego świetnego poety. A w punkcie dotyczącym żywego zainteresowania, jakie wzbudził Mickiewicz, zdaje mi się bliższą ówczesnej prawdy weimarskiej. Na czym to wrażenie opieram? Przede wszystkim nie sądzę, aby to, że Mickiewicza na życzenie Goethego rysował Schmeller, a rzeźbił David d'Angers, było tylko przejawem uprzejmości wobec Marii Szymanowskiej, stanowiącej bądź co bądź w życiu Goethego miłe, ale już niepowrotne wspomnienie. W Domu Goethego widzi się dużo rysunkowych portretów Schmellera; lecz są to raczej właśnie portrety bądź osób wybitnych, bądź bliskich lub dobrych znajomych gospodarza. Pierwszego lepszego z gości Goethe nie kazałby portretować, nawet gdyby był protegowanym pięknej kobiety. Słowa, w jakich wspomina o tym portrecie Otylia (z domu Pogwisch), synowa Goethego i osoba niezmiernie mu bliska, w liście do Mickiewicza (znalezionym w archiwach Muzeum Goethego i udzielonym mi przez p. Annę Milską), świadczą, że nie był to błahy gest uprzejmości. Następnie trzeba pamiętać, że świat interesujący się sztuką i literaturą był wówczas bardzo wąski, a tym samym, kto znalazł się już raz w tym kole, należał niejako do rodziny. Dziś trzeba być znanym przez wielkie rzesze ludzi, aby w ogóle być znanym. W czasach wizyty weimarskiej szczupłe kręgi mniej albo bardziej oświeconych Dworów, światlejszej arystokracji czy szlachty i — jak na Zachodzie — co wyborowszego mieszczaństwa wystarczały, by daną osobistość „pasować na rycerza" literatury czy innych dziedzin sztuki. Cokolwiek myślanoby wtedy o Rosji „w ogóle", uznawano jej elitę duchową i artystyczną za równorzędną takiej samej elicie innych krajów; a młody poeta, który był przyjacielem Puszkina i księcia Wiaziemskiego, którym zachwycały się księżne i hrabiny rosyjskie i którego polecała wielka polska pianistka w tychże sferach przecie grywająca, mógł na pewno liczyć na szczere zainteresowanie samego nawet Goethego, nie mówiąc o jego środowisku. I nie dlatego, że to były „wysokie sfery", lecz że w tych sferach istotnie urabiały się wtedy trafne kryteria smaku i sądy artystyczne. A że w tych samych sferach wykluwały się i dążenia przyszłościowe, aż do rewolucyjnych włącznie, Mickiewicz mógł w Weimarze wzniecić gorącą sympatię również u ludzi sprzyjających podbitym narodom i walkom wyzwoleńczym.

Nie wydaje mi się też, niech mi wybaczy mój znakomity kolega, żeby „gra towarzyska z paniami... wyuczona w moskiewskich salonach... świadczyła... dostatecznie — jak pisze Jastrun — o rezygnacji poety z próby poważniejszego kontaktu z (weimarskim) otoczeniem". Ani żeby świadczyło o tym zdanie z *Pamiętnika* Holtei'a: „a u płci pięknej w Weimarze takie znalazł (Mickiewicz) uznanie i współczucie, jak gdyby z Anglii lub ze Szkocji pochodził". Kobiety wprawdzie w sposób naturalny ulegały wdziękowi osobistemu poetów czy urokowi sławy, ale były też wówczas w omówionych wyżej „sferach" (niezależnie od wszystkiego, co można by o nich powiedzieć) także bardzo dobrymi znawcami literatury i sztuki, czułymi na rzeczywiste wartości artystyczne a nawet umiejącymi je przeczuwać. Panie też weimarskie dbały prawdopodobnie i o to, aby wielki Goethe nie przeoczył młodego polskiego poety. O tym wszystkim świadczyłby, jak myślę, wspomniany wyżej list Otylii Goethe, pisany do Mickiewicza do Rzymu 3 marca 1830 roku, a więc bynajmniej nie świeżo pod wrażeniem jego wizyty odbytej w sierpniu roku poprzedniego.

Warto przytoczyć choć kilka luźnych zdań z tego listu. „Może Pan być przekonany — pisze Otylia — że imię Pana żyje wciąż w naszym domu, wspominane nie tylko z szacunkiem, lecz z sympatią i mogę Pana zapewnić, że to uczucie dla Niego w sercach naszych będzie żyło nadal. Zrozumie Pan sam, jak rada byłabym Pańskiemu listowi, nawet gdyby Pan nie był tym sławnym człowiekiem, aczkolwiek i to nie jest bez znaczenia. Proszę się nie śmiać z mojego wyznania, podzielam zdanie Schillera, że największe i najwyższe dobro życia to sława. Gdyby Pan mógł widzieć, jak ja to widziałam, ów pełen wzruszenia wzrok, jakim pewien młody Polak spoglądał tu na portret Pana, to by Pan zrozumiał, że sława jest najpiękniejszą i nieśmiertelną więzią, która łączy człowieka z jego ojczyzną, z jego narodem poprzez wszystkie pokolenia... Mój teść jest, Bogu dzięki, zdrów i bardzo zatrudniony drugą częścią *Fausta;* przekazuje przeze mnie dla Pana najserdeczniejsze pozdrowienia... Byłoby mi bardzo miło, gdyby Pan przesłał cośkolwiek przez Pana Odyńca do *„Chaosu"...*" etc.* *„Chaos"* to pismo powstałe z inicjatywy Otylii Goethe i jakiś czas pod półżartobliwym protektoratem wielkiego starca wydawane; znamienny tytuł, świadczący o inteligencji literackiego środowiska Weimaru, bo przecie świat ówczesny daleki był od wewnętrznego ładu i harmonii.

Ale nie odbiegajmy od Fürnberga. Jest niewątpliwie sporo przesady w miłości do Goethego tak wielkiej, że aż łzy wyciskającej z oczu, jaką autor każe odczuwać Mickiewiczowi. Fürnberg może też nie wiedzieć o istnych piekłach wewnętrznej tortury, jakiej pastwą bywała skomplikowana dusza Mickiewicza-emigranta, o czym posiadamy aż nadto wiadomości w źródłach epoki. W przedstawieniu tych stron życia poety dzieło Jastruna jest po prostu mistrzowskie. Niemniej myślę, że zgodnie z opowiadaniem Fürnberga Mickiewicz przyjmowany był w Weimarze ze szczerym i życzliwym zainteresowaniem, które sprawiło, być może, i jemu odrobinę radości. Czy takiemu domniemaniu przeczy paryska wizyta Mickiewicza u Victora Hugo, który wedle świadectwa Francuza Pavie (cytuję za Jastrunem) obdarzył poetę tylko „protekcyjnym ukłonem", po czym zwrócił się do innych gości, a „wielki polski poeta wymknął się niepostrzeżenie, jak był przyszedł"? Myślę, że nie. W ogromnym Paryżu, gdzie działał już inny układ sił i kształtowały się inne kryteria powodzenia, mogły nie podziałać te okoliczności, które w Weimarze wystąpiły jeszcze z całą czystością. Wchodzą też w grę odmienne osobowości. „Cesarz francuskich poetów", którego Pavie nazywa „naiwnie pogrążonym w swej wielkości", obdarzony był gigantycznym przerostem „des Ich-Gefühl", aby użyć zwrotu niemieckiego. Mickiewicz zresztą — co tu skrywać — też nie zawsze dobrze przyjmował nawet ludzi zasługujących na względy; a nie podobającego mu się gościa potrafił wyrzucić za drzwi.

4

Druga rzecz, o której — na odwrót — rada bym z autorem *Spotkania w Weimarze* podyskutować, to rozmowy prowadzone w jego książce. Na ogół są to dialogi nie tylko zajmujące, ale i historycznie bardzo prawdopodobne. O tej drugiej właściwości świadczy m. in. pewna zgodność omawianych przez postacie Fürnberga kwestyj z monologami, jakimi darzą oszołomioną sześćdzie-

* Przekład Anny Milskiej.

sięciotrzyletnią heroinę *Cierpień młodego Werthera* nieproszeni goście, oblegający na wieść o jej przyjeździe do Weimaru gospodę „Pod Słoniem" w powieści Tomasza Manna *Lotte in Weimar*. Wskażmy choćby na świetny motyw krytycznego „plotkowania" o Goethem występujący i u Manna, i u Fürnberga. To samo dotyczy kilku innych przedmiotów dialogu, jak np. postawa pisarza wobec społeczeństwa i jego dziejów (dramat Goethego w czasie wojen napoleońskich) itp. Możliwe, że obaj pisarze, jeden na miarę swego talentu, drugi na miarę swego geniuszu, korzystali z tych samych źródeł, mieli z różnych powodów to samo wyczucie prawdy czasu i dlatego nie ma między nimi sprzeczności, a nawet ujawniły się pewne podobieństwa, tym bardziej uzasadnione, że akcję opowiadania Fürnberga (1829) od akcji powieści Manna (1816) przedziela zaledwie trzynaście lat. Możliwe, że Fürnberg czerpał materię do rozmów bezpośrednio z Manna czy pisał pod jego wpływem, co bynajmniej weimarskiemu poecie nie uwłacza. Ale nie to jest ważne. Ważne jest, że ta pewna — *toutes proportions gardées* — zgodność tematów konwersacji podnosi, jak już wspomniałam, historyczną wartość książeczki Fürnberga. Mann jest nie tylko autorytetem artystycznym, ale — ze względu na swą wszechstronną wiedzę — pewnego rodzaju autorytetem naukowym. I to, co się godzi z jego rozpoznaniem, jest na pewno u Fürnberga zgodne z historią. Tyle o dobrych stronach dialogów *Spotkania w Weimarze*. Z kolei — nieduże, ale istotne zastrzeżenie.

Spora część rozmów książeczki Fürnberga dotyczy Rosji, caratu i procesu dekabrystów. To w porządku. Jakkolwiek żadne znane źródła o tym nie wspominają, takie rozmowy z Mickiewiczem, przybywającym niemal bezpośrednio ze swego „tryumfalnego zesłania" w Rosji, są historycznie możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne. Zdaje mi się, że dla wywołania fantazją pisarską takich rozmów nie potrzeba było nawet wprowadzać do opowiadania postaci szpiega Sherwooda, która daje Mickiewiczowi niejako impuls do mówienia o dekabrystach i której Fürnberg poświęca dość dużo miejsca. Wszystko, co Mickiewicz Fürnberga mówi na wspomniane tematy, zaczerpnięte zostało przez autora z Wykładu Literatur Słowiańskich mianego w dniu 7 czerwca 1842 roku, gdzie jest również mowa o Sherwoodzie, szpiegu carskim, który wydał dekabrystów. Lecz o ile dopuszczalne jest mniemać (choć i o tym żadne źródła zdaje się nie wspominają), że Mickiewicz już w Weimarze wiedział to wszystko o Witcie, Boszniaku i Sherwoodzie, co mówi o nich w 1842 roku, to nie łatwo jest uwierzyć w to, że właśnie Sherwood był na 80-tych urodzinach Goethego. I że zdemaskowanie go przez Mickiewicza śród weimarskiego towarzystwa wywołało tak małe i raczej zabawne niż ponure wrażenie. Tu brak źródeł, które, o ile wiem (choć mogę się mylić), nigdzie o takim gościu weimarskim nie wspominają, nakazywałby raczej ostrożność. Nie o to mi jednak idzie. Idzie mi o pewien brak proporcji w rozmowach na te właśnie tematy. Sprawa dekabrystów i w ogóle ruchów rewolucyjnych w Rosji tak u Fürnberga dominuje, że sprawa Polski, polskiej literatury i historii schodzi w opowiadaniu do roli niedostrzegalnego prawie szczegółu spraw rosyjskich. Mickiewicz mówi o Puszkinie, Rosji, dekabrystach — „my", „u nas". O Puszkinie powiada: *„Auch wir haben einen Riesen, einen unserer Seele über alles teuren Riesen: Puschkin"*. Pomijając drobne błędy dalszej części tego dialogu (Holtei p r z e c i w s t a w i a losowi Polski „mającej jednego tylko tyrana"

los r o z d a r t y c h na drobne części Niemiec), Mickiewicz, nawet gdyby w pełni doceniał braterstwo broni postępowej i rewolucyjnej Rosji z polską walką o wolność, nie mógł się przecież aż tak utożsamiać z najlepszą nawet Rosją, by mówić niejako w jej imieniu. To nie jest historycznie prawdziwe. W polskim wydaniu książeczki Fürnberga złagodzono ten mankament tłumacząc zacytowane zdanie przez: „Weźmy innego tytana bardzo nam drogiego: Puszkina". Nie jestem, jak wiadomo, zwolenniczką odstępstwa przekładów od oryginału. Ale w tym wypadku była to poprawka błędu rzeczowego.

Dysproporcja, o której wspominam, była do uniknięcia przez cokolwiek obszerniejsze wprowadzenie polskiego tematu do rozmów. Materiał do takiej „improwizacji", owszem, istnieje. W związku z wpływem Schillera i Goethego na środowisko filareckie i na młodzieńczą poezję samego Mickiewicza trudno sobie nawet wyobrazić, aby nie potrącono bodaj o te sprawy. Przy tym utwory Mickiewicza były wydane w Niemczech już w roku 1828. W niemieckich Atenach, jak nazywano Weimar, nie musiał, ale mógł się przecie znaleźć ktoś, co je znał lub o nich wiedział. A przesyłając Goethemu list polecający Marii Szymanowskiej Karolina Jaenisch przesłała mu zarazem swój przekład części *Konrada Wallenroda;* wolno przypuszczać, że Goethe ją przeczytał, a jeszcze prawdopodobniejsze jest, że zainteresowała się tym Otylia Goethe. Dodajmy, że imię największego niemieckiego poety otaczane było w Polsce szacunkiem i znane bardzo wszechstronnie; ledwo pół roku minie od weimarskiej wizyty Mickiewicza, gdy warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk nada Goethemu godność członka honorowego. Co więcej, Goethe był w Polsce. W roku 1790 podróżując ze swym księciem odwiedził Kraków, Bochnię, Wieliczkę i Częstochowę. Fürnberg mógł, oczywiście, tego wszystkiego nie wiedzieć i dlatego do „polskich" rozmów starczyło mu wątku na dwa, trzy uboczne nikłe zdania. W jednym z nich autor każe Mickiewiczowi na wieczorze u Otylii Goethe mówić „o różnicach charakteru i melodii piosenek (ludowych) z poszczególnych dzielnic Polski". Otóż ten „temat polski" (nie podjęty zresztą w bezpośrednim dialogu) jest właśnie dosyć problematyczny. Mickiewicz, jak wiadomo, nie był nigdy w życiu w Warszawie ani Krakowie, a z wiejskich okolic Polski rdzennej poznał tylko część Wielkopolski w okresie wiosenno-letnim 1831 roku, a więc w dwa lata mniej więcej po wizycie weimarskiej. Mimo całej swej romantycznej ludowości, powątpiewam, aby mógł być w czasie tej wizyty właśnie informatorem o charakterze i melodiach pieśni ludowej „w poszczególnych dzielnicach Polski", choć o znaczeniu „pieśni gminnej" w ogóle mógł mówić jak najbardziej. Nie chcę też bynajmniej powiedzieć, że Mickiewicz znał wówczas tylko piosnki ludowe, które śpiewano na Litwie. Ten geniusz polszczyzny chłonął Polskę zewsząd, nawet z obcego powietrza. Lecz chyba nie folklor poszczególnych dzielnic Polski był akurat polskim tematem jego weimarskich rozmów. Tyle o małym niedociągnięciu wdzięcznej książeczki Fürnberga.

5

I jeszcze jeden drobiazg. W posłowiu autorskim, zawierającym także przypisy objaśniające, Fürnberg między innymi komentuje przytoczone wyżej zdanie Mickiewicza o Puszkinie, zdanie, którego dalszy ciąg brzmi: „I on (Pusz-

kin) także sprawia nam ból". Tematem rozmowy, w której to zdanie pada, jest cierpienie, jakiego przyczyniają nam czasem wielcy ludzie przez swą postawę nie dla każdego zrozumiałą lub nie przez wszystkich uznawaną. W związku z tym Fürnberg pisze: „Wyjaśnienie tych w usta Mickiewicza włożonych słów znajdziemy w politycznych przeciwieństwach, jakie między nim a Puszkinem powstały. Uwikłany w małostkowe szlachecko-nacjonalistyczne przesądy, nie potrafił Mickiewicz rozpoznać politycznej siły i dalekowzroczności genialnego twórcy *Spiżowego jeźdźca.*" To zdanie jest oparte na jakichś mylnych informacjach. Między obu wielkimi poetami w istocie powstały rozdźwięki, kiedy to ciskali w siebie wierszami jak oszczepami. Lecz działo się to nieco później, mianowicie po powstaniu 1830—31 roku. Zrozumiałe po klęsce powstania zaognienie uczuć patriotycznych u Mickiewicza wziął Puszkin za sprzeniewierzenie się idei „wspólnoty słowiańskiej". W wierszu *Do Mickiewicza* wspominając, jak nasz poeta w Rosji „mówił o przyszłych czasach, gdy narody zapomną waśni — i w rodzinę wielką połączą się...", Puszkin pisze:

Opuścił potem nas,
Na zachód odszedł — i błogosławieństwem
Żegnaliśmy go. Ale gość nasz cichy
Teraz nam wrogiem stał się, co trucizną
Przepaja wiersze swoje na uciechę
Bujnej gawiedzi. Z dala nas dochodzi
Poety głos wezbrany nienawiścią...

Mickiewicz ze swej strony w niezrozumieniu przez Puszkina sprawy roku 1830—31 dopatrzył się wpływów Dworu i carskiej koncepcji słowianofilstwa. Wiadomo — że wszystko, co jest gorzkiego w wierszu *Do przyjaciół Moskali,* zwrócone było do Puszkina. Ten rozdźwięk (nie istniejący jeszcze w okresie wizyty weimarskiej) minął z czasem. Przyjaźń i bliskość dwu wielkich poetów była tak silna, że wytrzymała próbę; zachowali wzajem dla siebie do końca kult i szacunek, można to w każdym razie powiedzieć o dłużej żyjącym Mickiewiczu, który i w nekrologu po śmierci Puszkina, i w paryskich wykładach oddał wszelką należną sprawiedliwość geniuszowi rosyjskiej poezji, wymazawszy z pamięci przelotne niesnaski ducha. Niesnaski, których wysoki poziom nie ulega wątpliwości, a których istotny sens i charakter nie upoważniają bynajmniej do przeciwstawienia, jakie sformułował Luis Fürnberg w swym posłowiu. Lecz Fürnberg tu nie zawinił. Myśmy tu zawinili. Spór Puszkina z Mickiewiczem jest dzisiaj przemilczany lub tuszowany, choć nie przynosi on ujmy żadnemu z obu poetów nie będących jagniętami, a żyjących wszak w dramatycznie splątanej historii swych narodów. A oto jakie z tych przemilczeń wynikają nieporozumienia, sięgające daleko poza Polskę! Dodam, że sporządzając przypisy do polskiego wydania, w którym zużytkowano niektóre komentarze z posłowia Fürnberga, słusznie opuszczono ten niezbyt fortunny i krzywdzący Mickiewicza przypis.

Omówione tu drobne niedopatrzenia są koniec końców zrozumiałe u autora potrącającego o cudzoziemski temat. Nie wiem, czy te uwagi dotrą do autora *Spotkania w Weimarze.* Ale jeżeli dotrą, nie wątpię ani na chwilę, że Luis Fürnberg z łatwością pojmie, jak bardzo mnie obchodzi jego cenne opowia-

danie. Książeczka Fürnberga jest mi tak miła, że obchodzi mnie nawet jej okładka. Mamy na niej rysunek przedstawiający Mickiewicza według popularnego dagerotypu z roku 1844; to sprawia, że obaj z Goethem wyglądają na tym rysunku jak starzy ludzie. Czy nie lepiej byłoby przy następnym wydaniu skorzystać z wcześniejszego portretu, choćby z rysunku Schmellera, właśnie w Weimarze robionego? W rysunku polskiej okładki (ba, Uniechowski!) świetnie uderza kontrast między osiemdziesięcioletnim Goethem a o pięćdziesiąt lat młodszym Mickiewiczem.

Tak oto majowa podróż weimarska przywiodła mnie w Roku Mickiewiczowskim do Mickiewicza.

Maria Dąbrowska

Manfred Häckel

ADAM MICKIEWICZ W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH MU NIEMCÓW

W dwudziestych latach ubiegłego stulecia Goethe, rozwijając pojęcie „literatury światowej", powiedział pewnego razu do Eckermanna: „Widzę coraz wyraźniej... że poezja stanowi wspólne dobro ludzkości... Dlatego też lubię rozglądać się wśród obcych narodów i radzę, by każdy ze swej strony czynił to samo..." A wkrótce potem Goethe wyraził się, również w rozmowie z Eckermannem: „Dobrze się składa, że teraz, gdy stosunki pomiędzy Francuzami, Anglikami i Niemcami zacieśniły się, mamy możność korygowania się nawzajem. Jest to wielka korzyść kulturalna, która wypływa z literatury światowej i która w coraz większym stopniu wypływać z niej będzie".

Obydwa te zdania wskazują, jak wielką wagę przykładał Goethe do tego pojęcia, które tak mistrzowsko potrafił określić, a które my dziś możemy zamknąć w prostych i jasnych słowach: zadaniem literatury jest łączyć narody. Za „literaturę światową" Goethe uważał bowiem nie tylko kontakty między narodami za pośrednictwem piśmiennictwa narodowego i wyrastające stąd wzajemne zrozumienie, lecz w ramach tej definicji zamykał wzbogacanie się kultury własnego narodu poprzez przyswajanie innych kultur narodowych.

Z myśli tej — ażeby poznając kulturę innego narodu uczyć się kochać i szanować naród, którą ją wydał — wywodzi się uchwała Światowej Rady Pokoju, głosząca, iż corocznie obchodzone będą uroczystości ku czci wybitnych przedstawicieli poszczególnych kultur narodowych, których wkład wzbogaca zarazem kulturę światową.

Bez wątpienia nie jest to przypadkiem, że rok 1955 jest rokiem poświęconym Mickiewiczowi — Polakowi, i Schillerowi — Niemcowi. Schiller i jego poezja wywarły niezatarte wrażenie na młodym Mickiewiczu. Wystarczy przypomnieć sobie *Odę do młodości*. Wiersz ten, chociaż jest utworem na wskroś narodowym, pozostaje niewątpliwie pod wpływem wierszy wolnościowych Schillera: motto do *Ody do młodości* — *„Und die alten Formen stürzen ein"* zaczerpnięte jest z wiersza Schillera. Co więcej: cały polski romantyzm rewolucyjny w znacznym stopniu kształtował się pod wpływem Schillera i Byrona.

Że Schiller wywierał wpływ na Mickiewicza i na polską literaturę romantyczną, wiadomo powszechnie; zagadnieniem tym interesowała się nie-

mała liczba naukowców. Natomiast o przyjęciu, z jakim spotkały się utwory Mickiewicza w Niemczech, pisano dotychczas zbyt mało, chociaż utwory te w ubiegłym stuleciu — począwszy od roku 1848 — były coraz częściej tłumaczone i wydawane i znajdowały coraz to więcej entuzjastycznych omówień na szpaltach czasopism literackich.

Recepcja utworów Mickiewicza w Niemczech ma wszakże inne akcenty niż recepcja Schillera w Polsce. Należy podkreślić to na wstępie. Wśród współczesnych mu Niemców Mickiewicz cieszył się ogromnym uznaniem jako wielki poeta narodowy; czcili go jako przedstawiciela ludu, który od dziesiątków lat uciskała reakcja europejska. Tłumaczono jego wiersze na niemiecki, nie tylko dlatego, że była w nich prawdziwa poezja, ale że opromieniała je świadomość narodowa. Mówić jednak o bezpośrednim wpływie Mickiewicza na literaturę niemiecką nie można.

Przyswajając utwory wielkiego poety polskiego narodowi niemieckiemu, współcześni Mickiewicza popierali walkę Polaków o wolność i zjednoczenie, stawali po ich stronie przeciw reakcji europejskiej.

W Niemczech poznano Adama Mickiewicza dopiero wtedy, kiedy — w Polsce i w Rosji od dawna już znany i czczony — dzięki szczęśliwym okolicznościom umknął spod władzy caratu i udał się w podróż po Europie Zachodniej. Dopiero w latach 1829/1830 po raz pierwszy pojawia się jego nazwisko na łamach niemieckich gazet i periodyków literackich. Wprawdzie już w roku 1824 w lwowskim piśmie *„Mnemozyna"* ukazały się sonety Mickiewicza w przekładzie na niemiecki, należy jednak przypuścić z dużym prawdopodobieństwem, że szerszemu ogółowi niemieckiemu pozostały one nieznane.*

Obraz, jaki niemieckie społeczeństwo wyrobiło sobie o Mickiewiczu, zmieniał się w ciągu pierwszych dwóch lat jego popularności — co wskazuje nie tylko na wielką siłę niezwykłej indywidualności poety, która mogła promieniować także i na zagranicę, ale i na fakt, że z wielkim zapałem śledzono w owym czasie w Niemczech przejawy literatury cudzoziemskiej i z wielką jasnością sądu umiano je ocenić.

Jeszcze w maju 1829 r. w gazecie *„Blätter für literarische Unterhaltung"*, która wychodziła w Lipsku nakładem Brockhausa, w artykule zatytułowanym *Nowe wiersze rosyjskie i polskie* mowa jest o Mickiewiczu — wprawdzie z pełnym uznaniem dla jego talentu poetyckiego — ale wymienia się go w szeregu innych nazwisk. „Zanotować należy, iż dokonany w Paryżu przez pewną bogatą damę przedruk zebranych wierszy ulubionego poety *Mizkewitscha* stał się wielkim wydarzeniem w polskiej literaturze pięknej... Ballady *Mizkewitscha* uznane zostały za najznakomitsze z tego, co w języku polskim napisano, a najoryginalniejsza i najsłynniejsza z nich to *Pani Twardowska...*"

Lecz już po roku, w lipcu r. 1830, w tej samej gazecie ukazuje się ponownie recenzja z tegoż zbiorku wierszy, w której przy ocenie poety występują całkiem nowe akcenty. Nie nazywa się już Mickiewicza tylko „ulubionym poetą", lecz charakteryzuje się go jako poetę związanego z ludem, poetę, który ma spełnić misję narodową. Szczególnie podkreślone są dwie wybitne cechy Mic-

* To samo czasopismo drukowało szereg wierszy Mickiewicza w następnych latach — w 1827 r. — Nr 27; w 1828 r. — Nr 19, 38, 49, 51, 53, 56, 58, 62, 67, 74, 109, 135; w r. 1830 — Nr 5, 16; 1831 — Nr 88; w r. 1832 — Nr 3, 95.

kiewicza i jego poezji: po pierwsze ludowość: „Jest to jedna z niepoślednich zalet Mickiewicza; dzięki niej staje się on poetą narodowym..." Po drugie — rola Mickiewicza, jako przywódcy szkoły romantycznej, w literaturze polskiej zostaje trafnie oceniona w stwierdzeniu: „...stał się on żywym hasłem zrzucenia przeciwnych naturze, ograniczających swobodę ducha więzów..." Recenzent, jak to wynika z innych jego uwag, musiał dobrze znać literaturę polską, rozumiał, że polska poezja romantyczna, to poezja bogata w idee wolnościowe, poświęcona walce o zachowanie narodu — dodać należy, że znał już i omawiał *Konrada Wallenroda* — skoro pod koniec artykułu stwierdza (chociaż bez bliższej znajomości faktów): „Romantyczność ściągnęła nań wrogość wśród republiki uczonych, i bardziej ich wpływom niźli swej słynnej *Odzie do młodości* czy wierszowi *Szuba* lub innym występkom politycznym przypisać należy, iż został on zesłany na Krym..."

Z obydwóch artykułów przytoczyliśmy świadomie dłuższe fragmenty, gdyż oba, a zwłaszcza ten drugi, są dla oceny Mickiewicza w Niemczech znamienne. Gorące przyjęcie, z jakim Mickiewicz spotkał się w Niemczech, zawdzięcza on w równej mierze swej wybitnej indywidualności pisarskiej jak działalności narodowej.

Prawdziwą popularność zyskał Mickiewicz dopiero w czasie powstania w r. 1830/31, kiedy to postępowa Europa mogła wykazać swoją solidarność z narodem polskim, sprawiedliwie walczącym o swoje prawa. Od Tamizy po Cisę, aż do Moskwy nawet, oświadczyli się najlepsi z najlepszych za wolnością dla Polski. W Niemczech panował szczególnie wielki entuzjazm dla Polski, gdyż postępowe siły niemieckie zdawały sobie całkowicie sprawę z tego, iż zwycięstwo Polski byłoby dotkliwym ciosem dla Świętego Przymierza Petersburg—Berlin—Wiedeń a także mogłoby mieć pewne znaczenie dla rewolucji niemieckiej. Dziś jeszcze w Polsce śpiewają powstałą w owym czasie pieśń Juliusza Mosena *Die letzten zehn vom vierten Regiment* * jako polską pieśń ludową.

Mickiewicz zostawił narodowi niemieckiemu w podzięce za jego żywą sympatię trwałą pamiątkę. Gdy w roku 1833 *Księgi pielgrzymstwa polskiego* — utwór, poświęcony bohaterskim zmaganiom narodu polskiego i jego nieopisanym cierpieniom po upadku powstania — został przetłumaczony na niemiecki, Mickiewicz przekład ten poprzedził następującą dedykacją:

> *„Diese Bücher des polnischen Volkes unter den Augen des Verfassers getreu ins Deutsche übertragen widmet derselbe dem Deutschen Volke als ein Zeichen seiner aufrichtigsten Achtung und Dankbarkeit für die brüderliche Aufnahme, die ihm und seinen Landsleuten bei demselben auf ihrer Pilgerfahrt geworden.*
>
> Mickiewicz**"

---

* *Ostatnich dziesięciu z czwartego pułku* — pieśń znana u nas jako *Tysiąc walecznych.*

** Cyt. z *Die Bücher des polnischen Volkes und der polnischen Pilgerschaft.* Aus dem Polnischen des Mickiewicz ubersetzt vom P. J. B.—...g...r. — Deutschland, im Jahre der Gnade 1833.

Podczas Powstania Listopadowego i w latach późniejszych, kiedy literatura niemiecka o Polsce osiągnęła nowy rozkwit, kiedy do dobrego tonu należało wiedzieć o życiu polskim i o walkach Polaków i oczywiście znać kulturę polską — wiele polskich utworów literackich tłumaczono na niemiecki i udostępniono niemieckiej publiczności. Nic więc dziwnego, że Adam Mickiewicz, znany już w Niemczech — jak o tym mowa była wyżej — jako wybitny twórca w dziedzinie literatury polskiej, należał do pisarzy, których utwory zyskiwały najwięcej przekładów. W cytowanym już powyżej artykule z *„Blätter für literarische Unterhaltung"* z r. 1830 znajduje się początek drugiej części *Dziadów*. Fragmenty III części *Dziadów* (napisanych w r. 1832 w Dreźnie) były opublikowane w *„Blätter zur Kunde der Literatur des Auslandes"*. *Konrad Wallenrod* ukazuje się za życia poety w trzech różnych przekładach — jednego dokonał Karl Ludwig Kannegieser (ukazał się w Lipsku, nakładem Brockhausa, w r. 1834), drugi pióra Ludwika Nabielaka i J. B. Wernera w tym samym roku wyszedł w Stuttgarcie (zbiór *Światła północy*), trzeci w Berlinie w r. 1855, przetłumaczył Otto Koniecki (I tom *Blüten Slavischer Poesie*, wyd. A. Bahn).

W dwa lata po pierwszym wydaniu *Pana Tadeusza* (Paryż 1834) ukazuje się w Lipsku (1836) *Herr Thaddäus* „aus dem Polnischen des Adam Mickiewicz in Gemeinschaft mit dem Dichter übertragen vom R. O. Spazier".

W tym samym roku wychodzą *Dzieła* Mickiewicza po niemiecku: *Adam Mickiewicz sämtliche Werke. Erster Theil. Gedichte. Aus dem Polnischen übertragen von Carl von Blankensee.* Berlin 1836.

Żałować należy, że temu wiele obiecującemu przedsięwzięciu, jakim było zbiorowe wydanie utworów polskiego poety, niestety zaraz po pierwszym tomie położyła kres nieuleczalna choroba tłumacza, a żaden z późniejszych tłumaczy pracy tej nie kontynuował.

Z większych utworów epickich Mickiewicza wydanych za życia autora największą poczytnością cieszył się *Konrad Wallenrod*. Fakt ten wiąże się ściśle z wpływem Powstania Listopadowego na Niemcy. Wystarczy przypomnieć sobie słowa Maurycego Mochnackiego: „Bez *Konrada Wallenroda* nie byłoby Belwederu" (to znaczy Powstania Listopadowego). Gorąca miłość ojczyzny, bijąca z każdego wiersza tego „poematu bohaterskiego" — jak nazywa ten utwór autor recenzji o przekładzie Kannegiesera — oczarowała tłumaczy. Autor omawianej recenzji poznaje się także na głębokiej zawartości ideowej tego utworu, zamykając ją w zdaniu: „...ofiarna miłość ojczyzny — to klucz do tajemnicy (otaczającej *Konrada Wallenroda* — dopisek M. H.) a zarazem cnota, którą poemat sławi." Nieco dalej recenzent pisze: „Dla niemieckiego czytelnika wszystko tu jest nowe — czas, miejsce, akcja, koloryt poetycki; nowość i świetność obrazów i porównań, głębia myśli i bogactwo głębokich refleksji, przystrojone w szatę całkiem nowej mowy poetyckiej, sprawią, iż każdy wrażliwy czytelnik zbrata się z tym pięknym poematem. Jest to jeden z tych utworów, do których wracamy stale i im bliżej poznajemy, tym większą mamy zeń radość i profit".

Interpretacja tekstu przez recenzenta (którego nazwiska, niestety, nie znamy) jest jednoznaczna. To, że przekłady takiej poezji w okresie poprzedza-

jącym rok 1848 mogły tylko dopomóc Niemcom i wskazać im drogę do ich własnych walk narodowych, widać jak na dłoni.

Wielką zasługę w zaprzyjaźnieniu narodu niemieckiego z Mickiewiczem mają niemieccy poeci i pisarze współczesnej mu epoki. Tutaj najwyraźniej odbija się uwielbienie, jakim otaczano Mickiewicza.

Kiedy dnia 31 sierpnia Goethe, w przeddzień wyjazdu Mickiewicza z Weimaru, wręczył mu kartkę, na której były skreślone słowa:

An den Dichter Adam Mickiewicz
mit einer angeschriebenen Feder
1829
Dem Dichter widm'ich mich, der sich erprobt
und unsre Freundin heiter-gründlich lobt.*

widział w nim słynnego poetę innego narodu, to znaczy czcił w nim pokrewnego ducha, o którym miał wypowiedzieć te piękne słowa (jak podaje Dawid d'Angers): *„On voit que c'est un homme de génie"*.

Natomiast Karl von Holtei, który w tym samym czasie poznał Mickiewicza w Weimarze, wspomina go później tylko jako interesującego, sympatycznego marzyciela, który „...tak wielkim sukcesem cieszył się wśród eleganckiego świata w Weimarze, jak gdyby był przybyszem z Anglii lub Szkocji".

Całkiem inaczej widzi go Ludwik Uhland, który w swym wierszu: *Mickiewicz* (napisanym w roku 1833) wysławia go jako poetę i jako patriotę. Oddając w prostych, niewyszukanych słowach honor największemu poecie polskiemu, jako reprezentantowi nieśmiertelnej kultury jego ojczyzny, Uhland oddaje jednocześnie honor narodowi polskiemu, który wydał Mickiewicza, w końcowych słowach swego wiersza:

Ja, mir bürgt des Liedes Meister:
Noch ist Polen nicht verloren.**

Niezwykle ważne są dwie prace — omówienie Willibalda Alexisa poematu *Herr Thaddäus* (w przekładzie R. O. Spaziera) i szkic krytyczny *Faust trzech narodów* Georga Herwegha, w którym jest mowa o Trzeciej Części *Dziadów* — obie bowiem wykazują tę samą tendencję przedstawienia Mickiewicza jako poety i jako patrioty polskiego. Artykuł Alexisa ukazał się w r. 1836, a więc w tym samym roku, co przekład *Pana Tadeusza*, w numerach 289 i 290 czasopisma *„Blätter für literarische Unterhaltung"*. „Mickiewicz jest wielkim poetą — pisze Alexis. — Mam na to dwa rzucające się w oczy dowody. Jest poetą, jak sądzę, w pełnym, prawdziwym znaczeniu tego słowa, poetą, który ma iskrę bożą, który wyzyskuje swoje zdolności i uprawia swoją winnicę tak, jak mu duch nakazuje." Dalej Alexis pisze: „Skoro dzień w dzień ze wszystkich stron krzyczą nam, że sztuka się skończyła, że poeta musi zerwać więzy pojęć estetycznych i chwycić pochodnię Menady, ażeby służyć nowym bogom, któż by spodziewał się po młodym Polaku,

* Goethe ma tu na myśli panią Celinę Szymanowską.

** „Mnie zaręcza mocarz ducha: Jeszcze Polska nie zginęła!" (przekład Leopolda Lewina).

którego duszę przepala dotkliwy ból i tęsknota za utraconą ojczyzną, który może cierpi niedostatek na wygnaniu, któż by oczekiwał od niego epickiego spokoju, pogodnej rozwagi, artystycznego umiarkowania, politycznej bezstronności?"

Stwierdzenie, iż Mickiewiczowi udało się osiągnąć doskonałość epicką, natchnęło Alexisa do słów, które byłyby najwyższą pochwałą dla każdego poety, bez względu na narodowość: „Tego spokoju, tego opanowania wobec postawionego przed sobą zadania, ażeby dać tylko plastyczny wycinek osłonecznionego życia ludu, który niebawem otoczy noc, nie przypisuję rozwadze naszego najrozważniejszego z poetów. Począwszy od tego, kto skomponował *Pieśń Nibelungów,* aż do Goethego, mistrza spokoju artystycznego, nie było jeszcze nikogo, kto nauczyłby tak się przezwyciężać, ażeby umiał zatrzymać tylko radosną, kipiącą życiem chwilę, umiał utrwalić obraz siły, pełni i radości wówczas, gdy o krok dalej czyhają krew, śmierć i zniszczenie".

Georg Herwegh, autor szkicu o *Fauście* Goethego i *Manfredzie* Byrona (który ukazał się w roku 1839/40) pisze o Trzeciej Części *Dziadów* — ściślej mówiąc: o postaci Konrada. Z całego utworu wybiera tylko scenę, w której Konrad wyzywa Boga. „Konrad — to polski Faust — stwierdza Herwegh — ale gdy niemiecki Faust puka do bram nieba domagając się prawdy, gdy angielski domaga się zapomnienia, czegóż innego domagać się może polski Faust, jeśli nie w o l n o ś c i?... Dlatego więc poeta — o ile pragnął uzyskać zrozumienie wśród swego narodu — nie mógł stworzyć Fausta sceptyka, jego Konrad musiał być (jeżeli miał budzić sympatię) głęboko, najgłębiej przekonany, że istnieje Bóg, który Polskę pomści... Czy zerwie on swoje kajdany, czy stanie się cud? Nic podobnego; polski Faust ma swego Boga, lecz Boga, którego kochać nie może, którego strąca na ziemię i niszczy."

Słowa Mickiewicza „Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie, Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, Kto cię stracił" wpisuje Johannes Scherr jako motto do niewielkiego szkicu biograficznego poświęconego Mickiewiczowi w swym zbiorku *Królowie poetów,* dając w ten sposób do zrozumienia, że widzi w Mickiewiczu zarówno poetę jak i patriotę. W zakończeniu tego szkicu Scherr wypowiada się jeszcze wyraźniej: „Polska nie dawała mu spokoju, uczyniła zeń wszakże wielkiego poetę. Jego Muza to prawdziwa Polka — piękna, wysoka, smukła, o wspaniałych oczach, których namiętny żar przymglony jest melancholią. Ojczyzna — to zasadniczy ton jego poezji".

Inni pisarze i poeci niemieccy zajmowali się także tłumaczeniem Mickiewicza, a przede wszystkim jego wierszy. Mamy więc dosłownie wierne tłumaczenie ballady *Romantyczność* pt. *Die Erscheinung,* dokonane przez Justinusa Kernera. Jego przyjaciel i współpracownik literacki, Gustaw Schwab, pierwszy wydaje *Sonety krymskie,* w wolnym przekładzie.

Franz Freiherr von Gaudy (który zasłużył się dokonaniem przekładu *Śpiewów historycznych* Juliana Ursyn-Niemcewicza) tłumaczy (wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w latach 1832/33) również dwie ballady Mickiewicza: *Pani Twardowska* i *Trzech Budrysów.* Wielbicielem *Trzech Budrysów* okazał się później także Friedrich Bodenstedt, a *Panią Twardowską* zachwycał się poeta liryczny Brunold. *Oda do młodości* i *Farys* ukazały się w r. 1836 w przekładzie R. O. Spaziera, a w 11 lat po śmierci Mickiewicza Peter Cornelius kończy swoje tłumaczenie *Sonetów,* nad którym pracował prawie dwa lata.

Adam Mickiewicz w czasie tworzenia Legionu. Reprodukcja rysunku Cypriana ***Norwida.***

Mickiewicz według dagerotypu paryskiego; rysował Kazimierz Mordasewicz.

Współcześni Mickiewiczowi poeci i pisarze traktowali — jak widzimy — Adama Mickiewicza jako wybitnego przedstawiciela kultury sąsiedniego narodu polskiego i otaczali go czcią i uwielbieniem. Do głosów, pełnych pochwał i uznania, przyłączają się wszakże i głosy wyrażające sceptycyzm i wątpliwości. Wiemy, że w r. 1841 poeta poznał w Paryżu mistyka Towiańskiego i przez kilka lat był całkowicie pod wpływem jego błędnych nauk, których bronił namiętnie, co kosztowało go nawet utratę profesury w Collège de France. Lecz w końcu Mickiewicz uwolnił się spod tego wpływu. Okoliczność, że Mickiewicz stał się zwolennikiem Towiańskiego, podziałała na niemiecką opinię publiczną dość swoiście. Ponieważ większość nie mogła pojąć takiej przemiany, uznała Mickiewicza za człowieka nieodpowiedzialnego. Tak więc Johannes Scherr pisze w swoim cytowanym już powyżej szkicu biograficznym: „Tutaj, w Paryżu, w Collège de France, wygłaszał on prelekcje, w których występował jako prorok panslawizmu i których mistyczne zabarwienie zagęszczało się do tego stopnia, że pozwalało wnosić o zakłóceniu równowagi umysłowej ich głosiciela".

Carl von Holtei w *Vierzig Jahre* nazywa Mickiewicza zgoła „na pół obłąkanym mistykiem". Alfred Meissner odwiedza Mickiewicza w roku 1846 w jego mieszkaniu paryskim i tak relacjonuje: „Mickiewicz podobnie jak drugi współczesny mu znakomity poeta, Słowacki, wywarł na mnie wrażenie wielce nieszczęśliwego..." Jedynym spośród pisarzy niemieckich, który znał i rozumiał głębsze przyczyny zwrócenia się Mickiewicza ku mistycyzmowi, był Ferdynand Gregorovius, który w swej pracy *Der Geist des Polentums* stwierdza: „Wystarczy zorientować się choćby pobieżnie w dziejach Polski, które są księgą cierpień i niedoli, ażeby zrozumieć, jak bliską tak nieszczęśliwemu narodowi musiała być marzycielska mistyka. Mickiewicz, którego nazywają polskim Byronem, jest zapalonym głosicielem tej grającej na uczuciach nauki, która wiąże ratunek Polski z symbolem boskiego misterium — nic więc dziwnego, że z ukrzyżowanego fanatyzmu emigracji powstał nowy Messyjasz, marzyciel **Towiański**; uważa się on za zesłanego od Boga Parakleta i zwiastuna nowej ery, w której świat cały zostanie zbawiony za pomocą Polski, wyobrażonej jako Matka Bolesna. W tym punkcie losy Polski stykają się więc z losami Izraela, i podobieństwo tych losów musiało także wywołać podobieństwo pewnych zjawisk. Tylko ktoś krótkowzroczny, uznający jedynie namacalną rzeczywistość, nie próbujący zgłębić psychologii ludów i czasów, może widzieć w mistyce Polski emigracyjnej zaledwie śmieszny obłęd... Mistyka polska to sfanatyzowany duch, krążący po ruinach swojej historii."

Dla dopełnienia obrazu, w jaki sposób Mickiewicz przedstawiał się oczom reprezentantów literatury niemieckiej swego czasu, wymieńmy jeszcze Karola Augusta Varnhagena von Ense, który dnia 10 stycznia roku 1856 zapisuje w swym dzienniku, że mieszkający w Berlinie Polacy chcieli zamówić mszę żałobną za duszę zmarłego poety, na co nie pozwolił jednak ówczesny szef policji. Ksiądz nie posłuchał wszakże zakazu i msza żałobna została odprawiona.

Nie wyczerpaliśmy bynajmniej jeszcze podjętego tematu — ukazania Mickiewicza w zwierciadle jego niemieckiej współczesności. Uwzględnić należy, prócz wielkiego wkładu literatury, także udział muzyki i sztuk plastycznych.

Kiedy Mickiewicz w roku 1829 zatrzymał się w Weimarze, na życzenie Goethego sportretował go Joseph Schmeller, malarz weimarski. Znany rysunek

kredką należy niewątpliwie do najpiękniejszych portretów poety. Rysunek Schmellera i medalion Dawida d'Angersa, wykonany w tym samym czasie również na życzenie Goethego, według wszelkiego prawdopodobieństwa stały się „podkładką" do sztychu, który wykonał I. Zöllner do wydania *Pana Tadeusza* w przekładzie Spaziera. Inny portret rysunkowy poety, wykonany z paryskiego dagerotypu z roku 1842, podaje *„Leipziger Illustrierte Zeitung"* z dnia 26 kwietnia, jako ilustrację do artykułu poświęconego pamięci Mickiewicza.

Zbiór wierszy polskich, zatytułowany *Światła północy,* zawierający *Konrada Wallenroda, Grażynę* i *Farysa* w przekładach Ludwika Nabielaka i J. B. Wernera, ilustrowany jest przez Fellnera. Do pierwszej części planowanego wydania *Dzieł* Adama Mickiewicza, *Wierszy,* w tłumaczeniu Carla von Blankensee, przygotowuje Adolf Menzel litografię, wyobrażającą barda ludowego, prawdopodobnie Wajdelotę, unoszącego się ponad postaciami z utworów poety. Na portrecie tytułowym, również pędzla Menzla, rozpoznać można rysy Mickiewicza.

Jeśli chodzi o muzykę, to wymienić należy Carla Loewe, który w r. 1836 skomponował muzykę do sześciu ballad Mickiewicza w przekładzie Blankensee, pośród nich wyróżniają się: *Trzech Budrysów, Pani Twardowska, Świtezianka.*

W naszych wywodach o odbiciu się Mickiewicza w oczach współczesnych mu Niemców opieraliśmy się głównie na wypowiedziach poetów i pisarzy. Opisać, jak odbijał się Mickiewicz w zwierciadle niemieckiej literatury naukowej w wieku XIX i XX, byłoby pracą godną zachodu, lecz wymagającą zebrania osobnych materiałów. Dlatego też z całą świadomością zrezygnowaliśmy na tym miejscu z dyskusji na temat szczegółów naukowych.

Reasumując, możemy powiedzieć z pełnym przekonaniem, że recepcja Mickiewicza i jego utworów wypływała z szacunku dla polskiej kultury i z przyjaźni dla narodu polskiego. Mickiewicz nie tylko za swego życia, lecz w ciągu całego wieku XIX znajdował w Niemczech silny oddźwięk. Świadczą o tym liczne nakłady jego utworów. Dopiero późniejsza, wypełniona grozą i strachem epoka oddaliła i jego również od naszego narodu. Nowa przyjaźń polsko-niemiecka oddała nam Mickiewicza z powrotem.

Manfred Häckel

Ludwik Hieronim Morstin

„PAN TADEUSZ" HOMEROWY

Nie bezpodstawnie i nie przesadnie twierdzili historycy literatury wieku XIX, z Julianem Klaczką na czele, że od czasów Homera *Pan Tadeusz* Mickiewicza jest pierwszą epopeją, która wielkością swoją do Homera się zbliża, że jest najpiękniejszym poematem epickim, jakiego nie dał Rzymowi Wergiliusz, a Italii Tasso i Ariost, Camoëns Pirenejskiemu Półwyspowi ani Niemcom Goethe. Tę opinię polskich historyków literatury potwierdzili nieliczni cudzoziemcy, którzy zapoznali się z polską epopeją, z Kuno Fischerem na czele, najznakomitszym swego czasu w Niemczech historykiem filozofii i literatury. Byli to przeważnie Niemcy, dzięki temu, że istnieje zupełnie niezły przekład *Pana Tadeusza* dokonany przez Lipinera. Nie kongenialny, nie przez wielkiego poetę zrobiony, jednak dawał wyobrażenie, czym jest poemat polski.

Prawie bez echa przeszedł we Francji przekład *Pana Tadeusza* na język francuski pióra Pawła Cazina. Świetny to znawca języka polskiego i znakomity pisarz francuski, ale przetłumaczył go prozą. A choć wiem, że są zwolennicy tłumaczenia prozą wielkich utworów poetyckich, twierdzę, że to się zwykle mija z celem. Z poematu zrobił Cazin powieść. A w powieści myśl czytelnika biegnie mimo woli za tokiem akcji, przeskakuje opisy przyrody, bo fascynuje go bieg wydarzeń, i zatraca piękno. Cazin jest bardzo dumny ze swego opisu grzybów, jakie rosły w lesie soplicowskim. Wymagało to nie lada kunsztu i znajomości obu języków, by opis ten był wierny, ale mimo to czytelnik lekką stopą przeskakuje ten ustęp, bo odarty z poezji Mickiewiczowskiego wiersza staje się nudny.

Ale wróciwszy do naszej tezy, że *Pan Tadeusz* ze wszystkich poematów świata do Homera najbardziej się zbliża, warto zastanowić się, dlaczego tak jest, i zarazem twierdzenie uzasadnić.

Już Arystoteles zauważył, że fabuła *Odysei* jest bardzo nikła. Akcja *Odysei* wikła się dzięki różnorodności epizodów i jest genialnie retardowana. Tak w *Iliadzie* jak i w *Odysei* twórca w ramach niedługiego czasu potrafił zmieścić zdarzenia rozgrywające się w całym ówczesnym świecie. W *Odysei* większa część poematu przykuwa naszą uwagę do małej skalistej wysepki, ojczyzny Odysa, do jego zamku, do tego Soplicowa Itaki.

Całych czterech ksiąg trzeba było poecie dla przedstawienia stosunków na Itace pod nieobecność jej króla. Wojna trojańska, tułactwo Odysa ściga-

nego gniewem Posejdona, to są epizody, właściwa akcja odbywa się w domu tego władyki małej Itaki.

W *Iliadzie* jest ta sama ograniczoność tematu. Wchodzi poeta od razu *in medias res* wojny trojańskiej i wprowadza nas do namiotu Achillesa. Tam będą się rozgrywać najważniejsze wypadki. A wszystko inne jest tłem, wspaniale narysowanym tłem, w *Iliadzie* — gniewu Achillesa, w *Odysei* — tęsknoty Odysa za domem i żoną.

W *Panu Tadeuszu* takim tłem do wydarzeń w Soplicowie jest cała epoka napoleońska, od stworzenia Legionów do wyprawy na Moskwę.

Kim był Homer, nie wiadomo. Starożytni wiedzieli o autorze *Iliady* i *Odysei* tyle, co my, to znaczy nic. Ale w jakim czasie pisał Homer, w jakiej epoce kultury helleńskiej i dla kogo pisał, to badania historyczne i filologiczne dziś już wyjaśniły. Nie miejsce tu po temu, by powtarzać wywody o kulturze jońskiej jako dalszym ciągu kultury miceńskiej. Na tym gruncie pojawienie się *Iliady* i *Odysei* przestaje być cudem. Homer opisywał wydarzenia dziejące się w przeszłości, ale pisał dla potomków Achillesów, Agamemnonów, Odysów — dla szlachty rodowej, dla arystokratów i feodałów. Niesłusznym byłoby nazwanie go poetą dworskim, bo ci królikowie dworu we właściwym tego słowa znaczeniu nie posiadali, ale był poetą szlacheckim.

Powszechnie znany jest stosunek Homera do ludzi nie należących do klasy uprzywilejowanych. Gdy demagog Tersytes zaatakował Agamemnona, Odyseusz nie tylko zamknął mu usta kijem, ale poeta wyraźnie zaznacza, że zostało odjęte ostrze zarzutów Achillesa, zdyskredytowanych przez to, że przeszły przez plugawą gębę Tersytesa. W *Odysei* stosunek pani domu do służby jest patriarchalny, gdy chodzi o świniopasa Eumaja i szafarkę Eurykleję. Eumajos jest jednak porwanym synem króla wyspy Lyrii, a Eurykleja — córką Opsa Pejsenoridy, pochodzi więc ze szlachty podupadłej. Natomiast okrutny jest Odys dla służby pochodzenia nieszlacheckiego. Gdy dowiedział się od szafarki Eurykllei, które dziewki z gachami igrały w czasie jego nieobecności, kazał im najpierw pozmywać z krwi stoły po rzezi gachów, a potem wszystkie zarzezać ostrzem miecza. Rozkaz ten wykonał Telemak nie używając miecza, ale wieszając je na sznurze. Szafarka Eurykleja była tą, która wybrała dziewki na karę okrutną skazane. Mimo woli budzi się podejrzenie, że niejedna z tych dziewek zginęła niewinnie. Mogła się czymś narazić starej szafarce, a ta oskarżyła ją o rozpustę i niewierność dla pani domu.

Wszystkie te rzezie, niesprawiedliwości, okrucieństwa składają się na obraz minionej przeszłości, nad którą poeta roztoczył moc czarodziejską poezji i wywołując wspomnienia życia w dawnych wiekach unosił ją w sferę heroizmu.

Ludzie Homera nie są szczególnie dobrzy ani bardzo mądrzy, ale mają tężyznę swojej rasy. Są bujni, są młodzi, są odważni i silni, zdrowi i syci.

Podobnie opisuje Mickiewicz świat szlachecki w *Panu Tadeuszu*. Aby tak ten ginący świat opisać, trzeba było wielkiego wkładu osobistej, pobłażliwej miłości. Miał bowiem poeta dwie drogi obierając sobie ten temat. Albo wyidealizować tę przeszłość, upiększyć, więc pokazać szereg ludzi o niezłomnych charakterach i wyliczać ich cnoty i zasługi, stawiać za wzór przyszłym poko-

leniom, albo, przeciwnie, napisać jeszcze jedną satyrę na sarmatyzm, jego grzechy i wady wyśmiać i potępić.

Geniusz poetycki Mickiewicza sprawił, że nie wybrał żadnej z tych dróg. Nad światem ludzi ułomnych, dość przeciętnych a nawet czasami zdolnych do czynów zbrodniczych, rozpiął błękitne niebo pogody, humoru i miłości, rozgrzeszając wiele zawołaniem płynącym z głębi serca.

Ach to może ostatni! Patrzcie, patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!

Nie ma w *Panu Tadeuszu* ani jednego człowieka, którego poziom moralny i umysłowy tak by ze sobą harmonizowały, że można by go postawić za wzór do naśladowania. Nie jest nim Sędzia, którego ograniczoność umysłową a także moralną może każdy zauważyć. Nie jest Podkomorzy, nudziarz z wieku i urzędu, nie jest nim Wojski, gawędziarz i safanduła, nie jest Hrabia, fanfaron i awanturnik, ani zdolny do każdego łotrostwa Gerwazy, ani głupi Protazy, ani śmieszny Rejent czy Asesor, ani wreszcie Tadeusz, poczciwy, naiwny chłopak, któremu osobiście nie mogę darować, że krajobraz włoski sądzi z kilku drzew w botanicznym wileńskim ogrodzie. Stary Maciek, rządzący się może trafnym instynktem, nie umie narzucić swego autorytetu. Gdy widzi, co się dzieje na zebraniu w Dobrzynie, zdobywa się tylko na ten gest, że wszystkim każe iść do diabła, by mu więcej głowy nie zawracali.

Jest człowiek bądź co bądź niezwykłej miary, właściwy bohater poematu, Jacek Soplica. Ale on z nich wszystkich najgroźniejszy. W nim jest usymbolizowany niczym nie hamowany indywidualizm szlachty polskiej. To człowiek z rasy Stadnickich, Zebrzydowskich, Zborowskich, opętany pychą. Mógł porwać się na wojnę przeciw własnej Ojczyźnie.

Umyśliłem, ze szlachty mały pułk zgromadzić,
I opuścić na zawsze powiat i Ojczyznę,
Wynieść się gdzie na Moskwę lub na Tatarszczyznę
I zacząć wojnę...

Wspaniała jest spowiedź umierającego Jacka, artystycznie na najwyższy ton nastrojona cała księga dziesiąta. Podniesiona przez geniusz poetycki Mickiewicza do tragizmu i ekspiacji, tak że chyba z *Edypem w Kolonie* Sofoklesa można ją porównać. Ale przeraża nas ta ślepa samowola szlachcica, dla której niczym prawo, niczym ojczyzna, rozsadzająca wszelki ład prawny i moralny. Oczywiście, to, co zrobił Gerwazy, jest równie oburzające, bo dla najazdu na dwór soplicowski użył rąk, które miały odbudować niepodległość ojczyzny, i nie czeka go za to żadna kara ani pokuta. Przeciwnie, doznaje tego zaszczytu, że wodzowie Legionów upominają się, by go poznać, i z rozczuleniem oglądają ten miecz katowski, „scyzoryk", którym rozciął wątek spisku „tyle lat snowanego", „cel wielki", dla prywaty, dla ślepiej nienawiści.

Nie wchodzę już w te szczegóły, że Jacek nawet w czasie, gdy wszedł na drogę poprawy, postępował nie całkiem zgodnie z kodeksem moralnym. Oddał Zosię, wnuczkę zabitego, na wychowanie awanturnicy petersburskiej, Teli-

menie, i kazał swatać z nią swego syna, asekurując przywłaszczone majątki od wszelkiej możliwej jurysdykcji.

Boy nazywa to legalizacją grabieży, ale co dziwniejsze, że takiego samego określenia użył Jacek w księdze VI. Mówi ksiądz Robak do Sędziego:

Wiesz także, że część gruntów od zamku dziedzica
Zabrała i Soplicom dała Targowica.
Jacek, za grzech żałując, musiał był ślubować
Pod absolucją dobra te restytuować.
Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
Hodować, wychowanie jej opłacał drogo.
Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać
I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać
I dziedziczce bez wstydu ustąpić g r a b i e ż y.

Bez wstydu może, ale w naszym pojęciu to nie bardzo ładnie. Czytelnik w księdze dziesiątej już o tym nie pamięta, widzi tylko pierwsze promyki słoneczne, które:

Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe,
Odbiły się na łożu o chorego głowę
I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Że błyszczał jako święty w ognistej koronie.

Mickiewicz znał grekę i czytał *Iliadę* w oryginale, ale czytał ją także w tłumaczeniu Dmochowskiego. Przekład Dmochowskiego, szczególnie przy opisie bitew, jest doskonały w oddaniu mocy i plastyki wiersza *Iliady*.

Na Homerze wzorował Mickiewicz opis bitwy w Soplicowie. Przypadkowa ta bitwa jednego batalionu jegrów rosyjskich z zaściankową szlachtą, stoczona na dziedzińcu dworu wiejskiego, i rozmiarem swoim, i ważnością, wpływem na bieg losów świata równa się bojom staczanym nad Skamandrem.

W opisie tej bitwy postępuje Mickiewicz metodą Homera. Wysuwa kilku ludzi naprzód, koło nich koncentruje walkę, jak to robi Homer koło Hektora, Ajaksa albo Diomeda. Cały przebieg bitwy w Soplicowie ujęty jest w trzy punkty, trzy momenty, około których grupują się inne. Dwa pojedynki i strzał Konewki, wreszcie sernica jako finał. To jest też metoda konstrukcji Homera. Ale w opisie tej bitwy jest najbardziej homeryckie ignorowanie bólu i okropności, męczarni ludzkich na polu bitwy. Idzie Wojski i Woźny, zbrojni w ogromne drągi, za nimi ochmistrzyni i kuchcik, małe chłopię. Podważają nadgniły słup sernicy, która wali się na jegrów, gniecie, rani, zabija, i leżą sery białe jako śniegi, krwią i mózgiem splamione. Oto dzieło ochmistrzyni i kuchcika, sielskie, anielskie wspomnienie z kraju lat dziecinnych. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej przeciwnego polskiej racji stanu, jak ta bitwa przypadkowa w dworze soplicowskim, wybicie całej roty jegrów w czasie, gdy wojska Napoleona jeszcze były daleko. I ostatecznie powodem krwawego zajścia było niestosowne zachowanie się majora Płuta wobec Telimeny, którą „szerokim

całusem w białe ramię klasnął", co musiało się jej nieraz w wymarzonym Petersburgu przydarzyć, nie przypuszczam, by ją to tak bardzo oburzyło.

Nie wiadomo, co myślał ks. Robak, który przywiózł na kwestarskich wozach rapiery, pałasze, tasaki, kosy i strzelby. Czy chciał zamienić ten incydent w ogólne powstanie na Litwie, czy tylko bronić ukochanego Soplicowa? W każdym razie, skoro nici ogólnego spisku były jeszcze nie nawiązane, rozsądniej było pod każdym względem, żeby Sędzia dogadał się z majorem Płutem. Tym bardziej że major grożąc Żółtą Księgą, zbiorem ustaw wojennych, które przez rząd carski zostały ogłoszone dopiero w styczniu roku 1812, chciał tylko wymusić większą łapówkę.

Gdyby nie burza, co zalała drogi i mosty zerwana na rzece, gdyby nie zabójstwo majora Płuta przez Gerwazego *„pro publico bono"* i gdyby nie szlachetność kapitana Rykowa, mogło się to skończyć fatalnie.

A ten kapitan Rykow! Jeżeli mówimy o analogiach z Homerem, tutaj sympatia dla wroga kazała Mickiewiczowi pójść śladem wielkiego Greka. Rykow to prawie Hektor z *Iliady*, bohaterski, szlachetny wódz przeciwnika. W charakterze tego Moskala same tylko szlachetne rysy dojrzał poeta. Odważny, nie mściwy, rycerski, nie obraził się nawet za zniewagę wyrządzoną mu przez Sędziego, który mu ofiarował kieskę dukatów za milczenie. Tylko poucza go delikatnie, że nie każdy Moskal to szpieg i łapownik.

Jak to już wyżej powiedziałem, artyzm i wielkość Homera polegają na ograniczoności tematu. Nie zaczął, jak to robili jego poprzednicy, opowiadać wojny trojańskiej *ab ovo*, od jaja, z którego się wykluła piękna Helena. Mógł także w paru wierszach, po skończeniu *Iliady*, opowiedzieć o zdarzeniach po pogrzebie Hektora, o zburzeniu Ilionu i powrocie Greków do domu. I tego nie uczynił. Opis spalenia zwłok Hektora zamyka pieśń XXIII i całą epopeję.

Wkroczenie wojsk napoleońskich na Litwę zamyka *Pana Tadeusza*. Ani słowa o tym, co się stało później. Jak się skończyła ta kampania roku 1812, jakim była nieszczęściem dla Polski, ile krwi szlachetnej niepotrzebnie splamiło śniegi Berezyny.

Żadne złe przeczucie nie mąci szczęścia i pewności, że świta era wolności. Pojawienie się na uczcie wodzów kwaśnego Maćka i jego zrzędzenie, że cesarz jegomość wybrał się do Moskwy bez Boga i podpadł pod klątwy biskupie, jest powtarzaniem plotek, których nikt na serio nie bierze. Ostrą odprawę tego rodzaju zarzutom dał przecie w księdze IV ks. Robak jednemu ze szlachty zagrodowej, Wilbikowi, który twierdził, że Francuz kościół częstochowski rozwalił. Poza tym wszyscy są radośnie nastrojeni, choć — jak pisał Słowacki we fragmentach swojego *Pana Tadeusza* — przyjść miała ta okropna zima

> Twarda — groźna — iskrząca się komet oczyma,
> Którą w Litwie przeczuwał wcześnie naród c a ł y.

A nie cały naród brał udział w tej radości wkroczenia wojsk napoleońskich. Polityka Czartoryskiego, dążąca do zjednoczenia wszystkich ziem polskich pod berłem Aleksandra, miała właśnie na Litwie wielu zwolenników. Wiedział o tym dobrze Mickiewicz, ale nie chciał wiedzieć i przy pisaniu *Pana*

Tadeusza jego instynkt artystyczny nie pozwolił mu niczym zamącić pogody finału tej epopei.

Ten sam instynkt, który mu nie pozwolił włączyć do pierwszego wydania poematu — Epilogu:

O tym-że dumać na paryskim bruku...

Bo też nie dla emigracji pisał swoją epopeję. Już był do niej rozczarowany. „Ja tu żyję — pisał po ukończeniu *Pana Tadeusza* — prawie samotny, z ludźmi coraz mi trudniej, a im mniej ich widzę, tym lepiej dla mnie."

W tym zbiorowisku ludzi z kraju wygnanych widział te same grzechy, te same kłótnie, spory, nienawiści, które ojczyznę do upadku przywiodły. „Przekleństwa, kłamstwa potępieńcze, swary, zapoznane żale, niewczesne zamiary." Nie dla nich pisał swój poemat, pisał go dla całej Polski, dla ich przyszłych pokoleń, a jest on dziś, jak każde arcydzieło poetyckiego geniuszu, własnością całej ludzkości.

W ostatniej pieśni dopiero występuje lud wiejski, wolni i równi obywatele, siła rezerwowa odradzającego się narodu. Ale stoi on na dalszym planie poematu, nie ma go w czasie całej akcji. Jest to poemat szlachecki, na wskroś szlachecki. Stosunek szlachty do ludu wcale nie zaznaczony. Że Sędzia, niby ten wielki społecznik, zabrania polowań na morgach chłopskich, to w oczach ekonoma może uchodzić za wielkie dobrodziejstwo, ale nas dziś nie rozczula.

Robienie zarzutu Mickiewiczowi, późniejszemu redaktorowi *„Trybuny Ludów"*, który wołał do papieża „Wiedz, że Duch Boży jest teraz w bluzach robotników paryskich" — że ludowi wyznaczył tak małe miejsce w swoim poemacie, byłoby małostkowością.

Homerowi, który widział ostatnie błyski porządku miceńskiego w przekształcającym się szybko społeczeństwie jońskim, możemy przypisać zrozumienie misji poetyckiej polegającej na tym, by utrwalić ginący świat.

hina esi kai essomenoisin aojde

Słowacki to samo powiedział o *Panu Tadeuszu:* „tu czas się cofnął i odwrócił lica, ażeby spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali". Ale sądzę, że ani Homer, ani Mickiewicz nie byli świadomi takiej misji poetyckiej. Oni pisali tak, jak im dyktowało natchnienie, kierowali się w tym wypadku jedynie artystycznymi pobudkami, stworzyli epos narodowe.

Mickiewicz nie słuchał swoich przyjaciół, którzy mu źle doradzali, żeby rozszerzył swój poemat, przeniósł część akcji na teren bohaterskich walk legionów. Pozwolił im tylko cenzurować pewne wybryki erotyczne lekkomyślnej Telimeny.

Niemcewicz zaklinał, upominał, żeby opisał świeże wydarzenia wojny 1831 roku, gdy poeta żył myślą w lasach, w karczmach, ze szlachtą, z Żydami, w epoce sobie niewspółczesnej.

Geniusz poetycki jest arbitralny, samowolny, ale zawsze nieomylny.

I jeszcze jeden punkt porównania Mickiewicza z Homerem — to stosunek

tych twórców do przyrody, ujawniający się w opisach jej zjawisk. U obu tych poetów zadziwia naoczność i plastyka przedstawienia w opisach przyrody, wyrażająca się niesłychanie prostymi środkami.

Homer światło słońca, taniec gwiazd, zalewy morskie, powodzie rzek, zmiany powietrza wciąga do akcji tak, że grają w jego heksametrach muzyką żywiołów.

Najwybitniejsi estetycy, zestawiając Homera pod względem porównań z Dantem, Szekspirem, Miltonem, przyznają mu palmę pierwszeństwa. Homer używa porównania tam, gdzie inny sposób uplastycznienia zawodzi.

Jeżeli przy opisie chce poeta wywołać w duszy czytelnika pewien nastrój uczuciowy, nie waha się dyktować przyrodzie swoich praw. I tak na przykład w XVI księdze *Iliady* łzy Patrokla porównane są do czarnej wody źródła tryskającego ze skały. Wodę określa poeta jako czarną *„melanudros krene"*, choć wiadomo, że łzy są raczej jasne, srebrzyste. Robi to dlatego, że czarna barwa jest odpowiednia dla smutnego nastroju tej sceny.

Tak samo postępuje Mickiewicz. Mimo zdumiewającej pamięci wzrokowej i konkretności wyobraźni nie waha się powiedzieć w księdze XI, że „przyleciał bocian do rodzinnej sosny i rozpiął skrzydła b i a ł e, wczesny sztandar wiosny". Te białe skrzydła bociana to homeryckie łzy czarne Patrokla. Mickiewicz doskonale wiedział, jakie ma skrzydła bocian, ale sztandar wiosny nie mógł być ciemny, bo nie odpowiadałoby to nastrojowi czytelnika, który musi chłonąć oczekiwanie tęskne i radosne wiosny roku 1812.

W całym eposie Homera wszechobecne jest morze. I jako tło terenu walk w *Iliadzie*, i za domostwem Odysa fala kipi gęstymi bałwanami, naprzód na morzu się burzy, potem o brzeg uderzy pienistym grzebieniem i pianą słoną. Czasem oczekuje ostrego wiatru i w żadną stronę się nie toczy *(Iliada)*. To znowu chlipie szkaradnym skowytem słone odmęty niby ten war, co buzuje w saganie, na wielkim ognisku, obluzga wierchołki skał, odsłoni przepaść z wirów i trzęsieniem skały poruszy, aż na dnie leja zaczerni się piach *(Odyseja)*.

Takim samym tłem, jak morze dla *Iliady* i *Odysei*, jest puszcza dla *Pana Tadeusza*. Od razu w pierwszej księdze widzimy, że za Soplicowem czerni się bór na kształt ogromnego gmachu, w jego głębie zapada słońce czerwone jak pożar i gaśnie tam jak słońce Homera, które świetlną głowę skrywa w oceanie.

Ta puszcza grzmiąca rykiem niedźwiedzia, jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem uspokaja się czasem jak morze i wielką cichością upaja. Tylko wiewiórka, gajów tanecznica, miga w ciemnej zieleni jak błyskawica w chmurze, tylko dzięcioł stuka z daleka jak dziecko schowane, gdy woła, by go szukać.

Na tle przyrody odbywa się praca ludzka. U Homera obserwujemy ją w czasie żniwa, winobrania, urozmaiconego piciem słodkiego wina, przygotowaniem wieczerzy, muzyką, śpiewem, a u Mickiewicza szeregiem polowań, zabaw i uciech. Poeci ci są do tego stopnia malarzami życia, że czego się dotkną, zaczyna się skrzyć i tęczyć, jak oświecona blaskiem świtu woda w czystym górskim potoku. A i martwe przedmioty nabierają w ich spojrzeniu życia. W pieśniach Homera strzała puszczona z łuku brzęczy jak mucha kąśliwa,

uprzykrzona. Mickiewicza róg w ustach Wojskiego kształty zmieniał, to grubiał, to cieniał, to raz w wilczą szyję się przeciągał, to znów ryknął rozwarłszy się w niedźwiedzie gardło.

Dla biologii życie zaczyna się tam, gdzie się pojawiają najelementarniejsze ślady procesów fizjologicznych, dla zwykłego spostrzegacza przyrody martwą pustynią jest każde miejsce, gdzie nie ma zwierząt i roślin, dających się dojrzeć gołym okiem, dla Sztuki wszystko jest żywe — tak pisał przed laty Stanisław Witkiewicz. A więc potok drgający blaskiem słońca i tarzająca się z szumem wśród głazów fala morska, rozbijająca się z rykiem w kurzawę białej piany, gładka jak zwierciadło powierzchnia jeziora, chmura pędząca z wichrem jesiennym i cicha mgła na polach, głaz sczerniały, sunący z cielskiem lodowców, śniegowe stepy podbiegunowej zimy i dno piaszczystej pustyni — ciężka, nieruchoma woda Morza Martwego i szczyt Gaurizankaru, wszystko to jest nieprzebranym bogactwem zmiennych i wiecznie nowych zjawisk życia.

Na odwrót, ludzka świadomość w artystycznej twórczości może najbardziej żywemu stworzeniu nadać cechy śmierci, najgwałtowniejsze porywy uczuć i namiętności zakamienić.

Z tych poetów, których najczęściej i najchętniej czytuję, jest dwóch, którzy potrafili wyraz życia wytężyć do ostatnich, najwyższych stopni — to Homer i Mickiewicz.

Opis życia ludzkiego na ziemi, wyobrażony na tarczy Achillesa w *Iliadzie*, kończy się tańcem, który Dedal w Krecie wymyślił dla Ariadny.

Skaczą chłopcy i dziewki, wziąwszy się za ręce,
Lekka zasłona wdzięki pokrywa dziewczęce,
Na chłopcach zaś bogatsza zawieszona odzież;
Obojej płci urody najdobrańsza młodzież.
Dziewczęta głowy w piękne ustroiły wieńce,
Na srebrze złote mają mieczyki młodzieńce.
Raz jak koło (ruch jego ledwo wzrok dostrzegnie,
Gdy go doświadcza garncarz, czyli bystro biegnie)
Uczone stopy w szybkie kręcą kołowroty;
To znowu się mieszając wśród wdzięcznej ochoty,
W tysiącznych kształtach pląsy lekkim robią skokiem,
Liczny lud stoi, miłym zachwycon widokiem.

Iliada XVIII (Przekład Dmochowskiego)

A w *Panu Tadeuszu*

Zosia tańczy wesoło: lecz choć w pierwszej parze,
Ledwie widna z daleka; na wielkim obszarze
Zarosłego dziedzińca, w zielonej sukience,
Ustrojona w równianki i kwieciste wieńce,
Śród traw i kwiatów krąży niewidzialnym lotem,
Rządząc tańcem, jak anioł nocnych gwiazd obrotem.

Jeśli się doszukuję analogii między techniką poetycką Homera i Mickiewicza, to nie chcę przez to bynajmniej wykazywać wpływu *Iliady* i *Odysei* na *Pana Tadeusza*, uprawiać tak zwanej wpływologii. Chodzi mi o udowodnienie, że geniusz poetycki Mickiewicza jest godny zestawienia z geniuszem poetyckim autora *Iliady*. Że Mickiewicz jak Homer posiada zdumiewającą konkretność wyobraźni w naoczności i plastyce opisywania zjawisk, budzących w duszy słuchacza szereg nastrojów w sposób niesłychanie sugestywny. Czasem niespodziewane zestawienie przymiotników wywołuje obraz potężny, do którego nic dodać, niczego odjąć nie można.

Można by bez końca mnożyć przykłady. Gdy Mickiewicz powie:

> Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
> Tak po niezmiernym niebie szło samotne słońce...

to gdyby ten wiersz ostatni przetłumaczyć na grecki, każdy by przysiągł, że jest to wiersz z *Iliady* lub *Odysei*.

W czym Mickiewicz przewyższa Homera, to w kreśleniu procesów duchowych swoich bohaterów. Nasz poeta był zupełnie nowoczesnym, wnikliwym psychologiem, wdzierającym się w tajnie duszy, demaskującym zawiłe motywy niejednego postępku. Te, które niesłusznie nazywamy wstydliwymi, bo są one nieraz decydujące dla naszego postępowania, a rodzą się z jakiegoś głęboko utajonego instynktu. Jak zawsze w takich wypadkach, motyw erotyczny ważną gra rolę.

I tak na przykład Hrabia byłby może zaniechał kłótni z Soplicami o zamek, do którego właściwie dość problematyczne miał prawa jako krewny Horeszków, dziesiąta woda po kisielu. Proces ten, jak sam powiedział, był to tylko wielki koszt i nuda. Zawiść, którą czuł wobec Tadeusza za jego umizgi do Telimeny, spowodowała awanturę. Ten powód męskiej zazdrości, tak częsty motyw ważnych posunięć w życiu, wysuwa Mickiewicz w chwili ogólnego napięcia waśni między dwoma rodami, która znaczyła swoje dzieje krwią wielu ofiar.

I Homerowi nie można odmawiać znajomości ludzkiej psychiki. Nie powinna nas łudzić naiwność, w którą wyposaża swoich bohaterów. Że płaczą jak dzieci w poczuciu doznanej krzywdy, że swoje życzenia ubierają w naiwny wyraz jak niedorośli chłopcy, którym się nagle czegoś zachciewa. Ta pierwotność reakcji bohaterów Homera była zamierzona przez twórcę *Iliady* i *Odysei*, po to, by odmalować ludziom jemu współczesnym okres młodości kultury, której był piewcą.

Ale jeżeli będziemy śledzić wszystkie wahania się i załamania Achillesa, całą gamę jego uczuć — od gniewu do litości, jeżeli będziemy obserwować, jak się rozwija subtelna gra miłosnych utarczek między Odysem a Penelopą, to będziemy musieli przyznać ślepemu wieszczowi Greków, spadkobiercy bardzo już starej i wyrafinowanej cywilizacji, prawdziwą znajomość procesów, odbywających się w duszy człowieka.

Ale, oczywiście, te blisko trzy tysiące lat, które dzielą *Pana Tadeusza* od *Iliady* i *Odysei*, zaznaczyły się nowymi zdobyczami w dziedzinie psychologii i introspekcji w głąb duszy ludzkiej.

To sprawiło, że Mickiewicz nie zadowala się odtworzeniem prostolinijnych

procesów duchowych, ale wdziera się w tajne zakamarki duszy swoich bohaterów. I cudownie posługuje się ironią, o której mówił Norwid, że jest koniecznym bytu cieniem, chociaż uczucie chce zwiedzać bez ironii szlaki bite cierpieniem. Ale nie można arcydzieła wyprowadzać dłutem z grubych brył, żeby dłuto nie zgrzytnęło, gdy młot je bije nieustannie. Jeżeli w praktyce życiowej wyczuwa się ironię po tonie, w jakim wypowiedziano zdanie (owe francuskie *C'est le ton qui fait la chanson),* w sztuce — po małych szczegółach, które jak iskierki słońca w fali potoku zatrzymują wzrok biegnący za nurtem wody.

Przykładem takiej subtelnej ironii, objawiającej najwyższy artyzm poety, jest rozmowa nocna Telimeny z Tadeuszem. Całe przemówienie Telimeny nastrojone na ton bardzo górny. Powiada, że nie chce młodzieńcowi zagradzać drogi do sławy, tylko o jedno prosi, by przed rozstaniem Tadeusz powiedział, że ją kocha. Niech to słowo jeszcze raz z jego ust usłyszy. Na to mówi poeta:

> Tadeusz, widząc, że tak płacze i tak błaga
> Czule, i tylko takiej d r o b n o s t k i wymaga...

To słowo „drobnostki", użyte przez poetę jakby mimochodem, cały patos przemówienia zawiedzionej kochanki zabarwia słonecznym humorem, zmuszającym do uśmiechu, który nie opuści czytelnika do końca tej sceny. I jak się rozumie Tadeusza, gdy powie kilka wierszy później — kochajmy się, ale tak z osobna. W tym wypadku, jak i wszędzie, rodzaj humoru poematu jest dowodem najwyższego artyzmu jego twórcy.

Jeżeli Mickiewicz trawestuje wiersz Homera w przekładzie Dmochowskiego:

> Inni spali bogowie i ziemscy rycerze,
> Oczu tylko Jowisza sen słodki nie bierze...

na:

> Spali, gospodarz domu, wodze i żołnierze,
> Oczu tylko Wojskiego sen słodki nie bierze...

ironia jest w tym, że gdy Zeus u Homera rozmyślał nad sprawami ludzi i bogów, to Wojski zastanawiał się nad tym, jakie potrawy ma przygotować na jutrzejszą biesiadę. W tej głowie jowiszowej widzimy, jakie się kłębią myśli. Barszcz królewskim zwany, rosół, który krew czyści i pokrzepia zdrowie, dalej inne potrawy... owe szczuki główne i szczuki podgłówne, aż w końcu korona wszystkich sztuk i zamysłów — ryba niekrojona, u głowy przysmażona a w środku pieczona, a mająca potrawkę z sosem u ogona! Były powody do niezmrużenia oka całą noc.

W chwili bardzo uroczystej, gdy Tadeusz z Zosią postanawiają uwolnić chłopów i dokonuje się akt, mający rzucić pomost między dawnym a nowym światem, stworzyć wolnych przyszłej Polski obywateli dzięki szlachetności młodego Soplicy, podchodzi Gerwazy ze swoją propozycją uszlachcenia chłopów. Równocześnie zapewnia, iż oddanie ziem tak bardzo nie zuboży młodych państwa, bo on odda im skarbczyk Stolnika w ziemi skryty, którego pilnował od gra-

bieży jak oka w głowie: „od Moskalów i od was, państwo Soplicowie". W tym więc uroczystym momencie poeta stawia Soplicom przez usta sługi Horeszków zarzut chęci kradzieży cudzego mienia, na co oni wcale nie reagują. Oto iskierka ironii rzucona przez poetę na falę dziejowych przemian.

Nie każdy ją zauważy, ale z rozkoszą przeczyta to czytelnik, dla którego ironia jest cenną psychiczną postawą wobec świata i który powtarza za Norwidem:

Ty myślisz może, że wiek złoty
Bez walk sam przyjdzie dla ludzkości.
A gdzież powiodą wpierw te cnoty,
Od których cofa strach śmieszności...

Spodziewamy się, że dziś, w Roku Mickiewiczowskim, obchodzonym z takim pietyzmem przez Polskę Ludową, znajdzie się jakiś wielki poeta, który przetłumaczy *Pana Tadeusza* kongenialnie, wierszem, na jeden z języków nowożytnych znanych na całej kuli ziemskiej. Wtedy dopiero objawią się światu wszystkie jego piękności. Ale musi to być wielki poeta, żeby nie zmarnotrawił wszystkich tych wartości, które z poematu polskiego robią epos godne dzieł największych twórców świata.

Skąd wziąć wielkiego poetę — Francuza, Anglika, Rosjanina czy Hiszpana, który by po pierwsze znał język polski, a później zachwycił się poematem tak, by go zechciał na dźwięki swej mowy przełożyć i zrobić jednym z tych cudownych pomostów, jakie rzucają między zwaśnione narody ci, co wierzą, że poezja i sztuka są najlepszym sposobem porozumienia się wszystkich ludów na świecie, bez względu na różnice ras i klimatów?

I jeszcze jedno marzenie: żeby ktoś w tym roku przełożył *Pana Tadeusza* na język starogrecki. Nazywałby się *Ho kurios Taddaios,* a czytając go obznajmieni z mową Hellenów na całym świecie przekonaliby się, jak bardzo ten poemat jest Homerowy.

Ludwik Hieronim Morstin

Julian Przyboś

TRZY WIZJE

I

Pisano zapewne wiele o śnie w poezji Mickiewicza; o widzeniu sennym i o śnieniu na jawie, marzeniu. Przecież *Dziady* wileńskie można nazwać poematem o obłąkaniu wskutek nadmiaru marzeń (Część I i IV) lub koszmarem nocy zadusznej (Część II). W *Dziadach* drezdeńskich tylko dwie sceny: *Salon warszawski* i *Pan Senator* nie są zasnute snem. (Scena pierwsza zawiera improwizację Konrada, a więc ekstatyczne marzenie na jawie.) Rozpoczyna Część Trzecią sen więźnia (Prolog), a kończy koszmar nocy zadusznej w epilogowej scenie IX. Prolog i Epilog mają więc uchylić w poemacie przedstawiającym od początku do końca w sześciu scenach sny, widzenia i ekstazy — tajemniczej zasłony, za którą kryje się „inny świat".

Jednakże mimo przewagi scen przedstawiających sny i zwidzenia, Trzecia Część *Dziadów* nie pozostaje w pamięci czytelniczej jako wizja fantastyczna. Nie tylko dlatego, że poeta zrównoważył obrazy widzeń i snów obszernymi scenami na jawie. Realizm ich niewiele ma wspólnego z realizmem w potocznym znaczeniu tego słowa, a więc z przedstawieniem zdarzeń wedle ich życiowych pierwowzorów. Jest to poezja, a więc, jeśli wolno tak powiedzieć, podniesienie rzeczywistości do potęgi, takie jej streszczenie i zgęszczenie, że ukazane zdarzenia wydają nam się nie tylko prawdopodobne, ale prawdziwsze niż takie, jakie zdarzają się w życiu. Ta „prawdziwszość" scen wziętych z życia podniesionego do potęgi poezji tak mocno wraża się w pamięć, że sceny snów i widzeń rozwiewają się jak mgły pod promieniami okrutnego słońca. Całość Trzeciej Części sprawia wrażenie wściekłej bitwy wydanej tyranii i w obrazie tej bitwy — gdy pod koniec rozpamiętujemy jej przebieg — nie dostrzegamy niemal łagodnych pieni anielskich.

Ale nie tylko dlatego Trzecia Część nie zaciemnia się mgłą sennych zjaw i widzeń. Same te widzenia są obrysowane tak wyrazistym konturem, że w tych duchach i snach nie odczuwamy ich „duchowości", a więc ich znikliwości, przemienności i niedookreśloności — cech, które towarzyszą snom, zjawom i przywidzeniom. Widzenie Księdza Piotra to parafraza mitu ukrzyżowania i zmartwychwstania i jest nie tyle widzeniem, ile suchą parabolą — sennej nieokreśloności przydać jej ma tajemniczy mąż o imieniu 44. Tajemniczość tej cyfry nie wynika z widzenia, tj. z rozwijania się błyskawicznego obrazu

poetyckiego, i nikomu z czytających poezję jak poezję, a nie jak przepowiednię polityczną, nie przyszło do głowy „rozwiązywać", co znaczy ta cyfra. (Suszyli nad tym głowy z początku tylko amatorscy pedanci, aż wzięli się do tej cyfry zawodowi profesorowie literatury i, zdaje się, dowiedli ostatecznie po stu latach tego, co sam Mickiewicz wyznał w rozmowie z Goszczyńskim: że 44 to on sam...) Nawet widzenie senne Ewy nie ma przebiegu obrazów właściwego snom. Poprzedza je poeta Chórem aniołów, aby w ten sposób zilustrować swoją filozofię snu jako życia duszy, jako dzieła duchów nagradzających, karzących lub przestrzegających. Aniołowie umawiają się śpiewając w Chórze, że przemienią się w żywy wianek śpiewający i grający nad śpiącą Ewą. Czynią to z taką akuratnością, że ręce przemieniają w splatające się lilie, oczy — w gwiazdy, czoła — w róże, włosy — w promienie i w wonie. Obraz ten nie ma więc w sobie przemienności i płynności; stanowi rozwinięte w szczegółach porównanie, właściwe drobiazgowemu opisowi, a nie nagłemu olśnieniu. I mimo że Róża ożywa i przemawia, obsypane kwiatami widzenie Ewy nie porusza naszej fantazji, nie zaskakuje jak wizja. Przemawia jak alegoria. I to alegoria, której inny sens z góry wyłożono.

A więc: fantastyczność *Dziadów* Części Trzeciej nie jest wizjonerska. Sceny fantastyczne w Trzeciej Części to alegorie, przypowieści, parabole. Nie objawiają one n a t u r y marzeń i wizji, bo sposób rozwijania obrazów, technika przedstawiania snów i widzeń nie różni się od obrazowania zdarzeń na jawie. „Widzenia" i sny w *Dziadach* nie są wizjami. Epik powiatu nowogródzkiego trzymał się w swoich latach mocno ziemskich przedmiotów. Dziewięć sfer niebieskich porównał do kręgów błahego, staroświeckiego instrumentu muzycznego. Wizjoner i fantasta „wytcze" sobie skrzydła i ozdobi w poecie — później, w Lozannie i w Paryżu.

II

„Miałem sen w Dreźnie 1832 r., marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiany. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz, 1840, przepisuję dla pamiątki." Taką notą poprzedził poeta wiersz zaczynający się od słów *Śniła się zima.*

Przywiązywał więc do tego snu, skoro go przepisał po ośmiu latach, szczególne znaczenie (on, który nie dbał o drobne rękopisy, któremu Epilog *Pana Tadeusza* zgubił się w papierach). Miał ten sen w Dreźnie, w okresie największego rozmachu twórczego, wtedy gdy pisał *Dziady,* poemat snami rojny, a przepisał dla pamiątki wtedy, kiedy ułożył już był liryki lozańskie. Z czego przepisał? Autograf z 1832 r. nie dochował się, zniszczył go poeta, nie możemy więc porównać redakcji drezdeńskiej z lozańską, a może już paryską, i sprawdzić, czy poeta przepisał tylko mechanicznie, niczego nie zmieniając w tych wierszach, o których na końcu umieszcza uwagę, że były pisane jak przychodziły, bez namysłu i poprawek, czy też zapis drezdeński uporządkował. Wiersz wygląda na pozór na najkrótszy i najprostszy zapis widzeń sennych, tak jak zatrzymała je pamięć obudzonego. Na pośpieszne zanotowanie z troską o wierność szczegółów, o ich uchwycenie, utwierdzenie na piśmie, zanim je pamięć na jawie przekształci lub zatrze. Ale sen był z tych snów wyraź-

nych, których prawdziwość wydaje się silniejsza niż jawa. Obawa jego zatarcia się w pamięci okazała się płonna: przypomniany w osiem lat później, obudził takie zainteresowanie, że poeta wziął się do przepisywania notatki z Drezna. Wydawał się i wtedy, osiem lat po jego śnieniu, ważny, znaczący. O jego ważności miała też świadczyć data 23 marca, przełom wiosenny, tak wyraziście wyobrażony w widzeniu sennym. Ale czy tylko jego „ciemność", niezrozumiałość tak zastanawiała poetę, i to dlatego, że domyślał się w tej ciemności jakiegoś głęboko ukrytego znaczenia? Czy tylko niezrozumiały sens snu pociągał śniarza?

Nie mam zamiaru bawić się w tłumaczenie tego snu. Zrobił to Rafał Blüth zastosowawszy do marzenia sennego Mickiewicza zmodyfikowany przez siebie schemat psychoanalityczny. Łatwo wskazać, gdzie Blüth pozwolił sobie na dowolną interpretację tekstu lub nawet przypisywanie tekstowi tego, czego w nim nie ma. Zrobił to dla zaokrąglenia swojej interpretacji, chciał wyjaśnić po freudowsku wszystko, i to tak, żeby sen był jak szyba przejrzysta, za którą widać zgryzoty poety w tym okresie czasu. (Np. wbrew tekstowi dopatrzył się mężczyzn w procesji rozdzielonej na dwa równoległe rzędy, po prawej i po lewej stronie śniącego.)

Sądzę, że ten zapisek snu trzeba traktować jako utwór poetycki, a nie tylko tekst dla psychoanalizy. Skoro go Mickiewicz zapisał wierszem, musiał mieć zamiar nie tylko pamiętnikarski, zapisywał i przepisywał nie tylko dla pamiątki, ale i dlatego, że sen wydał mu się wizją piękną i godną wiersza. Właśnie jego wizyjność, właśnie gra wyobraźni inna niż ta, jaką rozwijał poeta świadomie, na jawie, musiała zdumiewać i podobać się poecie. Że przede wszystkim ten wzgląd skłonił go do zapisania i przepisania snu, można wnosić z faktu, że jest to jedyny sen zapisany wierszem, a o wielu snach poety, bardziej jeszcze znaczących niż ten (bo się „spełniły"), wiemy z rozmów i listów poety. (Np. z rozmowy, którą przekazuje Aleksander Biergell w dniu 8 marca 1855 r., dniu pogrzebu Celiny.)

Jest to wiersz o zimie i wiośnie-lecie, o śmierci i zmartwychwstaniu. Tak jak data tego snu wiąże i dzieli zimę od wiosny, obrazy w tym wierszu dzielą się na dwa odrębne zespoły, odróżnione przez poetę w autografie gwiazdką; dzielą się, ale i łączą. Żałobna czerń i biel wizji w pierwszej części wróci pod koniec części drugiej wiersza, ale już w części pierwszej błyszczą kwiaty niesione w ręce i gorzeją jak złote strzały odwrócone płomienie świec. Żałobna biało-czarna zima, śmierć, pojawi się w obrazie wywołanym słowami Ewy — jaskółki biało-czarnej, lecącej szukać przyjaciół w grobach i wracającej z czarnym wojskiem sosen, lip, piołunów i cząbrów. Śpiący budzi się z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu — zmartwychwstały, wiosenny, ze łzami ukojenia płynącymi zapachem Włoch i róż, i jaśminu.

Tak więc w wizji tego wiersza-snu połączyła uczuciowość poety dwa sprzeczne tony: żałoby — i rozkoszy miłosnego zachwytu, a wyobraźnia zespoliła w jedno pochód żałobny z sielankowym, niebiańskim obrazem ukochanej-świętej „w białej sukience i ubranej w róże", nie dotykającej ziemi wśród latających motyli.

Temu zespoleniu sprzecznego tonu uczuciowego i sprzecznego wzorca obrazów sprzyja na-

Celina z Szymanowskich Mickiewiczowa według dagerotypu paryskiego; rysował K. Mordasewicz.

Celina Mickiewiczowa z córkami Marią i Heleną. Litografia współczesna wykonana według rysunku Zofii Szymanowskiej z roku 1851.

głość ukazanych przemian. Najpiękniejszym spośród tych obrazów jest przemiana zimy — od razu w lato:

Wtem weszło słońce — lato — śnieg nie spłynął,
Lecz jak ptak biały dwa skrzydła rozwinął
I skacząc leciał; niebo się odkryło
I wkoło ciepło i błękitno było!

Wizja śniegu rozwijającego z ziemi skrzydła i skaczącego w przyziemnym locie — należy do uderzających i najniezwyklejszych, jakie stworzyła wyobraźnia poety. Podobnie twórczy jest obraz przebudzenia: łączy wygląd jakby zmarłego grzesznika, któremu przebaczono, z jego obudzeniem-zmartwychwstaniem. Łzy skruchy przemieniają się w łzy ukojenia i rozkoszy:

...łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch, i jaźminu,
I gór Albańskich, i róż Palatynu —

Łzy płynęły i wionęły zapachem... Takiego rodzaju obrazów poezja europejska nie znała przed Mickiewiczem, i być może, gdyby Mickiewicz zamyślał ten wiersz drukować, kto wie, czyby się nie zawahał: czy zgodziłby się powiedzieć tak niezwykle — jak odczuł we śnie, czy nie wydałyby mu się te zdania za trudne do pojęcia.

Podobnie jak ze sprzecznym wzorcem obrazów, dzieje się w tym wierszu nie tylko z tonem uczuciowym, ale i z samopoczuciem moralnym śniącego: litość nad chłopczyną wiąże się z wyrzutami sumienia i skruchą, słodycz płynąca z niebiańskości świętej-ukochanej z rozdarciem serca.

Takich sprzecznych spraw wyobraźni, uczuciowości i sumienia nie związał poeta w jednej wizji — nigdy przedtem. Wystarczy porównać ze snem w Dreźnie powstały w tym samym zapewne czasie wiersz *Do samotności* lub z czasów wileńskich wiersz sztambuchowy przeznaczony dla Kowalskiej. Oba te wiersze wywiódł poeta z dialektyki sprzecznych uczuć, ale uczucia te rozwija każde z osobna, posługując się porównaniami jak przesłanki zmierzającymi do wniosku wyrażonego językiem nie obrazu, lecz formuły logicznej:

Jestże to dla nich szkodą czy korzyścią,
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata,
I że się muszą kochać — nienawiścią?

lub:

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie jestem wygnańcem w oboim żywiole.

W wierszu *Śniła się zima* wyzwolił poeta czynność wyobraźni, nieznaną mu przedtem: czynność wizyjną.

III

Od czasu Arystotelesa wszyscy chyba teoretycy poezji i poeci (z wyjątkiem teoretyków i poetów Oświecenia) zawsze się godzili co do jednej zasadniczej właściwości poezji: że jest mową obrazową, że wiersz to obraz. Zmieniają się prądy, żłobią w mowie wiązanej nowe rytmy, kształtując coraz inaczej frazę poetycką, zmienia się moda na rymy takie lub owakie, starzeją się poetyczne słowa, zjawiają się nowe; wszystkie czynniki wiersza ulegają przemianom nieraz tak gruntownym, że to, co było dawniej poetyczne, staje się z czasem komiczne — a główna zasada poezji: obraz, przenośnia, pozostaje niezmiennym probierzem mowy poetyckiej.

Na przykładzie twórczości wielkich romantyków zrozumiano, że obraz poetycki nie służy, jak sądzili pseudoklasycy, ozdobie lub rozwinięciu wiadomych już myśli. Porównanie więc uwydatniające myśl przez zestawienie jej z podobną myślą lub przedmiotem ustępuje jako środek poetycki metaforze. Według Arystotelesa wszystkie figury poetyckie są zestawianiem podobieństw między przedstawianymi przedmiotami, jedynie przenośnia jest odkrywcza, bo znajduje podobieństwa między przedmiotami niepodobnymi. Używania metafory nie można się nauczyć, to dar wrodzony. Miarą oryginalnego geniuszu poetyckiego jest więc siła i śmiałość metafor.

Ale nie każda przenośnia jest znakiem owego wrodzonego geniuszu, o którym mówi Arystoteles. Są metafory pozorne, przenośnie-ozdoby, przenośnie-dopowiedzenia, nie wynajdujące „podobieństwa w niepodobieństwie". Nie świadczą one o „trafnej niepospolitości". Co więc nadaje siłę metaforze, czym mierzyć jej „trafną niepospolitość" i śmiałość? Śmiałością i siłą uczucia, potęgą namiętności, która przebija z metaforycznego obrazu. Obraz, którego nie uformowało niepohamowane uczucie, nie ma siły, jest martwo urodzony, nie świadczy o stopniu oryginalności, nie określa poety; przeciwnie, zdradza poetę, obnaża jego słabość. Najsilniejsze więc obrazy rodzi najsilniejsza namiętność, olśniewające metafory — wyostrzenie zdolności widzenia do chwytania błyskawicznych związków między przedmiotami, wizję — najszybszy rozruch wyobraźni, widzenie rozjaśnione aż do jasnowidzenia, do — wizji.

W widzeniu wizyjnym (że użyję tego pleonazmu dla oznaczenia twórczego obrazu metaforycznego) nie ma miejsca na porównanie, na sprowadzenie zjawisk niezwykłych do zwykłych; chodzi o uchwycenie stawania się tego niezwykłego w jednym błysku tak nagłym, jak proces przemiany tego, co było zwykłym, w niezwykłość. Wizja nie jest zastąpieniem opisu, ale takim zespoleniem wyobrażeń, że zdaje się, jakby tworzyły nowe, nigdy nie widziane zjawisko. Gdy Mickiewicz w *Dziadach* przedstawia krąg aniołów nad śpiącą Ewą i nazywa go żywym wiankiem, rozprowadzając szczegółowo to porównanie — nie tworzy wizji. Natomiast obraz łez wionących zapachem — jest wizją, którą tylko poruszone do gruntu serce poety mogło wywołać z niepodobieństwa.

Wizyjność zrywa więc z tokiem zwyczajnym, powolnym postrzegania i kojarzenia. Wizja wybłyska z najtajniejszego jądra wzruszonej wyobraźni; uderza zestawieniami elementów obrazowych nieoczekiwanymi i na pozór sprzecznymi z powszednim doświadczeniem. Gdy więc w poetyce obrazowania właściwego prozie przeważa porównanie, w poetyce mowy wiązanej najczęstsza jest metafora. Metafora-wizja rozsadza zrosty ustalonych skojarzeń i wyzwala

nową energię obrazotwórczą, energię uderzającą o naszą zdolność wyobrażania . czucia z taką siłą, że czytając nie mamy wątpliwości co do charakteru widzenia; od razu wiemy, że poeta — jak we śnie drezdeńskim — miał wizję. Bo nie tylko poszczególne obrazy są wizją w tym wierszu-śnie, ale on cały jest wizją. Doznając takich wierszy-wizji, zdaje się nam, jakbyśmy odkrywali jakąś nieprzewidzianą dotychczas naturę rzeczy i zdarzeń, nieznaną jeszcze stronę świata. Nie dziw więc, że Mickiewicz ową „ciemną, niezrozumianą" wizję zapisał, a po ośmiu latach przepisał dla pamiątki. Ta wizja obudziła w nim nieznaną mu przedtem zdolność poetyckiego obrazowania.

Ponieważ wizję wywołuje przemożna namiętność, w utworach-wizjach trzeba szukać istotnego charakteru życia poety, w nich objawia się istota jego najgłębszych pragnień i dążności.

Jakie są pragnienia i żądze poetyckie wielkich poetów? Wyraził je Mickiewicz wielokrotnie w swojej poezji, najgłośniej w Improwizacji: zanucić pieśń szczęśliwą! Najprościej zaś w liście do Aleksandra Chodźki: „Czas, bracie, robić poezją". Znieść przedział między marzeniem a rzeczywistością, sprawić, żeby wyobrażenie o świecie doskonałym stało się światem; światem spełnionej wolności, w którym człowiek może nasycić każde swoje pragnienie.

To dlatego poezja istnieje i istnieć będzie tak długo, dopóki człowiek nie zrobi poezji, dopóki nie zawładnie przeciwnymi jego dążeniu siłami społecznymi i przyrodniczymi w tym celu, żeby wszystkim po równi spełniały marzenia; by przenośnię uczyniły dosłownością.

IV

Obraz-wizja wywołuje błyskawiczny ruch wyobraźni. Wyobraźnia poruszona do gruntu zmienia nagle starcze oblicze rzeczy, ożywia je i odmładza dzięki temu, że odkrywa nowy do nich stosunek. Z liryk lozańskich najbardziej innymi, odrębnymi od poprzedniej liryki Mickiewicza wydają się dwa wiersze: *Nad wodą wielką i czystą* i *Gdy tu mój trup*. W obu tych wierszach metaforyczne widzenie przemienia powszedni obraz rzeczy. Chociaż poeta prawie że nie używa w nich figur poetyckich, to jednak nawet strofy relacjonujące mają znaczenie metaforyczno-wizyjne. I tak niezwykle przemieniają powszedni układ przedstawianych przedmiotów, że w *Nad wodą wielką i czystą* widzący staje się widzianym, tym, co widzi, a w wierszu *Gdy tu mój trup* obraz rozterki i tęsknoty wcielił się w widzenie trupa i zarazem dziecięcia — będących równocześnie tą samą osobą. Tkwi w obu tych wierszach, a raczej wyrywa się z nich pragnienie, żeby wyjść poza siebie, poza ciasny krąg własnego ja, przyjmować świat tak zupełnie, żeby się z nim utożsamić. Pragnienie, które uformowało wizję dwu wierszy lozańskich, określił poeta najkrócej w urywku powstałym w tym samym czasie:

> Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać
> Tam domku i gniazdeczka —

a rozwinął w niedokończonym wierszu zaczynającym się od słów: *Wsłuchać się w szum wód...*

Wsłuchać [się] w szum wód głuchy, zimny i jednaki
I przez fale rozeznać myśl wód jak przez znaki,
Dać się unosić wiatrom, nie wiedzieć gdzie lotnym,
I zliczyć każdy dźwięk w ich ruchu kołowrotnym,
Wnurzyć się w łono rzeki z rybami... —
Ich okiem niewzruszonym jak gwiazda...

W łańcuchu bezokoliczników powtarza się uparte dążenie do zrównania się ze światem zewnętrznym, do ogarnięcia żywiołów, do zrównania się z nimi. Dążenie mistyczne, które, jak z tych urwanych prób poetyckich widać, hodował poeta w sobie usilnie. Pragnienie to wydało wiersz *Widzenie*.

Wśród przewagi maksym moralnych znajdujemy w *Zdaniach i uwagach* kilka formułek mistycznych mówiących o Bogu i człowieku. Dwie z nich umieszczone obok siebie można by wziąć za motto do *Widzenia*.

D r o g a d o w i e c z n o ś c i

Ci, co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdej chwili.

C z ł o w i e k w i e c z n o ś c i ą

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy nad świat zdąży
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pogrąży.

Widzenie jest rozwinięciem tego paradoksu c z u c i a w i e c z n o ś c i w c h w i l i i złączenia się w ekstazie mistycznej z bóstwem. Opis tego czucia w *Widzeniu* jest na ogół wiernym powtórzeniem w języku porównań poetyckich tego, co znamy ze świadectw mistyków obcujących z „istotą świata" i co znamy ze świadectw zażywaczy meskaliny. Wiadomo bowiem, że stan nadzwyczajnej szczęśliwości i mocy, cel dążeń tylu świętych ascetów, osiągany rzadko tylko i to za cenę długich umartwień i zawiłych ćwiczeń duchowych, ten „mistyczny dar bóstwa" osiągnąć można prędko i bez wysiłku, zażywszy wyciągu z peyotlu, meksykańskiej rośliny zawierającej meskalinę. Działanie peyotlu znali kapłani Azteków i dawkowali go wiernym dla wywołania stanów mistycznych w okresie ważniejszych świąt i ceremonii religijnych. Do „sztucznych rajów" można więc, jak świadczą opisy tych, co zażywali peyotl, wejść na zawołanie i mieć „czucie wieczności", o które modlą się wierni.

Oczywiście charakter wizji w stanie narkotycznym (i mistycznym) zależy od zakresu zainteresowań umysłowych, a w szczególności od jakości wyobraźni: mistyk-prostak i narkoman-prostak zobaczą niewiele więcej niż to, czego doznali w stanie normalnym. Stan mistyczny jest tylko (może należałoby powiedzieć: jest aż) podniesieniem radosnych spełnień i rozkoszy znanej z doświadczenia — do najwyższego stopnia, tak, iż poczucie szczęścia, swobody i mocy daje pobudzonemu mistycznie lub narkotycznie złudzenie boskiej wszechwładzy; człowiek czuje się bogiem. System nerwowy podniecony działaniem narkotyku wyzwala największą, na jaką go stać, energię, czyniąc z byle jakiego wrażenia wzrokowego feerię najintensywniejszych kolorów i światła. Właśnie światło, jakim zdają się promieniować przedmioty, powtarza się jako najradośniejsze doznanie w spowiedziach mistyków i zażywających meskalinę.

Widzenie raju w *Boskiej komedii* jest opisem ekstazy mistycznej: najintensywniejszy jej składnik stanowi, podobnie jak w widzeniu Mickiewiczowskim, zachwyt nad światłem, poczucie skąpania się w źródle światła, ześwietlenia, stania się światłem.

Ktoś nazwał poetę mistykiem w stanie barbarzyńskim. Sądzę, że należałoby odwrócić to twierdzenie: to raczej mistyk jest poetą *in crudo*, poetą pozbawionym daru słowa i dążącym nieświadomie do jego posięścia. Tak jak o tym, czy ktoś jest poetą, sądzimy na tej podstawie, że pisze poezje, o istnieniu mistyka wnosimy z relacji o jego stanach mistycznych; innego dowodu nie ma. Należałoby więc przyjąć, że mistyk nie piszący lub w ogóle nie przekazujący swoich widzeń — nie istnieje, tak jak nie ma bezsłownego poety. Mistycy, jakich znamy, silili się na opis swoich doznań. I poeta, i mistyk to jedno mają wspólne: dążenie do absolutnej wolności. Tylko że poeci dążenie to ujawniają w słowie poetyckim, które samo będąc czynem może pobudzić do „szturmowania nieba", a mistycy i narkomani są istotami biernymi, wystarcza im sztuczny raj, opowiadając o nim, nie pragną go sprawdzić na ziemi! *Godzina myśli* Słowackiego ukazuje ten dylemat na przykładzie początkujących mistyków ze zdumiewającą przenikliwością: jeden z ćwiczących się w marzeniach i „zaczuciach" wyzwolił nie zrealizowane pragnienia mistyczne — w poezji, drugi, pozbawiony daru słowa, „zginął marzeń zdradą".

Nadmieniłem, że *Widzenie* może się wydać na pierwszy rzut oka rozwinięciem aforyzmu o „czuciu wieczności" i utożsamianiu się z bóstwem; teoretycznie wyrozumowanym opisem stanu mistycznego, podobnym do opisów przekazanych przez znanych mistyków. Ton w d z i ę c z n e j p o w a g i i s p o k o j n e g o u n i e s i e n i a (takie paradoksalne określenie jest tu na miejscu) przeczy temu przypuszczeniu. *Widzenie* jest liryką przekazującą radość i uczucie swobody nieznane z innych wierszy poety. W przeciwieństwie do głośnego wyznania dumy i siły w Improwizacji — potęga, radość i szczęście opowiedziane w *Widzeniu* mają w sobie ciszę pewności i spełnienia. Jest to znamienne dla stanów mistycznych czy narkotycznych: upojony meskaliną ma pewność, że na przykład potrafi, gdyby zechciał, przenieść się jak światło natychmiast z miejsca na miejsce; pewność ta jest tak niewzruszona, że upojony nie odczuwa potrzeby sprawdzenia swej wszechmocy.

Doznania znane z opisów przeżyć narkotycznych (lub mistycznych) takie, jak: paradoksalne uczucie, że się jest nie tylko sobą, ale i przedmiotem, na który się patrzy, jak widzenie w rzeczy „istoty" rzeczy — znalazły w wierszu Mickiewicza obrazy rozwijające się szeregami porównań. Poeta wytacza coraz to nowe porównania, niejako krąży koło tego niezwykłego stanu, chce go porównaniami przybliżyć naszemu zrozumieniu. Ta usilność, to uporczywe staranie się o przybliżenie możliwie największe uczuć niezwykłych i nie do pojęcia — dowodzi, że *Widzenie* nie jest teoretycznym wykładem mistycznego czucia wieczności, ale zapisem autentycznego przeżycia.

Zarobił na nie poeta długimi i zaciekłymi modlitwami oraz wprawianiem się w „zaczucia" i stany autohipnozy. Słyszał, jak Joanna d'Arc, głosy, czuł obecność duchów, miewał „objawienia" itp. Listy z okresu towiańszczyzny i relacje osób, które z nim wtedy obcowały, mówią o tym często i aż żenująco naiwnie. Istotnie przeżył więc poeta nagłe olśnienie, kiedy „dźwięk go uderzył" i — zgodnie z relacjami mistyków i upojonych meskaliną — uczuł na-

gle, jakby całe dotychczasowe jego życie było snem, z którego się zbudził do wiecznego trwania, do obcowania z istotą świata. A o wysokości i charakterze jego życia psychicznego w tym okresie świadczy treść wizji:

I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać, jak promień, przy boskim promieniu
Mądrości bożej; i w dziwnym widzeniu
I światłem byłem, i źrenicą razem.

Lot, stały motyw jego poezji, tutaj, w tym *Widzeniu* spełnił się ostatecznie: widzący przemienił się w lot światła i w widzenie tego lotu. Znamienne także dla charakteru moralnych i władczych aspiracji Mickiewicza, że mistyczne widzenie rozwija się od prześwietlenia tajemnicy przyrody do prześwietlenia rozumów i serc ludzkich. Żądza władzy nad duszami ludzkimi, marzenie wypowiedziane w Improwizacji, żeby „czuciem rządzić", tu, w tym podniesieniu natchnienia do ekstazy, znalazło spełnienie.

W przeciwieństwie do zapisu snu w Dreźnie — *Widzenie* nie wnosi do zasobu środków poetyckich Mickiewicza obrazów wizyjnych. Najobszerniejszej swojej wizji nie przekazał Mickiewicz w sposób ujmujący ją w stawaniu się, w jej przemienności wizyjnej. Poeta tłumaczy to, co widział, porównaniami (porównanie nie jest z natury dynamiczne), o najszybszym, świetlnym locie wykłada ze spokojem profesora. I ten kontrast między nagłością widzeń i ich najwyższą lotnością, przeżytą w mistycznym doznaniu — a spokojem, jakby ciszą opowiadania o nich, robi wrażenie, jakiego nie daje nam Mickiewicz nigdzie indziej. To dlatego z początku wydał mi się ten wiersz tylko teoretycznym wykładem o stanie mistycznym, rozwinięciem zacytowanych *Zdań*.

V

W liście do Towiańskiego z 12 października 1842 r. donosi Mickiewicz: „W ostatnich dniach pobytu w St. Germain, 4, 5, 6 octobra, byłem ja w wielkim podniesieniu ducha; przypomniałem, że miałem dawniej te stany, ale o nich całkiem straciłem był pamięć i teraz dopiero dziwnie wróciły. Ale było to czucie swobody i mocy, bez żadnej myśli, bez kierunku, bez chęci. Dawniej puściłbym je na poezję, teraz czekałem kierunku. W nocy z dnia siódmego na ósmy, po modlitwie do N. Panny, czułem blisko Chrystusa Pana w postaci *Ecce Homo*, lubo o tym pierwej nie myśliłem, a wkrótce obaczyłem gwiazdeczkę, wielką iskrę..."

Owocem tego podniesienia ducha, którego poeta nie chciał niestety puścić na poezję, bo ją jako wyznawca Towiańskiego lekceważył oczekując cudów, było błahe „objawienie" słów ducha Napoleona. Ale ów październik obfitował w stany czucia „swobody i mocy", skoro odczytał na zgromadzeniu Koła Towiańczyków dnia 14 października 1842 r. *Słowa Chrystusa* też „z objawienia", a w noc Wszystkich Świętych zapisał *Słowa Panny. Słowa Chrystusa* i treścią, i stylem niewiele odbiegają od przypowieści z *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa* i nie wnoszą nic nowego do poezji Mickiewicza. Natomiast *Słowa*

Panny to poemat niezwykły; wizja ujawniająca jeden z najsilniejszych porywów uczucia i woli w liryce Mickiewicza. Ten sam, który wzbił w górę wiersze Improwizacji. Jaka jest treść tego porywu?

> Teraz duszą jam w moję ojczyznę wcielony;
> Ciałem połknąłem jej duszę,
> Ja i ojczyzna to jedno.

W takim oto obrazie podwójnego wcielenia wyraził poeta swoją namiętność: duszą wciela się w ciało ojczyzny, a równocześnie połyka swoim ciałem duszę ojczyzny. Jeśli zobaczymy ten obraz w całej jego wyrazistości, tak jak ci, którzy czytali to zdanie wydrukowane po raz pierwszy, musi się nam wydać jaskrawy. Nie widzimy go zazwyczaj tak świeżo, stracił już przez długie z nim obcowanie swoją pierworodność. Mimo analogii do theofagii (np. połykania Boga przez chrześcijan w komunii), obraz Mickiewicza odczuwamy jako *tour de force*, jako gwałt wyobraźni, która go n i e m i a ł a c z a s u ubrać w zdania łagodniej przylegające do naszych uczuć. (Gwałtowność i jaskrawość uczuć w Improwizacji jest zamierzona: poeta w ten sposób podkreślał wybuchową spontaniczność, improwizacyjność monologu Konrada.)

> Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblubieńcem i w oblubieńcu.

Słowa Panny wypowiadają ten sam poryw liryczny, ale już nie w zdaniach wezbranych patosem. Dopiero w tym poemacie lirycznym namiętność poety wcieliła się w zdania dorównujące pragnieniu, w zdania mówiące nadzwyczajności zwyczajnie.

Dopiero w tym poemacie spełnił poeta jedno z najsilniejszych swoich pragnień. Wstrzymywana długo żądza twórcza wyraziła się oto w słowach najnaturalniej układających się w rytmie Pisma Świętego. Słowa te jak gdyby w y p r o m i e n i o w u j ą widzenia, obrazy nie wydają się nam poetyckimi zmyśleniami, ale — czym? Sprawozdaniem z pięknej i spokojnej a olbrzymiej zadumy, z ekstazy, która długo tajony popęd poetycki urzeczywistniła całkowicie. Dopiero w *Słowach Panny* stworzył Mickiewicz poetykę dorównującą jego stanom ekstazy, poetykę obrazów wizyjnych.

Każde ze zdań rozwijających się powoli, tokiem majestatycznym, mieści w sobie gąszcz obrazów, jakby było wielozdaniem:

„A ż m i ł o ś ć m o j a z a n i e c i ł a s i ę w i s k r ę w i d o m ą i d u c h m ó j c a ł y o t o c z y ł j ą i t y l k o w n i ę p a t r z y ł."

Wielką „iskrę, gwiazdeczkę" widywał Mickiewicz na jawie i dlatego to zawiłe widzenie wyraził zdaniem prostym, brzmiącym sprawozdawczo, nie szukającym porównań.

Nie można bardziej ścisnąć słów, żeby wydały więcej widzeń niż w tym poemacie. W *Słowach Panny* użył Mickiewicz zdań najzwięźlejszych z całej swojej praktyki poetyckiej — a był to mistrz poezji zwięzłej! Związał je zaiste „dwunastoma taśmami płomienistymi". Dzięki temu to, co może byłoby ab-

strakcyjną spekulacją mistyczną, zyskuje wygląd cielesny. Obraz potrójnego wcielenia: Panny w oblubieńca, oblubieńca w Pannę i miłości-iskry w Pannę, obraz wgarniania w siebie narodu i ogarniania sobą narodu — ma dobitność cielesnej obecności. Obraz ten ogromnieje i rozprzestrzenia się. Pierś Panny staje się jak noc letnia i dzień, obie łyskające od błyskawic, a dzień gorący od przebijających się piorunów. Wyobrażenie Panny przemienia się (niezbyt zgodnie z wyobrażeniami chrześcijan) we wszechświat, w mit kosmogoniczny. Wśród wielu ozdobnych epitetów do Panny Maria nazywana była „gwiazdą zaranną" i „gwiazdą morską", ale w chrześcijańskim rozumieniu nigdy nie utożsamia się z gwiazdą, nie staje się kosmosem. W tym poemacie napełnia sobą i wciela się w świat, a zarazem otacza go sobą jak swoje dziecię.

Tak oto w wizji nazwanej *Słowa Panny* wyraził Mickiewicz w słowach dorównywujących pragnieniu jedną z głównych namiętności poetyckich swojego życia.

Podobnie jak w *Widzeniu* wyzwolił ostatecznie inny poryw, wypowiadany w wielu utworach: lot. Lot „na szczyt opoki", lot „tam gdzie graniczy Stwórca i natura" ujrzał w *Widzeniu* jako odkrycie środka Przyrodzenia i wnętrza człowieka, a zarazem jako wypełnienie (podobnie jak w wizji Panny) sobą świata.

Podobnie jak w śnie drezdeńskim rozwiązał dręczący go od początku twórczości węzeł uczuć i idei moralnych związany w sprzeczność: miłość — śmierć. Centralny węzeł *Dziadów*.

Te trzy wizje Mickiewicza nie napisane, lecz zapisane, nie są rezultatem zwykłego natchnienia, które zazwyczaj obracał na wiersze. W *Żalu rozrzutnika*, wierszu pochodzących z tych samych lat później twórczości, postanowił powstrzymać rozrzutność uczuć. I oto skarb natchnień twórczych, zakopany w ziemi, zapalił się jak w baśni płomieniem bijącym jasnością czarodziejską. Długo hamowana wola twórcza spiętrzyła się na wysokość zachwyceń i stanów ekstatycznych, rozbłysła obrazami poetyckimi rzadkimi lub niebywałymi przedtem w poezji Mickiewicza.

Julian Przyboś

Kazimierz Wyka

O KOMEDII W „PANU TADEUSZU"

1

Stara to prawda, że prawdziwie żywotnymi arcydziełami są te, z którymi obcować możemy w sposób intymny, jakby zapomniawszy o ich ustalonej sądem pokoleń randze. Stara ta prawda przy *Panu Tadeuszu* daje o sobie znać w sposób całkiem szczególny.

Bo zważmy. Współcześni Mickiewiczowi mieli mu za złe błahą, ich zdaniem, codzienność poematu; obruszali się gniewnie, że tak zwykłą jest owa historia szlachecka i tak całkiem zwyczajnych ludzi dotyczy. Następne pokolenia dojrzały w *Panu Tadeuszu* to, co orzeka o jego epickiej randze; w znaku Sienkiewiczowskiego *Latarnika* poemat stawał się uroczystym symbolem ojczyzny i tego, co w niej nieprzemijalne. W szczerość i prawdę wypowiedzi i wyznań wprowadzających historię szlachecką w ten znak, nikt, kto rozsądny, wątpić nie będzie. Chociaż postawi pytanie: gdzie podówczas przebiegało intymne obcowanie z dziełem, na czym się opierało?

I dzisiejsza pozycja *Pana Tadeusza* jest chyba taka, że nie wątpiąc na chwilę o jego epickim walorze, że fakt ten zaliczając do elementarnych prawd naszej świadomości narodowej — jednocześnie możemy o tym szczęśliwie zapomnieć. Jakbyśmy odczytywali dzieło, którego miejsce ostateczne jeszcze nie jest wiadome, dzieło, które to miejsce dopiero sobie zdobywa, odsłaniając się od coraz to nowej i nieprzeczuwanej dotąd strony.

To właśnie jest obcowaniem intymnym. Bo cechy nowe i nieprzeczuwane odsłaniać może uznane powszechnie arcydzieło tylko pod warunkiem, że są one zgodne z naszą wrażliwością, że współdźwięczą z takimi jej strunami, jakie nie domagają się żadnych uroczystych i uznanych uprawnień. *Pan Tadeusz* na pewno dzisiaj współdźwięczy z takimi strunami.

Jakie są ich imiona, łatwo się orientować wspominając, na które to właściwości artystyczne poematu Mickiewicza zwracano szczególną uwagę w ostatnich dwudziestu latach, to znaczy pomiędzy stuleciem jego napisania (1834) a stuleciem śmierci twórcy (1855). Zwłaszcza w sądach poetów, te bowiem najlepiej mówią o wrażliwości, która nie staje na szczudłach tradycji, sama sobie wystarczy. Mówiono więc o poemacie humorystycznym. O baśni, baśni o człowieku, przyrodzie i ojczyźnie. O poezji czystej w *Panu Tadeuszu*. O wszechobecnej w jego wersetach, nawet czysto opisowych z pozoru, wibracji lirycznej.

Od żadnego z tych ujęć nie prowadzi uzasadnienie do narodowej epopei. A jednocześnie ani jedno z nich nie stanowi jej zaprzeczenia. Tylko po prostu przy *Panu Tadeuszu* można szczęśliwie zapomnieć o wszystkich uroczystych konstelacjach, przez jakie przechodziła jego gwiazda, a ujrzeć ją na horyzoncie upodobań naszych — zwykłą i prostą, nową i świeżą.

Chciałbym, ażeby uwagi moje pomogły odczytać to, co *z Pana Tadeusza* mieści się również na horyzoncie tych upodobań: zawartą w poemacie komedię. Przedmiotem osobnego rozpatrzenia nie była ona bodaj nigdy. Tylko w monografii Juliusza Kleinera o Mickiewiczu, gdy z księgi na księgę odczytuje jej autor *Pana Tadeuszu,* czujny na jego artystyczną różnolitość, pierwiastki komediowe poematu doznały należnego im uznania. Stąd niejedno w tych uwagach wspólne będzie z obserwacjami Kleinera.

2

W jakim sensie można mówić o komedii w *Panu Tadeuszu*? Wśród wielu wątków tego poematu jest jeden, który od początku do końca posiada charakter komediowy, w którym wszystkie perypetie psychologiczne posiadają tę właśnie tonację artystyczną. Historia Telimeny, Tadeusza, Hrabiego, uwieńczona zgoła nieoczekiwanym u początku poematu małżeństwem Telimeny z jeszcze innym partnerem — z Rejentem.

W sposób teatralny ten wątek się rozpoczyna. Telimenę opatrzył gospodarz poematu w to, co w gwarze teatralnej nazywa się tzw. efektownym wejściem. Wszyscy są już zebrani przy wieczerzy w sieni zamkowej, kiedy

> ...z potrawą czwartą
> Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.
> Weszła nowa osoba, przystojna i młoda;
> Jej zjawienie się nagłe, jej wzrost i uroda,
> Jej ubiór zwrócił oczy; wszyscy ją witali,
> Prócz Tadeusza, widać, że ją wszyscy znali.
> (I, 532—537)

Dalsza prezentacja osoby pozwoliłaby doskonale ją ubrać i ucharakteryzować zgodnie z intencją poety, gdyby całkowicie na mowę i gesty sceny przyszło przetworzyć ten moment. Nie mniej komediowo w księdze XII zamyka się ów wątek. Znów wszyscy goście zebrani przy biesadowym stole i znów teatralne wejście, jakie na wchodzącą parę każe zwrócić specjalną uwagę. Znów typowo teatralna, na grze gestów oparta sytuacja, kiedy włożony sztucznie w strój cudzoziemski Rejent nie wie, jak się zachować. „Ręce za pas wsadził — Nie masz pasa, tylko się po żołądku gładził". Jeśli zaś chodzi o świetne, komediowe *par excellence* repliki Telimeny w tej scenie — do nich jeszcze powrócimy.

Komedia w *Panu Tadeuszu* nie zamyka się i nie wyczerpuje na tym wątku. Elementy dramaturgiczne poematu są o wiele bogatsze. Nie będziemy do nich, rzecz jasna, zaliczać częstych w poemacie scen dialogowych, te bowiem zawsze w utworach epickich się spotykało i nie świadczą one, ażeby pierwiastek komediowy wdzierał się poprzez nie do utworu. Nie wszystko, co postacie

gadają, jest gadaniem dramaturgicznym, to znaczy ich psychikę, nałogi, przekonania charakteryzującym wprost gadaniem — tak jak to się dzieje w gatunkach scenicznych.

Weźmy przykład. Sędzia, chociaż wiele i szeroko mówi, nigdy bodaj nie występuje w sposób komediowy. Przynajmniej dopóki i jego komediowe obroty akcji nie przychwycą i nie podporządkują sobie. Kiedy Tadeusz wciągnął go w swoje naiwne wykręty, związane z romansem cioci Telimeny, nudnawy w języku Sędzia jakże się nagle ożywia. Jak zindywidualizowany stylistycznie staje się jego wybuch! W komediowym uniesieniu zmienia się rytm jego zdań, ich słownictwo, wdzierają się zautomatyzowane porzekadła, przyspiesza się całe tempo trzynastozgłoskowca. Bo na tę szczęśliwą w jego charakterystyce chwilę Sędzia jak gdyby się zaraził pierwiastkiem komediowym.

... Jużci, w młode lata,
Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć;
Ja za młodu niemało świata objechałem:
Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.
Człek niemało skorzystał! chciałbym i synowca
Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
Jak czeladnika, który terminuje lata,
Ażeby nabrał trochę znajomości świata.
(III, 395—405)

To jest Sędzia z normalnego toku szlacheckiej historii. Jego mimowolnie zabawna wypowiedź o szerokim świecie, którego słupy herkulesowe zowią się Dubno i Piotrków, nie tyle postać charakteryzuje i jej indywidualność, ile całe otoczenie i jego pojęcia, których zakresu Sędzia nie przekroczy. Inny jest Sędzia z komediowego fragmentu:

Sędzia, wąs kręcąc, z gniewem na chłopca spozierał:
„To Waść tak szczery? takeś mi serce otwierał?
Naprzód ów pojedynek! potem znowu miłość,
I ten wyjazd, oj! jest tu w tym jakaś zawiłość.
Już mnie gadano, jużem kroki Waści badał!
Asan bałamut i trzpiot, Asan kłamstwa gadał.
A gdzież to Asan chodził onegdaj wieczorem,
Czego Asan jak wyżeł tropił pode dworem?
O Tadeuszku! jeśli może Asan Zosię
Zbałamucił i teraz uciekasz? młokosie,
To się Waci nie uda; lubisz czy nie lubisz,
Zapowiadam Asanu, że Zosię poślubisz,
A nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu!
I gada mnie o czuciach! o niezmiennym sercu!
Łgarz jesteś! pfe! ja z Waści, Panie Tadeuszu,
Zrobię śledztwo, ja Waści jeszcze natrę uszu!

Dziś dość miałem kłopotów! aż mi głowa boli!
Ten mi jeszcze spokojnie zasnąć nie dozwoli!
Idź mi Waść spać!"

(VIII, 397—415)

To jest osoba i monolog z komedii Fredry, z jej sposobów charakteryzowania postaci, właściwych wszystkim wielkim komediopisarzom. Bo przede wszystkim indywidualność rysuje samą siebie w tym monologu, zarówno swój aktualny stan, jak cechy ogólne i trwałe. Sędzia wybuchnął gniewem, więc fuka i tupie, ale im dalej w gąszcz wykrzykników, tym bardziej gniew jego stygnie — nad stanem aktualnym bierze górę poczciwa niechęć do zwady, kłopotów, awantury. To, co w charakterze Sędziego jest dominujące i stałe. Wybieg z bólem głowy prześmieszny jest w swojej naiwności. Lepiej spać niż się kłopotać, a tu nowy intruz usnąć spokojnie nie pozwoli!

3

Jak się rzekło, komedia w *Panu Tadeuszu* nie wyczerpuje się na małżeńskich zabiegach Telimeny. Konieczna jest wpierw pewna uwaga wstępna o charakterze terminologicznym. Nie mam na myśli tego, ażeby zawsze i wszędzie taki zakres nadawać owym terminom. Po prostu w uwagach niniejszych w ten sposób i w tym zakresie posługuję się nimi.

A mianowicie: o elementach komediowych *Pana Tadeusza* mówię podówczas, kiedy mam na myśli wtrącone w narrację epicką składniki, w których tonacja artystyczna i wygląd konfliktu są wyraźnie komediowe. Jak cała sprawa Telimeny. O elementach teatralnych, kiedy Mickiewicz poprzez gesty, wygląd, poprzez inne efekty charakteru teatralnego interpoluje w narrację epicką składniki właściwe dramaturgicznej technice artystycznej. Jak wejście Rejenta i Telimeny. O elementach dramatu, kiedy konflikt i tonacja artystyczna kwalifikowałyby je wprost do dramatu. Jak spowiedź Robaka. Nadrzędnym zaś terminem są słowa — e l e m e n t y d r a m a t u r g i c z n e, sztuce dramaturgicznej przynależne, a więc w potrzebie teatralne, w potrzebie komediowe, w potrzebie dramatyczne.

Otóż w tym sensie — wyłączając nawet sprawę dramatu dotyczącą osoby Robaka, wielokrotnie opisaną — elementy dramaturgiczne *Pana Tadeusza* nie kończą się na komedii. Stary to i powszechny środek pisarski, że chcąc dokonać prezentacji większej liczby postaci, autor gromadzi je na uczcie, rodzinnej uroczystości etc. Im więcej postaci w krótkim czasie trzeba sprezentować, tym rozleglej sposób ów się rozrasta, bywa, że obejmie całą kompozycję. Czy narzuciła go obserwacja faktu rzeczywistego, jak w *Weselu* Wyspiańskiego, czy kompozycyjna intencja twórcza, jak w *Oziminie* Berenta, w *Na wsi wesele* Dąbrowskiej?

W *Panu Tadeuszu* Mickiewicz wobec powiatowego środowiska dwukrotnie sięgnął po ten środek: w scenie w karczmie (ks. IV) i na radzie w Dobrzynie (ks. VII). Uczta z wodzami i oficerstwem w księdze XII inny ma charakter i odmienną, nie teatralno-komediową funkcję pełni. Trzeba było w sposób możliwie naturalny ukazać gości ze świata historycznej legendy. Mickiewicz czyni to z jednej strony w sposób, który mówi o jego przekonaniach doty-

czących tego, co w historii donioślejsze — jednostka czy fakt, człowiek czy dzieło. Mazurek Dąbrowskiego parokrotnie, od pierwszej księgi do ostatniej, rozbrzmiewa w poemacie, gdy tymczasem jenerał, z którego nazwiskiem ów fakt narodowej świadomości się powiązał — to po prostu jeden z jeneralskich gości u biesiadnego stołu w Soplicowie. Prawo deheroizacji, uzwyklenia, panujące w poemacie, rządzi jego osobą również.

Z drugiej zaś strony gości ze świata historycznej legendy wita Mickiewicz w sposób, który ich podporządkowuje niezmienności obyczaju, jego prawom i nakazom. Wolno wątpić, czy na rzeczywistych przyjęciach po szlacheckich dworach wódz Legionów istotnie brał miejsce po miejscowym marszałku szlachty lub podkomorzym. Lecz w intencji Mickiewicza leży to, by podkreślić trwałość narodowego obyczaju, jego prawa rzewnie pamiętane przez poetę-tułacza. Pamiętajmy, że teza Leonarda Podhorskiego-Okołowa, iż w *Panu Tadeuszu* ostało się epicko przetworzone wspomnienie „zabaw i sporów" ze szczęśliwych i pamiętnych lat poety, z Tuhanowicz, posiada wiele prawdopodobieństwa — wyjaśnia liryczną wibrację rozsnutą wokół codzienności, nadając nurtom tęsknoty widniejącym w poemacie podłoże jeszcze bardziej osobiste.

I w myśl tej intencji poeta rozsadza gości „w wielkiej zamku sali" (XI, 580). Ta wielka sala, a nie zamkowa sień, to znak, że wielkie czasy wielkimi czasami, ale o interesy dbać należy i potomkowie Sopliców doszli do mety wyznaczonej przez Protazego.

Naprzód, jako najpierwsza województwa władza,
Podkomorzy-Marszałek wziął miejsce zaszczytne,
Ze słoniowym poręczem krzesło aksamitne;
Obok po prawej jenerał Dąbrowski,
Na lewej siadł Kniaziewicz, Pac i Małachowski.
Śród nich Podkomorzyna, dalej inne panie,
Oficerowie, pany, szlachta i ziemianie,
Mężczyźni i kobiety na przemian po parze,
Usiadają porządkiem, gdzie Wojski ukaże.
(XII, 8—16)

Tak więc zarówno uczta z wodzami, jak inne spotkania przy stole — trzykrotna wieczerza, śniadanie, nie służą komediowo-teatralnemu celowi. Stanowią po prostu element obyczaju i element intrygi, póty przez Mickiewicza użytkowany, póki to konieczne dla wydarzeń poematu. Skoro w księdze piątej u stołu w sieni zamkowej wybuchła kłótnia, której konsekwencje popchną naprzód akcję poematu — Mickiewicz już dalej nie gromadzi gości u stołu. „Po wieczerzy i Sędzia, i goście ze dworu wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru." (VIII, 9—10). To poecie wystarczy.

Karczma i rada natomiast to typowe sceny teatralne. Reżyserzy tych dwóch widowisk — Robak w karczmie, Gerwazy w Dobrzynie — tylko na chwilę zstępują do komedii, zresztą charakteryzowani są środkami wybitnie dramatycznymi. Po wszystkie inne postacie sięgnął Mickiewicz dłonią komediopisarza. Potraktował je na jednolitej teatralnej płaszczyźnie, uwypuklił tylko przez ich wypowiedzi i gestową charakterystykę. Nie stworzył ani planu

intrygi dotyczącej poszczególnych osób, ani też planu ich pogłębionej prawdziwie psychologii.

Wszyscy ci pomniejsi Dobrzyńscy (z wyjątkiem Maćka. Rózeczki i Prusaka), cała ta gromada Wilbików, Jurahów, Podhajskich, Skołubów, Cudzików, Rymszów, Birbaszów, Mickiewiczów, Zubkowskich, Terajewiczów, Stypułkowskich potrzebna jest w poemacie jako jego anonimowe, w sensie wydzielonych osobistości, personalnie typowe tło ludzkie. O okazy poecie chodzi, nie o indywidualności. Ci, co śpieszą z zajazdem na Soplicę i z odsieczą sąsiadowi, charakteryzują się głównie znamiennym słowem własnym i krótką wskazówką reżyserską poety, dotyczącą albo ich wyglądu, albo scenicznego ruchu. Na przykład Kropiciel:

„He! czekać? szczekać? zwlekać?“ przerwał Maciej drugi,
Ochrzczony Kropicielem od wielkiej maczugi,
Którą zwał kropidełkiem; miał ją dziś przy sobie.
Stanął za nią, na gałce zwiesił ręce obie,
Na ręku oparł brodę krzycząc: „Czekać! zwlekać!
Sejmikować! Hem, trem, brem, a potem uciekać!“
(VII, 85—90)

O takich „oratorskich” wystąpieniach pisał trafnie Kleiner: „Przemówienia maniaków zaściankowych są po prostu kompozycjami fonicznymi, opartymi na powtarzaniu pewnych słów i niby-słów, na rymach, asonansach, aliteracjach, formach dźwiękowo podobnych”.

Nawiasem mówiąc, nie są to jedyne tego rodzaju kompozycje foniczne w poemacie. Nie chodzi mi o efekty onomatopeiczne w opisie burzy (X, 67—69, 86—89), te są równie znane i dawne jak poezja w ogóle. Ale taki foniczny i etymologicznie parodystyczny wygląd posiadają nazwy fikcyjnych zaścianków: „W Dobrzynie, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach” (V, 861). Ale podobnie foniczne, czysto kompozycyjne są obydwie wokandy Protazego (I, 878—883, XI, 316—318), szczególnie pierwsza z nich, a także zestaw bajecznych dań Wojskiego. Jakby Mickiewicz przeczuwał, że kiedyś z tych potraw pozostanie jedynie zabawne menu słów; gastronomiczna abundancja słowna Tuwima w *Kwiatach polskich* także i stąd pochodzi, nie tylko ze świetnych bufetów warszawskich i zaginionej sztuki kulinarnej tego miasta.

Dlatego na identycznym tonie świadomej groteski słownej czytamy:

Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim
Obuchowicz z Kahałem, Juraha z Piotrowskim
Maleski z Mickiewiczem....
(I, 878—882)

— — — — — — — —

Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów
Z ingredyjencyjami pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów.
(XII, 145—147)

Powróćmy do Brzytewek i Rózeczek. Wobec nich humor Mickiewicza wyraża się w swej postaci czysto obserwacyjnej, bez epickiego komentarza. Tak puszczone w ruch Maćki i Bartki wystarczają bowiem, ażeby rozegrać bitwę z jegrami — w ujęciu poety równie mało serio, jak ich zaściankowe bronie z zapiecka. Dzięki nim buduje się bowiem jedynie komedia środowiskowej charakterystyki.

I jeszcze jeden wygląd posiadają komediowo-teatralne składniki *Pana Tadeusza*. Poprzez cały poemat przewija się coś, co by można nazwać komedią paralelnej groteski: Rejent i Asesor, Rykow i Płut, te dwie pary w działaniu, Domeyko i Doweyko, ta trzecia para przerzucona w narrację gawędziarską, w istocie komediowa w nieustannych pomyłkach. Paralelizm scen i postaci, kontrastowy lub dopełniający, to stałe znamię techniki pisarskiej Mickiewicza w *Panu Tadeuszu*.

Ta paralelna groteska jest wszakże wzbogacona o sens głębszy — osobistej psychologii postaci czy jej funkcji w poemacie osiągalnej tylko poprzez dokładną charakterystykę indywidualną. Oczywista, że te dwa zadania pokrywają się z sobą, jak w przypadku Asesora, w tym znakomitym studium służbisty, biurokraty i oportunisty, osiągniętym przez celną charakterystykę jego czysto osobistych właściwości.

> Asesor, niegdyś cara, dziś Napoleona
> Wierny sługa; żandarmów oddział miał w komendzie,
> A choć ledwie dwadzieścia godzin był w urzędzie,
> Już włożył mundur siny z polskimi wyłogi
> I ciągnął krzywą szablę, i dzwonił w ostrogi.
> (XI, 659—663)

4

Czy tylko tyle, co zostało wyliczone, z elementów dramaturgicznych mieści się w *Panu Tadeuszu*? Czy należą one do tych składników poematu, jakie ułatwiają intymne z nim obcowanie dzisiaj?

Trzeba zwrócić uwagę na kilka kwestii, szczególnie w zakresie komedii uczuć Telimeny, Tadeusza i Hrabiego. Nie warto jej przypominać we wszystkich kolejnych perypetiach. Znamy. Pamiętamy. Wypada wszakże wśród licznych scen, w jakie owa komedia obfituje, zwrócić uwagę na to, co jest pełną manifestacją komediopisarskiego mistrzostwa Mickiewicza. I co w pewnej mierze, tej właśnie, która powoduje intymną bliskość i zrozumiałość ich psychiki, wielu innym postaciom poematu zostało również udzielone przez jego hojnego gospodarza. To mistrzostwo manifestuje się w *Panu Tadeuszu* podobnie jak w umiejętnościach każdego wielkiego komediopisarza: w skomplikowanej grze intencji sprzecznej z wypowiedzią, we wzajemnym osaczaniu się dwóch egoizmów, w ich zabawnej wzajemnej kompromitacji, w tym wszystkim, co z prawdziwej komedii czyni gatunek o wielu, ustawicznie przepływających w siebie, planach.

Znamy. Lecz mimo to na dwóch scenach zatrzymajmy uwagę. Między Tadeuszem a Sędzią (VIII, 317—416) i Tadeuszem a Telimeną (VIII, 424—575).

Odczytajmy, argument po wykrętnym argumencie, to, czym Tadeusz usiłuje przekonać Sędziego, że powinien natychmiast opuścić Soplicowo. Wiemy, że pragnie wyrwać się z sieci, jaką sam wokół siebie zaplątał, bardzo pochopnie skorzystawszy z klucza do pokoju cioci Telimeny. Za złe mu tego nie weźmiemy, jak emigracyjni parafianie, którzy spowodowali, że w zakończeniu księgi trzeciej poeta skreślił dowód tej skwapliwości w postaci krótkiej notatki o nocnej wyprawie Tadeuszka. Raczej nad jego niedoświadczeniem wypadnie się uśmiechnąć, że to, co zastał w pokoju pani Telimeny, mógł był wziąć za młodą dziewczynę. „Panna nie panna, kto wgląda tak ściśle" — powie w tym miejscu stary Fredro.

Więc trzeba się wyplątać i Tadeuszowi nadarzył się szczęśliwie argument, z którym może wobec stryja wystąpić, nie przyznając się, o co właściwie chodzi. Nie domyśla się, biedaczek, że nocni stróże w Soplicowie byli czujni i Sędziemu już zameldowano w porannym raporcie o jego nocnej wyprawie. Tym argumentem pojedynek z Hrabią, wyzwanym przez młodzieńca w czasie kłótni przy wieczerzy. Z tego argumentu Tadeusz od razu wypala, poddając stryjowi, że oznacza on konieczność natychmiastowego wyjazdu. „W Litwie jest zakazane pojedynkowanie. Jadę więc na granicę Warszawskiego Księstwa" (VIII, 326—327).

Argument w bardzo lichy sposób pokrywa rzeczywistą i sprzeczną z nim intencję. Sędzia od razu się wyznaje na grze („kręcisz, jak lis szczwany") i upraszcza sytuację. Chciałby Tadeuszowi ułatwić szczerość, ale ani się domyśla, czy też może nie wypada mu domyślać się głośno przy młodzieńcu, jak naprawdę wygląda kabała, w którą ów się zaplątał. „Waszeć masz tu jakieś z damami kabały" (348). Może chodzi o Zosię? Drugi wykręt Tadeusza. Przeszkodą podkomorzanka, odsunąć podkomorzankę? Trzeci wykręt Tadeusza. Przeszkodą Telimena, prosić ją o zgodę? Czwarty wykręt Tadeusza.

Zważmy, że za każdym jego nowym wykrętem Sędzia coraz krócej przemawia. Już przejrzał, że partner „indziej kitą wije, a sam indziej bieży" (337). Zbiera tylko dowody. Ostatni wykręt, niecierpliwie wymowny, bo przecież dotknięte zostało bolesne miejsce, ciocia Telimena, przerywa Sędzia krótko: „Będziem prosić". Ten lakonizm zdaje się świadczyć o tym, że Sędzia domyśla się celu wieczornej wyprawy, chociaż głośno mówić będzie o cnocie Zosi, i ten domysł zgoła nieprawdopodobny, gorszy aniżeli nocna wizyta u Telimeny, nagle w nim świta wobec ewidentnego i upartego krętactwa Tadeusza. Na pewno zaś świadczy, że Sędzia ma już dość i za chwilę wybuchnie. Cytowaliśmy jego replikę kończącą całą scenę.

5

Ledwo ta się skończyła — następna, w zmienionych dekoracjach przedstawiających stawy soplicowskie nocą. O Tadeuszu w świetle sceny poprzedniej zauważyć wypada, że komediowym partnerem w ataku, w sztuce zamaskowania swych rzeczywistych intencji i zadania zamierzonego ciosu, okazał się on dosyć lichym. I to w szermierce z kim, z Sędzią nie grzeszącym bystrością umysłu.

Scena nad stawami Soplicowa ukazuje natomiast, że w komediowej obronie

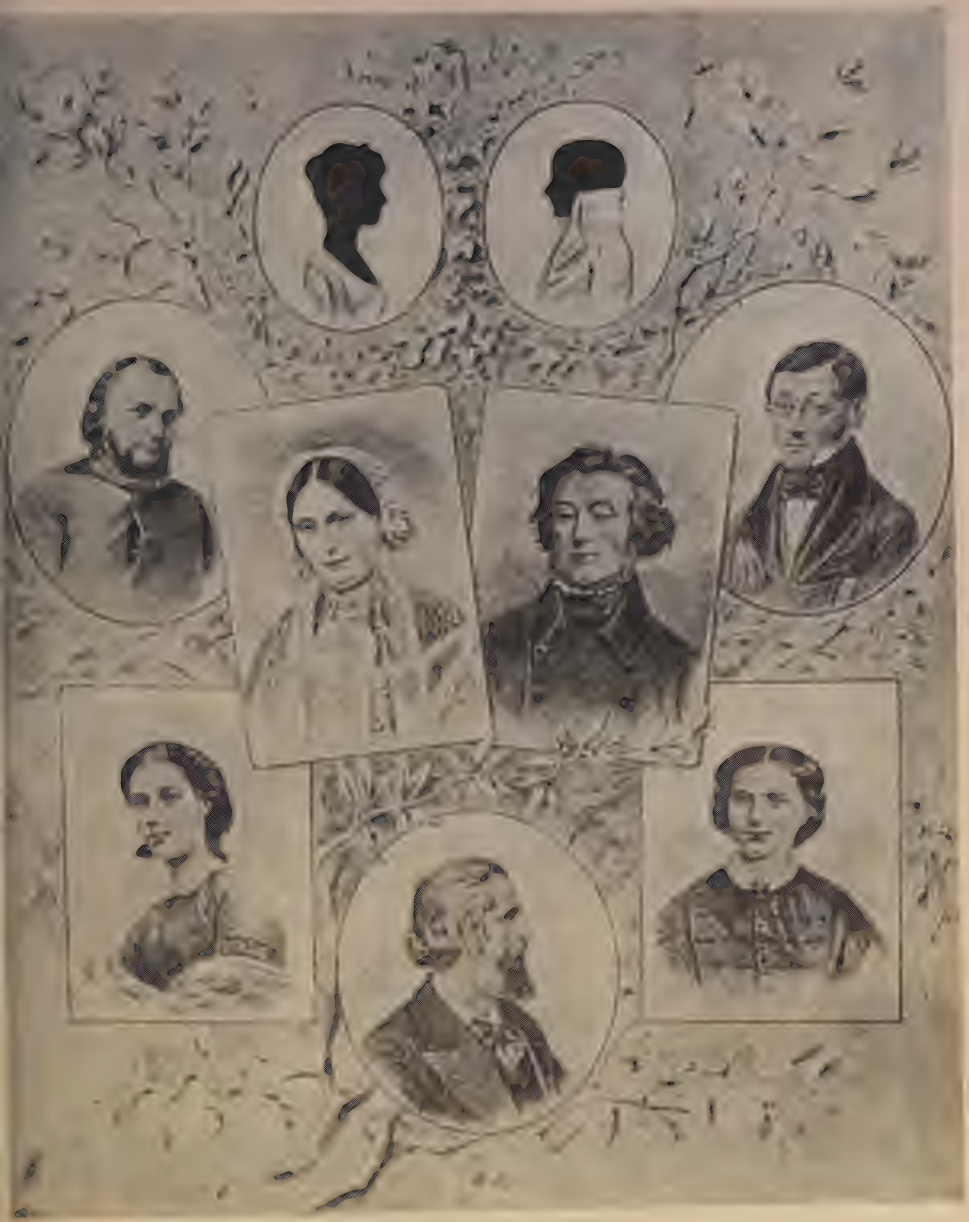

Rodzina poety. Rząd górny: sylwetki rodziców, rząd środkowy: brat Franciszek, Celina i Adam, brat Aleksander, rząd dolny: Maria Górecka, córka poety, Władysław, syn poety, Zofia Hryniewiecka, córka poety.

Popiersie brązowe na pomniku grobowym Adama Mickiewicza w Montmorency pod Paryżem. Rzeźba Augusta Préaulta.

swoich zamiarów i intencji okazuje się on szermierzem znacznie sprawniejszym, mimo że w pojedynku z przeciwnikiem o wiele bystrzejszym, z Telimeną. Z dwóch żołnierskich a ważnych w komediowych bojach cnót, jakie mu przypisał Mickiewicz: „dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził" (I, 633), lepszym się on okazuje piechurem w obronie zajętej pozycji, aniżeli szwoleżerem w szarży. Szwoleżer na umyśle Sędziego nie załamuje, piechur przed doświadczeniem pani Telimeny się wybrania.

Wybrania się zapewne z tej przyczyny, że o ile w rozmowie z Sędzią on właśnie, Tadeusz, miał rolę trudniejszą, to w scenie następnej rola taka przypadła Telimenie. To znaczy tym razem ona właśnie musi maskować swoją rzeczywistą intencję i zebrany kapitał usiłuje odebrać w monecie lepszej i szlachetniejszej aniżeli go puściła w obieg. Intencja jest prosta: wydać się za mąż. Pozycja nie jest łatwa: „z kobietą kilku laty starszą? niebogatą?" (V, 11). To Telimena powiada sama do siebie — uwierzmy, że „kilku laty", nie żądajmy metryki. Kapitał jest wiadomy: Tadeusz — „dla Telimeny ma już obowiązki... Długo serce młodzieńca proste i dziewicze chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze" (V, 27—28). A że poza tym pani Telimena technikę życia, technikę trzymania pod pantoflem („pilnowany, niełacno zerwie pierwsze związki") zna dobrze, jest i dodatkowa asekuracja.

Wszystkie te, ciągnąc dalej gwarą batalistyczną, pozycje wyjściowe Telimena musi przed partnerem osłonić. Więc z kolei ona, wykręt po wykręcie, argument po argumencie, przesłaniając rzeczywistą intencję, pragnie od Tadeusza jedno usłyszeć: że chłopak kocha. Czy kocha naprawdę czy też nie, rzecz mało ważna, byle powiedział, że kocha, i byle się związał. Podobnie jak Tadeusz jednego od stryja pragnął: by ten najrychlej się zgodził na jego natychmiastowy wyjazd do Księstwa.

Komediowa gra Telimeny także i dlatego nie jest łatwa, ponieważ doświadczona pani ważnego argumentu pozbawiła się przez to, że tak spiesznie Tadeuszowi dała klucz do swego pokoju. „Tysiące zmarszczków pod brodą", zauważonych przez młodzieńca, jego złym humorem zaanonsowanych partnerce, jeszcze bardziej pozbawia ją tego argumentu. Trudno w tym wieku i przy podobnej znajomości techniki erotycznej udać miłość od pierwszego wejrzenia, wielką namiętność. Nawet poczciwego Tadeuszka na to nie nabierze. Więc też w inscenizacji kobiety pogardzonej i nieszczęśliwej Telimena tej pozy nie przybierze.

Telimena od pierwszej swej kwestii gra na wszelkich dostępnych jej klawiszach. Od stroju zawiedzionej kochanki rozpoczynając: „widzi marę, całą w bieliźnie, długą, wysmukłą i cienką" (VIII, 426). Księżycowe światło, cichy i jęczący głos Telimeny. Chociaż ani słowem komentarza się nie zdradził, jakże wyraźnie Mickiewicz żartuje z tej komedii udanych sentymentów!

Pierwszy wykręt Telimeny, kapitalny w swojej naiwnej pomysłowości („nie znając kokieterii, nie chciałam cię dręczyć, uszczęśliwiłam" (VIII, 434), nie chwyta. Tadeusz odpiera go niezręcznie, ale odpiera: „wszak to nieprzyzwoicie". Drugi atak Telimeny: „ja o to nie dbam, a ty chcesz mię rzucić". Znów daleka od pomysłowości, ale uparcie swojego broniąca replika Tadeusza: idzie wojna narodowa, wszyscy spieszą pod znaki bojowe, stryj nakazał (słyszeliśmy przed chwilą, jak to nakazywał!): „Jutro jadę, zrobiłem już postanowienie. I dalibóg, Telimeno, już go nie odmienię" (VIII, 460—461).

Trzeci atak Telimeny, tym razem próba wyłudzenia decydującego kocham: „przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mnie kochać, pomnąc jakeś mnie kochał!" (472—473). Znakomite! Mickiewicz nie darmo powiedział o rodzie Sopliców — „do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni" (I, 631). Tadeusz przeto, chociaż się wzruszył, bo podstępu nie dostrzegł, bo osądził, że pani Telimena „tylko takiej drobnostki wymaga" — jednak zajętej pozycji nie opuszcza. Pragnie dać odczepne, nie przeczuwa, że Telimena na inną monetę natychmiast zamieni jego słowa. Odczepne Tadeusza ma wygląd i sformułowanie pożegnalnego listu do niewygodnej kochanki, jakiej nareszcie można się pozbyć — grzecznie i bez dalszych zobowiązań:

— krótkie z sobą spędziliśmy chwile,
Ale one mnie przeszły tak słodko, tak mile,
Że będą długo, zawsze myśli mej przytomne,
I dalibóg że nigdy ciebie nie zapomnę.
(VIII, 482—485)

I oto Telimena, pełna radosnej elokwencji, w ramionach Tadeusza. Tylko na coś podobnego z jego ust czekała! Dobry bankier, skoro to w jego interesie, „nigdy ciebie nie zapomnę" zmienia na — „kocham". I natychmiast wyciąga procent: „z najdzikszej pustyni miłość, wierzaj mi, ogród rozkoszy uczyni" (492—3).

Tadeusz wydarłszy się z objęcia przemocą:
„Jak to? rzekł, czyś z rozumu obrana? gdzie? po co?
Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnierzem,
Włóczyć, czy markietankę?" — „To my się pobierzem",
Rzekła mu Telimena. — „Nie, nigdy!" zawoła
Tadeusz. — „Ja żenić się nie mam teraz zgoła
Zamiaru, ni kochać się — fraszki! dajmy pokój!
Proszę cię, moja droga, rozmyśl się! uspokój!
Ja jestem tobie wdzięczen, ale nie podobna
Żenić się, kochajmy się, ale tak — z osobna.
Zostać dłużej nie mogę; nie, nie, jechać muszę,
Bądź zdrowa, Telimeno moja, jutro ruszę".
(VIII, 494—505)

I Telimena, która sądziła się już być u celu, wybucha potokiem gniewnej inwektywy; przegrawszy grę, obnaża się psychologicznie, odbiera sobie wszelką nadzieję na Tadeusza. Nie bądźmy pedantyczni. Nie trzeba tej sceny analizować do końca, by powiedzieć — cóż za świetna komedia! Jaka prawda wzajemnego wybiegu, prawda pragnień i uczuć w egoistycznej skorupie! I ta komediowa prawda nie ogranicza się w poemacie do analizowanego wątku. Szerokimi kręgami rozchodzi się po jego powierzchni, bodaj na chwilę zagarnia jego postacie, które skądinąd nie są utrzymywane tak konsekwentnie w komediowej tonacji, jak Telimena, jak uczestnicy paralelnej groteski.

Samo zakończenie kłótni Tadeusza z Telimeną warto przecież przypomnieć. Widnieje w nim konsekwencja akcji, która poprzez te dwie sceny mocno posunęła się naprzód. Po rozmowie z Sędzią Tadeusz na tyle się był zaplątał, że wyjścia szukał w ucieczce z Soplicowa. Po rozmowie z Telimeną aż tak

bardzo się zaplątuje, że wyjściem zdaje mu się być samobójstwo. Widnieje też coś więcej, co dotyczy całego rytmu artystyczno-kompozycyjnego dzieła. W *Panu Tadeuszu* raz po raz podobnych doznajemy wrażeń, jak Hrabia, w czarującym złudzeniu widzący ogródek Zosi, który w chwilę potem okazuje się zwykłym wiejskim ogrodem. Oscyluje w tym poemacie rytm iluzji i deziluzji, złudzenia i rzeczywistości, prawdy i poezji, encyklopedycznie wiernej notacji i swobodnej baśni — jestem przekonany, że w tym właśnie rytmie kryje się czar główny *Pana Tadeusza* i przyczyna zasadnicza, dla której tak intymnie możemy z nim obcować.

Coś z tego rytmu kończy również dwie najznakomitsze sceny komediowe całości. Pamiętamy na ogół stawy soplicowskie, młyn, strugę w urocznej scenerii nocy księżycowej, przybrane w czar owego zdania o księżycowym blasku na powierzchni strugu, jakim zachwycał się już Słowacki. Lecz zanim się one odezwą „harmoniją cudną orkiestry podwodnej" — Mickiewicz w otoku komediowego wątku inaczej je widzi: wedle deziluzji, wedle notacji o zupełnie odmiennym charakterze estetycznym. Dwa stawy oscylują również w takt prawa rządzącego całym poematem. I jeden z nich to po prostu — błoto.

Więc kułak przycisnąwszy na schylonym czole,
Biegł ku łąkom, gdzie stawy błyszczały się w dole,
I stanął nad błotnistym; w zielonawe tonie
Łakomy wzrok utopił, i błotniste wonie
Z rozkoszą ciągnął piersią, i otworzył usta
Ku nim: bo samobójstwo jak każda rozpusta,
Jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie
Czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie.
(VIII, 558—565)

6

Już przyjaciele Mickiewicza, przede wszystkim Stefan Witwicki, usiłowali wysiedlić z poematu Telimenę. Poeta nie poszedł za ich radą. Badacze poematu na ogół, gdyby mogli, wysiedliliby ją również. Było za późno. Postać Telimeny długo czekała na swoją rehabilitację, dowcipnie i trafnie przeprowadził ją Stanisław Dobrzycki w *Rodowodzie Telimeny* (1934). Natomiast Stanisław Tarnowski dopisał jej imaginacyjną biografię wstępną, z której u Mickiewicza tylko niektóre fakty rzeczywiście występują. Reszta zakrawa na zmyślenie, ale Tarnowski zmyślał z dużym obyczajowym sensem, znał podobne biografie z własnych czasów i własnej sfery.

„Pochodziła ona z domu rodziców z majątkiem zrujnowanym, ale wysilających się na wydatki, żeby zasłonić przed ludźmi prawdziwy stan rzeczy i córce pomóc do zrobienia dobrej partii. Wychowała się więc w pozornym zbytku, w pozornej elegancji, która jednak musiała być nieco parafiańską. Była gwiazdą pierwszego rzędu w Kaliszu lub w Płocku, nie w Warszawie; tam byłaby zbladła, i jeżeli się ukazała, to nigdy na długo. Jej elegancja, dowcip, francuska rozmowa zaimponowały do najwyższego stopnia jakiemuś Moskalowi, gubernatorowi lub jenerałowi, zachwyciły go jej wdziękі; rodzice Telimeny mieli Moskala za bardzo bogatego, i wydali ją za mąż. Jenerał za-

wiózł ją do Petersburga, ale tam nie było na dworze jak w raju; był to jeden z tych, którzy w zawojowanym kraju wydają się potężni, a we własnym nikną przy większych i mają bardzo skromną pozycję. Majątek miał mały albo nie miał żadnego, tak że gdy umarł, Telimena została o wdowiej pensji za cały dochód. Jak jej przeszło te kilka lat w Petersburgu? czy nie miała zażyłości z dworskimi figurami (choć nie z dworem), czy piesek otrzymany w podarunku od księcia Sukina, czy ta dacza, na której mieszkała, czułość, z jaką mówi o Petersburgu, czy to wszystko nie kryje jakichś wspomnień? Trudno się domyślać, ale w każdym razie zrządzenie jest dziwne, że opuściła kochaną stolicę i osiadła w litewskich lasach w tej chwili, kiedy zmarszczki zaczęły się kryć pod brodą a około ust widne były piegi. Siedziała u Sędziego dla względów oszczędności."

Można wierzyć lub nie wierzyć w tę na pewno przeczernioną biografię. Tarnowski cioci Telimeny nie lubił, ale wiedział dobrze, skąd takie ciocie brały się na świecie. Mickiewicz zadania nie ułatwił. Przecież nie powiedział nawet, czy Telimena była starą panną, wdową, rozwódką czy pechową poławiaczką mężów, skoro tak szybko jak na ówczesne czasy i obyczaje dochodziła do wniosku: „nie chciałam cię dręczyć, uszczęśliwiłam..."

Od strony życiowej jej pozycji wybronił Telimenę Dobrzycki, ba, nawet przewidział, że po tylu zawodach będzie wierną i dobrą żoną Rejenta. Jeszcze dalsze zasługi należą się Telimenie. Za te mianowicie elementy dramaturgiczne, jakie nie dając się zaliczyć do dramatu *stricto sensu* ani komedii *stricto sensu* — są niepospolicie w *Panu Tadeuszu* reprezentowane. Postać Telimeny dobrze w nie wprowadza, chociaż zasadniczo należy do komediowego kręgu poematu, kręgu rządzonego humorem.

Trudności z uznaniem praw Telimeny w poemacie stąd pochodziły głównie, że poprzez niechęci, jakie budziła ta postać, nie łatwo było dojść do ludzkich racji jej postępowania. Słowem do tego, do czego doprowadza w końcu widza rasowy pisarz teatralny. Bez względu, czy postać jest mu sympatyczna, czy obca. Bez względu, czy tego dokonywa poprzez pobłażliwość humoru i otwarty śmiech, czy też innymi środkami ekspresji dramaturgicznej.

Telimena jest śmieszna. Telimenę zwodzą jej chwyty i zasadzki. Telimena zbyt jawnie i naiwnie odsłania swoje matrymonialne zamiary. I tak dalej — ale w końcu w zwierciadle jej pozycji życiowej i jej natury postępowanie Telimeny nie jest doprawdy śmieszne i racji pozbawione. W jej czasach i jej wieku kobieta musi się wydać za mąż. Ostatnia na to pora w poemacie, albo — posłuchajmy Dobrzyckiego na temat jej „mężołapstwa":

„W poemacie mamy z tego komedię, ale czym to było dla Telimeny? Trzeba uwzględnić epokę i warunki, kobieta starsza, samotna, uboga. Jakiż los ją czeka, jeżeli nie wyjdzie za mąż? gdy Sędzia umrze? W najlepszym razie będzie na starość rezydentką, z łaski utrzymywaną, dadzą jej pokoik na folwarku, do stołu będzie siadać na szarym końcu, dzieci będą jej robić psie figle. Niewesoła perspektywa."

I dlatego, kiedy z gniewem rozdrażnionej samicy, której pragną zburzyć ledwo założone gniazdo, ostrzega Hrabiego — ma rację więcej niż komediową. O gniazdo małżeńskie jej chodzi, nie o górne słowa mężczyzn, których się dosyć nasłuchała. Stąd po pierwszym wybuchu elokwencji Hrabiego, gdy ten ją ujrzał, uchodzącą w parze z Rejentem, powiada szeptem:

Czy mnie kochasz, czyś dotąd serca nie odmienił,
Czy gotów, żebyś ze mną zaraz się ożenił?
Zaraz dziś? — jeśli zechcesz, odstąpię Rejenta...
(XII, 451—3)

Skoro zaś widzi, że Hrabiemu ani to w myśli, podobnie jak Tadeuszowi w scenie nad stawami, że gotów jedynie pretensjonalnie sentymentalną elokwencją zamącić wyjaśniający się horyzont małżeński — Telimena zyskuje nasze pełne, intymnie szczere uznanie. Ostatni wiersz Mickiewicz wprawdzie skreślił, ale chyba tylko w imię lakonizmu. Pani Telimena domówiła go zapewne dostatecznie wyraźnym gestem i wiersz ten nie był konieczny.

Teraz ostrzegam, jeśli piśniesz jedno słowo,
Ażeby ślub mój zerwać, to jak Bóg na niebie,
Że z tymi paznokciami przyskoczę do ciebie
I zdrapię ci policzki i oczy ci wydrę.
(XII, 470—3)

Brawo, pani Telimeno! W pani wieku każdy sposób jest godziwy, ażeby, mówiąc stylem osobnika, któremu grozisz — skołatana nawa żywota przybiła do czułego portu.

7

Gospodarz *Pana Tadeusza* posiadał więc w swoim skarbcu także i tę sferę ekspresji dramaturgicznej, w jakiej natura ludzka przegląda się w zwierciadle koniecznych swych czynów. Jej granicę wobec innych środków wyrazu artystycznego obecnych w poemacie nie trudno dostrzec; w tej sferze nie nopotykamy na humor. Są natomiast przerażające niekiedy błyski ludzkiej natury. Kiedy Mickiewicz z nimi się spotyka — nie ocenia epicko, nie komentuje, nie uśmiecha się tym bardziej, lecz bez złudzeń stwierdza:

I tak wszystkich pociągnął wymowny Gerwazy:
Bo wszyscy ku Sędziemu mieli swe urazy,
Jak zwyczajnie w sąsiedztwie, to o szkodę skargi,
To o wyręby, to o granice zatargi:
Jednych gniew, drugich tylko poburzała zawiść
Bogactw Sędziego — wszystkich zgodziła nienawiść.
(VII, 491—6)

Tymi słowy kończy się środowiskowa komedia rady w Dobrzynie. W sposób zgoła niekomediowy! Do tego węzła doprowadził rzecz Gerwazy. Jego to bowiem z wszystkich postaci poematu osadził Mickiewicz wyłącznie w tej sferze. Niewiele on sam za Gerwazego mówi sposobem epickim czy charakterystyki bezpośredniej. Za Klucznika świadczą przede wszystkim jego postępki i interwencje, które nie stają się dramatycznie podniosłe, jak spowiedź Jacka Soplicy, albowiem poeta nie cenił ich moralnie, ani też nie przechodzą w komedię, bo trudno patrzeć z uśmiechem na tego największego z mącicieli.

Spójrzmy, jak Gerwazy reżyseruje i prowadzi radę w Dobrzynie. Jego wystąpienia nie mają nic komediowego. Gdy nie starczy krętackich słów, argumentem staje się Scyzoryk wymierzony w Jankiela. Nie inaczej wygląda scena pomiędzy nim a Protazym, kiedy zamierza wymusić „intromisję Hrabi do zamku, do dworu". Ponury błysk szlacheckiej samowoli towarzyszy jego słowom: „tu nie ma napaści, Wszak proszę Pana grzecznie; jeśli ciemno Waści, To Scyzorykiem skrzesam ognia...". (VIII, 741—3).

Wreszcie scena najważniejsza: chwila, kiedy Gerwazy przyznaje się do zabójstwa Płuta. Mickiewicz, podobnie jak wszyscy postępowi patrioci jego czasu, dostrzegał różnicę między ludem rosyjskim, między przyjaciółmi-Moskalami po jednej, a przysięgłymi sługami caratu po drugiej stronie. Pisał, że w czasie powstania listopadowego na Litwie i na ziemiach ruskich obowiązywała powstańcza konstytucja, której paragrafy — „wyczytaliśmy nie w kartach i księgach, ale tam, gdzie należało szukać wszystkich praw, mających obowiązywać przyszłość: w sercach ludzi, w potrzebach czasu". *(O posiedzeniu Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich i o konstytucji powstańców*, artykuł z kwietnia 1833).

Otóż pierwszy artykuł tej „konstytucji" głosił: „Moskala służącego Mikołajowi zabijać, łowić, ścigać jak można najdalej". Major Płut, sprzedawczyk narodowy i mętna moralnie, przekupna figura, pod ten artykuł w całej pełni podpada. Ale twórcy *Pana Tadeusza* przyszło w rzeczywistym i obrazowym przedstawieniu ukazać, jakby taka powstańcza egzekucja, litewska i z potrzeby czasu idąca, mogła wyglądać.

W tej ponurej chwili wszyscy okazują się godni siebie, aż po krętackie oczyszczenie sumienia podrzucone przez Robaka, po owo *„pro publico bono"* jak złe echo powtarzające się odtąd w poemacie. Jest w tym Rejentowe z *Zemsty*, ale bardziej bezwzględne — „niech się dzieje wola nieba". W *Panu Tadeuszu* zostało to rozłożone na głosy: „Nosił wilk, ponieśli i wilka" — Ryków. *Requiescat in pace"* — Podkomorzy. „Był w tym palec boży" — Sędzia. *„Pro publico bono"* — Robak, Gerwazy. Znów nie komentuje, lecz stwierdza poeta i notuje te głosy.

Towarzysząca postaci Płuta tonacja artystyczna daleka jest od pobłażliwego humoru. Moment autokompromitacji Płuta, pomieszczony przed wybuchem walki z jegrami i policzkiem wymierzonym majorowi przez Tadeusza, Kleiner słusznie zestawia z satyrą ustępów z Senatorem w *Dziadach* drezdeńskich. Scena teatralna *Pana Tadeusza* posiada bowiem wiele planów sięgających w głąb natury ludzkiej. Mówi o jej znajomości o ileż rozleglejszej, aniżeli zmieścić się ona może w postawie humorysty. Równie ta scena jest szeroka i urozmaicona w środkach ekspresji dramaturgicznej. Od groteski sięga po dramat, ogarnia komedię i jej gatunkowe pochodne.

Kusi przeto, by pofantazjować nad dalszymi czy poprzednimi losami jej bohaterów. Pijany już Płut zaleca swoje talenty taneczne:

> Wszyscy poświadczą, cała armija to powie,
> Że w tej drugiej armiji, w korpusie dziewiątym
> W drugiej pieszej dywizji, w pułku pięćdziesiątym
> Jegierskim, major Płut jest pierwszy mazurzysta.
>
> (IX, 292—5)

Stwierdzono archiwalnie (H. Mościcki), że istotnie wiosną 1812 roku kwaterował w Nowogródku 50 pułk jegierski i przynależał istotnie do dziewiątego korpusu armii. Na listach oficerów pułku nie ma Płuta ani Rykowa. A jednak, kiedy w roku 1905 zaczęto w Wilnie zbierać składki na pomnik Mickiewicza, zgłosił się porucznik rosyjski nazwiskiem Rykow, podając, że jest wnukiem występującego w poemacie kapitana Rykowa i że pamięć poety wdzięcznie się przechowuje w tak zaszczyconej rodzinie...

A Gerwazy? Nie wspomina Słowacki, co działo się z nim zimą 1812/1813 roku, kiedy Sędzia miał kłopoty z „armią dowozową" i kiedy w ucieczce spod Moskwy Napoleon zawitał do Soplicowa. Cóż byśmy dali, gdyby bodaj króciutki fragment rozmowy Napoleona z Telimeną podsłuchał był Słowacki! Ona jedna z osób pozostałych w Soplicowie mówiła biegle po francusku i Cesarzowi mogła służyć za tłumacza. Musimy się zadowolić informacją taką:

Sam pan Tadeusz został w armii adiutantem,
Regent — pisarzem, Sędzia — zboża liwerantem,
Hrabia dowodzi nowych ułanów szwadronem;
Wszystko się pociągnęło za Napoleonem,
Poszło w marsz... W domu smętne wzdychają małżonki.
Pani Tadeuszowa odmawia koronki,
Nowenny. Telimena klnie domową ciszę,
Smętek mgieł...

(*Dzieła*. Wrocław 1952, t. IV, str. 155).

A Gerwazy? — pytamy raz jeszcze. Pamiętając, że dalszy ciąg *Pana Tadeusza* miał nosić tytuł *Syn* i miał rozgrywać się w roku 1831, możemy tego i owego domyślić się z jego dalszych losów, jak domyślano się wstępnych Telimeny.

Tadeusz nie wrócił z napoleońskiego odwrotu. Doszedł pod Lipsk ze swoim sztabem i tam poległ. Pani Tadeuszowa powiła syna — pogrobowca. Sędzia na dostawach dla wojska tyle się dorobił, że odnowił część dawnego zamku Horeszków. Tam, na jej właściwym dziedzictwie, osadzono panią Tadeuszową. Gerwazy pozostał u boku ostatniej dziedziczki Horeszków, przybrany dziadek dziecka, w którym płynęła strużka ich krwi. I odżyły w starcu dawne do Sopliców niechęci, i znów Sędzia stał się ich przedmiotem. Soplicowie znów wpędzili w nieszczęście Stolnikównę — jeden poległ i dziecko pozostawił, drugi się puszył i bogacił, zupełnie pewien, że nikt nie zagrozi gospodarzowi na dwóch majątkach, bo za panią Tadeuszową Sędzia gospodarzył. Nie do życia była młoda wdowa, odrzucała kolejnych kandydatów. Zdziwaczał Gerwazy i szukał znów zemsty na Soplicach. Jednego z nich żywcem upiekł kiedyś w stodole. I kiedy pani Tadeuszowa roku 1819 z synkiem bawiła u Asesorów w Nowogródku — podpalił zamek, by świadectwo świetności Horeszków odebrać na zawsze Soplicom. Nie wiadomo, czy starzec dymem został oczadzony, czy to zamierzył — nie wyszedł z płomieni Ostatni Klucznik Horeszkowa.

8

O ile doświadczenie pisarskie Mickiewicza jako gospodarza poematu rozporządzającego również w świetny sposób składnikami komedii było zbliżone do komediopisarskiego doświadczenia Fredry, to już pytanie dla historyka literatury. Nie będziemy w nie przeto wnikać szczegółowo.

Wystarczy poprzestać na wniosku, który popiera wszystko, co komediowe jest w *Panu Tadeuszu*, i wątki, i osoby. Intymne obcowanie z poematem Mickiewicza na horyzoncie naszych upodobań i współczesnego smaku artystycznego jest niewątpliwie ułatwione przez fakt, że tyle znakomitej komedii mieści się w historii szlacheckiej. Byłoby rzeczą dosyć jednostronną tylko jej obecności przypisywać swobodny, niewymuszony czar poematu. Zawdzięcza go na pewno w stopniu nie mniejszym i baśni, i liryzmowi, i malarskości. Lecz o tym niechaj mówią inni. Komediowy wdzięk *Pana Tadeusza* na pewno nie będzie się kłócić z ich intymnym wyznaniem.

Kazimierz Wyka

Jerzy Zagórski

*

* *

Znam inne bory. Znam jeziora inne...
Tam nawet głowy nie wznoś ku niebiosom,
Same cię gwiazdy po wodzie poniosą
I dwa księżyce powiodą cię płynne.

Tam, choć rzecz każda ma swój mocny kontur
Jak z jodeł tkane strofy Mickiewicza,
Tyle tam ziemia od nieba pożycza
I daje niebu, że nikt nie rozplątał

Ziemi granicy i nieba granicy,
Ich gwiazd i kwiatów. Tam Nocy Królowa
Lipcową nocą w kielich biały chowa
Światła zgubione z Wielkiej Niedźwiedzicy.

Jerzy Zagórski

Pola Gojawiczyńska

MICKIEWICZ MOJEJ MŁODOŚCI

Poezja i pieśń mojej młodości były nie wysokie, nie wielkiej miary. Przychodziło to samo, potajemnie, z domu do domu, z ust do ust, nieraz wzbijało się ku otwartym oknom z podwórza, z ulicy lub przemykało z rąk do rąk jako karteczki wypełnione „pismem kaligraficznym" czy też kulfonami. To wszystko było bezimienne, patetyczne, przesycone sentymentem i uczuciowością, z gruba ciosane. Nie było piękne, lecz uczyło nas wolności.

Gdy piszę „młodość", to mam na myśli lat dziesięć, dwanaście. Wcześnie się wtedy dorastało. Gdy piszę „wolność", to myślę o niepodległości narodu i niezależności ducha. Wcześnie się wtedy dochodziło do tych skojarzeń w najzwyklejszych zdarzeniach życia, ponieważ wszelki ucisk wywoływał opór.

Wielka poezja nie mogła przyjść do nas poprzez ówczesne „uczyliszcze"! Nie mogła trafić nawet potajemnie, bo nasze dwanaście lat zbyt wypełniało — dziejące się obok sprawy. Było to jakoś wkrótce po strajku szkolnym, po roku 1905-tym.

W tym to czasie wielka poezja Mickiewicza trafiła do mnie przez prozę, przez powieść tak bliską temu, co się przeżywało. Książkę z Krakowa przemycili krewni zamieszkali w Dąbrowie Górniczej i przy jakiejś rodzinnej uroczystości przewieźli w podarunku do Warszawy. Nosiła tytuł *Syzyfowe prace* i nazwisko Maurycego Zycha.

Gdy sobie to przypominam, ogarnia mnie jakby olśnienie na myśl, jakim komentarzem była ta proza dla młodocianego czytelnika. Tak, ten rozdział o lekcji języka polskiego, podczas której profesor Sztetter pyta nowego ucznia, Zygiera, o jego umiejętności, gdy... „Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym":

Nam strzelać nie kazano. — Wstąpiłem na działo...

Czytałam, policzki mi płonęły. Jakże, to mi przecież przypominało moją szkołę, moją niedawną lekcję polskiego, która stała się ostatnią lekcją!... Co dalej, co dalej, jaki jest cały ten wiersz, który brzmiał jak „o s k a r ż e n i e u c z n i a k a p o l s k i e g o z a m k n i ę t e w z d a r z e n i a c h b i t w y":

Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę...

Odłożyłam Maurycego Zycha i wyszukałam, wypożyczyłam, wybłagałam tom Mickiewicza, aby przeczytać ten wiersz bez skrótów, w pełni.

Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona...

Reduta Ordona! To było niedaleko, na znajomej Woli, i z tamtych stron, z cegielni Odolany, w dniach głodu podrzucono na prywatne stancje bochny chleba dla strajkujących gimnazistów!...

Wróciłam do książki z tym wspomnieniem chleba, który stał się nagle chlebem poezji, narzędziem walki.

„Gdy Borowicz przeczytał *Dziady*, nie był w stanie z nikim mówić. Uciekł do najbliższego lasu i błąkał się tam, pożerany przez nieopisane wzruszenie. W zachwycie jego było coś bolesnego..."

I oto Maurycy Zych, Stefan Żeromski, przywodził mnie niejako za rękę, surowo i czule — do wielkiej poezji. Mogłam była śpiewać:

Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara,
Może w moim pokoleniu
Zrodzi się Palen dla cara.

i mogłam biegnąć nad Wisłę i nieodparcie zwracając się ku Cytadeli, nie odczuwać już wyłącznie nienawiści, a to z powodu wiersza *Do Przyjaciół Moskali:*

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm jak bratnią ściskał...

A wreszcie odetchnienie tą opowieścią, pełną wszelakiej krasy i wszelakich uczuć, tą opowieścią polską, naszą — *Panem Tadeuszem.*

Pola Gojawiczyńska

Paweł Hertz

Z DZIENNIKA LEKTURY

Najtrudniej jest pisać o dziełach wielkich, wszystko bowiem, co można by o nich powiedzieć, zawarte jest niejako w nich samych. Toteż krytyk najczęściej kąsa własny ogon w przekonaniu, że rozgryza owoc z drzewa poznania. Sam jestem raczej zwolennikiem mówienia, co m n i e na myśl przychodzi nad książkami tego czy innego pisarza. Dzieląc się tymi myślami, tworzę nowe zjawisko artystyczne. Źle więc czy dobrze — nie do mnie należy ocena — zasługuję się literaturze.

Wciąż teraz mówią o Mickiewiczu. Ale mówią tak, jak gdyby nie istniała uroda jego poezji. Albo może myślą, że o tej urodzie wszyscy już wiedzą i wobec tego należy mówić o wszystkim, tylko nie o tym. Ale jeśli tak jest naprawdę, jeżeli uroda poezji Mickiewiczowskiej jest nam znana, jeśli nic nie ma w niej do odkrycia, to znaczy, że tej urody już nie ma. Myślę bowiem, że jeżeli dokładnie ustalimy, dlaczego dzieło sztuki jest piękne, jeżeli zachwiejemy ową proporcję światła i cienia, wiedzy i tajemnicy, bez której poezja staje się tylko dokumentem epoki, preparatem dla leksykografa, przyczynkiem dla historyka, pozycją dla bibliotekarza, wówczas stajemy się biedniejsi o wzruszenie, o łzę w oku, o ściśnięcie gardła, a co ważniejsze — o „dalszy ciąg" tej poezji, który każdy z czytających pisze własnymi myślami.

O Mickiewiczu wiemy więcej niż o którymkolwiek z poetów. Życiorys jego znamy najdokładniej. Możemy dokonać niemal matematycznego wykresu jego poglądów politycznych czy społecznych, potrafimy zrekonstruować całą jego działalność, dzień po dniu, godzina po godzinie. Co więcej, umiemy to wszystko włączyć w żywy nurt narodowych dziejów i rozpatrywać dzieło i czynności poety na tle historii własnej i cudzej. A z tym wszystkim nie możemy nic więcej, tylko wstrzymać oddech i nasłuchiwać, jak wstaje w nas wielki żal i smutek, kiedy w otwartej książce wzrok nasz przypadkiem zatrzyma się na tym czterowierszu:

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo;
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza, niż całe pokrewieństwo...

Cały ten niezwykły, nigdy przez Mickiewicza nie drukowany wiersz zawsze mi się wydaje jak gdyby świadectwem tęsknoty do kraju czystej poezji, do-

wodem znużenia, które przecież ogarnia człowieka i podczas umiłowanej przez niego pracy. Ile razy czytałem ten wiersz, czułem, że dotykam jak gdyby rysy na marmurze.

Tam, wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja.

I wiem, że myślę teraz o sprawie trudnej, gorzkiej i bolesnej. O moralności poety.

Cała wielka uroda poezji Mickiewicza ma swoje źródło w moralności tego artysty. Mickiewicz nie chce pisać pięknie. Nikt może z naszych poetów nie okazał mniej troski, mniej starania o blask, o polor swoich wierszy. Myślę, że cały sekret polega na tym, że Mickiewicz nie pisze dla nas, tylko za nas mówi. Jest to może jeden z niewielu przykładów tak doskonałego zespolenia się artysty z narodem, że każde nowe pokolenie odnajduje wszystkie swoje najważniejsze sprawy w jego dziele. Ten obowiązek mówienia za cały naród Mickiewicz spełnił bez reszty. Naród nigdy nie mówi „pięknie". Mówi o tym, co go boli i co go cieszy, raduje się i płacze. Nie troszczy się o wybór stylu dla wysłowienia treści, bo sam jest i stylem, i treścią. Nie stara się o zachowanie indywidualności, bo sam nią jest. Określa się sam przez swoją odwieczną pracę. Podobnie Mickiewicz. Pomiędzy poetą i narodem panuje zgoda i harmonia. Sprawia to dyscyplina Mickiewiczowskiej poezji, polegająca na tym, że nigdy i w niczym dzieło nie zawodzi czytelnika, nie prowadzi go na pustkowia myśli, na bezdroża uczuć. Skąd się ta dyscyplina bierze? Wydaje mi się, że jest naturalnym skutkiem błogosławionego ograniczenia. Mickiewicz mówi tylko o jednej sprawie — o człowieku w Polsce. Można by powiedzieć, że to mało. Ale rzecz w tym, jak i co mówi Mickiewicz. Zauważył mądrze jeden z moich przyjaciół-poetów, że dzieło Mickiewicza jest otwarte na wieczność. To zdanie wydaje mi się niezwykle trafne i ono może lepiej niż inne zamyka w sobie istotę urody poezji Mickiewiczowskiej, a także i istotę urody sztuki w ogóle. Wydaje mi się, że historyków literatury bardziej niż wszystko inne powinno niepokoić to, że głosy z przeszłości rozlegają się tak samo donośnie i dźwięcznie — a czasem i bardziej — jakby się rozlegały dziś. Wszystkie realia się zmieniły, wiele spraw, o które pisarz się upominał, zostało już dawno skreślone z rejestru historii, a tymczasem głos dopominającego się nie milknie, trwa, napełnia dzień dzisiejszy. Nie chodzi więc o realia, lecz o imponderabilia, o wielką parabolę, którą nasze nowe sprawy wciąż stara się załatwić poeta sprzed lat, umarły, złożony na wieczny spoczynek w białym sarkofagu. I kiedy mówię o moralności artysty, myślę o tej właśnie dyscyplinie, którą on sam sobie narzuca, po to, by jego dzieło było otwarte na wieczność.

Patrząc tak na dzieło Mickiewicza nie dostrzegam w nim ani jednej rysy prócz tej, o której wspomniałem na początku. Mickiewicz nigdy i nigdzie nie opuszcza Polaków. Tematycznie dalekie *Sonety krymskie* są nam bliższe od tysięcy wierszy innych poetów traktujących o pejzażu polskim. Krajobraz sonetów jest obcy, to prawda. Ale to jest obcy krajobraz, na który m y patrzymy, tak jak opisy z *Pana Tadeusza* są swojskim pejzażem widzianym przez nas. Tak patrzą nasze oczy, nawykłe do takiego, a nie innego kolorytu ziemi i nieba, do takiej, a nie innej palety barw. Wiersze z Trzeciej Części *Dziadów* mówią o losach cudzego narodu, ale to m y tak mówimy o nim. To

my ściskamy wyciągniętą rękę Bestużewa i płaczemy nad zgasłą zorzą grudniowego powstania. Jesteśmy zawsze owym „pokrewieństwem" Mickiewicza, zamieszkałym w kraju, co mu w oczach stoi... Nigdy i nigdzie się nas nie wyrzeka, nigdy i nigdzie się od nas nie odwraca, nie szuka sobie dróg innych niż nasze, ani spraw, w których nie mamy udziału. W istocie jest zawsze z nami i będąc naszą wielką miłością, jest zarazem, i dlatego właśnie, naszym najczulszym sumieniem.

I tylko jeden raz odchodzi od nas Mickiewicz w jakiś inny kraj, jemu tylko znany i wiadomy, do którego już nie mamy dostępu.

Tam, wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami, motylami,

Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I wpośród zbóż, jak w toni wód się kąpa
I ku nam z gór jak jutrzenka świeci...

Nieznany, cudowny kraj. Ani to Litwa, ani Krym, ani gwarny Paryż, ani Rzym w ogniu biwaków, ani Moskwa białokamienna, ani Szwajcaria śnieżnych gór i chłodnych jezior. Milczy geograf, dąsa się historyk, bezradnie natęża się oko i śmiesznie błyska niewierne szkiełko. Tam iść nie można, tam jest tajemnica, tam światło i cień pochylają się ku sobie miłośnie, tam myśl, nie każdemu dana, i uczucie, większe niż je mogą ogarnąć nasze serca, harmonijnie się z sobą łączą. Z tej ziemi płynie wielka rzeka poezji, która gada przez wszystkie dnie i noce naszych dziejów.

Paweł Hertz

Hanna Malewska

GENIUSZU ŚWIETNOŚĆ

Sądzę, że niejeden z pisarzy polskich zapytany o osobisty stosunek do Mickiewicza spostrzega się, że mógłby na ten temat napisać cały pamiętnik. Bo też najbardziej bezsporna prawda o Mickiewiczu to ta, że jest on obecny między nami: nie odszedł nigdy ze świadomości powszechnej — na półkę z klasykami. Tę prawdę przeczuwał Norwid, czy to zwracając do niego *Salem*, czy później pisząc wspaniałą dedykację do *Dzieł* Mickiewicza, odrzuconą przez wydawców, czy zwłaszcza w gorzkich wierszach, którymi go żegnał.

Więc mniejsza o to, w jakiej spoczniesz urnie,
Gdzie? Kiedy? w jakim sensie i obliczu?
Bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie,
Inaczej będą głosić twe zasługi,
I łez wylanych dziś będą się wstydzić,
A lać ci będą łzy potęgi drugiej
Ci, co człowiekiem nie mogli cię widzieć.

Jeżeli określenie geniusz ma w ogóle sens, odnosi się do tych właśnie twórców, którzy nie odchodzą, czy też — wedle Norwida — wracają z coraz innym obliczem. Oblicze Mickiewicza w naszym pokoleniu wzbogaciło się o wiele rysów dostrzeżonych przez badaczy, a zwłaszcza przez wrażliwych artystów. A choć nie braknie oczywiście i bakałarzy, którzy usiłują Mickiewicza zubożyć — nie brakło ich i dawniej — jest to na dłuższą metę trud daremny.

W zeszłym wieku Mickiewicz był prawodawcą polskości. Wystarczy porównać wyraz uczuć patriotycznych u Kochanowskiego („skujmy talerze na talary...") i w *Dziadach*, by sobie uzmysłowić, że po Mickiewiczu patriotyzm, w znaczeniu świadomych uczuć ogółu, miał już zupełnie inną temperaturę i zasięg niż przed nim. Tak obce nam dziś słowo „wieszcz" w tym wypadku niezupełnie chybiło: był on jak różdżkarz, wydobywający spod ziemi obecny tam, ale ścieśniony i ukryty nurt. Jeżeli od tego czasu nurt ów popłynął już w „miejskich rurach" i słownik patriotyczny przyswoiła sobie każda gazeta, to jednak źródło Mickiewiczowskie na szczęście nie wyschło, on pozostał inicjatorem, pozostał też miarą czystości i siły nurtu.

Ale dla nas jest, oczywiście, nie tylko tym. Przynajmniej od pół wieku,

a zwłaszcza dzisiaj, interesuje i pasjonuje Mickiewicz-pisarz, Mickiewicz-człowiek, Mickiewicz-działacz. Te dziedziny jego geniuszu odczuwamy jako mniej przyswojone czy mniej „wyeksploatowane". To zjawisko ogólne. A każdy z nas poza tym ma swoją osobistą „historię Mickiewicza", i taka właśnie historia powinnaby być treścią tej wypowiedzi. Nie czuję się jednak na siłach odpowiedzieć prawdziwie i jako tako gruntownie na pytanie: co zawdzięczam Mickiewiczowi? — nawet ograniczając się do jednego zagadnienia czy jednego utworu.

O artyzmie Mickiewicza piszą dziś twórcy, poeci — ku radości czytelników nie lubiących profesorskiego języka i punktu widzenia. Ponieważ nie czytałam lepszych współczesnych rzeczy o poezji niż szkice Przybosia, wolę pozostać w szeregach jego entuzjastycznych czytelników, niż wdawać się w nieudolne sformułowania własne.

Pozostawałby ów „pamiętnik", ale pamiętnikarstwo także nie jest moją mocną stroną, więc relacja będzie krótka.

W *Grażynie* i w *Wallenrodzie* rozczytywałem się jako dziecko — jest to najodpowiedniejszy moment: zanim szkoła zrobi z tego nudę. Potem objawił mi się Mickiewicz jako poeta młodości. Jak bardzo jest on poetą młodości! „Jedna iskra jest w człowieku"... To miało być nawet motto mojej pierwszej, w szkole zaczętej powieści. A później pisząc o młodości Norwida nie mogłem się powstrzymać, by go nie zapoznać z pierwszą częścią *Dziadów*, której uczniak na Orlej nie mógł znać, ale tak właśnie musiał odczuwać i marzyć.

A jednak bardzo wcześnie w życiu nasunął mi się (dla drugiego tomu *Żelaznej korony*) tytuł: *Wiek klęski* — bo to imię, nadane przez Mickiewicza dojrzałości, nie darmo jest jednym z najgenialniejszych jego skrótów.

Potem, kiedy poznałam naprawdę, co ono znaczy, w takiej chwili, kiedy nie mogła przemówić do mnie żadna literatura, przemówiła *Rozmowa wieczorna*, która jest czymś więcej niż literaturą. Jest najbardziej ludzką modlitwą.

(I dlatego, nawet gdyby pióro Juliana Przybosia było jeszcze świetniejsze, nigdy mnie nie przekona, że religijność Mickiewicza — choćby ta w *Panu Tadeuszu* — jest m i t o l o g i ą.)

Trzecia część *Dziadów* była i jest dla mnie najbliższym z wielkich utworów Mickiewicza. Zupełnie rozumiem, czemu on sam stawiał *Dziady* — łącznie co prawda z ogniwami nigdy nie napisanymi — znacznie wyżej od *Pana Tadeusza*. Zachwycam się trafnością wszystkiego, co Przyboś, do którego wciąż tu wracam, napisał o wielkości *Pana Tadeusza*. Ale jeśli przyjmiemy szerokie pojęcie liryki Mickiewicza, to z dwóch jego wielkich liryk, tej bardziej serio i tej mniej serio, jaką jest bez wątpienia *Pan Tadeusz* — wolę pierwszą. *Pan Tadeusz* zresztą dopiero wtedy odzyskuje pełny urok, gdy nie jest traktowany ze śmiertelnie-szkolną powagą, jak nas uczono.

Cóż więcej? Im jestem starsza, tym więcej kocham liryki lozańskie, a także niektóre bajki.

Gdybym cytatą miała odpowiedzieć na pytanie (a mogłaby wejść w modę taka literacka gra), jakie zwroty nasuwają mi się jako najbardziej Mickiewiczowskie, przytoczyłabym dwa bardzo różne:

I całus, i policzek ozwały się razem,
Jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem.

A drugi z *Śniła się zima...*:

Twarz piękna jako Przemienienie Pańskie,
Wzrok utopiła w jezioro Albańskie...

A który z wierszy wyraża go najpełniej jako człowieka? — *Snuć miłość* i *Mędrcy*.

Hanna Malewska

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

DWIE OMYŁKI

Jeździłam kiedyś po ziemi nowogródzkiej z *Balladami* i *Panem Tadeuszem* jak z dokładnym przewodnikiem krajoznawczym. Wielki realizm Mickiewicza wsparty o fundament jego dziecięcych i młodzieńczych wspomnień — był niezawodny w szczegółowych informacjach. Tęsknota, która zawsze potęguje zmysłowe nasilenie zapamiętanych doznań, przesyciła słowa poety żarem barw i zapachów. Te słowa precyzyjne jak strategiczny opis mapy prowadziły nas przez wsie i miasteczka, jak gdyby od zwrotki do zwrotki. Teren wyznaczały granice „domowych" rzek: Niemna, Serweczy i Mołczadzi. Przystankami były miejsca znane z życiorysu poety i z jego utworów: Zaosie, Nowogródek, Tuhanowicze, Świteź. Obok nich lasy i pola, dworki i ruiny zamków, świronki, kurhanki i cerkiewki. Krok za krokiem przesuwała się żywa prawda krajobrazu w tle wierszy przyswojonych na zawsze przez pamięć. Piękna i namacalna w swej codzienności nakładała się z osobliwą wiernością na realia poezji.

Wszystko, cośmy wtedy oglądali, było z góry zapowiedziane i wyznaczone opisem. A czar nieśmiertelnych słów potęgował jeszcze piękną malowniczość pejzażu, przepych i soczystość wielu rozmaitych zieleni, złocenie się pszenicy, srebrzenie żyta, jaskrawość różnobarwnych koniczyn, gryk, łubinów, grę oświetleń, pląs obłoków.

Nawet czary miłosne księżyca nad lustrzaną taflą Świtezi były przewidziane z góry. Maliny, ciernie i głogi na pagórkach, ślazy, cząbry i tymianki na starych mogiłkach, zapachy wędzonych szynek, jabłek i miodu w dworskich spiżarniach i sadach, to wszystko mieściło się w ramach Mickiewiczowskich utworów jako ich wierna ilustracja.

Ta bujna równorzędność rzeczywistości i fikcji była pasjonująca. Toteż ogarnęła nas już niebawem namiętność porównywania i konkretyzowania.

Proces poszukiwań poezji Mickiewicza w Nowogródczyźnie i Nowogródczyzny w poezji Mickiewicza trwał wówczas już od lat. Ślady poezji tropili wśród białoruskich krajobrazów liczni uczeni i pisarze: Kallenbach, Windakiewicz, Borowy, Górski.

Krążyła nawet zabawna anegdota o tym, jak prof. Kallenbach natychmiast po przyjeździe do Tuhanowicz zażądał łokcia, aby zmierzyć nim wysokość okna, na które wbiegła po desce z ogrodu Maryla Wereszczakówna — prototyp Zosi.

Realność Mickiewiczowskich przekazów prowokowała najwidoczniej do coraz dalszych poszukiwań. Toteż i poloniści, towarzysze mojej wyprawy, szli coraz dalej po drodze porównań i stwierdzeń, pragnęli uziemić i umiejscowić każdy opis Mickiewicza, a każdy pomysł literacki wymierzyć łokciem bezwzględnej rzeczywistości. Tak jak gdyby twórcy nie przysługiwało prawo do przemieszczeń, łączenia prawdy z fikcją, komponowania i przetwarzania wspomnień.

„Z tropu w trop", niby myśliwi w piosence, goniliśmy więc wśród „...tych pagórków... nad błękitnym Niemnem rozciągnionych" i „pól malowanych zbożem rozmaitem" cienie prawdy — już od dawna i raz na zawsze przetłumaczonej na język poezji.

Prototypu Soplicowa szukaliśmy w białym empirowym dworku Cząbrowa i w modrzewiowym dworze Worończy, który budował „wojewoda Niesiołowski stary", i w Horodecznej, i jeszcze w innych miejscach, które reklamowały swe prawa i ubiegały się o godność pierwowzoru Mickiewicza.

Spotkanych ludzi oglądaliśmy tylko pod kątem spraw dawno minionych, szukając wśród nich spadkobierców wielkich tradycji i pięknie brzmiących nazwisk: Soplica, Parafianowicz, Sak...

Z drobiazgowym pietyzmem trzymaliśmy się szlaków i wskazań poety:

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnicą chrośniak malinowy,
A w tym chrośniaku mogiły.

Cóż to była za radość, gdy po szczegółowej, po prostu topograficznej analizie terenu i po wywiadach przeprowadzonych z ludnością Ruty okazało się, że wszystkie elementy tego poetyckiego pejzażu istnieją w tym samym układzie, a zburzona cerkiewka stała niegdyś istotnie w „malinniku", gdzie duchy straszą na mogiłach.

Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Tak samo odkrywcza była rozmowa w Zaosiu, rodzinnej wsi poety. W te strony pełne trzęsawisk, mgieł i wzgórz, porosłych lasem, nad „Kołdyczewa nurty sine" wiódł niegdyś Mickiewicz bohatera swojej ballady, Tukaja. Wielu uczonych zastanawiało się nad źródłosłowem tego imienia. Ale jedna rozmowa z mieszkańcami sąsiedniej wsi, Wojkowicze, objawiła nam, że Tukaj to zwyczajne nazwisko rodowe tutejszych mieszkańców, nazwisko, które Mickiewicz słyszał na pewno jako mały chłopiec i dobrze zapamiętał.

...Jak... wszystko co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia...

Dla badań nad źródłami twórczości było to już cenne odkrycie. I jeżeli nie uzyskało ono naukowego opracowania i nie weszło jako przyczynek do całości studiów polonistycznych — moja to wina...

To ja, oczarowana barwą i smakiem tej poetyckiej włóczęgi po śladach Mickiewicza — zbyt pochopnie nadałam naszym badaniom formę literackiego reportażu i ogłosiłam go w ówczesnych *„Wiadomościach Literackich"*, zapominając o tym, że prawo pierwszeństwa należy się naukowcom.

Prof. Konrad Górski dawno wybaczył mi już ten młodzieńczy błąd. I myślę, że zarówno on jak i ja — z dalekiej perspektywy lat patrzymy dziś inaczej na to dawne nieporozumienie, na ten zatarg szybkiej i gorącej reakcji pisarza z „mędrca szkiełkiem i okiem".

Istotny konflikt, którego wtedy nie zauważyłam, przesunął się z biegiem czasu w inne pole widzenia, ku innym sprawom.

Kiedy mrużąc oczy staram się przywołać pod powieki wszystkie blaski i barwy mickiewiczowskiego krajobrazu — powraca on do mnie wyraźny i zmysłowy, ale dziwnie niepełny i jednowymiarowy.

Białe plamy, jak na mapie, oraz cienie niepamięci otaczają wysepki światła, które były i są refleksem wierszy Mickiewicza.

Do wielu pokoleń, od stu przeszło lat — uroki polskiej przyrody i polskiej wsi docierały do nas drogą okrężną *via* Paryż czy Rzym, przełamane przez pryzmat emigranckiej tęsknoty.

Granice rozbiorów, przymusy tułaczki, miejska inteligencka bieda — przez lata całe odgradzały społeczeństwo od uroków i tajemnic ziemi, którą opiewali wielcy poeci.

Mało kto odważał się szukać na dalekich drogach: Świtezi — poza Mickiewiczem, Ikwy — poza Słowackim. Nie to jednak było złe. Gorsze było to, że spotkawszy wreszcie „kraj lat dziecinnych" Mickiewicza — nie otrząsnęliśmy się z tej literackiej fascynacji.

Zobaczyliśmy go jednostronnie i nieprawdziwie.

Nowogródczyzna Mickiewicza stała się z czasem województwem samodzielnego państwa polskiego. Teren jej bogaty w ludzi różnych narodowości, w ich życiowe, gospodarcze, polityczne, społeczne sprawy, skurczył się jednak w świadomości ogółu polskiego do rozmiaru małego skrawka ziemi, na którym wychował się i który opisał Mickiewicz.

Nie istniejący nigdy dwór w Soplicowie był ważniejszy dla garstki inteligentów i pięknoduchów, przybywających tu z Polski — od wielu istniejących naprawdę dworów i od ich stosunków z wsią, dalekich od sielankowego zakończenia *Pana Tadeusza*. Problematyczna cerkiewka w Rucie interesowała nas bardziej od setek nowych cerkwi, kościołów i bóżnic i związanych z nimi problemów, starć i przymusów. Szukając metryki Adama Bernarda Mickiewicza w księgach parafialnego kościoła w Nowogródku przeoczyliśmy fakt, że ten zapis wtłoczony jest w nieprzerwany ciąg tysięcy wcześniejszych i późniejszych metryk i że w ślad za minionym życiem wielkiego poety idą setki tysięcy innych ludzkich powszednich żywotów. Zafascynowani wizją wyimaginowanych bohaterów, miejsc ocalonych od zapomnienia przez poetycką legendę — mijaliśmy na ślepo ludzi żywych i wielki dziejowy dramat, którego aktorami byli właśnie oni.

Wtedy, przed laty, napisałam w zakończeniu mego artykułu: „Jakiekolwiek

będą w przyszłości te drogi nowogródzkie, lśniące asfaltem lub pocięte szynami nowych kolei — my podróżować po nich będziemy jeszcze długo i uparcie tą dwukonną bryczką, w której wjechał niegdyś młody Soplica na pierwszą stronicę *Pana Tadeusza*".

Tu właśnie tkwi sedno konfliktu.

Tu jest mój dawny błąd. Tutaj nasza ograniczona świadomość i jednostronne upodobanie skrzyżowały się ze sprawami o decydującym historycznym znaczeniu.

Chwaląc drzewa litewskie i poezję Mickiewicza — Antoni Słonimski pisał, czym byłaby Nowogródczyzna bez jej wielkiego piewcy:

Po zaściankach litewskich różni Mickiewicze
Żyliby zwykłym życiem powszednim Polaków.
Co by nas obchodziły te Tuhanowicze,
Kto by pamiętał imię Marii z Wereszczaków.

Istotnie nic nas nie obchodziły te Tuhanowicze. Kiedyśmy tam przyjechali pod wieczór, stara dziedziczka, Józefa Tuhanowska, wnuczka Maryli, kłóciła się o coś gorąco na ganku z gromadą białoruskich chłopów. Pobiegliśmy odszukać jeszcze przed zmierzchem ślady Tuhanowicz, umarłych w parku rozoranym przez wojnę na ruinach domu Maryli i fundamentach „murowanki", gdzie mieszkał Mickiewicz. Nie dosłyszałam więc i nie zapamiętałam, o co toczył się spór.

W drodze powrotnej z Cząbrowa do Nowogródka na postoju — wójt ze wsi Cyryn rozmawiał z towarzyszącym nam urzędnikiem starostwa w sprawie dróg i szarwarków. Nie pamiętam treści tej rozmowy. Natomiast wiem dokładnie, że w balladzie Mickiewicza ksiądz przyjechał z Cyryna, żeby święcić wody Świtezi. Nie zapamiętałam także twarzy płowowłosych białoruskich dzieci i dziewcząt, które uciekały spłoszone na widok naszego auta. A przecież jednej z takich właśnie dziewcząt — Johasi — poświęcił Mickiewicz pierwotny tekst ballady: *To lubię*.

Ziemia nowogródzka w ogniu tarć społecznych i walk narodowościowych krzywdzona i pacyfikowana przez urzędników, którym na pewno obcy był wielki humanistyczny sens poezji Mickiewicza, dojrzewała do dziejowych przewrotów.

Jak ślepi, jak zaczadzeni poezją przebiegaliśmy jej drogi w pogoni za majakiem prawdy tak zawodnej, jak ognik na grzęzawiskach i moczarach Białorusi. Byliśmy obcy istotnej a gorzkiej i tragicznej prawdzie tej ziemi.

Czy to była wina Mickiewicza, że tak bardzo upoił nas swymi wierszami? Czy jego własne spojrzenie w przeszłość, zniekształcone przez oddalenie i tęsknotę, okazało się zbyt jednostronne, informowało nas mylnie?

To, co pokochał dzieckiem i czego się nauczył na zawsze w zaślepieniu młodych uczuć, co było promiennym celem myśli i rajem pamięci, na pewno uległo poetyckiej deformacji i zatraciło cechy ujemne.

Tu czas się cofnął i odwrócił lica,
ażeby spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali

— powiedział Słowacki.

Uwierzyliśmy w to, starając się przymierzyć *Ballady*, *Grażynę* czy *Pana Tadeusza* do ziemi, której czas toczył się bezustannie naprzód mimo anachronizmów obyczajowych i pozorów zastoju.

I może to raczej my zawiniliśmy, ograniczając swój ciasny pietyzm do ram anegdoty, trzymając się kurczowo realistycznych drobiazgów, a nie szukając głębokiego nurtu ideowego, humanistycznego podtekstu tej wielkiej i twórczej literatury.

Sprawa takiego czy innego ujęcia, takiego czy innego przyczynku do wiedzy o realizmie Mickiewicza nie jest już przedmiotem sporu. Ale do dziś dolega nam świadomość innej, ważniejszej omyłki. Poczucie odpowiedzialności za własną ślepotę i naiwność, za ograniczoność nie dość bystrego widzenia, za te poetyckie konfrontacje niewspółmierne z rozmiarami ludzkiej krzywdy, nędzy, ciemnoty, nienawiści.

I wiem już, żeśmy wtedy niedobrze, nie tak jak trzeba odczytali teksty Mickiewicza.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

Stanisław Piętak

MÓJ MICKIEWICZ

I

Z poezją Mickiewicza zetknąłem się dość wcześnie. Miałem najwyżej dwanaście lat, gdy zobaczyłem na amatorskiej, małomiasteczkowej scenie Trzecią Część *Dziadów*. Żałośnie prymitywne musiało być to przedstawienie, w mojej dziecięcej wyobraźni odcisnęło się przecież niezatartym śladem — i do dziś pamiętam niektóre sceny owego na swój sposób niezwykłego spektaklu, choćby Konrada z rozpostartymi rękami leżącego na scenie czy tragiczną panią Rollison w rozmowie z senatorem — pamiętam posępne tchnienie poezji, które poniosło się ku mnie z niezrozumiałych w zupełności, lecz przejmujących słów i zdań.

Mniej więcej w tym samym czasie poznałem również inne dzieło Mickiewicza, *Konrada Wallenroda*. I tym razem zresztą nie wprost, lecz za pośrednictwem narratora. Narratorem był mój ojciec, samouk, półpisarz, niezrównany wiejski improwizator. Ulegając własnej pasji a także moim żarliwym prośbom ojciec przez pewien czas co wieczór opowiadał treść książek, które najmocniej przy czytaniu zapadły mu w serce i pamięć. Tak się złożyło, że w szeregu dzieł zakwalifikowanych do opowiadania znalazł się niespodzianie również *Konrad Wallenrod*.

Wiele zapomniałem z tego, co ojciec nam, dzieciom, streszczał, wszystkie awanturnicze i krwawe powieści, nie zapomniałem jednak *Wallenroda*. Choć ojciec opowiadał prozą, urzekły mnie jego słowa, urzekła podniosła intonacyjność jakiegoś innego, czystszego, chciałoby się rzec, języka. To nie był cały *Wallenrod*. Zagubiły się akcenty polityczne utworu, została jedynie przepiękna, wstrząsająca pieśń miłosna o rozstaniu Alfa i Aldony.

Wzruszeń poezji nie zapomina się, a to były wzruszenia nagłe i potężne. Nie znając Mickiewiczowskich słów, znałem już napięcie uczuciowe jego utworów. Do obrazu zbuntowanego, cierpiącego człowieka, który wyłaniał się z narracji, dołączał się świeży, jasnozłoty obraz letniego dnia na wsi. Ojciec opowiedział Mickiewicza w jedną lipcową niedzielę pod wieczór, widocznie sam uważał, że do wypowiadania natchnionej poezji nie można zasiąść ot tak sobie zwyczajnie, trzeba ciszy, czystości uczuć, odświętnego nawet przyodziewku.

II

A jednak, choć wiedziałem, jaką moc przeżyć niesie twórczość Mickiewicza, nie szybko sięgnąłem po wiersze poety. Odstręczała mnie uciążliwa aparatura rymów, unikałem w owych latach jak ognia wierszy, a zaczytywałem się aż do zamąceń świadomości w romansach awanturniczych i miłosnych, nimi żyłem dniem i nocą... Tak, bo i noc, i sen były wypełnione lekturą, śniły się nieistniejące dalsze ciągi książek, sytuacje pełne rozdarcia i niedopowiedzenia.

W takim stanie ducha czyż mógł się podobać spokojny *Pan Tadeusz*? Pożyczyłem poemat Mickiewicza z biblioteki szkolnej, lecz nie zdołałem go przeczytać, dziwiły te, zdawało się, niepotrzebne wiersze, w których ludzie chodzą, jedzą, rozprawiają, a nie walczą, nie kochają się, rozłączeni, napiętnowani i męczęńsko występni, jak się to działo w moich fabularnych i morderczych powieściach.

Znudzonego nad *Panem Tadeuszem* spotkał mnie ojciec. — Nie masz racji — rzekł uśmiechając się pobłażliwie. Wziął *Pana Tadeusza* i powertowawszy w nim począł czytać głosem cichym, lecz wyczulonym na wszystkie nagłe odmiany treści, spowiedź księdza Robaka.

Potakiwałem, lecz nie byłem całkowicie przekonany, nie obezwładnił mnie jeszcze wiew wspaniałego, szerokiego Mickiewiczowskiego rytmu, nawet najbardziej nabite poetycko zdanie nie wywoływało jeszcze wzruszenia, wywoływała je wciąż jedynie sytuacja...

III

Oczarowanie Mickiewiczowskim słowem rozpoczęło się od *Ballad i romansów*. Odtąd też na pięć co najmniej lat niepodzielnie zapanował Mickiewicz nad moją wyobraźnią i mym sercem. I obecnie niepotrzebne były spięcia i niespodzianki fabuły — dojrzałem widać uczuciowo na tyle, że wzruszało już piękne słowo, połączenie zdań i rytmów.

Do dziś pamiętam swoje olśnienie balladami Mickiewicza, brała mnie ich zdumiewająca świeżość, swojskość i prawdziwość. Słowa były jakby wydarte z własnego serca; nie budziły najmniejszego sprzeciwu, a tylko czułość, zgodę natychmiastową myśli.

A już najwięcej zapadły w pamięć dwie ballady — *Lilie* i *Romantyczność*. Pierwsze wstrząsały tragizmem treści i rwanym rytmem, *Romantyczność* sprowadzała wzruszenia bardziej nieokreślone, niedomówione, cieszyła prostymi a tak trafnymi sformułowaniami poetyckimi, jak choćby to, co niosło się ze mną poprzez długie lata... „Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu... Miej serce i patrzaj w serce..." Mickiewicz nie zawiódł moich nadziei w młodych latach. Po balladach przyszło głębokie przeżycie *Dziadów* części II i części IV, potem *Konrada Wallenroda*, *Sonetów krymskich*, wreszcie *Dziadów* części III i *Pana Tadeusza*.

Porywały i obezwładniały wybuchy Gustawa, pełne niekłamanego bólu i pożądania w *Dziadów* części IV, przerażały a równocześnie unosiły strofy gniewu, strofy mocy, pogardy i najgłębszej czułości, wystrzelające jak pożar z Improwizacji Konrada w części trzeciej poematu.

A obok Mickiewicza buntownika i proroka był Mickiewicz inny, jasny, cu-

downy poeta miniatury, liryk surowy i wstrząsający, wreszcie epik, który opisywał świat ojczysty z prostotą i świeżością artystyczną nie mającą równej sobie.

Pana Tadeusza, zbliżając się do dwudziestki, czytałem już wielokrotnie i za każdym razem co innego mnie w tym poemacie porywało. Raz opisy lasów, pól i nieba, a nade wszystko opis burzy letniej, dotykalnie prawdziwej i przedziwnie w słowie oddanej, innym razem świat ludzi, trochę śmiesznych i dziwacznych, lecz tak żywych, że można ich było chwycić za ręce i pójść z nimi, wreszcie rozliczne akcenty osobiste poety... W każdej księdze poematu biło serce Mickiewicza i biło równo, silnie, pewnie, rade wzbudzić w czytelniku śmiech, jak i łzę wzruszenia.

IV

Każde dzieło twórcy *Dziadów* pozostaje w pełnej harmonii treści i formy. Nie ma w zdaniach pęknięć, nie ma skłócenia. Lapidarność formy, brak zbędnej poetyczności, odwaga, bezkompromisowość w wypowiadaniu siebie, prostota, a równocześnie najwyższy kunszt, absolutna trafność wyrazu.

Poeta nie silił się, by zdumieć, połaskotać czytelnika, lecz by go jak taranem uderzyć w sumienie i myśl — i obalić — i przekonać.

Mickiewicz nie był kunstmistrzem, wirtuozem, był twórcą, w dosłownym znaczeniu. Tworzył tylko z najbardziej wewnętrznej potrzeby, w chwilach „pustych"' nie sięgał po pióro, milczał.

O tej prawdzie przekonałem się jeszcze raz dobitnie, czytając listy poety z ostatnich lat jego życia. Jakież to nieliterackie listy, jak niepodobne choćby do listów Słowackiego, Norwida, Krasińskiego czy Żeromskiego. Mickiewicz nie zwierza się, nie usiłuje listu traktować jako utworu literackiego, jego kartki do rodziny czy przyjaciół brzmią jak komunikaty z placu boju czy z sali szpitalnej, a nie jak zdania literata, które mają intrygować czy bawić.

V

Mickiewicz nie był moją jedyną miłością poetycką. Przeżyłem również poezję innych twórców — i to z nie mniejszym uniesieniem i równie gwałtownie. Fakt ten sprawił, że oddaliłem się od twórczości Mickiewicza i rzadko już rzucałem się z bezpośredniością i oddaniem, jak w pierwszych młodych latach, w jej świat natchniony.

Tak dzieje się zresztą prawie do dzisiaj. Omijam *Pana Tadeusza* i inne wielkie dzieła, nie znajdując jeszcze z nimi kontaktu, a wracam ciągle z drżeniem serca i czytam jedynie drobne liryki, a zwłaszcza liryki lozańskie. W tych ulotnych utworach, aż wibrujących od bólu i gorzkiej samowiedzy, mieści się dla mnie obecnie najbliższy Mickiewicz — człowiek i poeta.

Stanisław Piętak

Filip Piestrak

PIEWCA MIŁOŚCI I BRATERSTWA LUDÓW

Losy ojczyzny, losy narodu — radością i bólem wypełniają nasze serca. Bo życie narodu i życie jednostki tworzą nierozerwalną całość. Tak działo się zawsze w czasach najcięższych doświadczeń narodu. W okresie niemiecko-faszystowskiej okupacji, kiedy cała Białoruś i Polska legły w ruinach — nasuwało się nieodparcie wspomnienie Mickiewicza — jego wielkości, jego płomiennych słów, zrodzonych z najserdeczniejszej męki.

Z wyżyn swego natchnienia poeta ciskał przekleństwa wrogom, miotał gromy na tych, co zdeptali jego ojczyznę — Polskę. Jak wielki musiał być jego ból po stracie ukochanej ojczyzny, jeśli Mickiewicz — nieodrodny syn swej epoki i wychowanek szkoły dominikanów — ciska wyzwanie Bogu-tyranowi! Gniew Mickiewicza, ten gniew wielkiego obywatela, towarzyszył i będzie towarzyszyć całym pokoleniom, nie tylko narodu polskiego, ale każdego narodu skrzywdzonego, narodu uciskanego, gdyż gniew Mickiewicza to gniew prawdziwego rewolucjonisty.

Poprzez osobiste przeżycia romantyczne, przez nieszczęśliwą miłość do Maryli Wereszczakówny poeta w murach klasztoru bazylianów dochodzi do uświadomienia sobie tragicznych losów narodu. Wtedy to właśnie na ścianie więziennej celi wypisuje owe prorocze słowa, które stały się dewizą całego jego życia:

D.O.M.
Gustavus
Obiit M.D.CCC XXIII
calendis novembris
Hic natus est
Conradus
M.D.CCC XXIII
calendis novembris

Od pseudoklasycyzmu do romantyzmu, od romantyzmu do najgłębszych motywów społecznych, do patosu walki społecznej prowadzi droga twórcza Mickiewicza. Taki np. niewielki poemat jak *Farys* wiąże się z *Odą do młodości*, jednocześnie zaś z tak potężnym utworem jak *Konrad Wallenrod* — ostatnią daniną na ołtarzu indywidualistycznego romantyzmu.

Jak wiadomo, Puszkin po przeczytaniu *Konrada Wallenroda* napisał swoją *Połtawę*.

Ogromne, przełomowe znaczenie Mickiewicza w literaturze polskiej polega na tym, że poezja — dotąd zabawka ludzi wykształconych — dzięki niemu staje się odzwierciedleniem duszy narodu, odbiciem jego radości i smutków, rozpaczy i nadziei. Ten Prometeusz-romantyk marzy o tym, by jego wiersze „zbłądziły pod strzechy".

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie:
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród!...

Oto wyżyny myśli, które osiąga Mickiewicz w III części *Dziadów*. W latach późniejszych poeta, natchniony miłością do narodu, pisze swój wiekopomny poemat — *Pana Tadeusza*, ostatnie zaś lata życia poświęca bez reszty sprawie wyzwolenia narodu.

Jak wiadomo, życie osobiste Mickiewicza i jego twórczość były niezmiernie trudne, skomplikowane, pełne walki i wysiłków, wielkich, po prostu tytanicznych porywów i wzlotów. Pomimo to jednak, jeśli nawet poeta mylił się najbardziej w wyborze środków zmierzających do realizacji szlachetnego celu — nigdy nie zboczył z bezkompromisowo wytyczonej drogi wolności, postępu i braterstwa ludów.

Mickiewicz uważał, że podstawą poezji romantycznej jest ludowość. I to jest niezmiernie ważkie — to przekonanie stworzyło całą epokę.

Dla niektórych bowiem romantyzm był po prostu nową formą twórczości poetyckiej, dla Mickiewicza zaś poezja romantyczna stała się bronią w walce z reakcyjnym pseudoklasycyzmem, w walce o realizację jego postępowych zamierzeń. Ziarnem, z którego wyrosło potężne drzewo poezji Mickiewicza, była jego rodzinna ziemia nowogródzka. Tam się urodził, tam wychował, tam wchłonął w siebie piękno tej ziemi, jej melodię, urzekający czar przyrody. Ta właśnie białoruska przyroda, zwyczaje i obyczaje białoruskiego ludu, jego pieśni — wyryły w duszy młodego poety kryształowo czyste obrazy, ukształtowały jego ducha.

Gdziekolwiek losy rzuciły Mickiewicza, wszędzie unosił ze sobą poeta ów skarb niezapomniany, zawsze pełen czaru. Myśli jego ulatywały zawsze:

...do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Właśnie ludowość, jako przeciwwaga pseudoklasycznej retoryki, była tym źródłem, które odkryła dusza poety. Ze źródła tego wytrysnął kryształowy strumień prawdziwej poezji, której celem było zbliżenie się do ludu.

Motywy ludowe całkowicie urzekły Mickiewicza. Tematem wszystkich jego ballad są ludowe białoruskie podania, legendy, pieśni *(Świteź, Świtezianka, To lubię)*.

Analogiczną drogę przemian odbyła poezja rosyjska. Puszkin bowiem był pierwszym poetą, który wprowadził do poezji rosyjskiej pierwiastki ludowe. Należy tu jednak podkreślić, że ludowość Mickiewicza i Puszkina, to nie są tanie, przemijające efekty. O nie! Są to ludowe legendy i pieśni, przeniesione do poezji i podniesione do jej godności.

Dlatego też całe pokolenia czcić będą Mickiewicza: twórczość jego sięgnęła do głębin poezji ludowej, otworzyła masom pracującym drogę do kultury.

A wszystko to wyrosło z tego ziarenka zrodzonego w ojczyźnie poety, w ziemi nowogródzkiej, i przekazało pokoleniom płomień najgorętszego ukochania narodu — i całej ludzkości.

Nic więc dziwnego, że Mickiewicz wywarł tak przemożny wpływ na twórczość poetów białoruskich: Janki Kupały i Jakuba Kołasa. Świadczą o tym przede wszystkim poematy Kupały *Sen na kurhanie* i *Pieśń odwieczna* oraz poemat Jakuba Kołasa *Nowa Ziemia* napisany pod wyraźnym wpływem *Pana Tadeusza*. Poemat Jakuba Kołasa jest bowiem epopeją malującą życie białoruskiego chłopstwa, tak jak *Pan Tadeusz* — epopeją życia polskiej szlachty. W setną rocznicę śmierci Mickiewicza należy przypomnieć, że był on reprezentantem polskiej kultury narodowej, że twórczość jego stanowi puściznę Polski Ludowej, która przeszła różne koleje losu, a teraz wkroczyła na drogę wolności i niezachwianie kroczy ku socjalizmowi.

Należy tu jeszcze podkreślić, że Mickiewicz jako piewca miłości i braterstwa ludów — to chluba nie tylko narodu polskiego, lecz wszystkich narodów słowiańskich, to duma całej postępowej ludzkości.

Filip Piestrak

Leonard Podhorski-Okołów

MOJA DROGA DO MICKIEWICZA

„Od tej ballady zaczynają dzieci polskie swą znajomość z Mickiewiczem" — pisał kiedyś prof. J. Kallenbach o *Powrocie taty*. Tak też było i ze mną. Nie znaliśmy jeszcze z siostrą liter, kiedy już umieliśmy na pamięć tę balladę. Ojciec, wielki miłośnik poezji i sam trochę piszący, nauczył nas kilku wierszy. Nie pamiętam już, co było wcześniej, czy „Stara czapla, jak to bywa..." czy też „Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem..." Wiem tylko, że wymawiając wiersze: „Ach! ja mam żonę, i u mojej żony Jest synek taki maleńki", pokazywałem zawsze na małym palcu prawej ręki, jaki to „maleńki" był ów „synek".

Potem przez czas dłuższy o tym jakimś Adamie Mickiewiczu, który napisał ową balladę, było u nas głucho. Czytano nam *Ojca zadżumionych* i *W Szwajcarii* Słowackiego *Lalkę, Pocztyliona* i *Kwiczoła* Syrokomli, *Brankę Litwina* Odyńca, *Przed sądem* Konopnickiej. Następne moje „spotkanie" z Mickiewiczem nastąpiło dopiero wówczas, gdy liczyłem już sobie jakieś 12—13 lat.

Było to tak. Na stole w tak zwanym bawialnym pokoju, obok albumów z „familijnymi" fotografiami oraz talerza z biletami wizytowymi i jakąś, perskiego pochodzenia, mosiężną łamigłówką leżał szereg ozdobnych wydań poezyj. Był tam m. in. w stosownym futerale komplet małych książeczek pt. *Lira polska,* był jakiś tom poezyj Słowackiego, był *Kirgiz G.* Zielińskiego i — w niebieskie płótno oprawny, z wyciskami na okładce — egzemplarz, chyba „luksusowy", *Pana Tadeusza,* wydania, zdaje się, że z roku 1878. Była to nagroda za „doskonałe postępy w naukach", przysądzona matce naszej przez dyrekcję jednej z pensyj warszawskich. No i leżał jeszcze popularny *Album widoków stron rodzinnych A. Mickiewicza* E. Borettiego, z którego to albumu najbardziej utkwiły mi wtedy w pamięci podobizna świronka w Zaosiu oraz domu mieszkalnego i murowanki w Tuhanowiczach. Co się tyczy owego egzemplarza *Pana Tadeusza,* to oglądałem niejednokrotnie zawarte w nim ilustracje, nie miałem natomiast odwagi zdecydować się na przeczytanie tak długiej rzeczy, pisanej wierszem!

Nie pamiętam już, kiedy dokładnie i z jakich pobudek postanowiłem wreszcie zawrzeć z tą książką bliższą znajomość. Trzeba bowiem dodać, że „guwernerzy" nasi, sprowadzani rok rocznie z Warszawy, mając zadanie przygotowywać nas do egzaminów do odpowiednich klas, uczyli nas wyłącznie tego, co

było w programie rosyjskich szkół rządowych, nie uważając widocznie za potrzebne wykraczać poza ramy tego programu, a więc i nie przechodzili z nami zupełnie historii literatury polskiej, i nie wymagali czytania i znajomości jej arcydzieł, tak że te sprawy pozostawione zostały całkowicie naszej własnej inicjatywie. Z tych więc głównie powodów, mając już 14 czy 15 lat, zabrałem się dopiero do czytania *Pana Tadeusza.*

Oczywiście, raz zacząwszy już czytać, nie mogłem się od niego oderwać.

Ulubioną moją lekturę stanowiły w tym okresie powieści podróżnicze (np. *Wyspa skarbów),* toteż najbardziej w epopei Mickiewiczowej podobały mi się ustępy w rodzaju „Wyprawa Hrabi na sad" i „Matecznik", gdzie skradanie się i przedzieranie przez rodzimy gąszcz miało dla mnie jak gdyby jakiś „namiastkowy" posmak wypraw w głąb dżungli podzwrotnikowych. Naturalnym biegiem rzeczy zrodziło się pragnienie napisania czegoś w tym samym rodzaju. Zacząłem więc, starannie ukrywając to przed wzrokiem „dorosłych", kropić odpowiednie fragmenty, mające wejść do całości jakiegoś nowego *Pana Tadeusza.* Było tego już dość dużo (oczywiście pisanego „pod Mickiewicza"), ale zrozumiała rzecz, iż nie wiedziałem zupełnie, jaka właściwie ma być ta reszta. Potem przyszły egzaminy, zainteresowania przyrodnicze itd., tak że na tych, niedochowanych zresztą, urywkach cała ta młodzieńcza moja impreza się skończyła.

W parę lat później, gdy byłem już w szóstej czy siódmej klasie gimnazjum Górskiego, powstał u nas w czasie wakacji projekt wycieczki nad Świteź. Pamiętam, że osobiście traktowałem tę wyprawę wyłącznie jako rozrywkę wakacyjną, polegającą na poznaniu malowniczo położonego jeziora, nie łączącego się u mnie zupełnie z tradycją mickiewiczowską.

Udaliśmy się na tę kilkudniową wyprawę wielkim, wymoszczonym słomą i sianem drabiniastym wozem, zwanym u nas „karami". Droga w jedną stronę wynosiła około stu kilometrów, jeśli nie więcej. Między innymi zatrzymywaliśmy się w Snowiu (dawna własność Rdułtowskich), gdzie widzieliśmy wielki, opuszczony pałac, w którym miało jakoby „straszyć". Nic nie wiedziałem wówczas o Ludwiku Szpicnaglu i o jego tragicznej tam śmierci.

Gdy już byliśmy w pobliżu Świtezi, jedna z kuzynek, nawiązując do sytuacji, zacytowała pierwszą zwrotkę odpowiedniej ballady:

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać swe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Wtedy to dopiero dowiedziałem się od niej i o tym, że poeta bywał nad tym jeziorem i opisał je, i o jego nieszczęśliwej miłości do Maryli, którą wbrew jej woli wydano za „bogatego" hr. Puttkamera. To nazwisko usłyszałem po raz pierwszy w życiu, ale od razu zapałałem szlachetnym oburzeniem i na niego, i na rodzinę Maryli, która ją za niego wydała. Przypomniał mi się również wówczas ów widok Tuhanowicz z albumu Borettiego. Uświadomiłem też sobie wtedy i główny cel naszej wyprawy, a gdy w dwa lata później miała miejsce druga nasza wycieczka, innymi całkiem oczami patrzyłem już i na jezioro, i na Nowogródczyznę w ogóle.

I znowu minęło wiele lat „bez Mickiewicza". Wybuchła pierwsza wielka wojna, pociągając za sobą dla nas, kresowców, wiadome komplikacje życiowe.

Ponowne kontakty z poezją Mickiewicza nawiązałem dopiero w parę lat po tej pierwszej wojnie, ale to już w płaszczyźnie ówczesnych moich zainteresowań jako poety i teoretyka poezji. Ślad ich znaleźć można w wierszu *Do Adama* i w artykule *Jakiego Mickiewicza poznamy.* *

Wreszcie w roku 1929 nastąpiły fakty, które zadecydowały o moim całkowitym niemal poświęceniu się, przeszło dwadzieścia pięć lat już trwającym, badaniom mickiewiczowskim.

Jakoś na wiosnę tego właśnie roku wpadł mi w oczy leżący w oknie wystawowym „Ossolineum", świeżo wówczas na nowo wydany tom I *Żywota Adama Mickiewicza*, autorstwa Władysława Mickiewicza. Do dziś dnia nie zdaję sobie sprawy, co właściwie skłoniło mnie do kupienia tego tomu, mimo iż wydatek w wysokości 25 złotych (tyle zań zapłaciłem gotówką!) musiał uczynić poważny wyłom w skromnym naszym budżecie domowym. Wobec szeregu innych zgoła zainteresowań nie wiedziałem właściwie, po co tę rzecz kupuję. Musiało mną jednak wówczas kierować jakieś przeczucie czy jeśli kto woli — intuicyjne wyczucie, bo jak się niebawem okazało, książka owa jak najbardziej mi się przydała.

Tegoż lata postanowiłem, że przeznaczę część swego urlopu na wędrówkę pieszo po Nowogródczyźnie. Obok zainteresowań krajoznawczych grała tu główną rolę chęć zebrania materiału wrażeniowego do zamierzonego przeze mnie cyklu poezyj, poświęconych „krajowi lat dziecinnych" poety. W szczególności pragnąłem zobaczyć zniszczone wskutek działań wojennych Tuhanowicze, w których nigdy dotąd nie byłem.

Dysponując w tej swojej wędrówce z plecakiem na ramionach bardzo ograniczonym czasem, przeznaczyłem na zwiedzenie miejscowego ogrodu (po domach mieszkalnych zostały jeno szczątki podmurowań) pół godziny. Skoro jednak po obejrzeniu całego terenu, ze szpalerami i pamiętną altaną na czele, usiadłem na jakimś kamieniu i zamyśliłem się nad sprawami, które obudziła we mnie świadomość, w jakim to miejscu właśnie się znajduję — okazało się, że zamiast projektowanych trzydziestu minut, zabawiłem w tym rodzinnym gnieździe Maryli dwie przeszło godziny!

Aby nadrobić stracony czas, ruszyłem pośpiesznie w dalszą drogę. Ale przechodząc przez mostek na rzeczce Serweczy, pomyślałem, że warto by zatrzymać się tam, i odwróciwszy się, raz jeszcze pożegnać się wzrokiem z tym pamiątkowym miejscem, którego już może nigdy więcej w życiu nie zobaczę. I wówczas to, mając przed oczyma fragment drogi wysadzanej włoskimi topolami, a obok niej bujnie rozrośnięty gąszcz drzew okalających dziedziniec i tworzących rozległy park, a wszystko to położone „na pagórku niewielkim" i na skraju nadserweczańskiej łąki — pomyślałem sobie: przecież to do tej chyba, najdroższymi wspomnieniami związanej z poetą miejscowości, nie zaś do jakiegoś, całkiem mu niemal obojętnego Cząbrowa, tęsknić on musiał na swym paryskim wygnaniu!

Ta myśl nie dawała mi odtąd spokoju, i pierwszą moją rzeczą po powrocie

---

* Zob. mój zbiorek poezji pt. *Białoruś* i nr 3 *„Wiadomości Literackich"* z 1925 r.

do Warszawy było sprawdzić, czy domysł, że Soplicowo to w jakimś tam stopniu Tuhanowicze, był już przez kogoś wysunięty.

Okazało się, że już Odyniec twierdził, iż w „przyjeździe panicza" i w pokoiku Zosi z pierwszej księgi, uwiecznił był Mickiewicz swój wakacyjny przyjazd do Tuhanowicz z Tomaszem Zanem i ujrzany wówczas po raz pierwszy pokój Maryli. Znalazły się również i inne wzmianki, dowodzące, iż zwracano już uwagę na pewne podobieństwo Tuhanowicz do Soplicowa. Równocześnie jednak stało się dla mnie jasne, że wszystko to zostało przez badaczy całkowicie zlekceważone, a pierwowzoru Soplicowa szukano bezskutecznie gdzie indziej, bądź też wręcz zapewniano, iż poeta nie miał w ogóle na myśli żadnej realnej miejscowości, opisując dwór Sędziego. Postanowiłem więc przywrócić Tuhanowiczom należną im — w moim mniemaniu — rolę, i rozpoczęła się mozolna i długotrwała praca nad gromadzeniem odpowiedniego materiału dowodowego.

W miarę jak materiał ów wzrastał ilościowo, mnożyły się i zawarte w nim szczegóły, nie tylko odnoszące się do wymienionego wyżej zagadnienia, lecz i rzucające nieraz nowe światło na szereg innych zagadnień, związanych z życiem i z twórczością poety. Rozszerzał się automatycznie i krąg moich zainteresowań, i pole działania w kierunku choćby tylko prostowania błędnych dotychczasowych ustaleń.

Niesposób wymienić tu wszystkich źródeł, z jakich czerpałem owe materiały, zaznaczę więc tylko krótko, że poza wszystkimi przedwojennymi bibliotekami warszawskimi, krakowskimi i wileńskimi korzystałem z materiałów znajdujących się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, w b. Archiwach Państwowych w Wilnie i w Grodnie oraz z archiwów kościołów parafialnych w Nowogródku, w Horodyszczu, w Stołowiczach, w Mirze, w Iszkołdzi, w Połoneczce i w Starej Myszy oraz z archiwum metropolii prawosławnej w Grodnie. Sprowadzałem również odpowiednie dokumenty z „Ossolineum" i z Muzeum A. Mickiewicza w Paryżu.

Dużej ilości bardzo ciekawego materiału dostarczyły mi również zbiory prywatne, a w tej liczbie takie pozycje, jak archiwum domowe Wereszczaków, którego część znajdowała się jeszcze wówczas w posiadaniu Jana Kwietniewskiego w Warszawie, część zaś stanowiła własność prof. Żółtowskiego w Poznaniu (ożenionego z Puttkamerówną z Bolcienik), albo jak zbiory Jana Michalskiego w Warszawie czy Euzebiusza Łopacińskiego i Lucjana Uziębły w Wilnie. Do dziś dnia nie mogę sobie darować, że nie wykorzystałem w całej pełni bogactwa materiałów, dziś już niemal nie istniejących, a znajdujących się przed wojną w działach rękopisów bibliotek: Rapperswylskiej, Krasińskich i Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Ale trudno było, pracując całkowicie „w pojedynkę" i to tylko w wolnych od pracy zawodowej chwilach, wykorzystać w ciągu tamtych dziesięciu lat wszystkie zbiory.

Żmudną moją pracę osładzały nieraz niezwykle miłe niespodzianki. Tak na przykład w dziale rękopisów Muzeum Narodowego w Warszawie natrafiłem przypadkowo na całkiem nieznany i przez nikogo widocznie nie zauważony autograf Mickiewiczowego przekładu *Ciemności* Byrona. Dostał się on tam zaraz po pierwszej wielkiej wojnie ze zbiorów Tyszkiewiczów w Łohojsku.

W archiwum Głównym Akt Dawnych przy ul. Długiej w Warszawie, w dziale

rękopisów *Varia*, znalazłem — również przez nikogo do tego czasu nie wykorzystane — archiwum rodzinne Niesiołowskich z Worończy!

Nie mówię już o znalezionych przeze mnie i opublikowanych kilku listach samego Mickiewicza i brata jego, Aleksandra, jak również i wspomnieniach tego ostatniego o wielkim swoim bracie (drukowanych m. in. w pierwszym tomie moich *Realii*).

Nawet w latach okupacji udało mi się znaleźć piękną kopię kolorową (wykonaną przez J. Maszyńskiego w roku 1900) jedynej autentycznej podobizny Maryli Wereszczakówny, dziś zaginionej, a znajdującej się swego czasu w Bolcienikach, a później w Tuhanowiczach.

Cały ten zgromadzony przeze mnie materiał uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Ocalało z niego tylko to, co zdążyłem przed wojną opublikować w czasopismach i co zachowało się w mej pamięci.

Po wojnie zacząłem od nowa gromadzenie stosownych materiałów i gromadzę je nadal. Sporo z tego zostało przeze mnie wykorzystane w trakcie mego udziału w pracy Komitetu Redakcyjnego Wydania Narodowego *Dzieł* A. Mickiewicza, którego członkiem mam zaszczyt być od samego początku.

Tak się przedstawia w obecnej chwili moja „droga do Mickiewicza". Jak długo uda mi się jeszcze kroczyć po niej i czy dane mi będzie dotrzeć do wytkniętego sobie przed ćwierćwieczem celu?

Badania mickiewiczowskie wciąż jeszcze stanowią wdzięczne pole działania, życie i twórczość poety pełne są jeszcze luk i znaków zapytania, a nasza wiedza o nim — wbrew pozorom — bardzo jeszcze niedokładna. Sam temat przez wiele, wiele lat wciąż jeszcze będzie nie do wyczerpania.

Pięknie powiedział Mieczysław Jastrun, że „Mickiewicz wciąż jeszcze pisze". I również pięknie podkreślił ktoś inny, że „Mickiewicz jest jak wielka jakaś rzeka: w jakimkolwiek jej miejscu zarzucić wędkę — zawsze się coś z niej wyciągnie".

Leonard Podhorski-Okołów

Julian Przyboś

WOBEC NAJWIĘKSZEGO

Nie ma chyba poety polskiego, który by w najświadomszym okresie swojej twórczości nie powtórzył za Krasińskim zdania o Największym. Mickiewicz jest dla piszących miarą nie tylko najwyższej sztuki poetyckiej osiągniętej w języku polskim, ale i największej odpowiedzialności moralnej za sprawy narodu, którego słowem artystycznie władają. Każdy więc z nas, chcących z nim rozmawiać, musi wpierw swoją nicość wyspowiadać: bo któż po nim, tak jak on, objął wszechwidzeniem swój naród i kto miał takie lwie serce, żeby za życia i po śmierci „czuciem rządzić"! Ale ukorzywszy przed jego dziełem swoją małą czy dużą dumę twórczą można podnieść czoło i „z Panem gadać", a nawet rzucić jemu wyzwanie w walce o los dzisiejszego poety.

Nigdy nie ośmieliłbym się pisać wiersza o Mickiewiczu. Nie przyszłoby mi to nawet na myśl, gdyby nie zapytanie układającego w Roku Mickiewiczowskim antologię takich wierszy. A do „nawiązywania" poetyckiego za pośrednictwem motta do poszczególnych wierszy Słowackiego, do polemiki nawet z autorem poematu *W Szwajcarii* skłonny byłem kilkakrotnie. Mówić wierszem o autorze najwspanialszych wierszy — cóż za zarozumiałość lub bezkrytyczna pretensja! Jak gdyby lepiej można o nim powiedzieć to, co on sam swoim wierszem powiedział. Ale nawet napomykania, aluzje stylistyczne do poezji Największego wydają mi się niestosowne. Do Mickiewicza nie można „nawiązywać", nie można więc np., uznawszy jego sztukę wierszowania za summę i szczyt całej wersyfikacji narodowej, nawoływać do pisania tylko Mickiewiczowskimi miarami. Skoro jego wiersza nikt nie przepisał i nie przepisze, po cóż tym wierszem pisać! Z najwyższego szczytu wiedzie droga tylko w próżnię, chcę powiedzieć: Mickiewicza nie można naśladować, poezja Mickiewicza nie może być wzorem. Jest i powinna być jedynie porywającym przykładem. Przykładem, jak burzyć stare formy i tworzyć rewolucyjnie nową poezję, a więc taką, do której nie dojdzie się „krokiem" Mickiewiczowskim, bo stary, i młodość nie może mu towarzyszyć! *

* A jednak wiersz, który sobie wysoko cenię: *List ze Szwajcarii*, zakończyłem słowami z liryki lozańskiej Mickiewicza. Wizja odgruzowywanej Warszawy, w której stawały nad Wisłą na Mariensztacie pierwsze domki, skojarzona z widzeniem z wysokiej góry czystych domków szwajcarskich nad Lemanem — przywołała mi na usta te słowa:

Stoją domki jak wyjęte ze łzy
. . . . . .
nad wodą wielką i czystą.

Nie *Pan Tadeusz*, ale *Ballady i romanse* były pierwszą książką Mickiewicza, która zbłądziła pod moją strzechę rodzinną. Umiałem już czytać, miałem więc pewnie osiem lat, gdy grzebiąc w starej szafie, w której znajdowałem zazwyczaj skarby bardziej materialne: gwoździki, sznurki, stare pudełka po „siarniczkach", wyciągnąłem spod stosu rupieci książkę w brązowej sztywnej okładce. Niewiele w niej było zwrotek niezrozumiałych, a i te niezrozumiałe wabiły tajemniczo jak „ede — liski — ede — mons" w chowance. Bajki z diabłami, zbójami, boginkami były dla mnie naturalnym dalszym ciągiem opowiadań ślepej Pileckiej, bajczarki z „Górki", sąsiadującej z dziecią chałupą. Czytywałem te nieznane dotychczas baśnie chłopakom w [illegible] we ze szkoły a także starszym na „Górce" i „Za paryją" — dopóki mi ich [illegible] abrała któraś z pobożnych bab, przeżegnawszy się ze zgorszenia, że za [illegible] w nich diabłów, i nie poskarżyła ojcu.

Już wtedy układałem przy pasieniu nowe zwrotki śpiewek, ale dopiero od tych Mickiewiczowskich baśni zapragnąłem być poetą, a gdy poszedłem do gimnazjum, sprawiłem sobie nowy zeszyt na wiersze. Naśladowały one opisy krajobrazów największej baśni, jaką do tamtej pory czytałem — *Pana Tadeusza*.

Już wtedy świtało mi zrozumienie faktu, że krajobrazy Mickiewiczowskie nie są wiernym opisaniem rzeczywistości. Na wakacjach spędzanych we wsi rodzinnej sprawdzałem zwłaszcza opisy wschodów słońca i już wtedy stwierdziłem, że pogodny wschód nie przypomina nagłego fajerwerku iskrzącego się w opisie początku dnia Najświętszej Panny Kwietnej.

W wiele lat potem, bo dopiero po ostatniej wojnie, napisałem rozprawkę o *Panu Tadeuszu*, dowodząc, że ta „historia szlachecka" jest tyleż obrazem rzeczywistości, co baśnią. Kiedy rozprawkę przedrukowałem w zbiorze *Czytając Mickiewicza*, ówczesna krytyka skrzywiła się na to. Miałem pecha, bo właśnie w tym roku obowiązywało prymitywne rozumienie realizmu dzieła sztuki jako biernego odbicia, kopii rzeczy. W miarę jednak, jak w głowach naszych ideologów „nacierających na froncie literatury" rozjaśnia się pojęcie realizmu artystycznego, takie ujęcie *Pana Tadeusza* staje się możliwe do przyjęcia. Literatura piękna to nie dokumentacja rzeczywistości taka, jak np. dokumentacja techniczna fabryki cegieł. Czymże są wielkie dzieła epickie, jak *Iliada i Odyseja*, *Boska komedia*, *Don Kichot* czy *Czarodziejska góra*? Olbrzymimi baśniami, w których wierność szczegółom wziętym z życia została poddana promieniowaniu fantazji, przemieniającej dosłowną całość w przenośnię poetycką. Krytycy nasi zbyt często zapominają o tej pierwiastkowej prawdzie: że dzieło sztuki jest owocem marzenia twórczego, że zaspokaja i — budzi u odbiorców głód marzenia o lepszym świecie.

Lata studiów polonistycznych na uniwersytecie a następnie nauczania w gimnazjum osłabiły we mnie zdolność do zachwycania się poezją Mickiewicza. Czytając i komentując codziennie — przesyciłem się dziełem poety. Okres ten pogłębił we mnie niechęć, jaką odczuwałem od początku do *Konrada Wallenroda* i *Dziadów* części IV, których i dziś — z wyjątkiem niektórych najwspanialszych urywków — nie lubię i uważam za utwory słabsze od innych dzieł poety. Dopiero ostatnia wojna i okupacja otworzyły mi oczy na

nieustanną aktualność tej poezji — zaiste wieszczej. W roku 1940 pracowałem wraz z Aleksandrem Semkowiczem nad urządzeniem wielkiej Wystawy Mickiewiczowskiej w „Ossolineum" we Lwowie. Otwarta w grudniu tegoż roku skupiła chyba największą ilość mickiewiczianów istniejących na świecie. Oprócz wszystkich wydań dzieł poety i autografów znajdujących się przed wojną we Lwowie pokazaliśmy na tej wystawie oprawiony kunsztownie przez Semkowicza dzikowski autograf *Pana Tadeusza*. Zgromadziliśmy również liczną ikonografię poety. Wśród podobizn Mickiewicza błyszczał na wstępie znany biust marmurowy dłuta Davida d'Angers.

Wtedy to pr[illegible]czytałem całego Mickiewicza na nowo i wtedy dopiero odżyło we mnie to z d[illegible]ińskiego znane mi zachwycenie. Na uroczystej Akademii Mickiewiczowskiej [illegible] Lwowie, w której obok polskich wzięli udział mickiewiczolodzy rosyjs[illegible] i ukraińscy, wygłosiłem wtedy odczyt pt. *Nowość potrząsa kwiatem*. Odczyt ten był pierwszym z cyklu rozprawek o poezji „Najwyższego z czujących".

Kiedy zastanawiam się, w jakiej chwili mojego życia poezja Mickiewicza zrobiła na mnie największe wrażenie, przypominam sobie pewien wieczór grudniowy w 1943 roku. Na wiosnę tego roku getto warszawskie zginęło, walcząc, w płomieniach, kolej szła na zagładę drugiego po Żydach i Cyganach „mniej wartościowego" narodu. Nadbiegały z okolicy alarmujące wieści o łapankach, pacyfikacjach, wywózkach i rozstrzeliwaniach. Otworzyłem wtedy książkę z poezjami Mickiewicza. Przeczytałem najstraszniejszy z wierszy: *Do Matki Polki* — i wiersz ten nie przeraził, lecz pokrzepił potężnie. Z ostatecznego dna przepowiedzianej klęski — biła z tego wiersza we mnie moc i wiara w zwycięstwo. Kto potrafił wytrzymać moralnie taką okropną pewność i wyrazić ją słowami celnymi i zimnymi jak ciosy sztyletu — ten dawał przykład najwyższego męstwa. Przypominam sobie także pewną rozmowę z młodziutkim żołnierzem Podziemia, który w dzień kuł do tajnego egzaminu maturalnego, a po nocy ćwiczył w „wojskówce" lub szedł na „akcje". Mówiliśmy o śmierci „za ojczyznę". Cóż to jest za „ojczyzna", zastanawiał się, w kim, w czym jest ona najbardziej? Ginąc „za ojczyznę" — dla jakich to najwyższych wartości w ojczyźnie umieramy? Odpowiedziałem mu, że dla mnie znaczyłoby to: umrzeć za ojczyznę dla Chopina i Mickiewicza. Dla tych dwóch, którzy wyrazili to, co najszczytniej ludzkiego osiągnęli w dziejach Polacy. Dla ojczyzny Chopina i Mickiewicza. Rozumiał to wróg, który zakazał muzyki Chopina, tej natchnionej siły zbrojnej, i który burzył pomniki autora *Pieśni Wajdeloty*.

Nie umierania, lecz tworzącego życia żąda nowa Polska. I ci młodzi, którzy wyrośli w kraju pchniętym na nowe tory, niech wyśpiewają swoją „Odę do młodości" słowami własnymi, tchnącymi nie tylko nadzieją i dumą, ale i troską urzeczywistniania. Wyrośli w kraju bez „złych panów", niechże jednak pojmą aktualność *Dziadów* drezdeńskich i — wyrażą nie skończoną jeszcze walkę w dramacie politycznym naszych czasów.

Julian Przyboś

Włodzimierz Słobodnik

WIECZORY Z MICKIEWICZEM

(Z NOTATNIKA WAKACYJNEGO)

W gruncie rzeczy bardzo powierzchowna jest nasza wiedza o Mickiewiczu. Gdy badamy jego poezję, wymyka nam się twórca, gdy badamy twórcę, wymyka się nam trudny i wielki człowiek, czasem tak prosty i rubaszny jak szlachcic zaściankowy, niekiedy zaś tak głęboki, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić, gdzie jest dno tej poezji i tego człowieka, który ją stworzył.

*

Nieraz wracałem i nadal wracam do *Pana Tadeusza*. W całej poezji europejskiej i innych kontynentów nie widzę dzieła równego temu poematowi. Gdybym miał wiele lat spędzić na wyspie bezludnej i „bezksiążkowej", wziąłbym ze sobą *Pana Tadeusza*, *Wojnę i pokój* Tołstoja, *Nędzników* Wiktora Hugo i wiersze Rimbauda. Ale chyba najczęściej wracałbym do *Pana Tadeusza*.

Lektura *Pana Tadeusza* zastępowałaby mi muzykę klasyczną i malarstwo największych mistrzów świata.

Kiedy podczas ostatniej wojny przebywałem w uzbeckiej Ferganie, poemat ten zastępował mi utraconą Warszawę i Polskę. Dziw pomyśleć, że Mickiewicz nigdy nie był w Warszawie!

*

Lasy szumiące w *Panu Tadeuszu* nieraz dawały mi gęstszy i lepszy cień niż prawdziwe. Na tym właśnie polega siła wielkiej sztuki.

*

Wiele dałbym, żeby wiedzieć, co wpłynęło na powstanie wiersza *Nad wodą wielką i czystą*... Badacze literatury mówią o tajemniczym pięknie tego liryku lozańskiego. Poza tym mówią o przeżyciach osobistych poety i warunkach historycznych ówczesnej Europy i Polski. Ja osobiście pragnąłbym wiedzieć, co widział Mickiewicz przed napisaniem tego liryku nad lirykami i co przeżył tego dnia lub godziny, gdy ręka jego sięgnęła po papier i pióro, żeby napisać

pierwsze słowa tego wiersza „Nad wodą wielką i czystą" i żeby zakończyć go słowami pełnymi potężnej i gorzkiej nieskończoności: „Mnie płynąć, płynąć i płynąć..."

Być może spojrzał przedtem na jodły szwajcarskie szumiące przed jego domem. Może pod jodłami tymi przechodziła dziewczyna niepodobna do Maryli, jakaś zwykła Szwajcarka w czepku.

A może Mickiewicz pogrążony był przedtem w jakichś najbardziej prozaicznych rachunkach i wiersz ten był po prostu odskocznią od nich. Kto wie! Niezbadane są przecież drogi wielkiej twórczości.

*

Opis burzy w *Panu Tadeuszu* kojarzy mi się zawsze z burzą z *Symfonii Pastoralnej* Beethovena. Zwłaszcza że jedna i druga burza to burze leśne, tchnące niepokojem drzew i ptaków. Zwłaszcza że od jednej i drugiej burzy tylko jeden krok do pogody, jeden krok do tęczy — siedmiobarwnej ciszy dwóch Zeusów gromowładnych — Mickiewicza i Beethovena.

*

Niedawno nad morzem czytałem wiersz *Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada...* Kiedy doszedłem do czterowiersza „Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej, I liczne mam serca mego rodzeństwo; Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi, Rodzina milsza, niż całe pokrewieństwo", przypomniało mi się twierdzenie niektórych badaczy poezji Mickiewicza, że krajem tym jest duch poety, czyli tak zwana z młodopolska „jaźń". Sądzę jednak, że ojczyzną myśli i piękniejszym krajem niż ten, co w oczach stoi, była dla poety Polska, piękniejsza dlań od uroczej, lecz obcej Szwajcarii. Sądzę, że rodziną milszą niż całe pokrewieństwo był dla poety naród polski.

Kiedy doszedłem do słów „Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa", to nic nie mogło mnie przekonać, że jest to jakiś anioł alpejski. Przecież to Maryla, przemieniona w Zosię z *Pana Tadeusza.*

*

Przedziwny jest humor Mickiewicza, zwłaszcza w *Panu Tadeuszu.* Rubaszny i jednocześnie subtelny. „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi." Sparafrazowałbym to zdanie: „prawdziwa poezja humoru się nie boi".

Humor *Pana Tadeusza* ma w sobie jakiś ciemnawo-złoty odcień, jakby cały był skąpany w miodzie.

*

Kilka tygodni temu czytałem książkę radziecką pod tytułem *Wspomnienia współczesnych o Tołstoju.* Podczas pasjonującej tej lektury dostrzegłem zadziwiającą zbieżność dwóch żywotów i dwóch twórczości: Mickiewicza i Tołstoja. Łączy ich ta sama tęsknota za czynem i najwyższą czystością moralną i ta sama pogarda dla czystej sztuki.

Tołstoj nie uznawał Szekspira uważając go (niesłusznie) za reprezentanta czczego pięknoduchostwa. Dla tych samych powodów Mickiewicz nie uznawał (też niesłusznie) poezji Słowackiego.

„Chłopskość" Tołstoja wydaje mi się podobna do drobnoszlacheckiej „chłopskości" Mickiewicza. Natasza Rostowa z *Wojny i pokoju* jest tak samo „sielsko-anielska", jak Zosia z *Pana Tadeusza.*

Poza tym sądzę, że mistyka chrześcijańska Tołstoja pod jakimś tam kątem zbliża się do towiańszczyzny.

W Tołstoju i Mickiewiczu jest jakieś zdrowie epickie, za którym tęsknimy — ludzie rozdarci wojnami i nadmiernym wyrafinowaniem artystowskim.

*

Nieraz wracałem do przedziwnego wiersza Mickiewicza *Śniła się zima...* Jeszcze we wczesnej młodości porywał mnie boleśnie biały płomień tej wizji. Czytając ten utwór, niemalże dotykałem śniegu, co „...nie spłynął, Lecz jak ptak biały dwa skrzydła rozwinął I skacząc leciał..."

Jest w poemacie tym podobne do tołstojowskiego poczucie odpowiedzialności za winy popełnione:

I przypomniałem nagle wszystkie błędy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jej, i szczęścia, i nieba niewarte.

Jak najcudowniejsza muzyka, wzruszał mnie zawsze dwuwiersz:

Muszę i w lasy, w jeziora przepadać,
I drzew popytać, i z ziołkami gadać.

Jeden z najpiękniejszych utworów Tuwima, poświęcony pamięci Żeromskiego, p.t. *Drzewo nieznane,* ma taki dwuwiersz:

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wołać, po borach hukać...

Dwuwiersz ten chyba wywodzi się z wyżej zacytowanego dwuwiersza Mickiewicza. Rzecz jasna — nie jest to ślepe naśladownictwo, lecz głębokie przejęcie się duchem mickiewiczowskim, duchem ojca współczesnej poezji polskiej.

Wiersz *Śniła się zima...* jest jakiś przyćmiony, a jednocześnie przedziwnie rozjarzony światłem wewnętrznym, jak ten niezapomniany obraz:

Szli ze świecami w dół obróconemi:
Świece gorzały płomieniem do ziemi,
Jak złote strzały.

*

Zadziwiające jest w *Panu Tadeuszu* uwielbienie człowieka i przyrody a jednocześnie sztuki. Aż cztery jego partie poświęcone są sztuce: koncert Wojskiego, koncert Jankiela Cymbalisty, opis arcyserwisu i wreszcie — poloneza. Jednak nie jest to sztuka dla sztuki.

Wielbicielami sztuki dla sztuki są Hrabia i Telimena.

*

Kiedy miałem osiemnaście lat, kochałem się w młodej, ładnej dziewczynie z ludu. Żeby ją „oświecić", czytałem jej na głos wiersze Mickiewicza. *Sonetów krymskich* nie rozumiała. Były jej idealnie obce. Ku mojej wielkiej rozpaczy nudził ją nawet *Pan Tadeusz*. Za to *Ballady i romanse* wzruszały ją do łez. Zwłaszcza *To lubię* i *Powrót taty*.

Nic w tym dziwnego. Dziewczyna ta pochodziła z Biołorusi, a przecież jej przodkowie, chłopi białoruscy, byli niejako współtwórcami tych prostych i rzewnych pieśni.

Żeby *Pan Tadeusz* „zbłądził pod strzechy", strzechy muszą „dojść" do *Pana Tadeusza*. To znaczy zamiast nędznych chałup powinny być piękne, zelektryfikowane domy, a obok oświetlenia powinna zawitać do nich i oświata.

*

Pamiętam nasze długie „nocne rozmowy" o Mickiewiczu z Konstantym Gałczyńskim, Stanisławem Ciesielczukiem i Lucjanem Szenwaldem, który na ławie szkolnej przetłumaczył jakiś fragment *Pana Tadeusza* na język grecki.

Rozmowy te prowadziliśmy w moim mieszkaniu warszawskim na Lesznie. Ponieważ podczas „nocnych rozmów" naszych piliśmy kakao gotowane na wodzie, nazwaliśmy te noce „kakaowymi".

Dużo tam było sporów poetyckich i fanfaronady młodzieńczej. Między innymi mówiliśmy o naśladowcach poezji Mickiewicza: w jakim stopniu naśladowanie to jest właściwe lub nie.

Nie wiem, który z przedwcześnie zmarłych moich przyjaciół miał rację. Wiem tylko, że każdy z nich widział świat i poezję inaczej i każdy po swojemu kochał Mickiewicza.

Jeśli chodzi o sprawę naśladowania Mickiewicza przez poetów współczesnych, to utkwiło mi w pamięci zdanie Konstantego Gałczyńskiego: „Mickiewicz jest niepowtarzalny. Zresztą, gdyby dziś żył, to z pewnością pisałby inaczej, inaczej bowiem toczy się dyliżans, inaczej zaś pociąg, a cóż dopiero mówić o aucie i samolocie! Poza tym dzisiejsi naśladowcy Mickiewicza, śmiertelnie poważni i nudni, zapominają o boskim jego humorze. Wspaniały romantyzm Mickiewicza pod piórem ich przemienia się w mechaniczną pompę romantyczną, a wiadomo, że z pompy sika tylko woda..."

*

Nad morzem znów przeczytałem świetny szkic Boya-Żeleńskiego o Mickiewiczu. Jest w nim lekkość pełna wagi.

*

Było to bardzo dawno, tak dawno, że nie tylko ja, ale i lipy, szumiące w ogrodzie wsi podwarszawskiej, w której wówczas spędzałem wakacje, utraciły swoją młodość i na pewno pachną i szumią inaczej niż za tamtych lat.

Mieszkałem wtedy kilka miesięcy u księdza na plebanii. Była to prawdziwa polska wieś, taka jak w *Panu Tadeuszu*, z niezmierzoną ciszą pól i lasów, ze starym kościółkiem, wystrzelającym swoją wieżą ponad ciepłą zieleń drzew, z prawiekową biedą chłopską, z dworkiem dziedzica i z przylepionym doń mickiewiczowskim ganeczkiem kolumnowym.

Ksiądz, który udzielił mi gościny, pochodził z Litwy i był nieco podobny do księdza Robaka: ni to ksiądz, ni to żołnierz, czerstwy, rumiany i rubaszny.

Korzystając z biblioteki księżej, całymi dniami czytałem powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza i poezje Mickiewicza. Lekturze mojej towarzyszył (proszę mi wybaczyć estetyzm i sielskość-anielskość) aromat lip, współdźwięczała z nią cisza, tak zespolona z pejzażem wiejskim, że niemal zielona, albo dobiegające z kościółka granie organów.

Do czego prowadzę? Mianowicie do tego, że na tej prawdziwej wsi polskiej stokroć głębiej zacząłem odczuwać wszystkie uroki *Pana Tadeusza*. Kiedy słońce zachodziło, pod drzewami sadu przeciągał mi polonez, „Nad murawą czerwone połyskają buty, Bije blask z karabeli, świeci się pas suty..."

Tu na własne oczy widziałem ów słynny obłok, „przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy, po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy", a we dworze miałem nawet swoją Zosię, w której się potajemnie kochałem — córkę dziedzica, która tyle mnie widziała, co kamień przydrożny albo jakąś postać bajeczną, ubraną w czapkę-niewidkę...

Stary organista wydawał mi się Wojskim, dziedzic — Sędzią, drobną szlachtę okoliczną ubierałem w wyobraźni mojej w kontusze... Głuchą wieś polską widziałem poprzez dwuwiersze *Pana Tadeusza* i dzięki niej lepiej odczuwałem cały gęsty aromat tego arcydzieła, bo

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichter's Lande gehen...

*

Podczas ostatniej wojny, kiedym znalazł się w Ufie, zdarzyło mi się zamienić kilka słów z wybitnym poetą ukraińskim, świetnym tłumaczem *Pana Tadeusza*, Maksymem Rylskim. Między innymi mówiliśmy o Mickiewiczu. W pewnym momencie Rylski dość czystą polszczyzną zarecytował mi początek Epilogu *Pana Tadeusza:*

O tym-że dumać na paryskim bruku...

Nigdy nie zapomnę owego wzruszenia, jakie ogarnęło mnie na dźwięk tych polskich słów, wymawianych przez poetę ukraińskiego w stolicy Baszkirii.

Wtedy nawet drzewa baszkirskie zaszumiały mi po polsku.

*

Szczególną melodię mają dla mnie *Sonety krymskie*. Są tak niepodobne do żadnych innych sonetów, że nazwałbym je „sonety-nie-sonety". Są one podobne do niektórych pięknych kobiet, które z taką swobodą noszą wytworne suknie, że się sukien tych prawie nie dostrzega. Widzi się tylko piękno owych niewiast.

Wiemy, że *Stepy Akermańskie* mają aż kilka redakcji. Czemu więc sonet ten brzmi tak lekko, jak gdyby został strzepnięty z pióra.

To samo można by powiedzieć o sonecie *Cisza morska*.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichymi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Każda linia czarującego tego czterowiersza nasycona jest pogodą morską, a rymy jego są tak lekkie i niedostrzegalne jak najdrobniejsze muszelki.

Kiedyś zdarzyło mi się przeczytać aż trzy przekłady *Stepów Akermańskich* na język rosyjski: Feta, Majkowa i Bunina.

Do dziś pozostały mi w pamięci pierwsze linijki jednego z tych przekładów, ale nie mogę sobie przypomnieć, czyjego pióra:

Wpływaju na prostor suchowo okieana,
Woz miedlienno połziot, nyriaja kak ładja,
Minuju ostrowa koluczowo buriana...

Fragment *Konrada Wallenroda*, *Trzech Budrysów* i *Czaty* świetnie przełożył Puszkin.

Podczas mojego pobytu w Związku Radzieckim mogłem stwierdzić, że poezje Mickiewicza są w kraju tym niezwykle popularne.

W Ferganie poznałem młodego poetę tatarskiego, Szemizade. Któregoś dnia odwiedziłem go w redakcji gazety uzbeckiej, w której pracował. Rozmawialiśmy o poezji. W pewnej chwili poeta tatarski powiedział: „Mam tomik wierszy, z którym nigdy się nie rozstaję..." — i wyjął z biurka małą książeczkę — *Sonety krymskie* przełożone na język tatarski.

Bardzo mnie to wzruszyło. Jak dziś pamiętam serdeczny uśmiech poety tatarskiego, rozmiłowanego w *Sonetach krymskich*, i wezbrany liryzmem jego głos, kiedy recytował mi z otwartego tomiku sonety naszego wieszcza w rodzinnym swoim języku.

Potem, gdy pod strzelistymi topolami fergańskimi wracałem do mojej kibitki, cień ich wydawał mi się bardziej przyjazny niż przedtem, bo i tu, w upalnej Ferganie, wśród winnic i drzewek brzoskwiniowych żyje nieśmiertelna, polska i ogólnoludzka poezja Mickiewicza.

*

Wspomnienie z czasów młodości: ładna dziewczyna czyta *Ballady i romanse* w ogrodowej altanie. Wydaje mi się, że nawet ręce jej, w których trzyma książkę, są zaczytane, że nawet każda żyłka tych rąk jest pełna skupienia.

Nagle czar pryska, bo powiedziała do mnie: „Czy lubi pan landrynki?"

*

Kilka dni temu rozmawiałem o literaturze z pewnym młodym, bardzo oczytanym robotnikiem.

— Wiersze? Komu to potrzebne! — zżymał się młody robotnik na sam dźwięk słowa „poezja". — Niech nasi literaci piszą tak, jak Żeromski pisał *Ludzi bezdomnych*, jak Tołstoj *Wojnę i pokój* albo jak Szołochow *Cichy Don*. To rozumiem. Ale wiersze! Ja ich wcale czytać nie mogę.

— A wiersze Mickiewicza?

— Wiem, że są dobre! Ale któż je rozumie? Ja ich nie rozumiem. Wolę powieści Kraszewskiego i Sienkiewicza. Po co na przykład Mickiewicz zrymował *Pana Tadeusza*, kiedy mógł to samo znacznie lepiej napisać prozą? Nie, ja wierszy nie mogę czytać. Nudzą mnie.

Znałem mniej oczytanych robotników, którzy bardzo lubili poezję. Znałem bardzo inteligentnych ludzi, którzy nie znosili poważnej muzyki klasycznej.

Jest to widocznie sprawa jakiegoś ukrytego w człowieku aparatu odbiorczego na poezję i muzykę.

Nikt przecież nie kształcił Janka Muzykanta, a jednak kochał muzykę!

*

We wrześniu 1941 r. znalazłem się w Ufie — stolicy Baszkirii. Były to ciężkie dni wojny i uciekinierstwa. Tegoroczny wrzesień był tak samo piękny, jak nasz wojenny wrzesień. Błękitne, bezobłoczne niebo całą swoją pogodą jak gdyby zaprzeczało temu, co działo się na świecie.

Któregoś słonecznego dnia poszedłem do stołówki, w której można było zjeść śmietanę z cukrem. W stołówce było tłoczno. Kiedy przy jednym stoliku zwolniło się miejsce, usiadłem obok starej, szczupłej kobiety, ubranej na czarno. Delikatne rysy jej twarzy świadczyły o dawnej dużej urodzie, choć już przywiędłej, ale jeszcze żywej.

Po kilku minutach rozgadałem się ze staruszką. Gdy dowiedziała się, że jestem Polakiem, ożywiła się i rzekła:

— Dziad mój był poetą, przyjacielem Puszkina. Kiedyś za pośrednictwem Aleksandra Siergiejewicza zawarł znajomość z największym waszym poetą, Adamem Mickiewiczem. Chyba słyszeliście o moim dziadku? Nazywał się Eugeniusz Boratyński.

Mile zaskoczony i wzruszony tym niespodzianym spotkaniem, powiedziałem sędziwej wnuczce Boratyńskiego, że przed wojną w Warszawie tłumaczyłem na język polski jego wiersze.

Podczas dalszej rozmowy ze staruszką dowiedziałem się, że rząd radziecki wypłaca jej, jako wnuczce Boratyńskiego, stałą zapomogę.

*

Czemu Mickiewicz nie uznawał poezji Słowackiego, przeceniał zaś poezję Bohdana Zaleskiego, którego dziś prawie nikt nie czyta?

Chyba dlatego, że bardziej odpowiadała mu „prostota" i „ludowość" wierszy Zaleskiego od pełnych nowego blasku, „awangardowych" jak na owe czasy poezji Słowackiego.

Jest w tym jakieś tragiczne nieporozumienie: ten, co potrząsał „nowości kwiatem", nie odczuł mocnego i delikatnego aromatu „róży nowości" innego wielkiego ogrodnika poezji.

Skoro tak świetny znawca poezji jak Mickiewicz nie odczuł całej, mającej pozory bluszczowatej słabości „siły fatalnej" twórczości Słowackiego, to któż nam zaręczy, że współcześni nasi krytycy nigdy nie mylą się, gdy oceniają twórczość dzisiejszych poetów?

*

Czemu ani Mickiewicz, ani Słowacki nie dostrzegli poezji Norwida? Znów nieporozumienie tragiczne. Gdzież tu można mówić o tak zwanym nieomylnym znawstwie poezji? Gdzież tu miary i wagi?

*

Tak samo jak do *Pana Tadeusza,* często wracam do III Części *Dziadów* i do wiersza *Samolub.* Co za gniew, co za satyra, a jaki wiersz w tej III Części *Dziadów!*

A w nieskończonym wierszu *Samolub* jak plastycznie jest oddany pojedynek na dymy fajczane! Jak „nieschematycznie" zwalcza Mickiewicz w wierszu tym kosmopolityzm.

*

Nie wyobrażam sobie Polski bez węgla, bez chleba i bez... Mickiewicza.

Podczas ostatniej wojny poezje Mickiewicza nieraz zastępowały mi węgiel i chleb.

Włodzimierz Słobodnik

Alojzy Śliwa

NAJBLIŻSZE MI DZIEŁO MICKIEWICZA I CO MU ZAWDZIĘCZAM

Chcąc pisać o Mickiewiczu, cofnąć się muszę daleko wstecz, do zarania mojej młodości.

Wyobraźnia moja widzi rozległą równinę wsi podolsztyńskiej, w środku której, na małym wzniesieniu, osłoniona wierzbami i jarzębiną, stała chata drewniana, kryta słomą. To mój dom rodzinny. Dom wyglądem swoim nie różniący się w niczym od innych domów warmińskich, lecz za to na wskroś przesiąknięty duchem polskim swoich mieszkańców.

Była to prawdziwa twierdza polskości, nigdy nie zdobyta, odpierająca zwycięsko wszelkie ataki pruskich germanizatorów. Bronią w tej nierównej i zaciętej walce było głębokie poczucie narodowe, wciąż wzmacniane czytaniem gazet, kalendarzy i książek polskich.

Co do mnie — wówczas małego „szurka" („szurek" — w gwarze warmińskiej łobuz, chłopak) — przyznać muszę, że wśród tego książkowego „towarzystwa" czułem się w żywiole jakby specjalnie dla mnie stworzonym. Książka już wtedy była mi skarbem droższym od wszystkiego, co znajdowało się w domu, cenniejszym nawet od kawałka chleba, gdyż tego nigdy mi nie zabrakło, a o książkę było wówczas na Warmii bardzo trudno.

Pamiętam, że gdziekolwiek znalazłem zadrukowany polskim słowem kawałek papieru, podnosiłem go niby świętość jakąś i odczytywałem. A gdy dowiedziałem się, że w jakiejś chacie znajduje się polska książka, wtedy nie trudna mi była choćby najdalsza droga, byleby ów skarb zdobyć. Książka wywierała na mnie jakiś potężny, tajemniczy urok, była moją niezbędną potrzebą życiową, moją codzienną poezją.

Pierwszym poetą, którego utwory znalazłem w dzieciństwie, był Adam Mickiewicz. A jak to się stało, posłuchajcie:

Na strychu domu, szeroko rozsypane, leżało zboże na chleb. Dokoła niego, pod strzechą, rozwalały się stare gazety (przeważnie *„Gazeta Olsztyńska"*), rzadziej książki. Te pożółkłe, postrzępione, a niejednokrotnie nawet ponadgryzane przez myszy szpargały, pociągały mnie niby jakaś siła magnetyczna, toteż w wolnych od pracy chwilach wdrapywałem się po drabince na strych i dalejże w nich szperać. Sprawiało mi to niewymowną radość. Wyszukiwałem co najlepsze, znosiłem na dół i przy lampce naftowej czytałem do późnej nocy, nieraz tak długo, aż mnie matka przepędziła do łóżka.

Na owym strychu, wśród różnych gratów, stała wielka skrzynia warmiń-

ska, typu ludowego, pięknie malowana, taka, jakie dziś jeszcze w niektórych chatach się spotyka, a które również oglądać można w olsztyńskim muzeum regionalnym. Skrzynia ta była przedmiotem mojej szczególnej ciekawości i kusiła mnie niby Ewę jabłko w rajskim ogrodzie.

Co też w niej być może? Myśl ta nie dawała mi spokoju. Jak do niej się dobrać? Prosić matkę o klucz, który zazdrośnie chowała, nie śmiałem. Zakraść się do niej bez jej zezwolenia, sprzeciwiało się memu sumieniu. Byłem bezradny.

Aż tu... jednego razu — a było to w niedzielę — matka moja, wybierając się do kościoła, daje mi klucz od skrzyni i każe mi przynieść z „przytworka" („przytworek" — boczna wąska skrytka) śpiewnik. Kłopot mój od razu zniknął jak kamfora. Teraz lub nigdy — pomyślałem. Byłem tak rozradowany, że chciało mi się matkę za to ucałować, tylko obawa przed zdradzeniem się powstrzymała mnie od tego. Przyznać muszę, że nigdy dotychczas tak chętnie rozkazu matki nie spełniałem.

Ze zwinnością wiewiórki wdrapałem się po drabinie na strych i wielce wzruszony otworzyłem skrzynię. I cóż ujrzałem? Na wierzchu leżała t. zw. „twarda mycka" (nakrycie głowy o płaskim wierzchu, z dwiema szerokimi wstążkami w tyle, bogato haftowana złotemi nićmi), w którą zamożniejsze warmiaczki stroiły się na ważniejsze uroczystości kościelne. Dalszą zawartość skrzyni stanowiły różne odświętne stroje matki i bielizna.

Nie tego szukałem! Sięgnąłem aż do dna skrzyni i namacałem coś płaskiego, owiniętego w papier. Wydobyłem zawiniątko, ukryłem je pod skrzynią i po jej zamknięciu popędziłem do matki, oddając jej śpiewnik. O tym, że coś znalazłem, nie pisnąłem słówkiem, chcąc wpierw poznać zawartość paczki.

Gdy matka odeszła i zostałem sam, pobiegłem szybko po ową tajemniczą paczkę. Owinięta była w bardzo pożółkły papier, z czego wywnioskowałem, że przeleżała tam już sporo czasu. Wielką ciekawością zdjęty, drżącymi ze wzruszenia rękami odwinąłem papier i aż drgnąłem z podziwu i radości... Książka! Oglądam ją. Na okładce mocno wyblakłej i poplamionej napis: Adam Mickiewicz — *Pan Tadeusz*.

Któż to taki? Ja o takim pisarzu dotychczas nic nie słyszałem. Zacząłem czytać. Byłem zachwycony. Czy zrozumiałem wówczas te cudne wiersze? Na to trudno mi dziś odpowiedzieć. Ale zdaje mi się, że zrozumiałem je na swój sposób. Odtąd czytałem je często, prawie codziennie. A im dłużej je czytałem, tym wydawały mi się piękniejsze. Potem brzmiały już w moich uszach niby przecudna muzyka, wywołując w duszy jakieś dotąd nieznane, głębokie, tajemnicze wzruszenia, które nieraz zmuszały mnie do łez. Drzemiąca we mnie iskierka poetycka budziła się...

Jakże cudnie brzmiały w moich uszach i jak wzruszały mnie słowa:

Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie...

I dziś jeszcze, gdy już siwizna zdobi me włosy, słowa te głęboko przeżywam. Piękno wierszy *Pana Tadeusza* oczarowało mnie. Największego zachwytu doznawałem przy czytaniu fragmentów opisujących piękno przyrody. Jeśli je-

stem wielkim miłośnikiem przyrody, zawdzięczam to w głównej mierze Mickiewiczowi. On rozpalił tę miłość we mnie.

Czytając wówczas *Pana Tadeusza*, a później jego Improwizację, uważałem Mickiewicza prawie za półboga, za jakąś nadziemską istotę i gdybym miał to szczęście słyszeć go improwizującego — na pewno, wobec potęgi tych słów — rzuciłbym się przed nim na kolana, jak ci, którzy je słyszeli.

W Mickiewiczu zakochałem się na zabój. Bo jakże nie kochać człowieka, który sam o sobie powiedział, że ukochał cały naród — ludzkość całą.

Pan Tadeusz nie tylko spotęgował we mnie miłość do przyrody, lecz dał mi również poznać piękno mowy ojczystej, w całej jej krasie, przez co moje jeszcze słabe poczucie narodowe niezmiernie się wzmocniło. Ogarnęła mnie duma, że jestem synem narodu, który wydał tak wielkiego człowieka...

Pan Tadeusz — owa czarująca książka, znaleziona przeze mnie w skrzyni, stała się potem w moim domu rodzinnym ulubioną lekturą, zwłaszcza w długie wieczory zimowe.

Czytanie odbywało się przy słabym świetle małej lampki naftowej, w obecności całej rodziny i licznie przybyłych sąsiadów. Czytałem ja, uważając to sobie za wielki zaszczyt. Słuchano z wielkim skupieniem i zainteresowaniem, gdyż te piękne a równocześnie tak proste słowa były zrozumiałe dla wszystkich. Ileż to razy wyrywały się słuchaczom słowa: „Jakie to psiękne". Rosło umiłowanie mowy ojczystej i poczucie narodowe.

To samo działo się i w innych chatach, do których książka ta wyjątkowo zabłądzić zdołała. Toteż śmiało rzec mogę, że to arcydzieło Mickiewicza przyczyniło się wielce do utrzymania polskości na Warmii i Mazurach...

Pisząc to, składam głęboki hołd Geniuszowi słowa polskiego — wielkimu Polakowi, w Jego roku jubileuszowym.

Alojzy Śliwa

Stanisław Zieliński

ZNAD BRZEGU MORZA

Jeśli tam nie pojadę, to świat się zawali... Tak sobie wtedy myślałem oślepiony urokiem dziewczyny, rozgrzany kilkunastodniowym tłuczeniem się w siodle. Ledwie z kwater we dworze w dalsze rzucono nas okolice, już chciałem wracać, oświadczać się, żenić. Sprawdzało się, nie pamiętam czyje, powiedzenie, że jazda konna pąk uczucia rozwija w piękny kwiat. Wyobraźnia nie próżnowała, wypiękniała dziewczynę i podsycała tęsknotę. Liczyłem godziny i dni, przeklinałem, że czas wlecze się jak nie wiadomo co... Nic więc dziwnego, że zaraz po zakończeniu ćwiczeń postanowiłem: przez Nowogródzkie wracam do Warszawy.

*

Przypominam mój nastrój ówczesny, bo jadąc przez „kraj lat dziecinnych" byłem i głuchy na wspomnienia, i ślepy na pamiątki ojczystych stron Mickiewicza. Gdyby o n a miała na imię Maryla, może o Mickiewiczu pomyślałbym wcześniej? Może jakoś inaczej potrzyłbym na cichy, zielony kraj. A tak z podróży nic prawie nie zostało w pamięci. Nie warto powtarzać rozmowy z właścicielem zajazdu, bo dotychczas kursują wysłużone anegdoty o kresowych Żydach. W zajeździe (nad bramą wisiała latarnia z napisem „Hotel Icka Tureckiego") dwie dręczyły mnie kwestie: czy zajadę przed ganek ogolony i czy buty nie zakurzą się zbytnio? Cóż, dziś sam nad tym kręcę nosem, ale zapierać się trudno, bywało i tak...

Muszę przyznać, że długi czas d ę b o w e ucho miałem dla poezji. Zaczęło się już w drugiej klasie gimnazjalnej, kiedy ważyły się losy, kto do chóru, a kto na rysunki. Kolejno podchodziliśmy do fisharmonii, pan od śpiewu uderzał w klawisze i kazał możliwie wiernie naśladować dźwięki wydawane przez instrument. Życie w chórze wydawało mi się lżejsze od rysowania gipsów i wazonów, więc ze szczerym zapałem krzyknąłem „a-a-a!" Nauczyciel zerwał się z krzesła. — „Won, szczeniaku, niech zaraz jutro przyjdzie opieka domowa! Ja cię oduczę tych błazeństw!" Następnego dnia wyjaśniło się, że przedrzeźniać nie miałem zamiaru, ale klamka zapadła. Poszedłem na rysunki i paskudziłem brystol arkusz za arkuszem. Jedynie w sklepie z materiałami piśmiennymi

traktowano mnie z szacunkiem jako pilnego ucznia i solidnego klienta. Pan od śpiewu ochłonąwszy z gniewu nie szczędził mi dobrotliwych wskazówek: „Ty i do wierszy nie zaglądaj. Poezja nie dla głuchych".

Niefortunny występ przy fisharmonii speszył mnie okropnie. Coraz gorzej deklamowałem wiersze i bardzo często zdarzały mi się paskudne przejęzyczenia, po których musiałem pakować książki. A następnego dnia matka szła na niemiłą rozmowę z wychowawcą. Uraz fisharmonijny minął dość szybko, ale długi czas nie mogłem uwolnić się od niechętnego grymasu na widok stronicy zadrukowanej w charakterystyczny dla poezji „słupek".

Propaganda domowa i plotki rozsiewane przez nauczycielstwo („To dopiero dobre!") poprzedziły spotkanie z wieszczami. Doskonale pamiętam, że już po pierwszej lekcji wymieniliśmy znaczące spojrzenia: znowu nabieranie. Nasze rozczarowanie można porównać do uczuć człowieka, który wszedł na górę, aby ze szczytu podziwiać piękny widok. I nagle, zanim zdążył rozejrzeć się wokół, zjawia się ktoś, kogo słuchać trzeba, każe nos przytknąć do ziemi i liczyć: ile kamieni dużych, ile średnich i ile małych leży na szczycie góry. W chwilę później wymyśla inne, równie zajmujące zajęcie. Suche „rozbiory" i nudne relacje z tradycyjnym podziałem na wstęp, rozwinięcie i zakończenie obrzydziły dokumentnie nie tylko poezję, ale całą lekturę obowiązkową. A przecież oszczędzono naszej klasie przysłowiowych wykresów uczuć Tadeusza do Telimeny czy do Zosi. I choć obyło się bez tych cudacznych elektrokardiogramów, to oglądając się na coraz odleglejsze lata szkolne, dostrzegam najpierw nudziarstwa. Jak gęsty płot zasłoniły piękno wałkowanych na lekcjach utworów!

Głuchym jękiem powitaliśmy III Część *Dziadów*. „No, tego to już nie zrozumie nikt! Skandal, że takim facetom stawia się pomniki!" — wołano podczas pauzy. W tym samym czasie i w tej samej klasie pocono się nad *Królem Duchem*, komentowano *Wyzwolenie*, cmokano nad *Kamieniem mądrości* Larsena. I trwały niekończące się dyskusje nad Conradem. Pomijam oczywiście bezmyślnych kopaczy piłki. Nieliczni, otoczeni bezgraniczną pogardą, we własnym gronie obrastali w mięśnie. Nie pamiętam, czy w prywatnych dyskusjach mówiliśmy o widzeniu księdza Piotra. Chyba nie, a może już zapomniałem. Moje pokolenie wyniosło ze szkoły mniej wiadomości niż pokolenie poprzednie i znacznie gorzej pamięta lata szkolne.

Raz tylko, to pamiętam dobrze, wybuchła na lekcji piekielna awantura. Mieliśmy w klasie kilku lizusów trzymających się subwencjonowanego pisemka. Wyciągnęli książkę jakiegoś maniaka, który na przeszło dwustu stronach udowadniał, że „mąż opatrznościowy", „mąż 44", to ...marszałek. Mickiewicz przeczuł Piłsudskiego! Polonista pokiwał głową: „Tak, możliwe". Historyk zapalił się bardziej: „Nie tylko możliwe, ale, mianowicie, pewne!" („Mianowicie" bez sensu wplatał w każde zdanie). I tak zostało mimo protestów i podpalenia papierów w koszu na śmieci.

*

Opowiadam to wszystko, aby choć w części usprawiedliwić godny potępienia stan, w jakim znalazłem się na kwaterze u Icka Tureckiego. Wracajmy jednak do dziewczyny. Po źle przespanej nocy ruszyłem końmi w dalszą drogę. Udało

się znakomicie: zjawiłem się we dworze domyty, ogolony, w butach wypucowanych jak samowar. I na tym był koniec konkurów.

Dwór, oglądany z bliska, wiele utracił ze świetności. Nisko, duszno, ciemnawo... Otoczono mnie z miejsca prawdziwie kresową serdecznością, ale od pierwszej chwili czułem się źle. Co gorsze, miałem pewność, że nigdy tam nie poczuję się dobrze.

Jeździliśmy konno. Po spacerze kąpiel w jeziorze i powrót do domu. Rozmowy o polowaniach — nie polowałem nigdy w życiu. Potem o butach. Dawidgródzkie chwalono najgłośniej. No, a potem siadaliśmy do stołu, by z mocno ciężką głową uwalić się spać. Miałem wrażenie, że przez pomyłkę znalazłem się na scenie i muszę grać w mało mi znanej sztuce. Za kulisami trwał nieustanny tupot bosych nóg. Co chwila wołano na Jewdochę albo krzyczano na Paraskę... Głośniejszy okrzyk: „a być ciebie małanka spaliła!" — oznaczał, że znowu coś dzieje się nie tak jak trzeba. I z naszą miłością działo się nie lepiej. Ale już można porzucić wątek nie zrealizowanego romansu, bo zanim doszło do decydującej rozmowy, poznałem Panfima. Był to stary chłop, podobno najlepszy w okolicy znawca zwierzyny i jej zwyczajów. Nazywano go Pachniut. Opowiadać lubił. Słuchałem go cierpliwie. Od czasu do czasu wtrącałem pytania.

— Ta jaż każu, duże mnoho... Ta jest jej u nas czeterdzieścia i cztery...

Nie pamiętam, o jaką zwierzynę nam wtedy szło, ale pamiętam, że powtórzyłem pytanie, aby raz jeszcze usłyszeć odpowiedź. Nie wierząc w powszechność Mickiewiczowskiego zwrotu pytałem innych ludzi. Skutek był niezawodny. W okolicy używano liczby „czeterdzieścia i cztery" dla oznaczenia mnogości, dla określenia takiej liczby, która dzięki swej wielkości nie da się ściśle ująć. Coś w rodzaju rosyjskiego *sorok sorokow*. O Mickiewiczu moi rozmówcy nie słyszeli. Jego księgi nie zawędrowały jeszcze pod strzechy. Zresztą Panfim i inni nie umieliby ich przeczytać, byli niepiśmienni.

Przez krótki czas bardzo byłem dumny z odkrycia. Potem uspokoiłem się: wytłumaczono mi, żebym głupstwami nie zaprzątał głowy. Na długie lata zapomniałem o nowogródzkim odkryciu. Powróciłem do niego dopiero po wojnie.

*

Nad rozplątaniem tajemnicy „męża 44" biedziły się pokolenia badaczy i uczonych od chwili ukazania się III części *Dziadów* do naszych czasów. Prof. Kleiner dał skrupulatny wykaz wszystkich tego rodzaju prób. Wymienia również domniemane źródło symbolu użytego przez autora *Dziadów*. Widzi je raczej w symbolice Starego Testamentu, w nauce Kabały o symbolice liczb, we wpływach nauki St. Martina, w symbolice masońskiej. Sam poeta, pytany o to, kogo miał na myśli podając tajemniczą liczbę 44, nie dał żadnej odpowiedzi pozytywnej. Wiemy tylko, że wiedział wtedy, kiedy to pisał, że wtedy wydawało mu się to prawdą, że tak mu się „nasunęło". Domysłów na ten temat znamy sporo. Wskazywano na Mickiewicza i poeta nie zaprzeczał. Chciano widzieć w mężu opatrznościowym innego Adama — Czartoryskiego, Ludwika Napo-

leona, Towiańskiego. Potem przyszła kolej na Piotra Wysockiego. Wreszcie uraczono nas wspomnianą już wcześniej monografią dowodzącą, że jest to nie kto inny, tylko Piłsudski.

Rozważając różnego rodzaju kombinacje liczbowe na poparcie tego czy innego imienia, profesor Kleiner nie wyklucza możliwości, że owym „mężem 44" mogła być nie tylko osoba fizyczna, lecz i zbiorowość ludzka. Wskazuje na użycie tu takich zwrotów, jak „lud ludów", „trud trudów", zamiast tradycyjnych w stylu biblijnym „Króla królów" i „Pana panów".

Ale czy rozwiązania zagadki szukać należy na gruncie biblijnym i kabalistycznym? Czy nie ma innych źródeł, bardziej bliskich sercu poety?

*

Wiele związków duchowych łączyło autora *Dziadów* z krajem jego lat dziecinnych. Nie tylko modlił się:

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem...
. . . . . .
...przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych...

Od ludu, wśród którego spędził dzieciństwo, przejął poeta jego wiarę w związek świata nadprzyrodzonego ze światem żyjącym, wiarę we wpływ dusz zmarłych na czyny i myśli ludzi żyjących, i wierze tej dał wyraz w utworze, który sam uważał za jedynie wartościowy — w *Dziadach*.

*

A język? Ileż barwnych prowincjonalizmów znajdziemy w *Panu Tadeuszu*. Po latach dziesięciu od chwili wyjazdu z Wilna pełno tam słów i zwrotów tamtejszych. Goście Soplicy prowadzą przy stole *rozhowory*, jedzą *chołodziec*, palą *lulki*, idąc na grzyby biorą ze sobą *krobeczki*, zamykają drzwi na *zaszczepki*, w ogrodzie hodują *tykwy*, w kuchni używają *skowrody*, a zmarłych grzebią na *mogilnikach*...

Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Święty i czysty jak pierwsze kochanie...

A więc, czy mistyczna liczba wizji księdza Piotra nie jest również echem kraju lat dziecinnych?

*

W miarę jak zawodziły emigrację rachuby na królów i na gabinety, rosło w duszy poety przeświadczenie o tym, że w ludzie drzemie źródło prawdy i że z tego źródła przyjść może wolność dla Polski. Echem tego przeświadczenia jest pozornie mistyczna liczba. Na progu wizji przyszłych losów polskiego narodu poeta działał już w innych warunkach, niż gdy układał obraz męczeństwa Polski — Chrystusa. Zatarły się granice zjawisk realnych. Przed autorem ukazała się prawdziwa wizja, utkana z szeregu ruchomych obrazów, fragmentów nie powiązanych między sobą w sposób widoczny logiką życia codziennego. Ta część wizji nie jest wynikiem świadomej twórczości. Wynurzyła się z podświadomości, była echem tego, co żyło w nastrojach, uczuciach. Echa lat dziecinnych, wspomnienia młodości dostarczyły poecie symbolicznego obrazu zbiorowości, zgodnej z jego wiarą w pierwiastek prawdy żyjącej w ludzie, w zbiorowości ludów, w „przymierzu ludów". Jakież źródło mogło być bliższe w tym ekstatycznym stanie twórczym? Echa rozumowych koncepcji Kabały i Apokalipsy czy głęboko tkwiących w sercu poety uczuć łączących go z krajem dzieciństwa?

*

Idąc dalej obraną przez mnie drogą, łatwo wytłumaczyć wiersz „z matki obcej, krew jego dawne bohatery". Przypisywano temu wierszowi znaczenie cechy czysto indywidualnej, a więc rzekomo obcego pochodzenia matki poety lub tradycji pochodzenia jego z rodu kniaziowskiego. Jeśliby jednak rozumieć to jako zbiorowość, wtedy w gminie szlacheckim, tak dobrze znanym poecie, można doszukać się „dawnych bohaterów". Wystarczy przypomnieć rozmowy pomiędzy szlachtą o rodowodach w IV księdze *Pana Tadeusza*. Nie znaczy to, żeby poeta chciał ograniczyć pojęcie ludu do pojęcia szlachty zaściankowej. Jedynie przeniósł na lud te cechy, które dostrzegał w gminie szlacheckim, dla oznaczenia wartości i bohaterskich tradycji mas ludowych walczących o swoją wolność od szeregu pokoleń.

*

I jeszcze jedno, co w każdym razie wydaje się pewne. Mąż „44" ma w wizji dwie zupełnie odrębne postaci. Mają one cechy wspólne, ale więcej cech odrębnych. Cechy wspólne ujęte zostały w dwuwierszu:

Z matki obcej, krew jego dawne bohatery,
A imię jego (będzie) czterdzieści i cztery...

Jednak i tu zachodzi różnica. W pierwszym wypadku m n o g o ś ć oznaczona jest jeszcze jednym słowem, którego brak w drugiej postaci: „będzie". Na tych dwóch wierszach kończy się wspólność cech postaci. Odrębna jest ich geneza. Pierwsza postać wynika z tragicznego obrazu pokolenia współczesnego poecie. Druga postać nawiązuje do obrazu Polski umęczonej:

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!...

Odmienna jest również charakterystyka każdej z tych postaci. Dziecię, co uszło od prześladowań Heroda:

...to obrońca!
Wskrzesiciel narodu —

podczas gdy druga postać „męża 44", biorąca początek w Polsce umęczonej, jest ujęta jako:

...namiestnik wolności na ziemi widomy!

Z tej odrębności i cech wspólnych da się może uzyskać pewne przybliżone ustalenia. Dziecię, co uszło, to pokolenie poety uratowane od zatracenia i powołane do roli obrońcy, wskrzesiciela narodu, pokolenie żyjące wielkimi tradycjami walk bohaterskich. Dla autora wizji było to proroctwo, którego sprawdzić nie mógł. Nasze pokolenie może osądzić, czy proroctwo zostało spełnione. Druga postać „męża 44", ujęta tak szczegółowo, to tajemnicza zbiorowość ludów, która ma przynieść światu wolność.

Tam, gdzie chodzi o uratowanie pokolenia, poeta pisze:

A imię jego będzie czterdzieści i cztery...

ale w wierszu, w którym mowa o „przymierzu ludów", o „namiestniku wolności na ziemskim padole" — słowa „będzie" nie ma... Dlaczego? Nie można traktować tego jako przypadek lub przeoczenie. Mickiewicz miał kilkanaście lat na poprawienie w następnych wydaniach, gdyby różnica nie odpowiadała jego ujęciu. Analiza tej różnicy czysto gramatyczna wydaje się wskazywać na to, że w drugim wypadku chodzi o charakterystykę owego namiestnika jako mnogości, jako „przymierza ludów". W pierwszym zaś Mickiewicz użył owego oznaczenia mnogości z dodatkiem „będzie" dla wskazania, że przeznaczeniem tego pokolenia b ę d z i e przyczynić się do wytworzenia owej rzeszy, posiadającej cechy „męża 44".

Takie znalazłem oparcie w tekście dla usłyszanego w Nowogródczyźnie zwrotu.

*

Jeśli dzieła Mickiewicza porównać do morza, to moje wspomnienie jest jakby spacerem po nadmorskiej plaży. Znalazłem kamyk i chowam na pamiątkę. Wielu tak czyni. Nie zuboży to morza. I nie wzbogaci, jeżeli wyrzucony przez fale kamyk z powrotem cisnę w wodę. Zachowuję zatem pamiątkę. Ma ona dla mnie nie byle jaką wartość — niezależnie od trafności

przytoczonego wyżej rozumowania. Powiedziałem, że o „odkryciu" przypomniałem sobie po wojnie. Było to w Niemczech, w ówczesnej strefie amerykańskiej. Do moich obowiązków należało ułatwianie Polakom powrotu do Polski. Z racji pracy w Misji Repatriacyjnej musiałem przemawiać w polskich obozach. Często, gdy zaczynała się dyskusja, z zatłoczonej sali padał okrzyk: „Dobra, dobra, a Mickiewicz co na to?". Dziś jest to mało zrozumiałe, ale wtedy pozornie bezsensowne pytanie wymagało rzetelnej odpowiedzi. Propaganda strony przeciwnej stawiała za jednym zamachem dwa znaki równania. Carat równała z bolszewikami, a Wielką Emigrację z emigracją powrześniową. Brakło jedynie nowego wieszcza, więc bez żenady Mickiewicza szarpano w różne strony i każde jego słowo politycznym opatrywano komentarzem.

Musiałem odpowiadać. Opowiadałem pokrótce to, co tu napisałem. Nie do wiary, ale opowieść bardzo skutecznie wspomagała moje własne słowa, nakłaniające do powrotu. Dlatego tak sobie to cenię, choć dziewczyna, do której jechałem w Nowogródzkie, dotychczas nie wróciła. Może wróci teraz?

Stanisław Zieliński

PRZY CZYTANIU LISTÓW MICKIEWICZA

I

„Jeśli drwa kupujesz, weź tylko jedną *woa,* chociaż jeszcze nic nie ma pewnego, może przecież da Bóg wyrwiemy się z Paryża..." — pisze Mickiewicz z Vevey do Celiny. List jest z 20 oktobra, a więc zbliża się zima; a *woa* znaczy sąg drzewa, potrzebnego na opał *(voie de bois).* Wiadomo że rodzinie poety daleko było do dostatku i praktycyzm nakazywał nie wydawać niepotrzebnie pieniędzy przed przeprowadzką do Szwajcarii. Ale aż taka zapobiegliwość Mickiewicza zajętego staraniami o zdobycie posady profesora uniwersytetu w Lozannie! Biedny wieszcz, takimi sprawami musi się sam zajmować i o nich pamiętać!

Byłoby krzywdzące i pochopne wysnuwanie wniosków o winie żony poety — jeśli o takiej winie w ogóle może być mowa — że o wszystko troszczył się człowiek, który czas swój powinien był wykorzystywać na ważniejsze cele niż prowadzenie domu. Myślę, że sprawa wygląda inaczej. Że jest to zagadnienie znacznie głębsze niż to, czy pani Celina była dobrą czy złą gospodynią. Jest w tym coś znacznie ważniejszego.

Z wielu listów wynika, że Mickiewicz zajmował się drobiazgami w sposób poważny i pryncypialny, że nigdy nic nie uważał za błahe, niegodne zainteresowania. Pamięta o każdym szczególe, choćby najdrobniejszym. Jednego ze znajomych prosi o „filtr do wody i sprzęty kuchenne, jako to garki syrowizn (oprócz stołu kuchennego i butelek, które macie zatrzymać). Przez pomyłkę stało się, że do was transportowałem", lub też prosi (tegoż samego adresata) o kupno dla dziecka „pół funta tapioca, a jeśli tego prędko nie znajdziesz, to sago i trochę *arrow root,* który nie wiem — na funty czy na słoiki sprzedaje się..." Sprowadzając gościa na obiad pamięta pisemnie uprzedzić żonę, żeby do mięsa nie dała cebuli, bo tego gość nie lubi, tylko kartofle. Ale uwaga skierowana jest nie tylko w stronę najbliższych, rodziny i przyjaciół. Poeta docenia ważność drobiazgu również jeśli idzie o człowieka obcego. W liście do Tekli Wołowskiej, krewnej żony Mickiewicza, Celiny, do której zwraca się jako do członkini arystokratycznego Towarzystwa Dobroczynności Dam Polskich w sprawie pomocy dla chorego Polaka, czytamy: „Wody Vichy trzeba brać w magazynie *rue* St. Honoré, na rogu ulicy Pyramides. Numeru nie pamiętam,

ale go łatwo znaleźć. Chory potrzebuje na tydzień butelkę, która kosztuje franka z odtrąceniem ceny butelki. Nie wiem, jak pani z Towarzystwem urządzisz, czy zakupisz wodę, czy dasz pieniędzy. Może by z magazynu taniej dla Pani dano?"

Mało miał zaufania do praktycyzmu innych? Mało miał zaufania do inteligencji innych?

Albo takie polecenie, przesłane żonie w czasie pobytu w Szwajcarii:

„Zaprowadź Witwickiego do mojej stancyjki, niech on tam wyszuka na policy naprzeciwko drzwi, między książkami oprawnymi, tłumaczenie niemieckie *Tadeusza* przez Spaziera; książka *in octavo* w półskórek oprawna. Jeżeli nie ma na policy, to ją znajdźcie na stole."

I jeszcze jeden przykład na dowód, że nawet w okresie towiańszczyzny twórcy *Pana Tadeusza* nie opuszcza realistyczny praktycyzm: „Masz tu w liście *avis* drukowane i moje pełnomocnictwo — pisze do Hieronima Napoleona Bońkowskiego, członka Koła towiańczyków, współtłumacza Prelekcyj Mickiewicza na język niemiecki. — Udaj się z tym na *rue Grenelle* do Ministerium Oświecenia. Pytaj się *bureau des mandats*, pana Guilbert, na czwartym piętrze. Wręcz mu *avis*, a wziąwszy mandat idź naprzód do *Timbre Royal* na *rue de la Paix* i każ przyłożyć pieczęć, po czym udaj się do *Trésor, ministêre des finances*, na ulicy Rivoli, szukaj dziedzińca *cour de l'ouest*, gdzie jest na prawo: *bureau des appositions*. Mandat zawizują w tym biurze, stamtąd w kurytarz pod N. 94. Resztę już się dowiesz pod wskazanym numerem. Bo jeszcze będziesz miał dwa biura. Daję ci tę informacją, żebyś nie szukał po wielkim gmachu finansów."

Przykładów tak starannej drobiazgowości (genialnej pamięci!) można przytoczyć wiele. Pozwolę sobie jednak przywieść ostatni jeszcze cytat z listu do córki Marii, przebywającej wraz z ciotką, Zofią Szymanowską, we Włoszech: „...dobrze zrobiłaś, żeś nam napisała szczegóły waszej podróży. Na przyszłość wszelkie szczegóły waszego pobytu weź na siebie do opisania.... Napisz tedy, jakie wasze mieszkanie? czy macie słońce i wiele okien..."

Nie jest to więc brak zaufania do praktycyzmu i inteligencji innych, ale przywiązywanie ogromnego znaczenia do konkretnego szczegółu. Jest to umiłowanie konkretu nawet w najdrobniejszych rzeczach. Ale nie czcza pedanteria. W zainteresowaniu szczegółem tkwi głęboka treść, ludzka troska. Szczegóły to atomy rzeczywistości, z których każdy jest ważny, bo z nich zbudowany jest świat i z nich zbudowana jest poezja, tego świata odbicie. To nie tylko pamięć usłużna i genialna, wywołująca z przeszłości minione rzeczy i minionych ludzi z fotograficzną (nieodpowiednie dla sztuki słowo!) dokładnością. Poza umiłowaniem, poza ową ludzką troską tkwiącą w każdym szczególe jest to organizacja psychiczna twórcy, chłonna na konkretność spraw realnych. Dlatego tkanka każdego wiersza Mickiewiczowskiego jest nasycona esencją rzeczywistości wymiernej, dotykalnej, dlatego każdy wiersz Mickiewiczowski składa się z komórek faktów. Tym też tłumaczy się w dużej mierze niechęć twórcy *Pana Tadeusza* do poezji uwitej z perlących się kaskad, tęcz i fantazji. Rozpylone szczegóły nic Mickiewiczowi nie mówią o świecie, dlatego w poezji Słowackiego odczuwa brak troski ludzkiego serca albo — jak chce plotka — brak Boga w świątyni. Zaryzykuję twierdzenie, że Mickiewicz dostrzegał w utworach

Słowackiego treść patriotyczną — wbrew pochlebcom Adama, którzy autorowi *Kordiana* odmawiali miana poety narodowego — lecz wyobraźnia Mickiewicza uznawała tylko konkretny grunt dla twórczości, miał on „wstręt okrutny dla wszystkich wysp i krajów, których nie ma na mapie, i królów, których nie ma w historii" (z listu do Odyńca z roku 1828) i to właśnie decydowało o stosunku do autora *Lilli Wenedy* i *Balladyny*. Tkwi w tym niechęć racjonalistyczna, uznająca tylko prawdę faktów. I to jądro szeroko pojętego praktycyzmu, liczenia się z rzeczywistością nie opuszcza naszego poety nawet w okresie najgłębszej prostracji mistycznej, w okresie towiańszczyzny; „...duchowny i mądrze praktyczny" — pisze Mickiewicz do Towiańskiego rekomendując kogoś na członka Koła.

II

Mickiewicz, który czuł wstręt dla wysp i krajów nie istniejących w rzeczywistości, wierzył w cudy.

„Ty mnie znasz i wiesz, że w cuda wierzę, ale lekki w sądzeniu nie jestem i w działaniu ostrożny." List ten, do Ignacego Domeyki, pochodzi z października 1841 roku, to znaczy pisany był niedługo po pierwszym zetknięciu się poety z Towiańskim. W tym samym liście Mickiewicz zapewnia swego przyjaciela przebywającego za oceanem, że wkrótce „już wypadki się zaczną i chorągiew nasza będzie powiewać w marszu do Polski", a to dzięki przybyłemu z Litwy „prorokowi", który modlitwą wyleczył umysłowo chorą Celinę. Z Celiną zdarzył się cud podobnie jak z nim samym, kiedy był jeszcze małym dzieckiem.

Mickiewicz wierzy również w widzenia. „Powiem też tobie — pisze on do Jundziłła — kochany panie, a to zachowaj u siebie, iż miałem o Tow(iańskim), kilku miesiącami przed jego przybyciem, widzenie w biały dzień na ulicy paryskiej." W innym miejscu mamy opis tego widzenia: „widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie, po błocie i mgle, i uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki, chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem pokój".

Z własnej dyspozycji mistycznej twórca *Dziadów* zdaje sobie sprawę. Jest całkowicie świadom, że przyjęcie wiary głoszonej przez Towiańskiego zostało w nim przygotowane od dawna. „Moja wiara w słowo Andrzeja — czytamy w liście do generała Skrzyneckiego — jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich upodobań i prac duchownych. Kto by czytał pisma moje, przekonałby się o tym. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach *(Romantyczność, Oda do młodości)*, późniejsze dzieła, a mianowicie *Księgi pielgrzymstwa i Dziadów* część IV, (idzie o cz. III, jak podają przypisy do Wydania Narodowego *Dzieł* Mickiewicza) świadczą, żem to, co się dzieje (tzn. „nadejście" Towiańskiego i jego „przepowiednię" o końcu emigracji — JS), przeczuwał i przepowiadał."

Cenne to wyznanie. Mistycyzm poety bierze swe źródło jeszcze z okresu *Romantyczności*, kiedy romantyczność, niezwykłość, cudowność czerpała poezja z wierzeń, zabobonów ludowych, kiedy lud nieuczony, prosty powołany został przez literaturę do zerwania więzów fałszywej konwencji pseudoklasycznej

i sentymentalnej. To było rewolucyjne i ożywcze. I kto wie, czy Towiański wywarłby na Mickiewicza tak fascynujący wpływ, gdyby nie jego plebejskość: „Ten Litwin nieuczony nawet świecką mądrością przeraża mnie i zachwyca" (list do Jundziłła). Aby „Mistrza" uczynić jeszcze bardziej plebejskim niż jest w rzeczywistości, Mickiewicz niejako za chwałę poczytuje mu to, że jest „niepiśmienny i że nigdy żadnych dzieł nie czytał." Towiański wszystko wie i rozumie przez ducha bożego, i tak samo jak Chrystus pochodzi z ludu. Lud bowiem jest powołany do krzewienia prawdziwego ducha bożego, prawdziwego chrystianizmu, dalekiego od oficjalnego Kościoła. „Wiedz, Duch Boży jest teraz w bluzach robotników paryskich!" — krzyknie Mickiewicz w obliczu papieża ku zgorszeniu wszystkich obecnych.

A ludowość to nie tylko gusła, zabobony i czary, to nie tylko cuda *Ballad* czy *Dziadów*. To również konkretne cierpienie doznanych krzywd społecznych. „Przepowiednia" Towiańskiego oznacza dla wielkiego Wygnańca przede wszystkim koniec niewoli narodowej. Poza ideą narodową, która w życiu Mickiewicza dominowała i której cały się poświęcił, było jeszcze marzenie o ogólnoludzkiej szczęśliwości. Jakiś swoisty socjalizm Chrystusowy, nic nie mający wspólnego z dogmatyzmem Kościoła. Myślał, że to właśnie jest nowa ewangelia „nieuczonego Litwina". W rzeczywistości jest to jego własna koncepcja, którą stara się wszczepić w „Mistrza". Zanim jeszcze przekona się o swojej omyłce, pisze do Towiańskiego jak do zesłanego przez Boga reformatora społecznego. Zdając mu relację o rewolucji w kantonie Vaud w Szwajcarii poeta z radością donosi, że Druey, który doszedł do władzy dzięki dokonanemu przez siebie przewrotowi, „czuje dobrze i pierwszy mi to powiedział, że on wojuje tu z partią orleańską, z duchem orleańskim (wrogim duchowi napoleońskiemu! — JS), że wygrał bitwę na awanpostach przeciw Orleanowi. Ma on przeciwko sobie bankierów, episjerów, księży protestanckich, uczonych, akademię, studentów etc. etc. Za sobą kilku prostaków i lud. Przecież stoi i rządzi." To jest właśnie prawdziwy wzór towiańczyka. „Mówiłem mu, co należało i wolno było w duchu Sprawy, aby go pokrzepić. Słuchał z rozradowaniem. Powiedział mi, że rozumie, iż Jezusa Chrystusa za wzór działania i mówienia politycznego brać należy. Mieliśmy z nim długie i ważne rozmowy. Obaczymy się jeszcze. Z towarzyszami jego pracowałem także". Należy szukać wszędzie kontaktu z elementami rewolucji społecznej. „Z komunistami — pisze Mickiewicz do Januszkiewicza bawiącego w Lozannie — nie unikaj rozmowy." Z listu Januszkiewicza dowiaduje się Mickiewicz, że komuniści lozańscy znają jego „kurs" i „przewidują Nową Epokę, ale po swojemu". (Na czele ich stał były robotnik niemiecki, Jan Filip Becker, zaprzyjaźniony z Marksem i Engelsem, jeden z założycieli I Międzynarodówki, organizator sekcji niemieckiej w Szwajcarii.)

Nurt ludowy i różnica poglądów na sprawy socjalne stają się powodem zerwania z Towiańskim. Mickiewicz musiał się rozczarować. Po miesiącu ich wspólnego pobytu w Zurychu Mickiewicz nagle wyjeżdża. Było to już właściwie zerwanie. Nastąpił rozłam w Kole paryskim. Ale wyraźnym znakiem wyłamania się spod władzy „proroka" jest list z 12 maja 1847 r. piętnujący tyrańskie metody wobec „braci". „Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą, jaka jest na globie, władzę, którą w kraju naszym mają ochmistrzynie, ekonomowie, ludzie dworscy, panicze, goście nad chłopami... Władzę, którą Opatrz-

ność już nawet z ziem sławiańskich usuwa..." (Aluzja do uwłaszczenia chłopów po wypadkach w 1846 roku w Galicji.)

Że zerwanie z Towiańskim (nie z towianizmem w rozumieniu Mickiewiczowskim) spowodowane zostało całkowitą, oczywista, anestezją na sprawy socjalne szarlatana o ciemnych celach politycznych, potwierdza przemówienie poety wobec członków Koła, którzy po rozłamie pozostali przy jego boku. Myśl Mickiewicza, na falach mistycyzmu, coraz bardziej sterowała ku problemom społecznym, ku sprawom przemian ustrojowych. Myśl ta skonkretyzowała się w roku 1848, w czasie europejskiej burzy rewolucyjnej, w czasie tworzenia legionu polskiego we Włoszech. Znajduje to swój wyraz w listach, między innymi do Konstancji Łubieńskiej: „Wszelkie stosunki, zamierzone teraz wedle wyobrażeń i prawideł dawnego społeczeństwa, muszą sprowadzać niedolę. Doznaliśmy tego i powinniśmy stąd wyciągnąć naukę dla innych", i w *Składzie zasad.* „Legia polska — czytamy w liście poety do bojownika o wolność Włoch, Mazziniego — ogłosiła swój *Skład zasad.* Jest to armia republikańska i socjalistyczna." Brzmi to triumfalnie.

Ten *Skład zasad* złożony z 15 artykułów mglistych i mistycznych jest manifestem praw wolnościowych ludu, równouprawnienia wszystkich obywateli bez względu na religię, pochodzenie i płeć; zapowiada obieralność wszystkich urzędów, opiera władzę na samorządzie. Taki socjalny, demokratyczny program miał pokazać legionom drogę do przyszłej Polski, miał je przekonać, że będą przelewały krew za ojczyznę wolną nie tylko od cara, ale i od rodzimego ucisku. Na Mickiewicza posypał się grad oskarżeń: wymyślano mu od heretyków i jakobinów. Kler i cały obóz Czartoryskiego przez swego agenta we Włoszech, hr. Zamoyskiego, bruździł przeciw organizującemu się oddziałowi polskiemu. Widocznie topór galicyjski ich niczego nie nauczył — miał powiedzieć Mickiewicz.

Organizator Legionu we Włoszech nie miał kiedyś zrozumienia dla walki ideologicznej między hotelem Lambert a Towarzystwem Demokratycznym, dla sporu, jaka ma być ta przyszła zmartwychwstała Polska. Ale gdy trzeba było posłać ludzi na front, uważał za konieczne powiedzieć im, za co mają przelewać krew. Tak mu dyktował rozsądek polityczny, własne przekonanie polityczne.

Czy to rzeczywiście program socjalistyczny armii socjalistycznej? Pytanie chyba nie wymaga odpowiedzi.

A jednak był to przecież rok 1848 — 1849, rok fali rewolucyjnej w Europie. „Bóg wywróci porządek dawnej Europy a nowy Polskę zagwarantuje. Tak zawsze przeczuwałem, ile sobie przypomnisz; teraz mam tego scientyficzną pewność" — jeszcze w roku 1842 agituje Mickiewicz Domeykę do powrotu z Chile. Scientyficzna pewność opierała się na przekonaniu, że wojna albo rewolucja otwierały perspektywę odrodzenia Polski. Stawał się więc Mickiewicz naturalnym sojusznikiem ruchów rewolucyjnych, sojusznikiem postępu, którego bronił w publicystyce na łamach *„Trybuny Ludów"*. Jego wiara w rewolucję łączyła się ze sprawą Polski i tej dominancie była podporządkowana.

Wiara w cuda i wiara w rewolucję — jakaż to szeroka parabola, obejmująca dwoma biegunami lud! Zacofanie i postęp, dwie sprzeczności, tak jak mistycyzm i rozsądek, splotły się w duszy poety. W listach z okresu towianizmu, obok apokryficznych ustępów, teozoficznej kabały, wiary w duchy i sny, znaj-

dują się trzeźwe i celne oceny faktów i ludzi, wnikliwe i mądre wskazówki praktyczne, dotyczące nawet takich spraw, jak gra na giełdzie itd., albo noty skierowane do różnych dygnitarzy francuskich i włoskich, mistrzowskie w swej precyzji i ostrożności dyplomatycznej. Ta symbioza mistyki i rozsądku jest zadziwiająca. Ale czy już w *Odzie do młodości* nie ma tego splotu w genialnym skrócie: „Rozumni szałem...?" Sądzę, że od całkowitego „mątu", że użyję Mickiewiczowskiego wyrażenia, uchroniła poetę organizacja psychiczna, chłonna na konkretność spraw realnych, celne odczucie rzeczywistości.

III

Sprawa narodowa jest głównym motywem *Listów*. Jest to najważniejszy temat trzydziestu kilku lat życia zawartego w 1154 korespondencjach, adresowanych do setek różnych osób i instytucji. Powstała w ten sposób prawdziwa autobiografia albo jeszcze ściślej mówiąc — druga strona medalu życia poety, którego pierwszą stroną jest twórczość, są dzieła. Jeśli idzie o sprawę narodową — obie strony do siebie przystają. Nie ma rozdźwięku między tym, co czuje i czyni człowiek, a tym, co pisze poeta. Listy to autoportret, któremu wierzymy, bo nie był robiony *ad usum posteriorum*. Ale jest to jeszcze coś więcej niż wizerunek własny Mickiewicza. Jest to kopalnia wiedzy autentycznej o tamtych czasach, ludziach i sprawach. Poznajemy je z drobiazgową dokładnością, z epicką plastyką. Przyłapywałem się na tym, że czytałem *Listy* jak pasjonującą opowieść, komponującą się w olbrzymi fresk. Bo też *Listy* są wielkim dziełem sztuki, choć nie są „pięknie" napisane. Są prozaiczne, oschłe, poza kilkoma do Maryli, Czeczota i Odyńca, chropawe. Nie są piękne ani wygładzone, ale prawdziwe i silne.

Powiedziałem, że to wielkie dzieło sztuki. I rzecz dziwna, nawet komponują się w *Listach* pewne zamknięte całości. Ale, mój Boże, komponuje je życie, a nie autor. Nie potrafiłby tego nawet geniusz Mickiewicza. Kto będzie czytał *Listy*, niech zwróci uwagę na „motyw" Celiny. Układa się jak zamierzona kompozycja tragiczna: pierwsze wzmianki o „Celenie", kiedy była dzieckiem, powtarzające się zapytania zwrócone do Marii Szymanowskiej o zdrowie młodszej córki, a potem — czy już wyszła za mąż; następnie losy żony poety, nie bardzo szczęśliwej, jej choroba i ostateczne westchnienie Mickiewicza po jej śmierci. Albo losy Stefana Garczyńskiego czy kobiet: Małgorzaty Fuller, pisarki amerykańskiej, przyjaciółki Konstancji Łubieńskiej i wielu innych.

*

Ostatni list Mickiewicza adresowany jest z Konstantynopola do Władysława Czartoryskiego, syna księcia Adama. Smutny to list. Hrabia Zamoyski tak samo jak swego czasu we Włoszech bruździ teraz w Turcji przeciw oddziałom polskim, pozostającym pod dowództwem Sadyka-Paszy. Poeta zmuszony jest w obronie Sadyka-Paszy demaskować intrygi i świństwa popełniane przez agenta polskich monarchistów. Z ciężkim sercem czytamy te ostatnie przez Mickiewicza napisane słowa: „wynurzając wam cały mój stąd smutek, zostaję z winnym szacunkiem najniższym sługą..."

To jest ostatni akord. W tydzień potem Mickiewicz umarł.

Julian Stryjkowski

Konrad Górski

O SŁOWNIKU MICKIEWICZOWSKIM

Tłumaczyć czytelnikom *„Twórczości"* celowość i potrzebę opracowania takiego dzieła, jak słownik wielkiego poety, byłoby dość żenujące. Ktokolwiek interesuje się twórczością literacką, instynktownie rozumie związek między badaniem języka pisarza i wniknięciem w sens jego dzieł. Jeśli więc często można spotkać ludzi, którzy słysząc o przygotowywaniu Słownika Mickiewiczowskiego wzruszają ramionami i pytają naiwnie lub szyderczo: „Na co to komu potrzebne?", to wolno jednak przypuszczać, że w środowisku literackim z tego rodzaju pytaniem się nie zetkniemy. Nie tracąc więc czasu na walkę z ignorancją czy na obalanie uprzedzeń, których w wymienionym środowisku nikt zapewne nie żywi, przejdźmy do informacji konkretnych. Będą one dotyczyć zagadnień następujących: 1. dzieje pomysłu i jego realizacji; 2. zakres materiału i struktura hasła; 3. źródła i baza tekstowa słownika; 4. osiągnięte wyniki badań nad znaczeniem wyrazów; 5. materiał porównawczy słownika jako źródło definitywnego ustalenia tekstów Mickiewicza.

1. DZIEJE POMYSŁU I JEGO REALIZACJI

Pomysł stworzenia słownika Mickiewicza wysunięty został u nas już przed siedemdziesięciu laty. Okazję po temu dało ogłoszenie monografii Henryka Biegeleisena o *Panu Tadeuszu,* w której autor próbował dać analizę stylistyczną poematu. Mimo chwalebności samego zamierzenia trudno było nie stwierdzić, że naukowy jego wynik był mało zadowalający. Na właściwą przyczynę słabości osiągnięć Biegeleisena wskazał Antoni Bądzkiewicz w artykule pt. *Projekt nowego opracowania „Pana Tadeusza"* (lwowskie *„Muzeum"*, 1885). Zdaniem jego nie można mówić o stylu jakiegoś autora, dopóki się nie zbada dokładnie jego języka, przede wszystkim jego słownictwa, fleksji, składni i frazeologii. Bądzkiewicz kierując się poczuciem rzeczywistości — nie odważył się wprawdzie mówić o słowniku obejmującym całość spuścizny pisarskiej Mickiewicza, lecz ograniczył się do postulatu, ażeby został opracowany słownik do *Pana Tadeusza.* Dałoby to podstawę do stworzenia dokładnej statystyki użytych przez poetę wyrazów i umożliwiło dokonanie ścisłych i sprawdzalnych obserwacji na temat jego stylu.

Głos Bądzkiewicza przebrzmiał na razie bez echa. Dopiero w 1934 r. Kazi-

mierz Nitsch w artykule pt. *Z zagadnień języka Mickiewicza* („*Język Polski*", XIX, str. 130—131) przypomniał i wysoko ocenił inicjatywę Bądzkiewicza, która właśnie wtedy znalazła spóźnione poparcie. Oto działając w imieniu Polskiej Akademii Literatury Juliusz Kleiner zwrócił się do Polskiej Akademii Umiejętności z postulatem opracowania słownika Mickiewicza. Oceniając to wystąpienie (w tym samym artykule) Nitsch pisał: „Słownik taki byłby bez wątpienia bardzo pożyteczny, gdyby to nie był czysty zbiór wyrazów, jak sobie zwykle przedstawia słownik ogół...; ale czy możliwy on do wykonania przed ukazaniem się kompletu krytycznego wydania pism Mickiewicza, ba, kiedy niektóre jego listy w ogóle nie są jeszcze wydane?" — Stanowisko wyrażone w przytoczonych słowach było zapewne przyczyną, że na razie inicjatywa, której wyrazicielem był Juliusz Kleiner, nie została podjęta przez żadną instytucję naukową.

Na własną rękę, acz w mniejszym zakresie (indeks wyrazów, nie słownik) podjął się tego trudu Władysław Kuraszkiewicz w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, ale zebrany przez niego materiał uległ w okresie okupacji całkowitemu zniszczeniu.

Ale i Juliusz Kleiner nie zapomniał o swej inicjatywie. W latach 1940—41, gdy był profesorem ówczesnego radzieckiego uniwersytetu we Lwowie, podjął na nowo dawną swą myśl opracowania słownika Mickiewicza i zorganizował dyskusję nad tym tematem na posiedzeniach katedr historii literatury polskiej i języka polskiego z udziałem zaproszonych specjalistów z innych filologii (romańskiej i klasycznej). Uczestnikiem tych posiedzeń i dyskusji był także Stefan Hrabec, podówczas asystent uniwersytetu we Lwowie. Gdy po wojnie S. Hrabec znalazł się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu zrazu jako adiunkt przy katedrze filologii słowiańskiej, zapragnął realizować omawiany niegdyś we Lwowie pomysł słownika Mickiewicza i podzielił się tą myślą z ówczesnym kierownikiem katedry języka polskiego tegoż uniwersytetu, Witoldem Taszyckim. Ten ostatni pochwalając zamiar opracowania całego słownika doradził S. Hrabcowi, by na wstępie zajął się jedynie słownikiem do *Pana Tadeusza*. Nie poprzestając na tym W. Taszycki o podjęciu się wymienionej pracy przez S. Hrabca zawiadomił redakcję Wydania Narodowego *Dzieł* A. Mickiewicza w osobie Leona Płoszewskiego. W liście z 22 kwietnia 1946 r. L. Płoszewski zaproponował S. Hrabcowi przedstawienie konkretnego projektu badań, aby można było rozpocząć starania o dotację na Słownik i wejść w porozumienie z ludźmi pochodzącymi z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i obeznanymi z językiem rodzinnych stron poety.

Inna była droga dojścia do myśli o słowniku Mickiewiczowskim niżej podpisanego. Jako historyk literatury zajmowałem się twórczością Mickiewicza od początku mojej działalności naukowej i napisałem w okresie międzywojennego dwudziestolecia kilkanaście większych i mniejszych studiów z tego zakresu. Zamiarem moim było jednak napisanie obszerniejszej monografii o całokształcie poetyckiego dorobku Mickiewicza. Od realizacji tego zamiaru powstrzymała mnie wszakże świadomość głębokiego kryzysu metodycznego, jaki przeżywała nasza historia literatury w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Podjęte wstępne studia nad metodyczną stroną nowoczesnej monografii historyczno-literackiej doprowadziły

mnie do wniosku, że tylko poprzez badania nad językiem poety będzie można zdobyć prawdziwie naukową podstawę wszelkich sądów o jego twórczości. Prowadziło to bezpośrednio do wniosku, że pierwszą pracą, jaka musi tu być wykonana, jest słownik języka Mickiewicza.

Gdy po wojnie zorganizowane zostało opracowanie Narodowego Wydania *Dzieł* Adama Mickiewicza, znalazłem się w gronie jego współpracowników i z tego tytułu otrzymałem plan całego wydawnictwa. Wówczas dowiedziałem się o projektowanym przez redakcję Wydania Narodowego wydaniu słownika Mickiewicza i zgłosiłem redaktorowi L. Płoszewskiemu gotowość podjęcia się tej pracy. Ze swej strony L. Płoszewski powiadomił mnie, że już wcześniej porozumiewał się w tej sprawie z S. Hrabcem, który projektem słownika również się interesuje. Pod wpływem tej wiadomości zwróciłem się do S. Hrabca z propozycją wspólnego opracowania słownika Mickiewicza i w ten sposób dwie niezależne inicjatywy spotkały się ze sobą, aby od tej chwili złączyć się w jedną.

Realizacja pomysłu wymagała przede wszystkim uzgodnienia koncepcji słownika. Obaj przyszli współredaktorowie zaczęli więc od szczegółowej dyskusji na temat, jak sobie ów projektowany słownik wyobrażają. Ponieważ zarysowały się w tych rozmowach dwie odmienne możliwości ukształtowania dzieła, więc aby nie brać decyzji wyłącznie na własną odpowiedzialność, inicjatorowie postanowili zasięgnąć opinii fachowców zgrupowanych wokół Polskiej Akademii Umiejętności. Wyniki wspólnych rozmów S. Hrabec zredagował jako *Projekt instrukcji do zbierania materiałów do Słownika Mickiewiczowskiego* i to pismo zostało przesłane L. Płoszewskiemu. Na wspólnym posiedzeniu komisji historyczno-literackiej i językowej PAU w dn. 15 lutego 1947 r. L. Płoszewski zreferował dzieje dotychczasowych opracowań języka Mickiewicza i postulatów wysuwanych w tym zakresie, po czym przeszedł do przedstawienia naszej inicjatywy na podstawie wspomnianego *Projektu instrukcji* (wydrukowanego później w *Sprawozdaniach PAU*, tom XLVIII, 1947, nr 2, str. 46—48). Istotna różnica między obu koncepcjami sprowadzała się do zakresu materiału, jaki miał być cytowany. Koncepcja oznaczona w projekcie literą A sugerowała konieczność podania w s z y s t k i c h wypadków użycia danego wyrazu przez poetę (czy to w formie pełnych cytatów, czy też jedynie drogą lokalizacji miejsc nie przytoczonych *in extenso*), natomiast koncepcja B projektowała podanie tylko cytatów bardziej charakterystycznych bez lokalizowania miejsc pominiętych.

Sprawa zalet i wad obu koncepcji była głównym tematem dyskusji. Przeważnie oświadczano się za koncepcją pierwszą przyznając, że jest bardziej celowa ze stanowiska naukowego. Szczególnie silnie podkreślili to T. Lehr-Spławiński, K. Nitsch i J. Safarewicz.

Wyciąg z protokółu zebrania zawierający sformułowanie najważniejszych argumentów wysuniętych w dyskusji przesłał L. Płoszewski inicjatorom Słownika i zachęcił do jak najszybszego rozpoczęcia starań o dotację z funduszów publicznych na realizację projektowanego dzieła. Starania te wziąłem na siebie, ponieważ pełniąc podówczas obowiązki prezesa Towarzystwa Naukowego w Toruniu sądziłem, że potrzebne na słownik fundusze dadzą się uzyskać za pośrednictwem tegoż Towarzystwa. Gdy ta droga zawiodła, zwróciłem

się do Sekcji Naukowej Komisji Popierania Twórczości Naukowej i Artystycznej przy Prezydium Rady Ministrów z podaniem o dotację na Słownik Mickiewiczowski dla Zakładu Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Decyzją z dnia 26 października 1949 r. Sekcja Naukowa wymienionej Komisji przy Prezydium Rady Ministrów przyznała Zakładowi Historii Literatury Polskiej U.M.K. pierwszą subwencję na opracowanie Słownika Mickiewiczowskiego w wysokości 859 tysięcy złotych (w ówczesnej walucie). Odtąd aż do stycznia 1954 r., gdy finansowy byt Słownika Mickiewiczowskiego został oparty na funduszach Polskiej Akademii Nauk, taż sama Komisja przy Urzędzie Rady Ministrów dotowała rok rocznie Słownik Mickiewiczowski przyznając subwencje na konto Zakładu Filologii Słowiańskiej U.M.K. w tej wysokości, o jaką prosili w składanych co roku podaniach inicjatorowie i współredaktorzy Słownika. Uzyskanie zarówno pierwszej dotacji jak i następnych Słownik zawdzięczał wybitnemu poparciu, jakiego udzielił całej inicjatywie Instytut Badań Literackich (S. Żółkiewski i K. Budzyk).

Praca nad zbieraniem materiałów leksykalnych zaczęła się w pierwszych dniach stycznia 1950 r. Pracownicy Słownika składali się od początku niemal wszyscy z asystentów i studentów wyższych lat polonistyki U.M.K., zarówno historyków literatury jak i językoznawców. Instrukcja, na podstawie której zbierano materiały, została przejęta ze słownika polszczyzny XVI w., zainicjowanego i opracowywanego przez placówki Instytutu Badań Literackich. W ciągu pierwszego roku pracy (1950) zebrano niemal cały materiał leksykalny z utworów poetyckich drukowanych za życia poety. Według pierwotnego zamierzenia, podyktowanego względami na ograniczone możliwości finansowe, Słownik miał być podzielony na dwie części, kolejno opracowywane i ogłaszane. Część pierwsza objęłaby słownictwo dzieł artystycznych (wliczając w to *Księgi narodu i pielgrzymstwa* oraz drobne utwory prozaiczne, jak *Żywila* itp.), druga — zawierałaby słownictwo prozy literackiej, publicystycznej i historycznej, jak również listów i wszelkich notatek, które wyszły spod pióra Mickiewicza. W ciągu drugiego roku pracy zbierackiej wykańczano więc kompletowanie słownictwa dzieł artystycznych a jednocześnie przystąpiono do zbierania materiałów z prozy. Słownictwo autografów zamierzano początkowo uwzględnić w zakresie ograniczonym, a mianowicie włączyć tylko te wyrazy, które nie weszły do tekstu drukowanego przez poetę, nie włączać zaś tych, które znalazły się w redakcji drukowanej, ale w innej postaci fleksyjnej czy fonetycznej.

Wobec tego, że dotarcie do wszystkich zachowanych autografów przedstawiało na razie duże trudności, przystąpiono w ciągu trzeciego roku pracy (1952) do tymczasowego redagowania haseł pierwszej części z tym, że przed ostatecznym przygotowaniem jej do druku włączanoby brakujące chwilowo materiały w miarę ich napływania. Do końca tegoż roku wstępna redakcja haseł słownictwa dzieł artystycznych objęła już literę H.

W tym momencie jednak nastąpił w dziejach Słownika Mickiewiczowskiego nieoczekiwany zwrot. Instytut Badań Literackich, który od początku sprawował naukową kontrolę nad pracami Słownika, zapragnął poddać opracowane już hasła dyskusji w zamkniętym gronie specjalnie zaproszonych osób.

Zebraniu, które się odbyło 8 stycznia 1953 r. w lokalu IBL, przewodniczył S. Żółkiewski. Zaproszeni byli również Juliusz Kleiner i Stanisław Pigoń, ale wobec niemożności przybycia nadesłali swoje uwagi na piśmie. Przedmiotem ożywionej dyskusji stały się wywody na temat Słownika przysłane przez S. Pigonia. Zakwestionował on podział Słownika na dwie części, z których jedna obejmowałaby słownictwo dzieł artystycznych, a druga słownictwo prozy i zaproponował podział inny, mianowicie na słownictwo języka literackiego i języka potocznego używanego przez Mickiewicza. Wprawdzie ta koncepcja nie znalazła uznania w oczach obecnych, ale wynikiem dyskusji było zakwestionowanie przez większość zebranych dotychczasowego podziału Słownika, a co za tym idzie, całej jego koncepcji. Zaznaczyć bowiem należy, że według pierwotnego planu część pierwsza (słownictwo dzieł artystycznych) podawałaby wszystkie cytaty odnoszące się do danego hasła, podczas gdy część druga ograniczałaby się tylko do ich wyboru. Negatywny wynik zebrania w dniu 8 stycznia 1953 r. był jednoznaczny: odrzucenie dotychczasowej koncepcji Słownika, pozytywny natomiast byłby dość trudny do ustalenia. Opóźnione uruchomienie dotacji na rok 1953 spowodowało chwilowe zawieszenie prac słownikowych aż do maja, więc i ostateczne rozstrzygnięcie, jak ma wyglądać przyszły Słownik, przestało być na razie sprawą palącą. Dopiero dnia 18 maja 1953 r. odbyło się w IBL nowe zebranie dla omówienia koncepcji Słownika pod przewodnictwem Kazimierza Wyki. Zdecydowano wówczas, że Słownik ma być jednolity, nie dzielony na części, wobec czego dalsza praca nad redakcją haseł została wstrzymana, a cały wysiłek zespołu musiał być skierowany na skompletowanie reszty materiałów prozy i wszelkich innych uzupełnień zasobu leksykalnego.

Praca nad zebraniem pozostałego materiału słownikowego wypełniła odtąd niemal cały czas zespołu Słownika w ciągu dwóch lat następnych. Spowodowane to zostało nie tylko koniecznością wyczerpującego opracowania prozy, ale także wyzyskaniem w znacznie większym zakresie słownictwa autografów przez uwzględnienie pomijanych dotąd odmian fleksyjnych i fonetycznych. Wykorzystane zostały nie tylko wszystkie dostępne autografy w kraju, ale także nadesłane z zagranicy. Między pracownią Słownika Mickiewiczowskiego i redakcją Wydania Narodowego nastąpiła ścisła współpraca w zakresie wyzyskania materiałów autografowych. Redakcja Wydania Narodowego dostarczała pracowni Słownika wszelkich posiadanych fotokopii autografów, a zespół Słownika dzielił się z redakcją Wydania Narodowego wynikami dochodzeń nad odczytaniem wielu miejsc wątpliwych. Dzięki temu oraz dzięki udostępnieniu fotokopii autografów znajdujących się czy to w posiadaniu Muzeum im. Mickiewicza i Słowackiego w Warszawie, czy też w posiadaniu prywatnym (np. S. Pigonia), materiał leksykalny wydobyty z autografów został niemal całkowicie wyczerpany. W chwili pisania tych słów nie zostały wyzyskane jedynie autografy kilku drobnych utworów znajdujące się w Muzeum Mickiewicza w Paryżu. Jeśli redakcja Słownika kiedyś je otrzyma, materiały w nich zawarte będą mogły być wyzyskane w dopełnieniach na końcu dzieła.

W ciągu roku 1954 w organizacji pracy Słownika nastąpiły poważne zmiany. Słownik Mickiewiczowski stał się przedsięwzięciem naukowym, którego zna-

czenie ze względu na zbliżający się Rok Mickiewiczowski zostało należycie docenione przez Polską Akademię Nauk. Od stycznia tego roku PAN całkowicie zaczęła pokrywać wydatki związane z pracą nad Słownikiem i wzięła go pod swoją opiekę. W maju utworzono Komitet Redakcyjny Słownika Mickiewiczowskiego, którego przewodniczącym obrany został S. Pigoń. Obaj dotychczasowi inicjatorowie i organizatorzy prac otrzymali z PAN nominację na Redaktorów Naczelnych. Wreszcie wobec przeniesienia się S. Hrabca na katedrę języka polskiego w Uniwersytecie Łódzkim utworzona została druga równorzędna i niezależna pracownia Słownika w Łodzi pod kierownictwem S. Hrabca, podczas gdy pracownia toruńska pozostała pod kierownictwem K. Górskiego. Podział ten nie oznacza jednak jakiejkolwiek dwutorowości w redakcji Słownika. W ostatecznej instancji każde hasło musi uzyskać aprobatę Komitetu Redakcyjnego. Siedzibą kartoteki Słownika pozostaje nadal i niezmiennie pracownia toruńska (Toruń, Fosa Staromiejska 3).

Na posiedzeniu Komitetu Redakcyjnego w Krakowie dn. 27 września 1954 r. nastąpiło ostateczne rozstrzygnięcie koncepcji Słownika. Uchwalono, że w obrębie każdego hasła nie będzie podziału na słownictwo dzieł artystycznych i słownictwo pism prozaicznych. Cytaty z obu zakresów spuścizny pisarskiej Mickiewicza podane będą *promiscue*. Każdy wyraz hasłowy będzie ilustrowany wszystkimi wypadkami jego użycia.

W ciągu jesiennych miesięcy 1954 r. obie pracownie rozpoczęły już wstępne redagowanie haseł według uchwalonej ostatecznie koncepcji Słownika. Redagowanie to miało charakter tymczasowy o tyle, że ostatni tom Wydania Narodowego (XVI), zawierający resztę listów poety i wydane po raz pierwszy przygodne notatki (dedykacje itp.), jeszcze się wówczas nie ukazał. Włączenie brakujących materiałów z tomu XVI dokonane zostało dopiero w ciągu pierwszej połowy 1955 r. Wówczas to hasła składające się na pierwszy zeszyt Słownika mogły uzyskać swój ostateczny kształt.

Już w okresie rozpoczęcia pracy redakcyjnej (w grudniu 1954 r.) poświęcił sprawie Słownika specjalne zebranie Komitet Językoznawczy Polskiej Akademii Nauk. Liczne uwagi i sugestie wypowiedziane na tym zebraniu zostały przy dalszej pracy z pożytkiem wyzyskane.

Pierwszy zeszyt Słownika obejmujący wstęp do całości i opracowanie litery A jest w druku; należy oczekiwać, że się ukaże na przełomie 1955—56 r. Z tą chwilą historia Słownika wejdzie w nową fazę, której przebieg znajdzie wyraz w ukazywaniu się zeszytów następnych. Faza ta — według dzisiejszych przewidywań — potrwa około 10 lat.

2. ZAKRES MATERIAŁU I STRUKTURA HASŁA

Już z nakreślonej dotąd historii Słownika można było się zorientować, jaki będzie zasięg uwzględnionych w tym dziele materiałów. Ale wiele szczegółów wymaga jeszcze dodatkowych wyjaśnień.

A więc jeśli chodzi o wyrazy pospolite, to Słownik zamieści je wszystkie wraz ze wszystkimi cytatami, w których one występują. Wszystkie — to znaczy użyte w tekstach drukowanych i w autografach, choćby je autor

w trakcie pisania przekreślił czy w ostatecznej redakcji pominął. Wejdą nawet wyrazy niedokończone, jeśli tylko ich rekonstrukcja nie przedstawia żadnej wątpliwości, jak „brzmieć miały.

Postulat przytoczenia wszystkich wypadków użycia danego wyrazu doznaje ograniczenia tylko w zakresie wyrazów formalnych (słowo posiłkowe b y ć, spójniki i przyimki). Liczby użycia ich są tu tak wielkie, że dawanie wszystkich cytatów stawałoby się mało celowe. Postawiona więc została granica. Jeśli dany wyraz formalny posiada więcej niż 400 użyć, wówczas dajemy tylko wybór cytatów, ale w ten sposób, żeby uwzględniane były wszystkie epoki życia poety, a w ramach danej epoki wszystkie gatunki literackie. W takich wypadkach ilość cytatów waha się od 150 do 200. Oczywiście miejsca nie cytowane podajemy w formie ich lokalizacji, więc kompletność materiału nie doznaje tu żadnego uszczerbku.

Staramy się ogarnąć również całkowity zasób występujących u Mickiewicza imion własnych. Wyłaniają się tu często bardzo trudne zagadnienia, których rozwiązanie musi być podyktowane nie gramatycznym formalizmem, lecz drogą uwzględnienia faktu, że mamy tu do czynienia z językiem indywidualnym. Zilustruję to na kilku przykładach. Pospolitym zdrobnieniem imienia A l e k s a n d e r jest O l e ś. W słowniku ogólnym języka polskiego, który by objął również imiona osób, przy haśle O l e ś wystarczyłoby napisać, że jest to zdrobnienie od A l e k s a n d e r, ale w słowniku języka Mickiewicza tak sprawy nie można stawiać. Mickiewiczowski O l e ś oznacza u niego konkretnych ludzi, i to nie zawsze tych samych; raz chodzi o brata poety, Aleksandra Mickiewicza, innym razem zdrobnienie odnosi się do bliskiego przyjaciela, Aleksandra Chodźki. Wobec tego w strukturze hasła cytaty odnoszące się do obu Olesiów muszą być wyróżnione i umieszczone w odpowiednich rubrykach.

Bardziej skomplikowana staje się sprawa wówczas, gdy jakieś imię własne może oznaczać postać literacką i postać historyczną. Wówczas wydzielamy naprzód rubrykę postaci literackich (np. Konrad z poematu *Konrad Wallenrod* i Konrad — bohater III cz. *Dziadów),* następnie postaci historycznych (np. rzeczywisty Konrad Wallenrod, Konrad ks. Mazowiecki itp.). Przy postaciach literackich występują jeszcze komplikacje dodatkowe, a mianowicie imię dane może występować w tekście poetyckim (np. *Konrad Wallenrod,* I, 75: „Konrad światowej nie lubił pustoty") albo we wskaźniku scenicznym (np. *Dziady* cz. III, sc. II, przed w. 315: „Konrad staje chwilę, słania się i pada"), albo wreszcie jako wskaźnik osoby dialogu. W pierwszych dwóch wypadkach dajemy wszystkie cytaty w kolejności ich występowania w utworze, w trzecim zaś — przy pierwszym wystąpieniu danego imienia w utworze dramatycznym czy dialogu cytujemy je z nawiasowym dodatkiem: „wskaźnik osoby dialogu" i podajemy od razu wszystkie wiersze, p r z e d k t ó r y m i dane imię jako wskaźnik osoby mówiącej jest postawione.

Inne zagadnienie występuje w związku ze sprawą objaśniania imion i nazwisk postaci historycznych lub nazw geograficznych. Słownik Mickiewiczowski nie był pomyślany jako encyklopedyczny komentarz do pism poety, tylko jako dzieło mające na celu ustalenie sensu użytych przez niego wyrazów.

Stąd też podawanie encyklopedycznych wiadomości o wymienianych przez Mickiewicza postaciach historycznych czy miejscowościach nie mogło być zadaniem słownika. Wynikała z tego konsekwencja, że wyjaśnienie, o jaką postać czy miejscowość chodzi, musiało być dawane tylko wtedy, gdy dane imię lub nazwa nie mogły być utożsamione wyłącznie na podstawie cytatu. Stąd też cytaty odnoszące się do imienia Aleksander czy Adam musiały być umieszczone pod szyldzikami różnych osobistości, o których w danym wypadku mowa. Podobnie jeżeli się zdarza, że Mickiewicz sporadycznie wymienia jakąś bardzo mało znaną osobistość czy miejscowość (kronikarz gocki, Jordanis, jezioro Adżigoł na Krymie), dajemy objaśnienie możliwie najbardziej zwięzłe, ażeby cytat uczynić zrozumiałym. Konieczność utożsamienia sensu, w jakim dany wyraz został użyty, narzucała się szczególnie wówczas, gdy wchodziła w grę dwuznaczność słowa. W wierszu *Śniła się zima...* (drukowany niekiedy pt. *Sen w Dreźnie*) czytamy:

Ujrzałem Ewę,
Jaką widziałem na Albańskiej górze,
W białej sukience i ubraną w róże;

. . . . . .

Wzrok utopiła w jezioro Albańskie...

Byłoby zupełnym nieporozumieniem szukać owej góry i owego jeziora w Albanii, chodzi bowiem o Albano na południe od Rzymu i nazwane od tej miejscowości górę i jezioro. A że przymiotnik albański występuje u Mickiewicza również w odniesieniu do kraju na Bałkanach, więc w haśle albański musiały być zamieszczone objaśnienia pozwalające we właściwy sposób zrozumieć odnoszące się do tego słowa cytaty.

Do tej samej kategorii utożsamienia sensu, w jakim wieloznaczny wyraz mógł być użyty, należą wypadki, gdy poeta używa słowa pospolitego w funkcji imienia własnego. Do takich wyrazów należą np.: akademia lub biblioteka. Pierwsze słowo ma dwa znaczenia podstawowe: 1. instytucja naukowa; 2. wyższy zakład naukowy; w obrębie jednak tych znaczeń bywają użycia odnoszące się do konkretnych jednostek historycznych. Mając na myśli wyższy zakład naukowy Mickiewicz w jednym tekście słowem akademia nazywa Akademię Wileńską, a w innym Akademię Lozańską. Nie podobna było formalistycznie wrzucać tego do jednego kotła, więc w obrębie drugiego znaczenia wydzielone zostały podrubryki dla rozgraniczenia cytatów odnoszących się do różnych konkretnych zakładów naukowych, o których była mowa.

Odrębny problem stanowią wtręty obcojęzyczne w tekstach Mickiewicza. Jest ich bardzo wiele i pochodzą z różnych języków. Nie podobna było ich rozbijać na jednostki leksykalne, bo Słownik stałby się słownikiem wielu różnych języków. Trzeba było się ograniczyć do wyróżnienia języków, z których pochodzą, i traktować dane zdanie czy słowo jako odrębne hasło

leksykograficzne. W scenie III *Dziadów* drezdeńskich (w. 91—95) Duch przemawia do Księdza Piotra różnymi językami:

> Parle-moi donc français, mon pauvre capucin,
> J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin.
> Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues —
> Vielleicht sprechen Sie deutsch, was murmeln Sie so bang —
> What it is, — Cavalleros, rispondero Io.

Urywek ten wystąpi w Słowniku w postaci czterech haseł: pierwsze trzy wiersze — francuskie — zostaną umieszczone jako całość pod literą P; wiersz czwarty — niemiecki — pod literą V; w wierszu piątym — zdanie angielskie pod literą W, a hiszpańskie pod C. Za każdym razem będzie podane, z jakiego języka wtręt pochodzi; za hasłem umieszczony będzie jego polski przekład. Jeżeli Mickiewicz dopuścił się błędu językowego w obcym cytacie, nie wprowadzamy od siebie żadnej poprawki, tylko ostrzegamy czytelnika słowem *sic* w nawiasie.

A teraz struktura hasła.

Jeśli wyraz hasłowy pojawia się u Mickiewicza w postaci odmiennej niż w dzisiejszej polszczyźnie, zachowujemy tę postać w haśle i dajemy od dzisiejszej formy odsyłacz do hasła Mickiewiczowskiego. Tak więc przy haśle t u r k o t damy odsyłacz: „patrz t a r k o t" i wszystkie cytaty zostaną umieszczone pod hasłem t a r k o t. Ale jeśli poeta używa dwóch oboczności: indywidualnej i odpowiadającej dzisiejszej normie językowej, to hasłem jest postać dzisiejsza. Wobec tego, że Mickiewicz używa form: a r m a t a i h a r m a t a, hasłem będzie a r m a t a.

Ale już w samym nagłówku hasła zostają zasygnalizowane oboczności i wzajemny ich stosunek liczbowy. Jeśli więc nagłówek brzmi w sposób taki:

„A R M A T A (16) armata (7) harmata (9)",

to znaczy, że na ogólną ilość 16 razy użycia tego słowa przez poetę 7 razy występuje postać a r m a t a, a 9 razy h a r m a t a.

To jest łatwo czytelne i zrozumiałe. Trudniejsze natomiast jest podanie wypadku, gdy w epoce Mickiewicza występowała chwiejność wymowy niektórych słów i pisownia ówczesna nie pozwala nam z całą pewnością odtworzyć za każdym razem danej oboczności. Z reguły mamy z tym do czynienia, gdy chodzi o jednozgłoskowe czy dwuzgłoskowe wymawianie zakończeń w słowach takich, jak Anglia, Francja itp. W niektórych wypadkach rytmika wiersza lub pisownia pozwala ustalić, czy mamy czytać F r a n c j a czy też F r a n c y j a, ale są i takie miejsca (w prozie), gdy rozstrzygnięcie jest niemożliwe. Wówczas sformułowanie przybiera postać następującą:

„F R A N C J A (23), Francja (5), Francyja (8), Francja albo Francyja (10)".

Liczba ostatnia notuje ilość wypadków, gdy ustalenie, która oboczność została użyta, jest niemożliwe.

Po nagłówku hasła następuje określenie przynależności wyrazu hasłowego do jego kategorii gramatycznej (rzeczownik, przymiotnik itp.), a następnie — jeśli wyrazem hasłowym jest odmienna część mowy — pełny wykaz wszyst-

kich form fleksyjnych danego słowa wraz ze statystyką ich występowania w tekstach Mickiewicza. Statystyka ta pozwala na dokładną orientację w tym, co Mickiewicz uznawał za normę językową własnej epoki. Można to zilustrować za pomocą przykładu następującego. Końcówka dopełniacza l. poj. rzeczowników męskich zakończonych na spółgłoskę okazuje wahanie między normą staropolską i normą nowożytną. Mickiewicz używa obocznie, i to bez względu na potrzeby rymowe, form takich, jak: l a s a obok l a s u, s t o ł a obok s t o ł u. Ale gdy chodzi o słowo d w ó r, to dopełniacz d w o r a występuje tylko raz jeden i to w rymie (d w o r a — c h o r a). Wniosek stąd jasny, że formę d w o r a poeta odczuwał już jako przestarzałą i dopuszczalną jedynie w wyjątkowych wypadkach.

Po części gramatycznej przychodzi semantyczno-frazeologiczna część hasła. Cytaty są zgrupowane według poszczególnych znaczeń, których kolejność odpowiada zazwyczaj częstości ich występowania w tekstach Mickiewicza. Jeżeli słowo dane jest używane przez poetę w jednym tylko znaczeniu i to pokrywającym się ze znaczeniem dzisiejszym, nie dajemy objaśnienia żadnego. Konieczność objaśnienia występuje tylko wtedy, gdy: 1. słowo jest używane w znaczeniu odmiennym od dzisiejszego, 2. słowo całkowicie wyszło z użycia i jest dla współczesnego Polaka niezrozumiałe (np. s k l u t — topór ciesielski), 3. słowo występuje w kilku znaczeniach, które muszą być odpowiednio wyróżnione (np. d o d a ć — użyczyć i d o d a ć — powiększyć, uzupełnić). Objaśnienia są możliwie zwięzłe i polegają rzadziej na wyczerpującej definicji abstrakcyjnej, częściej zaś na wymienieniu jednego lub kilku synonimów z zasobu dzisiejszej polszczyzny.

W obrębie każdej rubryki znaczeniowej zgrupowane są naprzód cytaty ilustrujące d o s ł o w n e użycie danego odcienia semantycznego, a następnie cytaty, gdzie dane znaczenie użyte jest p r z e n o ś n i e, w obrębie zaś każdej z tych grup na końcu skupiona jest odnosząca się do niej frazeologia. W zasadzie dążymy do wydzielenia u t a r t y c h połączeń frazeologicznych w postaci przysłów, wyrażeń, zwrotów, szeregów i zestawień. Osobną grupę stanowią peryfrazy, które rozwiązujemy, tj. dajemy ich znaczenie w sformułowaniu pojęciowym (np. „z chińskich ziół ciągnione treści" = herbata). Przenośni oczywiście nie rozwiązujemy. Część semantyczna opatrzona jest także odpowiednią statystyką; każda rubryka znaczeniowa, każda grupa frazeologiczna posiada w nawiasie liczbę informującą o częstości występowania danego zjawiska w całokształcie twórczości Mickiewicza.

Podałem tu jedynie najogólniejsze informacje o strukturze hasła i materiale, który będzie w nim zawarty. W rzeczywistości bogactwo występujących zagadnień językowych i stylistycznych jest tak wielkie, że ktoś, kto będzie chciał korzystać ze Słownika, nie zorientuje się w nim od razu i nie zdoła wykorzystać wiadomości, jakie Słownik przyniesie, jeśli uprzednio nie przestudiuje dokładnie wstępnej instrukcji, uzasadniającej sens i cel każdego szczegółu. Kto bez odpowiedniego przygotowania otworzy Słownik i zechce z niego od razu wysnuwać wnioski, zgubi się w drobiazgach i będzie się dopatrywać chaosu tam, gdzie wszystko jest przemyślane i uporządkowane, tylko że odtwarza zespół zjawisk bardzo skomplikowanych.

3. ŹRÓDŁA I BAZA TEKSTOWA SŁOWNIKA

Zgodnie ze swą koncepcją Słownik ma zgromadzić wszystkie wyrazy użyte kiedykolwiek przez poetę we wszelkiego rodzaju tekstach, które wyszły spod jego ręki. W zastosowaniu do tekstów drukowanych za życia Mickiewicza oznacza to wciągnięcie do Słownika wszystkich wyrazów, które się znalazły w tzw. wydaniach autoryzowanych. Do nich zaliczamy: 1. oddzielne wydania poszczególnych utworów za życia poety ogłoszone pod jego kontrolą (np. *Sonety*, Moskwa 1826, *Konrad Wallenrod*, Petersburg 1828, *Dziadów* część III, Paryż 1832 i 1833); 2. cztery wydania zbiorowe, a mianowicie: wileńskie (1822—1823), petersburskie (1829), paryskie z 1838 r. i paryskie z 1844 r., sporządzone przez Aleksandra Chodźkę. Zilustruje to przykład następujący. W *Tukaju* w. 294 brzmi w obu pierwszych wydaniach: „Dyabeł świsnął, chychnął, zginął", natomiast w obu późniejszych: „Dyabeł świsnął, czmychnął, zginął". Otóż nie przesądzając sprawy, czy różniące się teksty w jednakim stopniu są wyrazem intencji twórczej poety w momencie ich ogłoszenia, czy też jeden z nich jest poprawny, a drugi błędny, Słownik zamieści obydwa wyrazy: chychnąć i czmychnąć, we właściwym miejscu, ponieważ obydwa znajdują się w wydaniach autoryzowanych. Innymi słowy — Słownik stawia sobie za zadanie skompletowanie całkowitego zasobu leksykalnego wydań autoryzowanych bez zajmowania jakiegokolwiek stanowiska w nader trudnych i złożonych problemach tekstologii Mickiewiczowskiej.

Natomiast słownictwo utworów literackich i wszelkich innych pism drukowanych po śmierci poety Słownik Mickiewiczowski czerpie z tekstów podanych przede wszystkim w Wydaniu Narodowym Dzieł Adama Mickiewicza, a tylko w wyjątkowych okolicznościach z Wydania Sejmowego (lub innych źródeł). Do tej ostatniej edycji trzeba było sięgać w dwóch wypadkach. Po pierwsze wtedy, gdy jakieś pismo nie zostało objęte planem wydawniczym Wydania Narodowego (np. Wypisy i notatki do *Pierwszych wieków historii polskiej*). Po drugie — gdy dany tekst ma się ukazać w XII i XIII tomie Wydania Narodowego; termin ogłoszenia obu tych tomów jest dotąd nieznany i nie podobna było zatrzymywać zbierania materiałów dla Słownika po to tylko, aby zachować formalną konsekwencję w stosunku do zasady, że podstawowym źródłem Słownika poza wydaniami autoryzowanymi ma być Wydanie Narodowe.

Wiele utworów Mickiewicza przed wydrukowaniem w edycjach autoryzowanych pojawiło się w różnych czasopismach, almanachach lub wydawnictwach zbiorowych. Tekst owych pierwodruków (czy przedruków, bo były i takie) różni się nieraz znacznie od tekstu edycji autoryzowanej. W tych wypadkach jednak słownictwo, które występuje tylko we wspomnianych wydawnictwach, ale nie weszło do tekstu autoryzowanego, uwzględnione w Słowniku nie będzie. Wystarczającym uzasadnieniem takiej decyzji jest nie tylko fakt, że redaktorowie owych czasopism i almanachów pozwalali sobie na samowolne zmiany tekstów powierzonych im do druku, ale również i to, że sam Mickiewicz nieraz ich upoważniał do robienia tego rodzaju niekontrolowanych przez autora trawestacji.

Słownictwo autografów zostało wyzyskane w najszerszej mierze, na jaką tylko stan danego autografu pozwalał. Autografy były dostępne zespołowi Słownika tylko w postaci fotokopii, co na pewno musiało się odbić i na wynikach pracy. Fotokopia nie może oddać duktu pióra i w wypadkach skomplikowanych kreśleń i poprawek czynionych przez autora nie pozwala na ustalenie, co naprawdę zostało napisane. Ale na to już nie ma rady. Gorzej, gdy ani autograf, ani jego fototypiczna podobizna nie mogły być podstawą pracy zbierackiej, tylko wydanie autografu. Tak się rzecz miała z tzw. Albumem Moszyńskiego, którego właściciele już przed wojną nie chcieli udostępnić historykom literatury i którego losy są dziś nieznane. Trzeba było więc poprzestać na tym, co w swoim czasie ogłosił Bronisław Gubrynowicz. Z drugiej ręki zaczerpnięty został też materiał wariantów do niektórych drobnych utworów. Niezwykle cennym źródłem był w tym wypadku aparat krytyczny do I tomu Wyd. Sejm., opracowany przez Wacława Borowego i wypożyczony zespołowi Słownika przez redakcję Wydania Narodowego; z tego aparatu trzeba było więc wziąć materiał oparty na niedostępnych lub nieistniejących już przekazach rękopiśmiennych, polegając na sumienności filologicznej jego twórcy.

A teraz pytanie, co z rzeczy umieszczanych zazwyczaj w zbiorowych wydaniach Mickiewicza nie mogło być uznane za źródło Słownika Mickiewiczowskiego? Przede wszystkim więc wszelkie improwizacje, ponieważ są to teksty zapisywane cudzą ręką i nigdy nie zostały przez samego poetę ani skontrolowane, ani uznane za autentyczne. Wydania zbiorowe, które pomieszczają te improwizacje (nie wyłączając Wydania Narodowego), ograniczają się do zacytowania jednej z wielu wersji takiego utworu, wcale nie posiadającej za sobą więcej autentyczności niż wersje inne, które nie zdołały się w tym samym stopniu spopularyzować.

Z tego samego powodu, z którego notowane obcą ręką improwizacje nie mogą być źródłem Słownika, nie podobna uznać też za autentyczne źródło słownictwa poety jego przemówień w Kole Towiańczyków. Wiemy, że Mickiewicz ich nie pisał przed wygłoszeniem ani nie sprawdzał cudzych notatek po wygłoszeniu. Jako źródło historyczne mogą one mieć pewną wartość, ponieważ odtwarzają zapewne ogólny sens tego, co Mickiewicz do członków Koła mówił, ale nie podobna oczekiwać, żeby tekst przemówień w tej formie, w jakiej do nas doszedł, mógł wiernie odtwarzać autentyczną szatę językową. Dla Słownika zatem nie posiadają one żadnej wartości.

Z kolei sprawa tzw. bazy tekstowej Słownika. Chodzi o to, który cytat w razie różnic między wydaniami autoryzowanymi będzie figurować jako tekst podstawowy, a który jako wariant określonego wydania. Nawiązując do cytowanej wyżej różnicy brzmienia w. 294 *Tukaja* w poszczególnych edycjach, można by zapytać, czy za wariant uznany będzie tekst zawierający słowo c h y c h n ą ł, czy ten, gdzie figuruje c z m y c h n ą ł. Powiedziane było wyżej, że Słownik nie będzie zajmować stanowiska w nader trudnych i złożonych problemach tekstologii Mickiewiczowskiej, tymczasem może się zdawać, że taki czy inny wybór owej „bazy tekstowej" zmusza do zajęcia tu stanowiska i zadaje kłam przytoczonemu przed chwilą powiedzeniu. Ale jest to tylko pozorna niekonsekwencja.

Istnieje bowiem różnica między tekstem „kanonicznym" w pojęciu edytorskim a tekstem przydatnym dla Słownika. Nie byłoby jej wcale, gdyby podstawą Słownika było jakieś wydanie krytyczne dzieł Mickiewicza, zasługujące na zaszczytny tytuł *„ne varietur"*. Na razie jest to sprawa przyszłości i należy oczekiwać, że Słownik Mickiewiczowski dzięki swemu materiałowi porównawczemu odegra kiedyś dużą rolę w opracowaniu takiego wydania. Tymczasem jednak Słownik musiał oprzeć się na źródłach historycznych (tj. wydaniach autoryzowanych za życia poety). W obecnej chwili precyzyjne wniknięcie w zalety i wady poszczególnych wydań autoryzowanych, a co za tym idzie, ustalenie ich wartości dla definitywnego opracowania tekstologii Mickiewiczowskiej jest zadaniem zgoła jeszcze nie wykonanym. Innymi słowy wartościowanie autoryzowanych edycji dla definitywnego ustalenia tekstów naszego poety nie mogło rozstrzygać o ich przydatności dla celów Słownika, bo samo to wartościowanie jest jeszcze sprawą sporną. Musiały tu więc decydować inne kryteria, a mianowicie kompletność tekstu i zgodność z właściwościami językowymi Mickiewicza. Gdy porównać ze sobą *Dziady* wileńsko-kowieńskie w wydaniu wileńskim i petersburskim, będziemy musieli stwierdzić, że petersburskie, aczkolwiek kontrolowane (teoretycznie!) w korekcie przez samego autora i stąd ze stanowiska edytorskich zasad bardziej nas obowiązujące, jest nieporównanie mniej poprawne od wileńskiego. Największym jego brakiem jest opuszczenie 4 wierszy z II cz. (224, 516, 528, 529) i 3 wierszy z IV części (729, 734, 1092). Opuszczenie to nie jest w żadnym wypadku celowe, jest tylko wynikiem niedbałej korekty. Ze stanowiska edytorskiego takiemu brakowi zaradzić łatwo: przygotowując tekst poprawny przywracamy pominięte wiersze na podstawie innych wydań autoryzowanych, ale z chwilą gdy dana edycja traktowana jest jako źródło historyczne słownictwa poety, nie podobna z niej cytować tego, czego ona nie zawiera. Ale w takim razie przyjmując wydanie petersburskie jako bazę tekstową Słownika bylibyśmy zmuszeni traktować opuszczone wiersze jako odmiany innych wydań, podczas gdy ze stanowiska edytorskiego muszą się one znaleźć w każdym tekście poprawnym. Tak więc chcąc dobierać bazę tekstową Słownika według kryteriów, które byłyby tu obowiązujące ze stanowiska zasad edytorskich, skrzywilibyśmy obraz tekstu *Dziadów* wileńsko-kowieńskich. To, co winno być integralną częścią kanonicznego tekstu, podane byłoby jako odmiana.

W świetle powyższych wywodów zrozumiałą rzeczą będzie, że przy wyborze tych czy innych edycji jako bazy tekstowej Słownika nie kierowano się jakąś sztywną zasadą ani nie uważano za jedyne kryterium wyboru tych względów, które rozstrzygają w praktyce edytorskiej. Dla celów pracy słownikowej trzeba było stworzyć kryteria specjalne, wypływające z zadań Słownika, nie zaś z problematyki edytorskiej, dla której Słownik może dostarczyć materiałów, ale nie rozstrzygnięć.

Nie wnikając w szczegółowe argumenty, którymi redakcja Słownika kierowała się przy wyborze tych czy innych wydań autoryzowanych jako źródła tekstu podstawowego, stwierdźmy, że bazę tekstową ogromnej większości utworów Mickiewicza Słownik czerpie z autoryzowanych p i e r w o d r u k ó w. Z d r u g i e g o wydania za życia autora zaczerpnięta została baza tekstowa jedynie dzieł następujących: *Ballad* i *romansów* (wliczając w to i do-

łączone do nich w 1822 r. wiersze), *Do Joachima Lelewela, Konrada Wallenroda, Dziadów* cz. III oraz *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa.*

Jest rzeczą możliwą, że w świetle dalszego rozwoju tekstologii Mickiewiczowskiej i poznania jego języka wybór bazy tekstowej Słownika zostanie uznany w niektórych wypadkach za błędny. Gdyby tak się kiedyś stało, tego rodzaju niedostatek Słownika nie zaważy na jego podstawowym znaczeniu i wartości, ponieważ i tak wszystkie słowa użyte przez poetę w wydaniach autoryzowanych znajdą się pod odpowiednimi hasłami, a taki czy inny wybór bazy tekstowej w Słowniku nie przesądza wcale — jak to było zaznaczone — o tym, że podane w Słowniku brzmienie tekstu jest obowiązujące ze stanowiska poprawności edytorskiej.

4. SEMANTYKA I TEKSTOLOGIA MICKIEWICZA W ŚWIETLE DOTYCHCZASOWEJ PRACY NAD SŁOWNIKIEM MICKIEWICZOWSKIM

Jak pisałem wyżej, opracowanie Słownika pochłonie zapewne około 10 lat zespołowego trudu, ale już dzisiaj, gdy jesteśmy zaledwie u początku, odkrywają się wspaniałe perspektywy w zakresie dwóch kapitalnych spraw, a mianowicie: ustalenia semantyki Mickiewicza i ustalenia poprawnego tekstu jego dzieł. Pisałem o tym już gdzie indziej *, więc na tym miejscu ograniczę się tylko do przykładowego omówienia wymienionych spraw.

Że Mickiewicz używa wielu słów w znaczeniu odbiegającym od dzisiejszego, o tym dowiaduje się już uczeń szkoły średniej. W znacznie większym zakresie zdaje sobie z tego sprawę przeciętny polonista, ale trzeba było dopiero materiału porównawczego, jakiego dostarcza Słownik, aby sobie zdać sprawę z nieoczekiwanego zasięgu tego zjawiska. Zilustrujemy to na jednym jedynym przykładzie bardzo pospolitego i do dziś dnia często używanego słowa d ą s a ć s i ę.

Do najbardziej chyba znanych i często cytowanych dzieł Mickiewicza należą *Sonety krymskie*. Otwórzmy więc ich tomik i zatrzymajmy się na sonecie *Żegluga*. Pierwsza jego strofa nawiązując do poprzedniego, gdzie była mowa o ciszy morskiej, przygotowuje nas do obrazu żeglugi. Przynosi ten obraz strofa druga, odtwarzająca ruch okrętu na silnie rozkołysanym morzu:

> Wiatr! — wiatr! — dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
> Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci,
> Wznosi kark, zdeptał fale i skróś niebios leci,
> Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

Nie ma chyba czytelnika, którego by nie zaskoczyła ta dziwna metafora: d ą s a s i ę okręt. Wedle przyjętego powszechnie odczucia d ą s a ć s i ę to znaczy okazywać niezadowolenie wyrazem twarzy. Linde określa słowo d ą s jako sapanie z gniewu, dęcie, kwasienie się, marszczenie się na kogoś, stawienie kozła, stąd d ą s a ć s i ę — krzywić się na kogo, sapać z gniewu, co

* *Zagadnienie emendacji tekstów Mickiewicza* — „Pamiętnik Literacki", 1954, zesz. 3; *Staropolszczyzna w języku Adama Mickiewicza* — tamże, 1955, zesz. 1.

tak czy inaczej pokrywa się z okazywaniem gniewu za pomocą wyrazu twarzy. Odsyła też Linde do hasła dąć, co się pokrywa z wynikami najnowszych badań etymologicznych (por. Słownik Etymol. F. Sławskiego, s. 141). Przykłady u Lindego sięgają XVII w. i nie sugerują więcej niż to, co daje objaśnienie samego autora słownika. Słownik warszawski nie tylko nie rozszerza w tym punkcie naszej wiedzy, ale daje nieporównanie mniej niż Linde. Dowiadujemy się wprawdzie, że dąsać się to znaczy stroić fochy, grymasić, gniewać się, krzywić się, kaprysić, co jest zilustrowane przepisanym z Lindego przykładem z bajki Krasickiego: „Niechaj się nigdy słaby na mocnych nie dąsa". Wszystko to oczywiście nie wyjaśnia nam wcale pochodzenia ani możliwości metafory o dąsającym się okręcie.

Wyjaśnienie takie może dać dopiero zestawienie innych zastosowań tego słowa w twórczości Mickiewicza. Posłuchajmy więc:

Sonet *Strzelec*, w. 9—11:

> Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaima
> Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał;
> Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma...

Dziady cz. III, sc. 3 w. 4—5 (mowa o Konradzie opętanym przez złego ducha):

> Dla Boga, on osłabiał, patrz — miota się, dąsa;
> To jest wielka choroba, patrz, on usta kąsa.

tamże w. 47—48 (mowa o ludziach, których dręczył przed samą śmiercią strach):

> ... dość spojrzeć na zamarłe czoło,
> Aby widzieć, że dusza dąsa się i lęka,
> Gardzi bólem i cierpi, i wieczna jej męka.

Pan Tadeusz, III, w. 576—577 (podczas rozmowy Hrabiego z Telimeną o cudach obcej przyrody):

> Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,
> Na koniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

tamże, VIII, w. 745 (w odpowiedzi na groźby Gerwazego skierowane do Protazego):

> Gerwazeńku, rzekł Woźny, po co się tak dąsać...

tamże, IX, w. 66 i 99 (podczas wiązania szlachty Dobrzyńskich przez jegrów):

> Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota.

tamże, IX, w. 593—594 (na widok spustoszenia, jakie sieje Tadeusz strzelając do oficerów rosyjskich):

> ... za czym Ryków gniewa się i dąsa,
> Tupa nogami, szpady swej rękojeść kąsa.

Giaur. Przedmowa tłumacza: „(Byron) pasował się ze wszystkimi trudnościami dogmatów i tradycyj, klął i dąsał się jak tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać."
tamże, w. 418—423:

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem
Jest jak skorpijon opasany żarem;
Krąg coraz mocniej zwęża się i błyska,
I więźnia coraz gwałtowniej dociska,
Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,
Skorpijon cierpi, dąsa się — i wścieka.

Przytoczone teksty świadczą, że u Mickiewicza słowo dąsać się ma charakter wybitnie dynamiczny. Łączy się ono w synonimiczny szereg ze słowami, jak: zżymać się, gniewać się, wściekać się, miotać się, kląć, jak również z opisem gwałtownych reakcji zewnętrznych, towarzyszących dąsaniu się, takich, jak tupanie nogami ze złości, kąsanie rękojeści własnej szpady, kąsanie własnych ust czy wściekłe szamotanie się skorpiona otoczonego żarem. Z tych zestawień mamy prawo wysnuć wniosek, że dąsać się znaczy u Mickiewicza okazywać bardzo silne przeżycie gwałtowną gestykulacją całego ciała, miotać się, ciskać, skręcać z bólu i cierpienia (jak w cytacie *Dziady* cz. III, sc. 3, w. 47—48) albo z gniewu lub podrażnienia (jak Tadeusz podczas rozmowy Hrabiego z Telimeną o włoskiej przyrodzie). W tym świetle metafora dąsającego się okrętu staje się najzupełniej zrozumiała. Dąsanie się to wymienia poeta wcześniej niż zerwanie się z wędzidła, czyli podniesienie kotwicy przed rozpoczęciem żeglugi. Rozkołysane wiatrem fale miotają okrętem przytrzymywanym jeszcze przez kotwicę, więc okręt się dąsa, póki skrzydła żagli nie wprawiły go w pęd.

Po tym ustaleniu nabierze właściwego sensu urywek wiersza filomackiego, gdzie jest mowa o czynach Jazona:

Wszak nie miał barki z dębu ni serca ze stali
Frygijczyk, co się pierwszy chytrej zwierzał fali,
A w zawody na złomnym puściwszy się drewnie,
Choć nań nieba i piekła dąsały się gniewnie,
W własnych dzielnościach ufny, śmiałych żądań pełny,
Nieba i piekła zwalczył, złotej dostał wełny.

Teraz rozumiemy, że dąsanie się niebios i piekieł nie było tylko wyrazem niezadowolenia na twarzy bogów, lecz synonimem rozpętania żywiołów mających zgubić przedsiębiorczego Frygijczyka.

Tak więc szczegółowa analiza wszystkich zastosowań pewnego wyrazu w całej twórczości poety ujawnia nam rzeczywisty sens, w jakim słowo to u niego występuje. I takich przykładów można już dziś cytować setki. W świetle materiału porównawczego Słownika okazuje się, że przeciętny czytelnik tylko pozornie rozumie tekst wielu urywków w dziełach Mickiewicza. Język rodzinnych stron poety zachował bardzo liczne właściwości staropolszczyzny, stąd też wiele wyrazów w utworach Mickiewicza dopiero

wtedy oddaje intencję autora, gdy się oder viemy od ich znaczenia dzisiejszego i podstawimy pod nie sens staropolski.

A teraz sprawa ustalenia poprawnego tekstu naszego poety. Mickiewicz, póki tworzył jakieś dzieło, nie żałował trudu, żeby je jak najbardziej wydoskonalić. Świadczą o tym autografy. Pierwszy rzut wielu utworów różni się ogromnie od ich redakcji ostatecznej. Ale ten sam pracowity poeta nie umiał się zmusić do porządnego robienia korekty. Nienawidził tej czynności i chętnie wyręczał się w tym względzie pomocą przyjaciół. Stąd źródło niesłychanej ilości błędów w wydaniach, które formalnie uchodzą za kontrolowane przez autora, a więc obowiązujące dla późniejszych wydawców. Otóż ten sam materiał porównawczy, który pozwala w jednych wypadkach dotrzeć do właściwego znaczenia słów użytych przez Mickiewicza, w innych znowu umożliwia wykrycie obcej ręki w jego tekstach. Możemy dziś ustalić z całą pewnością, że pewne wyrazy czy pewne postaci wyrazów są albo błędem zecerskim, albo wynikiem poprawek wprowadzanych przez postronnego korektora. Ograniczę się znowu do jednego charakterystycznego przykładu.

Oto podczas burzliwej sceny, która zakłóciła wieczerzę w zamku (ks. V), Protazy ogłasza, że on jako woźny robi „w o ź n e ń s k ą obdukcyją" (w. 634). Tak brzmi ów przymiotnik w pierwodruku. Ale w autografie mamy w tym miejscu wyraźnie „woźnieńską". Więc co tu zachodzi: poprawka dokonana w korekcie przez poetę czy poprawka Jańskiego, który Mickiewiczowi w korekcie pomagał, czy wreszcie błąd zecerski? Odpowiedź daje materiał porównawczy. Oto przymiotnik ten wraca w *Panu Tadeuszu* jeszcze trzy razy: V, w.779; VI, w. 91 i 327, przy czym zarówno autograf jak i pierwodruk mają w owych miejscach konsekwentnie formę w o ź n i e ń s k i. Wynika stąd, że postać w o ź n e ń s k i w żadnym razie nie pochodzi od Mickiewicza, a gdyby była poprawką Jańskiego, to zaniechaną w wypadkach następnych, a więc uznaną przezeń za błąd. Ale najprawdopodobniej jest to zwykła omyłka zecerska przeoczona w korekcie. Usunięcie jej, jak i wielu innych w tym rodzaju, staje się możliwe dzięki Słownikowi Mickiewiczowskiemu.

W jakim stopniu Słownik zaważy kiedyś na interpretacji dzieł Mickiewicza w zakresie ich najgłębszego sensu i na pogłębionym ujęciu artyzmu naszego poety, trudno dziś przepowiadać. Ale skoro dzięki niemu będziemy mogli uzyskać autentyczny tekst Mickiewicza i autentyczny sens użytych przez niego wyrazów, to jest rzeczą jasną, że dopiero Słownik Mickiewiczowski umożliwi formułowanie udokumentowanych i społecznie sprawdzalnych sądów o twórczości poety.

Konrad Górski

DWA DOKUMENTY

Archiwum Polskiej Akademii Nauk posiada fotokopie dwóch dokumentów, odnoszących się do działalności Adama Mickiewicza z czasów jego wykładów w Collège de France w roku 1844. Oryginały tych dokumentów przechowywane są w archiwum francuskiego Ministerstwa Oświaty. Reprodukowane tu fotokopie ofiarował w roku 1946 ówczesnemu ambasadorowi polskiemu w Paryżu, dr. Stanisławowi Skrzeszewskiemu, znany polityk i uczony francuski, Edward Herriot.

Te dwa dokumenty — to dwa epizody bardzo ciekawej sprawy.

W roku 1840 Leon Faucher, ekonomista i polityk, b. redaktor głośnego dziennika „*Constitutionnel*" ożeniony z Aleksandryną Wołowską, krewną żony Adama Mickiewicza, rzucił pierwszy myśl utworzenia w Collège de France katedry literatur słowiańskich, mając na uwadze kandydaturę twórcy *Pana Tadeusza*. Dnia 1 marca 1840, w gabinecie sformowanym przez Thiersa, ministrem oświaty został filozof Victor Cousin, zjednany dla tej myśli jeszcze przed objęciem swego stanowiska.

Jakoż, dzięki wspólnym wysiłkom Cousina, Fauchera i Czartoryskiego, projekt wniesiony w kwietniu pod obrady Izby Deputowanych uzyskał 12 czerwca 1840 r. większość 198 głosów przeciw 91. Izba Parów przyjęła go także 64 głosami na 98 wotujących. Na utworzoną katedrę powołał Cousin Mickiewicza, przełamawszy opór króla, którego zmusił do podpisania dekretu nominacyjnego groźbą przesilenia rządowego.

22 grudnia 1840 roku odbył się pierwszy wykład Mickiewicza, powitany entuzjastycznie przez słuchaczów, prasę i opinię francuską.

W następnych jednak latach, w miarę ściślejszego wiązania się Mickiewicza z nauką Towiańskiego — wykładowca począł z katedry szerzyć idee towianizmu i idee napoleońskie, zrażając sobie tym część opinii publicznej, zarówno polskiej jak i francuskiej.

Wykładami Mickiewicza oraz innych profesorów Francuzów zainteresowały się sfery polityczne, a także i policja paryska, gdyż na wykładach dochodziło do burzliwych manifestacji. W archiwach ministerstw oświaty i spraw wewnętrznych zaczęły się gromadzić dokumenty odnoszące się do sprawy Mickiewicza. Wśród tych dokumentów znalazły się i raporty policji paryskiej, a także jej polskich agentów.

Syn Adama Mickiewicza, Władysław, notuje w swych *Pamiętnikach*, że we wrześniu 1870 roku miał sposobność przeglądania *dossier* swego ojca w prefekturze policji paryskiej; dowiedział się także, że inne dokumenty znajdują się w archiwach narodowych. *Dossier* Adama Mickiewicza nosi numer 7, 738 X 5. Udzielono mu z tego źródła część mniejszej wagi dokumentów — kilka z nich, nie wiadomo czy wszystkie, ogłosił on później w książce *Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre.*

Pochodzą one z różnych czasów. Przytoczmy ważniejsze fragmenty. Raport z dnia 4 maja 1844 roku donosi, że „Mickiewicz zamienia katedrę swoją w mównicę, a powierzony mu wykład literacki w wykład polityczny". „Zapewniają — głosi raport policji z dn. 3 kwietnia 1845 roku — że P. Mickiewicz odgraża się teraz, iż pewnego pięknego poranku wstąpi na katedrę, aby zrobić demonstrację taką, o jakiej Europa jeszcze nie słyszała; twierdzi, że nie jest zawieszony i że prosty kaprys administracji nie jest urzędowym rozporządzeniem, któremu miałby się poddać." 20 grudnia 1847 roku policja przekazała ministrowi spraw wewnętrznych, hr. Duchâtel, następujący wyciąg z raportu policyjnego: „Jest powszechnie znane, że sekta Towiańskiego wyraża się o Francji z goryczą, mówiąc, że kraj ten pogrąża się w materializmie, poddaje się duchom angielskim i niemieckim, co jest samolubne i niskie..."

Reprodukowany na tym miejscu list do ministra oświaty z 27 maja 1844 r. jest albo oparty na raporcie policji z 21 maja, albo też jest jego *pendant.* W raporcie tym agent donosił prefektowi policji, że „na wykładach Mickiewicza amfiteatr przepełniony, że wielu Francuzów miesza się z Polakami, że egzaltacja na ostatniej lekcji była nadzwyczajna. Jedna prosta kobieta, znajdująca się przy katedrze, straciła przytomność; inna kobieta rzuciła się na kolana krzycząc: Niech żyje Adam Mickiewicz! Reszta Pań (było ich ze trzydzieści) wielkie okazywała wzruszenie".

Z przebiegu owych zajść na wykładzie w dniu 21 maja mamy także relację Bohdana Zaleskiego, wyrażoną w liście do Kajsiewicza 23 maja: „Nasz Adam na przedostatniej swej lekcji zapowiedział swoją ostatnią. Dotąd, rzekł, mówiłem o różnych ludziach, teraz powiem o jednym, lecz czy o jednym człowieku, czy o jednym narodzie, niejasno się wyraził. Jakaś Francuzka rozmarzona wymową jego na przeszłej lekcji, porwała się i darła ku katedrze, żeby go ucałować, a nie mogąc się przedrzeć, padła i długo wrzeszczała: *Oui, oui, c'est vrai!* Mickiewicz przerwał jej, mówiąc: „Przyjmuję te słowa jako szanowne świadectwo i są mi one dowodem, że com powiedział, było tylko wyrażeniem uczuć waszych i głos francuski przyświadczył mi."

Jeszcze inną relację znajdujemy w *„Dzienniku Narodowym"* z dnia 25 maja 1844 roku: „Potężne słowa, poruszające obrazy, wywołały kilkakrotne oklaski zgromadzenia i pod koniec lekcji widzieliśmy powtórzenie sceny, jaka miała miejsce 19 marca. Dwie młode kobiety, zerwawszy się, przyskoczyły do katedry ze złożonymi konwulsyjnie rękoma, jedna z nich wkrótce usiadła, druga coś mówiła drżącym, jakby rozpaczającym głosem, klękała i zrywała się, nareszcie opadła na ziemię i publiczność słyszała tylko przytłumione łkanie, podczas kiedy professor, powiedziawszy słów kilka stosownych do wydarzenia, kończył spokojnie swoją lekcją, bo professor jest przyzwyczajony do podobnych scen na prywatnych Towiańczyków schadzkach."

Drugi z reprodukowanych tu dokumentów dotyczy wydarzeń, jakie rozgrywały się już po zakończeniu wykładów Mickiewicza w Collège de France (ostatnia lekcja odbyła się 28 maja 1844 roku). Mowa w nim o jednej z manifestacji, jakie młodzież francuska organizowała na cześć Mickiewicza. Postanowiła ona, drogą subskrypcji, wybić medal dla uczczenia Mickiewicza, Quineta i Micheleta. Tak się też stało. Podany w reprodukowanym liście fakt odwiedzin studentów u Quineta i Mickiewicza w dniu 20 czerwca jest prawdziwy. Delegacja młodzieży przybyła złożyć hołd profesorom i prosić ich, aby pozwolili znakomitemu sztycharzowi, Maurycemu Walentemu Borrelowi, modelować ich rysy z natury. Tegoż 20 czerwca dzienniki francuskie *„Le National"* i *„La Reforme"* ogłosiły o zbieraniu na ten cel składek.

Autor reprodukowanego listu, podsekretarz stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych, nie po raz pierwszy już występował w sprawie Mickiewicza. Już po głośnym wykładzie marcowym prosił ministra oświaty, aby położył kres atakom Mickiewicza na rząd i porządek społeczny; gdyby Mickiewicz nie poddał się temu, zagroził zastosowaniem sankcji ustawy o emigrantach (pismo to opublikował E. Krakowski: *Adam Mickiewicz, philosophe mystique.* Paryż, 1935).

Ministrem oświaty od roku 1839 do 1 lutego 1845 (z krótką przerwą) był życzliwy Polakom i Mickiewiczowi krytyk i historyk literatury, Abel Franciszek Villemain, sympatyk Rousseau, dobrodziej Biblioteki Polskiej w Paryżu. Kilkakrotnie uprzedzał on Mickiewicza o niebezpieczeństwie i próbował zwrócić go na katedrze Kolegium ku pracy czysto naukowej. Od niego też, jak się wydaje, pochodzi przypisek na reprodukowanym dokumencie, traktujący z ironią propozycję ministra spraw wewnętrznych.

Villemain nie mógł już jednak uratować sprawy Mickiewicza, nabrała zbyt wielkiego rozgłosu i dzięki staraniom polityków reakcyjnych trafiła do Izby Deputowanych. Wszczął ją tam opozycjonista burboński, de l'Espinasse. Oto w wielkim skrócie przebieg debaty w Izbie dnia 9 lipca 1844 roku, według sprawozdań ówczesnych dzienników paryskich, głównie *„Moniteur Universel"* z 10 lipca.

De l'Espinasse: „Nie mogę pozwolić na głosowanie tej pozycji budżetu, nie zwróciwszy uwagi ministra oświaty na ważne i doniosłe zajścia podczas pewnych wykładów w Collège de France... Profesor powołany do nauczania... zajmuje się nową religią, którą wykłada ku wielkiemu zgorszeniu ludności paryskiej. Mnóstwo kobiet słucha tych wykładów i zachodziły tam wielokrotnie rzeczy wysoce nieprzyzwoite..."

Villemain: „Szanowny preopinant... oskarża cudzoziemca, któremu zwykła szlachetność Francji i jej szacunek dla nieszczęść i talentu dały katedrę w Collège de France... Podnoszę, że sławny cudzoziemiec, tak żywo zaczepiony przez Szanownego preopinanta, jest autorem pisma zatytułowanego: *Księgi pielgrzymstwa polskiego,* pisma bardzo religijnego, ogłoszonego i tłumaczonego z uniesieniem przez Pana de Montalembert... Nie mogę więc nie odepchnąć oskarżeń zwróconych przeciw cudzoziemcowi, przeciw nieobecnemu, przeciw poecie". (Przytakiwania.)

Glais-Bizoin: „Takie oskarżenia zaszczyt przynoszą."

De l'Espinasse: „Z całą pewnością, Panowie, pierwszym będę, by popierać Rząd, ilekroć przygarnie szlachetnych nieszczęśliwych, ale nie chcę, by dobre

Cabinet
de
Préfet de Police

Paris le 27 Mai 1841.

Monsieur le Ministre,

J'ai l'honneur de vous transmettre, pour faire suite à mes précédentes communications, quelques détails sur l'ouverture du dernier cours de M. Adam Mickiewicz, professeur de littérature slave au Collège de France.

" Le professeur Mickiewicz, dit le rapport qui m'est parvenu à ce sujet, " a longuement entretenu son auditoire " des douleurs et de l'affranchissement de " la Pologne. Il a parlé surtout de sa " mission qui est de s'adresser au génie " Français de la part du Génie Slave. Le " devoir de la France, s'est il écrié, est " de recevoir la nouvelle prophétie, le " Verbe nouveau pour ensuite le répandre " dans toute l'Europe. Vers la fin du " discours une femme s'est jetée à genoux

M. le Ministre de l'Instruction Publique &c.

« en s'écriant : Vive Adam ! Vive Mickiewicz !
« et est pour ainsi dire tombé en pamoison
« Les 29 ou 30 dames qui étaient présentes
« étaient fort émues, beaucoup d'entr'elles
« pleuraient. Le professeur ne s'occupe plus
« de littérature ; il est tout à fait chef de secte
« et ne vise qu'à faire des prosélytes »

Veuillez agréer, Monsieur le Ministre,
l'hommage de mon respect.

Le Bon de Jancy, Préfet de Police

J. Dupin

przyjęcie nieszczęśliwych cudzoziemców służyło im za zachętę i za pozór do zatruwania naszego narodu. (Oburzenie). Profesor, o którym mowa, jest autorem dzieła, które P. Minister zna bez wątpienia lepiej ode mnie, a które przeciwne jest przyjętym dotychczas ideom moralności i prawowierności... Nie wymienię tego dzieła. Zna je P. Minister. (Głosy: Wymień pan! Wymień pan!) Dzieło to, skoro Panowie chcecie, skoro mnie do tego zmuszacie, to zaprzeczenie wszystkich dogmatów, zawiera ono najsmutniejszą moralność i ojcowie rodzin zakazują zawsze swym dzieciom je czytać; dzieło, nie wyrażę tego nigdy z dostatecznym naciskiem, napisane szkaradnie..."

Burza w Izbie. Posłowie żądają, aby de l'Espinasse wymienił tytuł dzieła, które błotem obrzuca.

De l'Espinasse: „Jest to *Biesada* i winszuję wam, że nie czytaliście tego okropnego pisma." (Szemrania.)

Nazajutrz prasa paryska gorąco ujęła się za napastowanym poetą, wyjaśniając jednocześnie, iż nie ma on nic wspólnego z autorstwem *Biesiady*. Mickiewicz na katedrę jednak już nie wrócił i długo jeszcze ścigać go będą raporty policji paryskiej. W lutym 1845 r. Villemaina zastąpił na urzędzie ministra oświaty mniej życzliwy Mickiewiczowi historyk Sobieskiego — Salvandy. Z tą chwilą nadzieje na powrót do Kolegium zgasły.

1. P. DEUPIN, PREFEKT POLICJI, DO MINISTRA OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

Paryż, 27. V. 1844

Na drukowanym blankiecie urzędowym: Gabinet Prefekta Policji

Panie Ministrze,

Mam zaszczyt przekazać Panu, w ślad za uprzednimi moimi raportami, kilka szczegółów o jednym z ostatnich wykładów p. Adama Mickiewicza, profesora literatury słowiańskiej w Collège de France.

„Profesor Mickiewicz, powiada raport, jaki został mi na ten temat przedłożony, długo rozwodził się przed słuchaczami o cierpieniach i o wyzwoleniu Polski. Mówił głównie o swej misji, którą jest zwrócenie się do Ducha Francji w imieniu Ducha Słowiańszczyzny. Obowiązkiem Francji, wołał, jest przyjąć nowe objawienie, nowe słowo, by następnie rozszerzyć je po całej Europie. Pod koniec przemówienia jakaś kobieta rzuciła się na kolana wołając: Niech żyje Adam! Niech żyje Mickiewicz! i wpadła, rzec można, w omdlenie. 25 do 30 dam, które były obecne, było mocno wzruszonych, wiele z nich płakało. Profesor nie zajmuje się już literaturą, jest wyłącznie głową sekty i zmierza jedynie do pozyskiwania wyznawców."

Proszę przyjąć, Panie Ministrze, wyrazy mego głębokiego szacunku

Par Francji, Prefekt Policji
P. Deupin

P. Minister Oświecenia Publicznego

Ministère
de l'Intérieur.

Direction
de la Police générale.

Section
de la
Correspondance générale
et de la Police administrative

1er Bureau.

M. D.
répondu

Paris, le 26 Juin 1824.

Monsieur le Ministre et cher Collègue, plusieurs jeunes gens des Ecoles sont allés, le 20 de ce mois, visiter M. Quinet, Professeur au Collège de France. Quelques uns d'entre eux se sont ensuite rendus chez Mr. Mickiewicz, pour le complimenter à l'occasion de ses doctrines.

« Là des compliments ont été adressés « par quelques uns d'entre eux à « l'Apôtre fervent des doctrines de « Towianski. On assure que cette « dernière scène a eu lieu au milieu « des sanglots et des embrassements. »

Je crois devoir vous en donner avis, pour faire suite aux précédentes communications que j'ai eu l'honneur de vous adresser au sujet de M. Mickiewicz. Il vous appartient d'examiner s'il serait possible de prendre des mesures propres à empêcher de semblables manifestations.

Je ne se prend [illegible] des manifestations qui ont lieu [illegible]

Agréez, Monsieur le Ministre et cher Collègue, l'assurance de ma haute considération.

Pour le Ministre:
Le Sous Secrétaire d'Etat de l'Intérieur,

[signature]

M. le Ministre de l'Instruction publique.

2. PODSEKRETARZ STANU W MINISTERSTWIE SPRAW WEWNĘTRZNYCH DO MINISTRA OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

Paryż, 26. VI. 1844

Na drukowanym blankiecie urzędowym: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Dyrekcja Policji Ogólnej, Sekcja Korespondencji Ogólnej i Policji Administracyjnej, 1-sze Biuro.
Uwagi marginalne ręką odbiorcy: 1. pod nagłówkiem: Pan P. proszę odpowiedzieć. *2. obok ostatniego ustępu pisma:* Nie należy do mnie zajmowanie się manifestacjami, które odbywają się w prywatnym mieszkaniu.

Panie Ministrze i drogi Kolego, kilku młodych ludzi, studentów, poszło 20 bieżącego miesiąca odwiedzić p. Quinet, profesora Collège de France. Następnie kilku z nich udało się do p. Mickiewicza, by wyrazić mu uznanie z racji jego poglądów.

„Tutaj kilku z nich złożyło powinszowania gorącemu Apostołowi nauki Towiańskiego. Zapewniano, że ta ostatnia scena miała miejsce wśród [a]szlochań i uścisków[a]".

Uważam za swój obowiązek powiadomić o tym Pana, w ślad za poprzednimi informacjami, [b]które miałem zaszczyt Panu przesłać na temat p. Mickiewicza. Do Pana należy zbadanie, czy można by podjąć jakieś kroki zmierzające do zapobieżenia podobnym manifestacjom.[b]

Proszę przyjąć, Panie Ministrze i drogi Kolego, zapewnienia mego wysokiego poważania.

Za Ministra Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych

podpis nieczytelny

Pan Minister Oświecenia Publicznego

a — a podkreślone przez kopistę
b — b zakreślone pionowo na marginesie przez odbiorcę.

Opracował i podał do druku
Teofil Syga

„PAN TADEUSZ" W PRZEKŁADACH ROSYJSKICH

1

22 marca 1828 roku Mickiewicz pisze do Odyńca: „Chciałbym ci posłać tłumaczenie ruskie moich poezyj. Musiałbym wielką zrobić pakę. We wszystkich prawie lepszych almanakach (almanaków tu mnóstwo wychodzi) figurują moje *Sonety;* jest ich kilka całych przekładów. Jeden, podobno najlepszy, Kozłowa (tego, co pisał *Noc wenecką*), drukowany częściami, ma wyjść wkrótce.

Żukowski, z którym poznałem się i który, mnie bardzo przychylny, pisał, że jeśli weźmie jeszcze pióro, poświęci je tłumaczeniu moich wierszy. Puszkin wytłumaczył początek *Wallenroda,* wierszy kilkadziesiąt. Rosjanie gościnność rozciągają aż do poezji i przez grzeczność dla mnie tłumaczą mnie; gmin idzie w ślady naczelnych pisarzów. Już widziałem sonety rosyjskie w guście moich. Owóż sławy dosyć dla obudzenia zazdrości, chociaż ta sława wychodzi często zza stoła, przy którym jedliśmy i pijali z rosyjskimi literatami. Miałem szczęście zyskać ich względy. Mimo różnych mniemań i partyj literackich, ja ze wszystkimi w zgodzie i przyjaźni."

Ten fragment listu Mickiewicza cytuję tu na wstępie, charakteryzuje on bowiem nie tylko stosunek pisarzy rosyjskich do Mickiewicza, ale również postawę jego samego wobec swego literackiego powodzenia. Mickiewicz nie przesadzał. Trudno byłoby nawet wyliczyć przekłady, które w olbrzymiej ilości ukazywały się podczas jego pobytu w Rosji i wkrótce po wyjeździe. Niedługo to jednak trwało, bowiem już w 1834 r. fala tłumaczeń została powstrzymana przez wydany za sprawą Paskiewicza zakaz drukowania dzieł poety. Zakaz ten trwał aż do końca życia Mickiewicza. Jeszcze w 1853 r., w związku z wydaniem zbiorowym dzieł Kozłowa, cenzura zabrania nie tylko przedruku przekładów z Mickiewicza z podaniem nazwiska autora oryginału, lecz nawet dedykacji Kozłowa z wyrazami hołdu dla polskiego poety. Pomimo to poeci rosyjscy tłumaczą Mickiewicza dalej. Na przykład, nie wiadomo dokładnie, kiedy Lermontow tłumaczy *Widok gór ze stepów Kozłowa,* ale niewątpliwie przekład ten powstał już po zakazie Paskiewicza. Przy okazji nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Lermontow wzmocnił w swym przekładzie elementy stylu orientalnego zbliżając poetycko sonet Mickiewicza raczej do Puszkinowskich *Naśladowań Koranu.*

W drugiej połowie wieku XIX większość rosyjskich poetów tłumaczy Mickiewicza. Benediktow tłumaczy *Pana Tadeusza, Grażynę* i *Wallenroda,* Majkow trzy sonety krymskie, Fet — *Stepy Akermańskie, Świteziankę* i *Czaty;* Mej — ballady i fragmenty *Pana Tadeusza.* Przekłady Meja ukazywały się w czasopiśmie „*Moskwitianin*" w latach 1851 — 52, bez nazwiska Mickiewicza, jedynie z dopiskiem „z polskiego". Nawiasem mówiąc Mej usiłował wydać dwa tomy przekładów poezji Mickiewicza, co mu się, oczywiście, w tym czasie nie udało. Kontynuując listę wybitniejszych tłumaczy Mickiewicza, wspomnę, że Minajew przekładał wiersze liryczne, bajki i *Dziadów* cz. II, Danilewski *Farysa, Rozmowę* i *Do D. D.* Spis ten uzupełniają poeci-symboliści,

Bunin i Balmont. Bunin tworzy trzy doskonałe przekłady sonetów krymskich, Balmont między innymi tłumaczy *Rezygnację*, którą drukuje pod bardziej — jego zdaniem — odpowiednim tytułem *Zapomniana świątynia!*

Przytoczona tu lista tłumaczy i tłumaczeń obejmuje jedynie poetów, i to co wybitniejszych. Nie należy jednak zapominać, że główna zasługa przyswojenia poezji Mickiewicza językowi rosyjskiemu — przyswojenia, nie popularyzacji, bo popularyzowali ją właśnie znakomici poeci — przypada tłumaczom, których nazwiska nie zostały zanotowane w historii poezji rosyjskiej, a którzy pomimo to stworzyli przekłady wartościowe, do niedawna jeszcze przedrukowywane. Do liczby takich tłumaczy należą M. Berg i M. Siemionow. Analogiczne zjawisko obserwujemy u nas na przykładzie tłumaczenia *Oniegina* dokonanego przez Leo Belmonta, któremu należy przypisać zasługę szerokiej popularyzacji poematu Puszkina w Polsce. Przekład *Pana Tadeusza* pióra Berga, drukowany uprzednio we fragmentach w czasopismach „*Moskwitianin*" i „*Otieczestwiennyje Zapiski*", ukazał się w wydaniu książkowym w roku 1865 wraz z wyborem wierszy lirycznych, a oddzielnie w 1875 r. w Warszawie. Obszerny wybór poezji Mickiewicza wydał w roku 1885 M. Siemionow. Za przekłady swoje otrzymał Siemionow nagrodę im. Puszkina. Akademia Nauk oceniła je jako „wierną, bliską, poetycką i artystyczną transpozycję oryginału". Jeśli przekłady Berga nie zawsze są wierne, a wielką ich wadą jest tendencja do „rusyfikowania" oryginału, to tłumaczenia Siemionowa odznaczają się maksymalną wiernością zarówno w treści jak i w obrazowaniu.

Interesująca jest droga, na której Siemionow po raz pierwszy zetknął się z twórczością Mickiewicza. Historię tę opowiada we wspomnieniach swoich S. Librowicz — podaję ją na podstawie szkicu Marka Żywowa o recepcji Mickiewicza w Rosji, zamieszczonego w wyborze poezji Mickiewicza z roku 1946. Siemionow po powstaniu 1863 r. został mianowany przez rząd carski prokuratorem w Wilnie. Lustrując pewnego razu więzienie, zastał w celi skazańców młodego więźnia, który deklamował wiersze. Na zapytanie, czy nie ma jakichś życzeń, odpowiedział: „Jeśli można, niech pan się postara, panie prokuratorze, by mi dostarczono tomik poezji Mickiewicza; przed śmiercią chciałbym jeszcze raz przeczytać cudowne wiersze naszego poety". Siemionowa zastanowiła niezwykła prośba, zaczął częściej odwiedzać młodego skazańca i w rezultacie rozmów z nim wystarał się o zmianę wyroku, a sam tak przejął się poezją Mickiewicza, że nauczył się języka polskiego, ażeby móc tłumaczyć. „Byłem w dwójnasób szczęśliwy — mówił — po pierwsze, nie został wykonany jeden z wyroków śmierci, po drugie — całe moje życie osobiste okrasiła gorąca miłość do polskiego poety."

Pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza po rosyjsku podjął w roku 1879 Maurycy Wolff. Już w 1863 r., kiedy ukazało się nakładem Wolffa w Paryżu sześciotomowe wydanie dzieł Mickiewicza, jednocześnie Wolff wydaje *Grażynę* i *Konrada Wallenroda* w tłumaczeniu rosyjskim Benediktowa, z ilustracjami Tysewicza. Redaktorem rosyjskiego wydania zbiorowego był Piotr Polewoj, syn Mikołaja, były profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Wolff przez długie lata zbierał po czasopismach przekłady utworów Mickiewicza, ale dopiero gdy zapoznał się z tłumaczeniami Siemionowa, mógł pomyśleć o stosunkowo pełnym zasobie utworów, które by weszły do projektowanego wydania. Ukazało się ono w latach 1882—83, w pięciu tomach. Po wydaniu pierwszego tomu w 1882 r., warszawskie „*Słowo*" uznało je jako: „pierwszą cegiełkę poważnej i pożytecznej, humanitarnej misji budzenia w narodzie rosyjskim sympatii dla literatury polskiej", a Józef Ignacy Kraszewski stwierdzał w liście do Wolffa, że „na tej pokojowej drodze wzajemnego poznania najlepiej nawiązują się dobre stosunki..."

Nową epokę w dziejach tłumaczeń Mickiewicza na język rosyjski stanowią wydane w 1929 r. *Utwory wybrane* ze wstępem Anatola Łunaczarskiego, z obszernym życiorysem Mickiewicza i z komentarzami pióra Anatola Winogradowa oraz z komentarzami rzeczowymi Sergiusza Sołowiowa. Łunaczarski podkreśla wielkość Mickiewicza, jego znaczenie w poezji europejskiej, postawę wyraźnie rewolucyjną i postępową, wreszcie umiejętność rozróżniania pomiędzy Rosją carskiej tyranii a Rosją

postępu, z którą nic go nie dzieliło, a wiele łączyło. Tom zawiera wybór ballad i romansów, sonety krymskie w przekładach dawnych i Sołowiowa, krótkie fragmenty z Drugiej i Czwartej Części *Dziadów* oraz całego *Wallenroda* również w tłumaczeniu tegoż, zresztą nieszczególnego przekładowcy. Poza tym znajdujemy tam fragmenty z *Pana Tadeusza* — przez Berga i, co najważniejsze i najciekawsze, duże urywki Trzeciej Części *Dziadów*, między innymi *Bal u senatora*, tłumaczone po raz pierwszy na język rosyjski.

W 1943 roku, w okresie największych zmagań z najazdem hitlerowskim, ukazuje się w Moskwie szczupły tomik przekładów poezyj Mickiewicza z przedmową E. Usijewicz. Tomik otwiera przekład *Do przyjaciół Moskali* pióra W. Lewika, następnie idą przekłady sześciu ballad, między innymi znane Puszkinowskie tłumaczenie *Czatów* i *Trzech Budrysów* oraz *Świtezianka* w przekładzie Feta. Kilka przypadkowo dobranych wierszy i kilka sonetów krymskich (pomiędzy nimi piękny przekład *Stepów Akermańskich* pióra Bunina) reprezentują lirykę. Z poematów znajdujemy tu dwa fragmenty z *Konrada Wallenroda* i krótki urywek z *Pana Tadeusza* tłumaczony przez I. Aksienowa, ciekawy ze względu na nowe, odrębne rozwiązanie rytmiczne. Tomik ten wraz z wydaną osobno w następnym roku *Grażyną*, tłumaczoną wierszem sylabicznym przez A. Kowalenskiego, oraz z drukowanym w bibliotece „*Ogońka*" w nakładzie 150.000 egzemplarzy szczupłym popularnym wyborem pod redakcją A. Surkowa — zamyka przygotowawczy okres dziejów tłumaczeń utworów Mickiewicza w Rosji Radzieckiej.

Wybór liryk, ballad i poematów Adama Mickiewicza, wydany w roku 1946 w Moskwie w nakładzie 25 000 egzemplarzy, pod redakcją Maksyma Rylskiego i Borysa Turganowa, dał możność społeczeństwu radzieckiemu dokładniej zapoznać się z twórczością wielkiego poety polskiego. Książkę poprzedza obszerna rozprawa o recepcji poezji Mickiewicza w Rosji, napisana przez Marka Żywowa. Wybór uwzględnia najlepsze przekłady z poezji Mickiewicza, jakie ukazały się na przestrzeni przeszło stu lat. *Pan Tadeusz* w tomie tym został podany w skrócie, tłumaczony przez Zuzannę Mar. Poza tym wydanie to zawiera jeszcze jedną ciekawostkę, a mianowicie Kowalenski, niezadowolony zapewne ze swego przekładu *Grażyny* wierszem sylabicznym, prezentuje tu nowy, trzeba przyznać, znacznie ulepszony przekład, dokonany pięciostopowym jambem.

Kapitalnym dziełem, sumującym dotychczasowe wysiłki rosyjskiej mickiewiczologii, jest pięciotomowe zbiorowe wydanie utworów Mickiewicza, również pod naczelną redakcją Maksyma Rylskiego. Wydanie to, którego pierwszy tom ukazał się w r. 1948, zostało zakończone w r. 1954. Nie uwzględnia ono dawnych, choćby nawet znakomitych, przekładów, podając wszystkie utwory w tłumaczeniach współczesnych. Wyjątek uczyniono jedynie dla dwóch ballad przełożonych przez Puszkina. *Pan Tadeusz* ukazał się w całości, jako drugi tom tego wydania, w tłumaczeniu Zuzanny Mar. Nie miejsce tu na merytoryczne omówienie obu tych bardzo poważnych wydań, wymagają one obszernego studium. W tymże 1954 r. ukazał się jeszcze jeden przekład *Pana Tadeusza*, dokonany przez Muzę Pawłową, wydany przez Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej w nakładzie 35.000 egzemplarzy.

2

Ten przydługi wstęp bibliograficzny daje nam pewien, dość zresztą powierzchowny, rzut oka na dzieje przekładów poezji Mickiewicza w Rosji, od czasu ukazania się *Pana Tadeusza* aż po dzień dzisiejszy. Ukazuje wysiłki całej plejady tłumaczy rozmiłowanych w dziele wielkiego polskiego poety. Doświadczenie tłumaczy pogłębiało się z czasem. Weźmy na przykład tłumaczenie Berga. Już od pierwszych zdań inwokacji z pierwszej księgi, od pierwszych obrazów zaznacza się metoda jego przekładu. Berg w tłumaczeniu *Pana Tadeusza* pierwszy stosuje aleksandryn rosyjski jako metrum teoretycznie najbardziej zbliżone do polskiego trzynastozgłoskowca sylabicznego. Jeśli jednak późniejsi tłumacze przeważnie stosowali rym żeński, a więc opierali się na formule 6 + 7, ze stałą średniówką po trzecim jambie, u Berga dość często występuje również forma aleksandrynu z rymem męskim, czyli mamy tu do czynienia z dwoma równoległymi członami, przedśredniówkowym i pośredniówkowym,

6 + 6. Zbliża to tok wiersza do tradycji rosyjskich, jak na nasze odczucie przyśpieszając kadencję członu pośredniówkowego, choć niekiedy Berg umiejętnie wiąże to z treścią emocjonalną wiersza.

Otczizna miłaja! Podobna ty zdorowju:
Tot istinnoj k tiebie ispołnitsja ljubowju,
Kto potieriał tiebia... w stradanjach i borbie.
Otczizna miłaja, ja płaczu po tiebie.

Wybaczmy Bergowi, że usunął Litwę, wiemy, dlaczego to musiał zrobić. Może z tego właśnie powodu pozwolił sobie na dowolność, dwukrotnie powtarzając słowo: ojczyzna. Gorzej jest z drugim zdaniem, które nie oddaje właściwej treści, gdyż Mickiewicz nie mówi, że ojczyznę można pokochać dopiero po jej stracie, choć nie mam pretensji do Berga, że jednocześnie w tym ujęciu całkiem się już zatraca subtelne nawiązanie do fraszki Kochanowskiego *Na zdrowie*. Również dośpiewał sobie Berg cierpienia i walkę. Dośpiewywał zresztą wiele w swoim przekładzie. Któż kilka wierszy dalej pozna znajome od najwcześniejszego dzieciństwa obrazy:

A duch rastierzannyj, skorbiaszczij i unyłyj
Niesi ty k'niebiesam mojej otczizny miłoj,
K jeja zadumczziwym pustyniam i ługam,
K łazurnoj Wilii i Niemana briegam,
S ich Biełowieżskoju nieprochodimoj puszczej,
Błagouchannoju, zielionoju, cwietuszczej...

Nic więc dziwnego, że jeśli Berg wprowadza i Puszczę Białowieską, i zamyślone pustkowia, jeśli wyręcza poetę malując zupełnie dowolnie jego stan duchowy, musi mieć więcej miejsca na te wszystkie, tak trafnie zwane przez Rosjan, „otsiebiatiny" i rozszerza pojemność pematu, już w pierwszym ustępie dodając cztery zbędne linijki. Nie zapominajmy, że Berg nie był poetą, na pewno nie miał wypracowanej techniki tłumaczeniowej i dość swoiście pojmował pietyzm w stosunku do polskiego poematu narodowego. Stąd zapewne wywodzą się również i jego „polonizmy" i „rusycyzmy". Nie tłumaczy on pewnych słów podając je w brzmieniu oryginału. Rozumiemy, gdy pozostawia „mopanku", ale uśmiech wywołuje w rosyjskim tekście „ksiądz proboszcz" i „ksiądz pleban", zresztą przesadnie często używane, a już doprawdy dziwimy się, dlaczego klasztor, a nie „monastyr", dlaczego z kolei „stanowoj", a nie Rejent. Na dobrą sprawę raczej można by nazwać stanowym Asesora. Nie dziwi nas tylko „Horodniczy" i „Kwartalnyj" zamiast Strapczyny i Sprawnika — jakże można było w carskiej Rosji kpić z ludzi z takimi rangami?

Znacznej większości tych błędów uniknęły zarówno Zuzanna Mar jak i Muza Pawłowa, autorki najnowszych przekładów *Pana Tadeusza*. Obie poetki w koncepcji metrycznego rozwiązania przekładu oparły się również na strukturze rosyjskiego aleksandrynu, tak samo jak Berg stosując rygorystycznie średniówkę po szóstej sylabie, eliminując jednakże rymy męskie. Ta jednolitość struktury upodobniła zewnętrznie przekłady do oryginału. Nie jestem jednak pewien, czy stałe stosowanie rymów żeńskich, nie zgodne z tradycją poezji rosyjskiej na przestrzeni tak wielkiego dzieła, nie jest zbyt dla ucha rosyjskiego nużące, tak jak dla mnie nużąca jest przy lekturze tych przekładów stała średniówka z akcentowaną zgłoską przedśredniówkową. Rozumiem doskonale trudności znalezienia w języku rosyjskim właściwego odpowiednika dla polskiego trzynastozgłoskowca sylabicznego, boć przecież istotnie takim odpowiednikiem jest teoretycznie aleksandryn, wydaje mi się jednak, że z wielu względów należałoby tłumaczyć albo przynajmniej tym samym sześciostopowym jambem, znosząc średniówkę, albo też zwykłym dla rosyjskich utworów dramatycznych i epickich jambem pięciostopowym ze średniówką ruchomą. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że w tym ostatnim przypadku tłumacz miałby do pokonania ogromne trudności, aby zmieścić w krótszym wierszu wszystkie elementy treściowe. Wymagałoby to bardzo wytrawnego i doświadczonego przekładowcy, ale przy tym, siłą rzeczy, uniknęłoby się nieraz zbędnej „waty".

Jedynym, rzadkim zresztą, urozmaiceniem metrycznym obu przekładów w zakresie aleksandrynu typu 6 + 7 jest przesunięcie akcentu z trzeciej stopy przedśredniówkowej na drugą, przy czym w trzeciej tworzy się pirrychium (stopa nie akcentowana), przez co automatycznie akcent główny członu pośredniówkowego przesuwa się ze stopy czwartej na piątą:

Gdie gruszi tichije nie szełochnut listwoju
(Pawłowa)

Wzór tego rodzaju układu przedstawiałby się następująco:

Maksym Rylski, autor nieprześcignionego w językach słowiańskich ukraińskiego przekładu *Pana Tadeusza*, zdaje się rozumieć te wszystkie trudności i pomimo że zachowuje również stałą średniówkę po trzeciej stopie, podobnie jak Berg używa rymów męskich, przez co wzbogaca przekład dodatkowymi elementami rytmicznymi, więcej, bo nawet emocjonalnymi. Nawiasem mówiąc to ostatnie twierdzenie nie jest argumentem dla zwolenników ścisłego odwzorowywania rymów męskich w polskich tłumaczeniach z rosyjskiego, bowiem należy tu odróżnić odrębności w naturalnym toku języka polskiego i rosyjskiego, a także wziąć pod uwagę ubóstwo rymów męskich w polszczyźnie.

W języku rosyjskim nie mamy ani jednego wielkiego poematu pisanego aleksandrynem. Aleksandryn w poezji rosyjskiej jest miarą stosowaną w utworach o charakterze pseudoklasycznym, w odach, epistołach, elegiach — i to zresztą stosunkowo rzadko. Jak już wspomniałem, tradycyjnym metrum dla poematów, zgodnym z naturalnym tokiem językowym, jest pięciostopowy jamb, tak samo, jak tradycyjnym metrum dla epiki polskiej jest trzynastozgłoskowiec. Otóż tłumacząc *Pana Tadeusza* aleksandrynem, obie tłumaczki pomimo woli zmieniły charakter poematu. Metrum stało się w tym wypadku elementem stylu; ogromny poemat, pisany aleksandrynem, stracił naturalny tok językowy i wskutek zesztywnienia frazy nabrał charakteru pseudoklasycznego. Czytając po rosyjsku *Pana Tadeusza*, odnosi się wrażenie, jak gdyby to były przekłady nie z Mickiewicza, lecz z Koźmiana, bowiem konieczność rygorystycznego rozstawiania akcentów i stałe uderzenie na trzeciej stopie pociągnęły za sobą z kolei konieczność sztucznego niekiedy modyfikowania frazy w utworze pisanym przecież najbardziej potocznym językiem średnich klas społeczeństwa połowy XIX wieku.

Doprawdy, trudno się zgodzić z twierdzeniem świetnego znawcy zagadnień przekładu poetyckiego, Wacława Borowego, który mówi, że „...dla każdego Polaka «prawdziwszy» będzie *Pan Tadeusz* w przekładzie Berga aniżeli w przekładzie Benediktowa:

> Litwa! Otczizna dorogaja!
> Ty — kak zdorowje; my w swojom
> Liszenii, wsio s toboj tieriaja,
> Tiebie wsiu cenu soznajom! —

choć ten drugi przekład jest wierniejszy. Dla wiernego rytmu darowuje się tłumaczowi nieraz duże licencje treściowe".

Przykład z Benediktowa o niczym nie świadczy, gdyż jest zbyt skrajny, tłumacz przekładał bowiem *Pana Tadeusza* czterostopowym jambem, miarą zbyt skąpą i zbyt „skoczną". Trudno przy tym przystać na zasadniczą tezę Borowego. Po pierwsze — *Pan Tadeusz* po rosyjsku przeznaczony jest nie dla Polaków, lecz dla Rosjan, a więc przekład powinien być oparty na podstawowych prawach języka i poetyki rosyjskiej, a po drugie — zagadnienie wierności tłumaczenia nie sprowadza się wyłącznie do odwzorowywania siatki rytmicznej, lecz jest złożonym kompleksem elementów treści, stylu, języka i układów metrycznych. Dopiero ich współgranie przy uwzględnieniu wszystkich „poprawek historycznych" jest właściwym sprawdzianem wierności.

Przykład właściwego rozumienia tych zagadnień dał nam w swoim czasie wspomniany tu przeze mnie Kowalenski, który najpierw przełożył *Grażynę* polskim wierszem sylabicznym, od dawna zarzuconym w poezji rosyjskiej, a potem, widząc oczywistą obcość przekładu na tle współczesnej ruszczyzny, przetłumaczył ponownie *Grażynę* wierszem sylabotonicznym, co nie oddaliło, lecz przeciwnie, zbliżyło oryginał czytelnikowi rosyjskiemu. Tłumacząc w swoim czasie dramaty Puszkina, ściśle trzymałem się układu metrycznego oryginału. W efekcie dało to w języku polskim naprężenie językowe, sztuczność dialogu, dowolności treściowe, obcy poezji Puszkina ton. Gdy — niezadowolony ze swej pracy — po raz drugi przełożyłem te utwory, za punkt wyjścia biorąc właściwy dla naturalnego toku języka polskiego w tego rodzaju utworach jedenastozgłoskowiec sylabiczny, przekłady, na pozór odalając się od oryginału, stały się niewątpliwie wierniejsze.

Interesującą próbą tłumaczenia *Pana Tadeusza* cztero i pięcioakcentowym wierszem tonicznym jest fragment zawierający koncert Wojskiego — pióra

I. Aksienowa. Niestety, jest to urywek zbyt krótki, trudno więc sobie wyobrazić, jak wyglądałby cały poemat tłumaczony tym metrum, niemniej zachowując maksymalną wierność treściową Aksienow osiągnął płynność frazy i jakąś zgodność wewnętrznego jej rytmu z treścią:

Togda Wojskij uchwatił s pieriewjazi tiesmiennoj
Swoj rog turij, dlinnyj, krapczatyj, kruczenyj,
Kak zmiej boa; obieimi rukami k ustam pristawił,
Szczoki tykwoj razduł, biełki okrowawił,
Priszczurił wieki, żiwot wtianuł napołowinu
I, skolko w niom było wozducha, w liogkije dwinuł.
Zaigrał. Rog, kak wichor', wyduwajemyj etim miechom,
W puszczu mczit muzyku i udwojen echom.
Umołkli striełki, zamierli ot udiwlenja
Pieried siłoj, czistotoj, diwnoj garmonijej pienja.

Ale wróćmy do przekładów Zuzanny Mar i Muzy Pawłowej i rozpatrzmy je pokrótce od strony merytorycznej. Cokolwiek przedtem powiedziałem o dyskusyjnym, moim zdaniem, wyborze metrum, w niczym nie umniejsza zasługi obu tłumaczek, które włożyły w przekład *Pana Tadeusza* nie tylko olbrzymi trud, ale i dużo prawdziwej kultury poetyckiej, zrozumienia realiów naszego poematu narodowego, jego swoistej, trudno uchwytnej dla cudzoziemca atmosfery. Nie chciałbym, bo nie byłoby to łatwe zadanie, zadecydować, który z tych przekładów jest lepszy. Osobiście oddałbym pierwszeństwo Zuzannie Mar dla jej większej wynalazczości językowej, większej umiejętności transponowania polskiej idiomatyki na trafne a dobrze osadzone w języku rosyjskim zwroty. Oczywiście, w tak wielkim dziele to jednej, to znów drugiej tłumaczce udają się lepsze rozwiązania, np. pewne partie księgi siódmej, chyba jednej z najtrudniejszych do tłumaczenia ze względu na całkowicie obce dla Rosjan realia obyczajowości drobnej szlachty litewskiej, są żywsze w przekładzie Muzy Pawłowej. Zastanawiają przy tym niektóre podobne rozwiązania tam, gdzie oryginał ich nie podsuwa, niekiedy nawet w błędnym rozumieniu tekstu. Na przykład: „Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku" Mar tłumaczy: *„Wiwat moguczij gierb — krasa wsiego zastianka"*, a Pawłowa, popełniając ten sam błąd, pisze: *„Wiwat nasz sławnyj gierb stiażawszij czest' zastianku"*. Właśnie w tej księdze tłumaczki miały niesłychane trudności chociażby z przezwiskami szlachty dobrzyńskiej, chociażby z ogromnie zróżnicowanym stylem przemówień, zwrotów wyrosłych z najgłębszych pokładów polszczyzny. Nie miejmy więc pretensji, że im się czasem coś nie udało. Nie zawsze oddają wszystkie odcienie znaczeniowe tekstu, zadowalając się przekazaniem zasadniczego wątku i gubiąc drobne, a wszakże przy niezwykłej konkretności Mickiewicza w malowaniu realiów bardzo ważne szczegóły.

Trudno obciążać artykuł nadmierną ilością cytatów, toteż wrócę do inwokacji z pierwszej księgi, ponieważ podałem już jej rozwiązania w tłumaczeniu Berga i Benediktowa. Zuzanna Mar tłumaczy ją następująco:

Otczizna miłaja, Litwa, ty, kak zdorowje:
Tot dorożit toboj, kak sobstwiennoju krow'ju,
Kto potieriał tiebia! I ja risuju nynie
Wsiu krasotu twoju, toskuja na czużbinie.

W tłumaczeniu Muzy Pawłowej fragment ten brzmi:

Otieczestwo mojo, Litwa! Ty, kak zdorowje:
Tot dorożit toboj, kak płotju ili krowju,
Kto potieriał tiebia. Wot tak, izgnannik, nynie
Tiebia wo wsiej krasie ja wiżu na czużbinie.

Już na pierwszy rzut oka widzimy, że we wstępnej eliminacji odpada Berg. O jednym z jego odstępstw już wspominałem. Jeszcze mniej wierne są następne dwie linijki, ponieważ tłumacz po pierwsze wnosi tu obce uczuciowo elementy *(w stradanjach i bor'bie)*, po drugie zabrakło tu bardzo istotnego elementu — konkretnej wizji Litwy (piękność twą w całej ozdobie widzę i opisuję), zamiast której mamy retoryczne powtórzenie apostrofy.

Niewątpliwie najbliższa oryginału w uchwyceniu właściwego tonu, w ścisłym przekazaniu wszystkich odcieni myśli jest Zuzanna Mar. Jedyne odstępstwo *(kak sobstwiennoju krow'ju)* nie razi nas zbytnio, gdyż wyrażenie to traktujemy jako w pewnym stopniu idiomatyczne. Na pewno mniej trafna jest ta sama przypadkiem metafora w ujęciu Pawłowej — ponieważ wyrażenie *(kak płotju ili krowju)* jest już zbyt konkretne i przez to staje się obcym uczuciowo wtrętem. W trzeciej i czwartej linijce zamiast słowa „tęsknię", Paw-

łowa daje nam aż dwa ekwiwalenty uczuciowe, „wygnaniec" i „obczyzna" — sens na tym, oczywiście, nie traci, ale ginie głęboka prostota Mickiewczowskich słów.

Ta krótka i siłą rzeczy nie dość szczegółowa analiza dwóch wstępnych zdań poematu już wskazuje nam ogrom trudności, na jakie natrafia tłumacz, chcąc wiernie oddać wszystkie elementy treści. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że my, Polacy, jesteśmy w tym wypadku niezmiernie wymagający — zapewne podobne wymagania stawiają tłumaczom Rosjanie, gdy widzą obce przekłady *Oniegina*. Strofy *Pana Tadeusza* dźwięczą przecież w naszym uchu od dziecka i niewątpliwie jesteśmy bardziej uwrażliwieni na każdą najdrobniejszą zmianę w przekazywaniu myśli i obrazów przez tłumacza. I niewątpliwie zupełnie inaczej czyta przekład naszego poematu narodowego czytelnik rosyjski. Na przykład w scenach życia szlacheckiego, gdzie, jak wspomniałem, obie tłumaczki nie zawsze są w stanie przekazać wiernie wszystkie realia, czytelnik rosyjski tego nie dostrzeże, bo te mianowicie realia są mu z gruntu obce. Rzeczą tłumacza jest takie wypośrodkowanie zabarwienia uczuciowego, czyli znalezienie takiego zespołu synonimów i omówień, aby swojemu czytelnikowi jak najbardziej je zbliżyć, ani nie rusyfikując przesadnie, jak czynił to Berg, ani nie tworząc dystansu egzotyczności. Wydaje mi się, że obie tłumaczki dały z siebie wszystko, by sprostać tym niezmiernym trudnościom, jakie piętrzą się przed poetą, gdy podejmuje tak skomplikowaną i odpowiedzialną pracę nad przekładem poematu narodowego.

Seweryn Pollak

O PRZEKŁADZIE „PANA TADEUSZA"

NA JĘZYK HEBRAJSKI

Przez długie lata żyłem pragnieniem przyswojenia literaturze hebrajskiej wielkiej epopei Adama Mickiewicza, *Pana Tadeusza*. Mógłbym napisać o tym również małą epopeję. Bo liczne i zdawałoby się nie do przezwyciężenia były przeszkody i perypetie w pracy nad przekładem tego klasycznego dzieła genialnego poety polskiego.

Muszę jednak swoje wywody o przekładzie poprzedzić kilku słowami. Urodziłem się w Warszawie, pod zaborem carskim, naukę ukończyłem przed pierwszą wojną światową, odebrałem więc wykształcenie w języku polskim i rosyjskim. Dwóch wielkich poetów słowiańskich pociągało mnie już od wczesnej młodości: Puszkin i Mickiewicz.

Puszkin oczarował mnie radosnym liryzmem, stylem muzykalnym, groźnym jak piorun, błyszczącym jak stal damasceńska, oczarował mnie giętkością formy, przebogatą mozaiką motywów. Jednak realizm artystyczny i prostota rzeczywistości w jego wielkich utworach nie wpłynęły na mnie w takiej mierze, jak głębia uczuć Mickiewicza, patos jego utworów młodzieńczych, a przede wszystkim romantyczność i mistyka *Dziadów*.

W niektórych wierszach Puszkina wyczuwałem pewien konserwatyzm polityczny, podczas gdy Mickiewicz porwał mnie swoją rewolucyjnością i buntem. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie *Pomnik Piotra Wielkiego* i *Do przyjaciół Moskali*, świadczące o tendencjach rewolucyjnych poety w okresie dekabrystów.

W młodym wieku zacząłem pisać wiersze, a równocześnie pociągała mnie praca tłumacza. Podobnie jak w tłumaczeniach z rosyjskiego tematem moich pierwszych prób był nie spokojny Puszkin, ale Lermontow, gorący i uczuciowy piewca młodości, tak samo moimi pierwszymi przekładami z poezji polskiej były nie utwory Mickiewicza, malarza-epika, ale liryki Słowackiego i Konopnickiej.

Wypadki pierwszej wojny światowej zagnały mnie do Moskwy. W roku 1917 A. J. Sztybel, warszawianin, założył w Moskwie wydawnictwo, które między innymi wydawało kwartalnik lite-

racki *Hatekufa* (Epoka). Redaktorem wydawnictwa był słynny poeta i krytyk literacki (również były mieszkaniec Warszawy), Dawid Fryszman, świetny tłumacz Szekspira, Byrona, Heinego, Andersena, Nietzschego i Rabindranatha Tagore na język hebrajski. Fryszman postawił sobie za zadanie wzbogacenie młodej literatury nowohebrajskiej przekładami z literatury światowej — klasycznej i współczesnej. On to umieścił w pierwszym tomie *Hatekufa* moje tłumaczenie *Hymnu o zachodzie słońca* Słowackiego i kilku wierszy Konopnickiej, obok serii przekładów z Verlaine'a. Później próbowałem tłumaczyć Mickiewicza. Pierwszym przekładem było tłumaczenie wiersza *Słowiczku mój* w moskiewskim czasopiśmie dla młodzieży. Ale szczególnie pociągały mnie utwory wschodnie Mickiewicza, *Farys* i *Sonety krymskie*. Oczarowała mnie w *Farysie* nie tylko piękna i męska postać jeźdźca, uosabiająca walkę rycerzy idei z przeszkodami i radość zwycięzców po pokonaniu przeszkód — ale przede wszystkim wspaniałe widoki natury, płonące jak wizje. Moje tłumaczenie *Farysa* było piątym z rzędu przekładem tej przecudnej kasydy. Pierwsza próba jej tłumaczenia wyszła spod pióra Juliana Klaczki. Warto zaznaczyć, że opisy pustyni w *Farysie*, jej burze piaskowe, groźne chmury i ptaki drapieżne, wpłynęły w pewnej mierze na *Meitej midbar* (Umarli na pustyni), poemat wielkiego poety hebrajskiego, Chaima Nachmana Bialika. *Sonety krymskie*, dające wspaniały obraz górskiej przyrody Krymu i łączące opisy natury z opisami uczuć poety, zachwyciły mnie zwięzłością i ekspresją plastyki, co tworzy doskonałe zespolenie malarskiego słowa. *Sonety krymskie* wpłynęły również na drugiego wielkiego poetę hebrajskiego, rówieśnika Bialika, Saula Czernichowskiego, urodzonego na Krymie; poeta ów przedstawił ten krajobraz, posługując się bogatą paletą barw, w swoich idyllach z życia Żydów na Krymie i w serii sonetów noszących również tytuł *Sonety krymskie*.

Tłumaczenie *Farysa* opublikował Dawid Fryszman w trzecim tomie *Hatekufa* w r. 1918, zaś *Sonety krymskie* ogłosiłem w różnych czasopismach literackich. Wtedy zaproponował mi Fryszman tłumaczenie *Pana Tadeusza*. Byłem wzruszony tą propozycją, zbyt śmiałą w stosunku do tak młodego poety, jakim byłem wówczas. W *Panu Tadeuszu*, realistycznym eposie, podziwiałem Mickiewicza jako dojrzałego poetę, epika przeszłości polskiej, którą wskrzesił w przecudnych barwach. Czułem lęk na samą myśl o tłumaczeniu wielkiego utworu epicznego, w dodatku rymowanego. Ale zaufanie, którym obdarzył mnie uwielbiany poeta i krytyk o dobrym smaku, jakim był Fryszman, dodało mi otuchy. Zabrałem się do pracy nad przekładem. Warunki życia w Moskwie w pierwszych latach rewolucji były bardzo ciężkie, brakowało żywności, światła, a zimą opału. Niekiedy pracowałem w łóżku w futrze, w butach i kaloszach. Ale poczułem wyjątkowe ciepło już przy tłumaczeniu Prologu i pierwszych ustępów epopei; nabrały one szczególnego, symbolicznego wprost znaczenia w chwili wskrzeszenia niepodległości Polski.

W takich warunkach przetłumaczyłem kilka fragmentów. Kiedy wiosną 1919 r. wracałem do rodzinnego miasta Warszawy, zostawiłem rękopis przekładu w Pińsku, skąd przedostał się do wydawnictwa Sztybla, które również przeniosło się z Moskwy do Warszawy. W r. 1920 postanowiłem wyjechać do Palestyny. W drodze zatrzymałem się w Austrii, w Badenie pod Wiedniem, gdzie ukończyłem tłumaczenie trzech pierwszych ksiąg *Pana Tadeusza* i przesłałem je do wydawnictwa w Warszawie. Sztybel wydał tłumaczenie w osobnej książce w r. 1921. Przekład spotkał się z pochlebną krytyką w prasie hebrajskiej i polskiej. Syn Adama Mickiewicza, Władysław, napisał z Paryża miły list do wydawnictwa w Warszawie i wyraził nadzieję, że przekład *Pana Tadeusza* wpłynie dodatnio na stosunki polsko-żydowskie w myśl ideałów wielkiego poety.

W Palestynie przełożyłem trzy dalsze księgi. Ale znowu nie dane mi było usiedzieć na jednym miejscu. Klimat tego kraju wpłynął źle na moje zdrowie i z polecenia lekarzy wyjechałem do Europy a ze mną dalsze fragmenty przekładu. Mieszkałem przez pewien czas w Niemczech, w Homburgu obok Frankfurtu nad Menem, gdzie przebywałem w towarzystwie Bialika. Poeta ten podziwiał *Pana Tadeusza* i wyraził żal, że przekład nie wychodzi w całości. Po opracowaniu

przetłumaczonych ksiąg pojechałem do Warszawy i oddałem je wydawnictwu. Wróciłem do Palestyny. Tymczasem wydawnictwo Sztybla przeżyło ciężki kryzys i działalność jego uległa przerwie. Prosiłem o zwrot kopii tłumaczenia i kilka fragmentów ogłosiłem w różnych czasopismach hebrajskich. Bialik interesował się cały czas dalszymi losami przekładu i różnymi drogami starał się wpłynąć na czynniki rządowe w Polsce, by udzieliły subsydium na wydanie przekładu w całości. W r. 1935 pojechałem do Warszawy i zostałem przyjęty przez ówczesnego prezesa polskiego PEN-clubu, Jana Parandowskiego; ten przyrzekł poprzeć moją sprawę w Akademii Literatury. Wróciłem do Palestyny i sprawa poszła w zapomnienie. Parandowski wyjaśnił później na zjeździe PEN-clubu w Buenos-Aires poecie Saulowi Czernichowskiemu, reprezentantowi literatury hebrajskiej, że, niestety, nie powiodły mu się starania w Akademii w sprawie przekładu.

W r. 1948, po wygaśnięciu walk niepodległościowych Izraela, w związku ze 150 rocznicą urodzin Mickiewicza, ponowiłem pracę nad przekładem *Pana Tadeusza*, przetłumaczyłem resztę ksiąg i opracowałem przekład poprzednich. Prace ukończyłem jesienią 1949 r. Wydział młodzieży i chalucu przy Agencji Żydowskiej w Jerozolimie, którego naczelnikiem jest dr B. Benszalom-Katz z Krakowa, postanowił włączyć *Pana Tadeusza* do programu wydawnictw „Biblioteki dla Młodzieży". Przekład miał się ukazać w dwóch częściach. Przygotowałem krótki wstęp i oddałem rękopis, ale w dniu, w którym miałem podpisać umowę z wydawnictwem, odebrałem przekład. Nie byłem zadowolony z podziału epopei na dwie części ani z krótkiego wstępu.

Pewnego wieczoru, kiedy cyzelowałem kilka miejsc w przekładzie — rękopis leżał na stole — zgasło światło elektryczne, zapaliłem świecę. Położyłem się na kanapie, by pomyśleć nad kilku rymami, i zdrzemnąłem się. Obudził mnie swąd dymu i spalenizny. Przekład — praca dziesiątek lat — padł pastwą płomieni. By uniknąć pożaru w całym mieszkaniu, zalałem wodą płonące resztki rękopisu. Byłem złamany, znalazłem się na skraju rozpaczy. Smutny i ponury kręciłem się bez celu po mieście. Aż w końcu ocknąłem się i przypomniałem sobie, że w wydawnictwie Twerskiego w Tel-Awiwie, które przejęło agendy Sztybla w Izraelu, znajduje się oryginał przekładu pierwszych ksiąg, którę zostawiłem swego czasu w Warszawie. Zwróciłem się do wydawnictwa, gdzie po skrupulatnych poszukiwaniach w archiwum firmy znaleziono przekład i zwrócono mi go. Czułem się tak, jakbym odzyskał skarb. Natychmiast zabrałem się na nowo do pracy, poprawiłem przekład pierwszej części i uzupełniłem resztę, ponad połowę dzieła. Podjąłem się napisania obszernego wstępu i wyczerpujących uwag. Przez 8 miesięcy pracowałem dniem i nocą. W tym czasie z Konsulatu Generalnego R. P. w Tel-Awiwie otrzymałem w podarunku wydanie jubileuszowe *Pana Tadeusza* wraz z listem od konsula, p. Marka Thee'a, który przyrzekł wystarać się o papier na druk przekładu. I tak pomyślnie zostało uwieńczone dzieło, poczęte prawie przed trzydziestu laty. Wydawnictwo Twerskiego podjęło się wydania przekładu na wzór wydania jubileuszowego, z ilustracjami i winietami Gronowskiego, ale w mniejszym formacie.

Zagadnienia powstałe przy tłumaczeniu nie były wcale łatwe. Należy pamiętać, że *Pan Tadeusz* jest jedyną rymowaną epopeją w literaturze światowej. Mickiewicz nie rezygnował z rymów nawet przy tłumaczeniu utworów pisanych białym wierszem, np. w przekładzie fragmentów z eposu serbskiego. W *Panu Tadeuszu* jest około 10.000 wierszy, czyli niemal 5.000 par rymów, wszystkie o właściwym polszczyźnie akcencie na przedostatniej sylabie. Przyjmuje się ogólnie, że *Pan Tadeusz* jest pisany krótkim heksametrem albo wolnym rytmem aleksandryjskim, opartym na cezurach, o pięciu akcentach w każdym wierszu. Moim zdaniem ten pogląd nie odpowiada rzeczywistości, a w każdym razie ta forma wierszowa nie była zamierzona z góry. *Pan Tadeusz*, jako dzieło epoki romantycznej, jest pisany zasadniczo rytmem jambicznym trzynastozgłoskowym, ale ponieważ język polski jest z zasady paroksytoniczny, poeta nie mógł zachować zasady jambu, musiał również używać rytmu „rosnącego" i przestrzegał tylko ilości zgłosek. Tą drogą powstał rytm zmienny, właściwy wierszowi polskiemu.

W *Panu Tadeuszu* znajdujemy setki wyraźnych jambów i tak na przykład początek Księgi XI *(Rok 1812)* jest napisany ciągłym rytmem jambicznym.

Nie można więc mówić o rytmie „rosnącym" i o pięciu akcentach w każdym wierszu. To jedynie wrażenie, wynikłe tu i ówdzie z właściwości akcentowych języka polskiego, ale to wrażenie towarzyszy wszystkiemu, co napisał Mickiewicz rytmem trzynastozgłoskowym, tzn. zasadniczo rytmem jambicznym, na przykład *Sonetom, Dziadów* cz. III, *Popasowi w Upicie* itd. A dotyczy to nie tylko Mickiewicza, ale również i Słowackiego *(Mazepa, Kordian, Maria Stuart)*, Konopnickiej *(Pan Balcer w Brazylii)*, Kasprowicza, Staffa, Słonimskiego w sonetach. Co więcej, kiedy Mickiewicz tłumaczył z literatury światowej utwory o wyraźnym rytmie jambicznym, jak sonety Petrarki albo pieśni Byrona, nie mógł podołać jambowi, a rytm w tych przekładach nie różni się od rytmiki *Pana Tadeusza*.

Także Tuwim w przekładzie *Eugeniusza Oniegina* lub *Jeźdźca Miedzianego* Puszkina, utworów jambicznych *par excellence*, nie dał rady jambowi, przeszedł z rytmu „opadającego" na rytm „rosnący" i przestrzegał ilości zgłosek. Sam tłumacz zdawał sobie sprawę z tej trudności, mającej swe źródło we właściwościach języka polskiego, i pisał o tym we wstępie do przekładów Puszkina *(Lutnia Puszkina)*.

Gdybym tłumaczył *Grażynę* albo *Konrada Wallenroda*, utworów pisanych zasadniczo jambami, jak wszystkie poematy dramatyczne z epoki romantycznej, nie wahałbym się wcale tłumaczyć jambami, gdyż poeta nie musi poddawać się odrębnym właściwościom języka, z którego tłumaczy. Przyświecał mi przykład Puszkina i jego tłumaczenia wyjątków z *Konrada Wallenroda*, a także przykład wszystkich tłumaczy rosyjskich, którzy pieśni Mickiewicza odtwarzali jambami. Toteż tłumaczyłem *Farysa, Sonety krymskie, Do przyjaciół Moskali* i inne fragmenty w swoim wstępie do *Pana Tadeusza* — jambami.

Ale zgoła inna była moja droga przy tłumaczeniu *Pana Tadeusza*, gdyż jest to dzieło epicko-realistyczne, pisane z wielką prostotą, domagające się umiarkowania i stosowania w dużej mierze języka prozaicznego. Nie chciałem naginać przekładu do rytmu jambicznego, mogącego nadać dziełu ton uroczysty i wzniosły, oraz ograniczyć możliwości i swobodę języka. Przystosowałem się więc do specjalnej rytmiki polskiej, tj. do rytmu zmiennego — i dzięki temu mogłem utrzymać naturalną prostotę języka rzeczywistości. Inna trudność wynikła przy rymach. Rym podwójny, żeński, jest możliwy jedynie w tzw. wymowie „aszkenazyjskiej" (paroksytonicznej), podczas gdy wymowa „sefardyjska" (hiszpańska), mająca głównie akcent na ostatniej zgłosce, ogranicza w znacznej mierze użycie rymu żeńskiego, podobnie jak w języku rosyjskim. Jest rzeczą wprost niemożliwą przełożenie dziesięciu tysięcy rymów o akcencie sefardyjskim, a kto zechce nagiąć *Pana Tadeusza* do sztucznego rymowania, zatraci ducha dzieła poetyckiego i cała praca będzie pracą syzyfową. Musiałem przeto wybrać drogę pośrednią między akcentowaniem aszkenazyjskim a sefardyjskim — było to dla mnie jedyne wyjście, jeśli chciałem zachować charakter i ducha oryginału. Rymy w wymowie aszkenazyjskiej są zawsze żeńskie, tj. podwójne, ale starałem się nie mieszać rymów oksytonicznych z paroksytonicznymi i unikałem rymów męskich, jednozgłoskowych. I tak czytelnik o wymowie sefardyjskiej na tym podwójnym rymie aszkenazyjskim jedynie zyskuje. Jest bowiem w rymach podwójnych coś niecoś z asonansu.

Jeszcze słów kilka o wstępie, który jest obszerną monografią Mickiewicza i jego twórczości, niemal osobną książką. Prócz zwykłego materiału biograficznego, opartego w głównej mierze na biografii Władysława Mickiewicza i stanowiącego odpowiednie tło, utkałem wokół tego tła szeroki obraz, czerpiąc przede wszystkim z pism poety, wierszy, listów, artykułów i odczytów. Książka podzielona jest na kilka rozdziałów — każdy rozdział mówi o ważnym etapie w życiu Mickiewicza. Podkreśliłem wpływ otoczenia — środowisko drobnej szlachty — w którym wychował się i wyrósł, opisałem studia na uniwersytecie wileńskim, grono profesorów, którzy wpłynęli na rozwój duchowy poety, działalność w związku Filomatów i Filaretów. Okres pobytu w Rosji i stosunki z Puszkinem zostały szerzej omówione, przy czym uwzględniłem nowy materiał z książki *Puszkin w pamiętnikach swoich rówieśników*, wydanej w r. 1950 w Związku Radzieckim a zawierającej kilka uwag dotyczących Mickiewicza, oraz utwory Puszkina wraz z wierszem: *Był tu śród nas* (który przełożyłem na język hebrajski i umieściłem we wstępie). Podobnie opi-

sałem i inne ważne epoki: pobyt w Paryżu w okresie *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* i pracy nad *Panem Tadeuszem*, epokę Towiańskiego i wykładów w Collège de France, pobyt w Rzymie i starania o zorganizowanie legionu, który wziął udział w wojnie włosko-austriackiej, okres *Trybuny Ludów;* pobyt w Konstantynopolu i działalność w związku z legionem żydowskim — tę część oparłem na ostatnich badaniach uczonych żydowskich. Każdy okres z życia i twórczości poety ilustrowałem wyjątkami z utworów, listów i ważnych artykułów, natomiast ostatni rozdział poświęciłem *Panu Tadeuszowi* — rozdział obszerny, stanowiący zamkniętą całość. Dla uzupełnienia obrazu dodałem uwagi o ważnych osobistościach, z którymi stykał się Mickiewicz. Przy końcu książki umieściłem uwagi i objaśnienia, dotyczące epopei i opracowane według najnowszych źródeł.

Kiedy ukończyłem pracę, byłem wyjątkowo wzruszony i podniesiony na duchu. Nie mogłem oprzeć się wewnętrznej potrzebie zakończenia przedmowy następującymi słowy: „Z uczuciem powagi i świętości oddaję w ręce czytelnika hebrajskiego przekład *Pana Tadeusza*".

Czytelnik hebrajski przyjął z radością *Pana Tadeusza*. Ukazanie się przekładu było wydarzeniem w życiu kulturalnym Izraela. Cała prasa podkreśliła ważność tego wydarzenia, które oklaskiwano na licznych zebraniach i wieczorach literackich w miastach i wsiach Izraela. A brali udział w tym święcie kulturalnym nie tylko ludzie pochodzący z Polski, ale również z innych państw Europy, ba, nawet z krajów orientalnych, którym obca była rzeczywistość opisana w *Panu Tadeuszu*. Wspaniały, prosty opis życia w dawnej Polsce na tle spokojnej wsi i marzeń o wolności okazał się bliski sercu czytelnika hebrajskiego. Nie darmo wyszedł spod pióra poety o szczególnych zaletach ducha, o gorącym sercu, bijącym pragnieniem wolności wszystkich narodów.

Pierwsze wydanie przekładu, drukowane na papierze dostarczonym przez Rząd Polski, w nakładzie 4.000 egzemplarzy, wyszło w lutym 1953 r. i zostało wyczerpane w ciągu dwóch miesięcy. Drugi nakład (3.000 egzemplarzy) jest również na wyczerpaniu. Niesłychane jak dotąd osiągnięcie, wziąwszy pod uwagę, że jest to przekład poetycki i że cena książki, jak na stosunki izraelskie, jest dość wysoko (ale względnie niska, jeśli wziąć pod uwagę objętość i formę wydania). Przekład otrzymał nagrodę magistratu miasta Tel-Awiw za rok 1953 z funduszu stałej nagrody literackiej im. Czernichowskiego za przekłady klasycznej literatury światowej.

Józef Lichtenbaum

„PAN TADEUSZ" PO CHIŃSKU

Pan Tadeusz ukazał się w przekładzie chińskim Sun Junga w r. 1950, w „Bibliotece Literatury Światowej", i miał od tego czasu 6 wydań w łącznej ilości 9.500 egzemplarzy. Liczba ta może się wydać mała, zwłaszcza gdy zasugerujemy się danymi o ilości mieszkańców Chin, trzeba jednak pamiętać, że dla Chińczyków utwór jest naprawdę egzotyczny i może zaciekawić głównie ludzi o dość swoistych zainteresowaniach. Stałe wznowienia świadczą, iż zainteresowania te nie wygasają.

Tłumaczenie dokonane zostało prozą z angielskiego przekładu Noyes'a również prozą, przy okolicznościowym korzystaniu z wierszowanego przekładu Grabowskiego na esperanto. Tłumaczenie z drugiej ręki pociąga oczywiście zależność od poprzednika, zwłaszcza ponoszenie konsekwencji jego potknięć. Tu jednak nie chodzi nam o księgowanie „winien" i „ma" z rozbijaniem każdej pozycji na konto pierwszego lub drugiego tłumacza. Ocena dotyczyć będzie w zasadzie tylko produktu końcowego, jakim jest przekład chiński, ze sporadycznym jedynie zaznaczeniem związków z tekstem Noyes'a. Należy przy tym mieć na uwadze, iż ocena ta pisana jest ze stanowiska czytelnika polskiego, a więc szczególnie wrażliwe-

go na niedociągnięcia w stosunku do oryginału. Opinia Chińczyka, który gorzej wyczuwałby subtelności tekstu polskiego a zarazem miał więcej zrozumienia dla sukcesów tłumacza, byłaby niewątpliwie bardziej przychylna.

Przekład prozą automatycznie rezygnuje z efektów, jakie daje wiersz: pewnego rodzaju muzyki oraz uznania dla autora za to, że umiał swój tekst podporządkować rygorom formalnym, mniej lub więcej ścisłym. Już to przejście na prozę stwarza olbrzymią różnicę.

Kto ją chce sobie uzmysłowić, niech „przełoży" choćby kilkadziesiąt wierszy na polską prozę, nawet z zachowaniem możliwie dużej ilości zwrotów oryginału, lecz zgodnie z szykiem potocznej polszczyzny.

Pozostaje więc fabuła przeplatana opisami oraz dygresjami. Przekład jest w zasadzie filologicznie wierny, często bardzo wierny, w czym zasługę dzielą obaj tłumacze, ale wiernością dość prymitywną, która utrzymuje nawet rzeczy nieistotne, wprowadzone przez autora w sposób widoczny dla rytmu etc. Wierność ta, choć na ogół duża (o pewnych uchybieniach i w tej dziedzinie będzie mowa niżej), nie potrafiła zachować pewnych elementów, które dla Polaka są bardzo istotne, stwarzają bowiem ogólną aurę utworu.

Nie można się dziwić zniknięciu prowincjonalizmów oraz archaizmów gramatycznych i składniowych, gdyż są to rzeczy w praktyce nieprzekładalne, dałoby się natomiast — przy tłumaczeniu bezpośrednio z polskiego — ocalić przynajmniej w pewnym stopniu bogactwo form występujących w zwracaniu się do innych osób, form ilustrujących subtelne i zawiłe hierarchie stosunków rodzinnych, towarzyskich i klasowych. Tłumacz był tu zdany na pastwę niwelującego angielskiego *you*, i w efekcie zatarł prawie zupełnie te zróżnicowania, choć w wypadku przekładania z polskiego uratowałby przynajmniej ich część, co prawda nie bez trudności i nie bez wysiłku. Jeżeli dodać, że zachowanie w chińskim zdrobnień imion własnych jest prawie niemożliwe, uprzytomnimy sobie, że w dialogach formy zwracania się jednych osób do drugich przypominają rzut na płaszczyznę bryły o bogato urzeźbionej powierzchni.

Rozpaczliwie blado wypadły wyrażenia, określenia i zwroty zaczerpnięte w oryginale z języka myśliwskiego. „Psów granie", „dojeżdżać niedźwiedzi", „szept ciągnącej słonki" zatraciły zupełnie w przekładzie swój specyficzny odcień archaicznej trochę gwary łowieckiej, zostały oddane jako „szczekanie psów", „polowanie na niedźwiedzie", „głos przelatującej słonki". Ostatni przykład jest znamienny: tłumacz zadał sobie zapewne niemały trud, by wyszukać — zgodnie z zasadą „wierności" filologicznej, chyba poprzez terminologię łacińską i przy pomocy słowników specjalnych — chińską nazwę słonki, wierzę, choć nie mam możności sprawdzenia, znalazł właściwą, lecz cały wysiłek był zupełnie chybiony, gdyż ogólny obraz nie pozwala czytelnikowi polskiemu nawet domyślić się, że chodzi tu o tak znany zwrot. Wytłumaczenie jest dość łatwe: myślistwo kwitło w starożytnych Chinach w okresie wczesno-feudalnym, później zaś usunęło się na peryferie kraju, często do ludów etnicznie odmiennych, gdyż w przeludnionych i do maksimum wyzyskiwanych rolniczo częściach środkowych nie było nań miejsca, i stąd ubóstwo terminologii i frazeologii łowieckiej we współczesnej chińszczyźnie. Lecz różnica atmosfery oryginału i przekładu pozostaje faktem. Przypomina mi to japońskie tłumaczenie *Popiołów*, gdzie słynne pierwsze zdanie „Ogary poszły w las" w retranslacji brzmiałoby „Psy myśliwskie pobiegły do lasu".

Bez porównania lepiej ma się rzecz z nazwami dawnych polskich urzędów. Zostały one nieźle zarchaizowane, choć i tu można by mieć zastrzeżenia w szczegółach, zwłaszcza co do niejednolitości tej archaizacji.

Wspomniana wyżej wierność filologiczna nie oznacza braku błędów w tej dziedzinie. Wymienimy ich tu kilka przykładowo, nie dla złośliwej pedanterii, lecz dla pokazania, co stanowi trudności oraz bywa źródłem nieporozumień. Niektóre z tych błędów, wydaje mi się, są zresztą skutkiem wadliwej interpretacji tekstu angielskiego.

W samym tytule utworu należało zaznaczyć, zgodnie ze stanem faktycznym, że główny bohater jest człowiekiem młodym, „paniczem" *(Master)*. * W chińskim użyto formy stosowanej w odnie-

* Postąpiła tak Briggs, której przekład Noyes wymienia we wstępie.

sieniu do ludzi raczej starszych, co szczególnie razi w zestawieniu z treścią.

Podtytuł został pominięty, a termin „zajazd" wyjaśniony na końcu posłowia tłumacza. Wyjaśnienie to jest poprawne (egzekucja wyroku dokonana prywatnie), ale przekład niefortunny, bo oznaczający „najazd, napaść"; zręczniej byłoby ukuć na podstawie tego wyjaśnienia termin nowy, swą odmiennością przypominający, że chodzi o instytucję swoistą, powstałą w specyficznych warunkach.

„Mitra w polu złotym" (s. 112 — cyt. wg t. IV Wydania Narodowego, „Czytelnik", Warszawa 1948) — „pole" oddano jako „przestrzeń, obszar, pole uprawne" zamiast „tło" w sensie heraldycznym (wieloznaczność agielskiego *field).*

„Powstańce" (s. 176) — w przekładzie „wojsko rewolucyjne"; tłumacz nie miał tu zresztą łatwego zadania: w chińskim istnieje sporo terminów na określenie „buntu" w znaczeniu „buntu przeciw legalnej władzy"; tych tłumacz nie chciał używać, słusznie rozumiejąc, że byłoby to niezgodne z intencją autora, wybrał więc określenie „rewolucja", które jednak ma wyraźnie sens „rewolucji społecznej", co z kolei też niezbyt odpowiada sytuacji, gdzie mowa o mającym ewentualnie powstać lokalnym ruchu zbrojnym na rzecz Napoleona. I tu, podobnie jak w wypadku „zajazdu", wydaje się, że większa pomysłowość tłumacza umożliwiłaby wyjście z sytuacji, zwłaszcza że dalej w tekście (w przemówieniu Buchmana, s. 196) tłumacz znacznie lepiej poradził sobie z „powstaniem".

W autorskim wyliczeniu treści księgi VIII (s. 211) „szturm" przez wyraźne przeoczenie oddano jako „burza" (wieloznaczność angielskiego *storm*), choć w treści tej księgi nie ma wcale opisu burzy.

„Jenerał Ziem Podolskich" (s. 218) tłumacz zrozumiał (i przełożył) dosłownie jako „generał, dowódca armii" zamiast „starosta generalny".

„Niewiniątko! baranek!" (s. 225) przetłumaczono dosłownie, podczas gdy należało raczej pominąć w przekładzie drugie określenie, które dubluje pierwsze a wywodzi się z symboliki chrześcijańskiej i dla wielu czytelników chińskich może być niezrozumiałe.

„Przyjąć wijatyk" (s. 341) zostało oddane przez „dokonać świętego obrzędu", w sposób sugerujący czynną rolę konającego Jacka Soplicy. Na stronie następnej „pleban z Panem Bogiem" oddano dosłownie i trochę humorystycznie „pleban w towarzystwie Pana Boga"; lepiej było rozszyfrować tekst, interpretując go w ten sposób: „pleban z ostatnimi sakramentami". Ponadto „pleban" tłumaczony jest wszędzie terminem stosowanym zwykle na określenie duchownych protestanckich, co gorzej zorientowanych czytelników chińskich może wprowadzić w błąd.

„Rok urodzaju" i „wiosna urodzaju" (s. 303 i 305) zostały przetłumaczone jako „rok zbiorów" i „wiosna zbiorów" zamiast „rok dobrego urodzaju" i „wiosna zapowiadająca dobre plony".

Pewna ilość niedociągnięć wynika z zależności od tekstu angielskiego.

Tłumacz angielski przełożył słusznie nazwiska „Kokosznicka" i „Jendykowiczówna" (s. 74) według ich znaczeń jako „Hennibiddy" i „Turkee", tłumacz chiński dał tylko fonetyczne odpowiedniki słów angielskich, bez żadnego przypisu; mógł przecież, gdyby zorientował się w sytuacji, przełożyć je według znaczenia na ideogramy chińskie, analogicznie do tego, jak postąpił jego angielski poprzednik.

Podobny los spotkał makaroniczną łacinę sądową: „cum gais, boris et graniciebus, Kmetonibus, scultetis..." (s. 234). W odpowiednim miejscu czytamy wstawione alfabetem łacińskim słowa z przekładu angielskiego „cum grovibus, forestis et borderibus; peasantibus, bailiffs..." Jest tam wprawdzie przypis, że chodzi o makaroniczną łacinę, podana jest po chińsku treść tych słów, lecz nie ma żadnej wzmianki o tym, że są to makaronizmy Noyes'a, nie zaś Mickiewicza.

Tłumacz angielski, raczej niekonsekwentnie, pozostawił w formie oryginalnej nazwisko Gerwazego „Rębajło", choć z całości wynika, że był to rodzaj przezwiska przybranego przez Klucznika. W chińskim pozostaje oczywiście transkrypcja fonetyczna, zamiast przekładu według znaczenia.

Tekst chiński zawiera sporo przypisów, wśród nich wszystkie objaśnienia Mickiewicza oraz 15 stron komentarzy do imion własnych, również niepolskich i należących do mitologii klasycznej. Przypisy te w sumie niewątpliwie wyjaśniają wiele spraw czytelni-

kom chińskim. Tym większa szkoda, że parę z nich jest błędnych. Dotyczy to przede wszystkim objaśnienia o Krzyżakach. Sinolog polski również ze zdziwieniem czyta, że „Zofija" jest formą zdrobniałą od „Zosia".*

Wydaje się ponadto, że nie objaśnionych pozostało sporo punktów wymagających przypisów. Należą tu w pierwszym rzędzie takie terminy, jak „Korona" (w przeciwstawieniu do „Litwy"), w chińskim niejasno oddawana przez „Królestwo", oraz „Rzeczpospolita", która przecież wcale nie oznaczała republikańskiej formy rządów, jak to przynajmniej w jednym miejscu napisał w tekście tłumacz. Przypisów wymagają też „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", opisy strojów staropolskich (np. „wyloty kontusza") i chyba także „ptasie mleko". To samo trzeba powiedzieć o całowaniu w rękę jako wyrazie szacunku, skoro przekład dokonany jest na język kraju, w którym pocałunek znany jest tylko — i to nie we wszystkich środowiskach — jako bardzo intymna forma pieszczoty, ale nie jako forma powitania czy pożegnania. Wyjaśnienie przydałoby się także w odniesieniu do gry słów „zwierzyny — dziewczyny" i „kobiety — kokiety" (s. 152—153), bo inaczej dla czytelnika chińskiego przyczyna powstałego stąd śmiechu pozostaje zagadką. Inną grę słów: „wasale — wąsale" (s. 164) tłumacz wyjaśnił na podstawie przypisu w przekładzie angielskim.

Ten nużący rejestr usterek nie jest wynikiem tylko pedanterii czy chęci pomniejszenia dużej pracy wykonanej przez Sun Junga, który osiągnął w zasadzie sporą wierność filologiczną i dodał objaśnienia w tym zakresie, w jakim to było możliwe w jego sytuacji. Pracę Suna trzeba ocenić jako dojście do połowy bardzo długiej drogi. Wiele jej już przebyto, lecz wiele wciąż zostaje do przebycia. Prawie wszystkie usterki są wynikiem tłumaczenia z drugiej ręki, toteż pozostałą część drogi pokonać będzie mógł dopiero chiński polonista, znający nasz język, historię i obyczaje przynajmniej w tym stopniu, by móc tłumaczyć z oryginału, choćby z systematyczną pomocą polskiego znawcy przedmiotu. Tłumacz ów winien posiadać kwalifikacje poetyckie, które pozwoliłyby mu na pokonanie wielu trudności, związanych zarówno z ogólną koncepcją przekładu, jak i z jej wykonaniem. Odmienność chińskich tradycji poetyckich — m. in. znacznie krótsze miary wiersza, 5 lub 7 sylab — uniemożliwiają mniej lub więcej mechaniczne przejęcie formy oryginału, należy więc poszukać innego rozwiązania, być może dość śmiałego. Nie jest to łatwe ze względu na nikłe tradycje poezji epickiej w Chinach i w związku z tym bardzo ograniczoną ilość wzorów mogących podsunąć właściwą formę. Poważny kłopot sprawiać będą na pewno tak liczne w *Panu Tadeuszu* imiona własne, gdyż przy krótkim metrum imię własne „pochłaniające" w transkrypcji na przykład cztery sylaby może całkowicie rozbić wiersz. Nie zamierzam zresztą wcale pomniejszać wszelakich trudności, znanych mi aż nadto dotkliwie z trochę innej strony — przy tłumaczeniu wierszy chińskich na polski. Przy tym kierunku przekładu są one, oczywiście, odmienne, lecz i tu, i tam pozostają jednakowe dwa zasadnicze momenty: odrębność kultur (łącznie z odmiennością tradycji literackich) oraz różnica w strukturze obu języków. Wydaje się jednak, że choć pełny odpowiednik oryginału *Pana Tadeusza* w języku chińskim nie jest chyba możliwy z powodu wyżej wspomnianych różnic, należałoby — po właściwym przygotowaniu — podjąć próbę przekładu poetyckiego, dokonanego oczywiście wprost z oryginału i zaopatrzonego w obszerny wstęp i liczne przypisy. Przekład taki spełniłby zapewne znacznie lepiej niż obecny zadanie przybliżenia Chińczykom spraw polskich, znajdujących odbicie w *Panu Tadeuszu;* nie można jednak oczekiwać go w ciągu najbliższych lat i dlatego praca Sun Junga ma nad nim tę niezaprzeczalną wyższość, że już została wykonana.

Olgierd Wojtasiewicz

* Najnowsze dwa wydania, które ukazały się w roku bieżącym w związku z Rokiem Mickiewiczowskim, odznaczają się wygodniejszym układem przypisów; zostały one wszystkie zebrane za tekstem i rozszerzone. Poprawiono również wyjaśnienie wzajemnego stosunku form „Zofija" i „Zosia".

Z PRASY

„Myślę, że możemy sobie z prof. Schaffem wzajemnie pogratulować — pisał w nr 39 *„Przeglądu Kulturalnego"* prof. Józef Chałasiński — że jesteśmy pierwszymi członkami akademii, którzy rozpoczynając naukową dyskusję na temat zagadnień kultury współczesnej, czynią to na łamach tygodnika przeznaczonego dla szerokiej publiczności czytającej."

Wszystko tu jest ważne: i samo rozpoczęcie „naukowej dyskusji na temat zagadnień kultury współczesnej", i nazwiska pierwszych dyskutantów, i przedmiot sporu, i ten fakt wreszcie, o którym pisze prof. Chałasiński — fakt przeniesienia dyskusji naukowej z grubych, profesorskich miesięczników czy kwartalników do czasopism społeczno-literackich.

O potrzebie takiej dyskusji świadczą już te pierwsze artykuły. Najistotniejszym ich punktem jest sprawa koncepcji „dwóch nurtów" w dziejach kultury. Prof. Chałasiński, nie kwestionując oczywiście słuszności tej koncepcji, stwierdza jednak, że oddaje ona tylko określony aspekt myśli filozoficznej i dziejów kultury, nie wyczerpując ich całej złożoności.

Jeszcze raz chcę podkreślić wagę tego wydarzenia, jakim jest rozpoczęcie dyskusji o kulturze na szerszym forum czytelniczym. Wpłynie to może z jednej strony na ukonkretnienie samej dyskusji, która z dala od niefachowców pozbawiona byłaby tej ważnej sankcji, jaką jest czytelnik-dyletant. Z drugiej zaś strony wpłynie ta dyskusja niewątpliwie na przebieg sporów literackich i artystycznych, którym brak bardzo dyscypliny metodologicznej. W naszych dyskusjach jest za dużo filozoficznego dyletantyzmu, za dużo dowolnych konceptów, za dużo wreszcie spóźnionych odkryć, które z powodzeniem zastąpić by można powołaniem się na trafny cytat lub termin od dawna już wymyślony i znany. Literatura polska nigdy nie miała wysokiej kultury filozoficznej — i w ogóle nigdy nie odczuwała ścisłych związków z nauką. Pora te związki zacieśnić, zwłaszcza teraz, przy tak wysokim stopniu ideowej świadomości, jaka towarzyszy procesowi twórczemu. Właśnie też ze względu na ową świadomość, która w równym stopniu może być aniołem jak i szatanem artysty, należy dążyć do rozjaśniania wszelkich nieporozumień, jakie w dziedzinie nauki o kulturze u nas pokutują. Sprawy te nie obchodzą dzisiaj wyłącznie specjalistów, którzy na seminariach spierają się o precyzyjność języka naukowego. Naukowa teoria kultury kieruje decyzjami polityka, dyktuje oceny krytykowi, historykowi sztuki, na kształt miecza Damoklesowego zawisa nad ramieniem twórcy.

Warto przyjrzeć się na przykład praktycznemu oddziaływaniu wąsko pojętej koncepcji „dwóch nurtów" na badania dotyczące kultury współczesnej. Prof. Chałasiński pisze, że w myśl zwulgaryzowanej leninowskiej teorii dwóch nurtów „przestaje się badać zjawiska kultury, a dokonuje się tylko segregacji tych zjawisk do jednego lub drugiego nurtu, odrywając je od konkretnego kompleksu zjawisk z historii kultury". Podobne zabiegi można zauważyć na gruncie literatury współczesnej, i to nie tylko w praktyce krytyków, ale w prak-

tyce pisarzy, którzy również często zabobonami zastępują analizę własnych utworów oraz własnej osobowości.

Nie będę się tu zajmował tendencjami już przezwyciężonymi, takimi jak przypisywanie literaturze rzekomo prawdziwie reprezentującej współczesność określonych jakości formalnych. W imię tych tendencji zwalczano przecież kiedyś wiersze wyłamujące się spod tradycyjnej dyscypliny wersyfikacyjnej, i prozę, która lekceważyła konwencje realizmu mieszczańskiego. Był czas, kiedy kryteria ideologiczne, „treściowe", ustąpiły przed kryteriami formalnymi.

Ale, powtarzam, owe błędne tendencje należą już do przeszłości. Nie należy jednak lekceważyć pozostałości pokutujących do dziś dnia w psychice twórców. Pozostałości te, ślady gwałtownego planowania i segregowania twórczości na owe opacznie rozumiane nurty, polegają — ogólnie biorąc — na „przeobiektywizowaniu" procesu twórczego. W czasach przełomu i p o r z ą d k o w a n i a, demaskowania, interpretowania, rozróżniania w imię „dwóch nurtów" nastąpił w psychice artystów poważny kryzys zaufania do samych siebie na rzecz wzrostu autorytetu czynników obiektywnych — teorii kultury, krytyki, polityki kultury. Artyści ulegli obsesji nieprawidłowości. Własne gusta i własne zamysły twórcze zdawały się również płynąć dwoma nurtami, słusznym i niesłusznym, nowym i starym, postępowym i wstecznym. Powstała cała mitologia „przełomów", „przezwyciężeń", „obciążeń" itd. Pisarz wyrzekał się swych gustów, jeśli połapał się, że lokuje je w niewłaściwym nurcie i że przyjaźń z jakimś niesłusznym pisarzem przeszłości może go kosztować zatratę w odmętach niesłusznego nurtu. Wyrzekał się swej biografii, jeśli nie znajdował w niej momentów typowych dla nurtu istotnych procesów historycznych. Lekceważył swoją osobowość, tworzył sztuczną kreację samego siebie, wcielał się w obcego bohatera lub w cudze „ja liryczne", ponieważ wydawało mu się, że nieprawidłowo narodzony, tylko w prawidłowych maskach i kostiumach zdoła zrobić karierę, czyli utrzymać się na powierzchni nurtu niosącego ku zbawieniu.

Wierzył więc bardziej teorii niż własnemu instynktowi. Gotów był spełnić wszystkie postulaty, i to wcale nie dlatego, że był lizusem czy tchórzem. Nie, gorzej — spełniał najbardziej absurdalne postulaty, ponieważ naprawdę wierzył, że spełnić je trzeba, jeśli się chce w ogóle zostać w historii literatury.

Tak więc ograniczenie procesów kulturowych do starcia „dwóch nurtów" dało władzę teorii nad praktyką artystyczną. Oczywiście, jak każda władza teoretyczna nie sprawdzająca siebie w praktyce, ma i ona do czynienia z buntami, ale również usiłuje być giętka: umie szybko przebierać się w barwy buntowników i udawać, że im przewodzi. Teraz ten, kto by nie opisywał straszliwych mąk i trudności, w jakich rodzi się socjalizm, kto by nie zdemaskował skutecznie kilku sekretarzy partii oraz zastępcy szefa UB (zawsze zastępcy!), ten znów by się podejrzewał o jakąś niezgodność z nurtem i głęboko bolał nad swą niesłusznością, nieprawidłowością i niewspółczesnością. Pomimo zasadniczej odmiany modelu literatury, władza teorii nad praktyką artystyczną trwa. Kalkulacja, organizowanie historii literatury, przewidywanie jej ocen — trwa.

Owo niedoskonałe, mechaniczne, wąskie rozumienie „dwóch nurtów" w kulturze współczesnej pochodzi, moim zdaniem, stąd, że tworząc podziały nie pamięta się o rozwoju rzeczywistości i o narastaniu nowych problemów, które w zasadniczy sposób modyfikują i mnożą podziały ideologiczne oraz odmieniają i rozszczepiają łożyska kulturowych nurtów.

Obecnie na przykład rozgrywają się w naszej kulturze dwa konflikty. Po pierwsze, niewygasły jeszcze, stary konflikt o charakterze antagonistycznym — konflikt tendencji rewolucyjnych ze schyłkowymi, konflikt treści socjalistycznych z burżuazyjnymi. Pomiędzy tymi właśnie tendencjami i treściami przebiega linia podziału na owe dwa antagonistyczne nurty kultury współczesnej, zgodnie z definicją Lenina.

Ale jednocześnie trwa konflikt drugi — nowy konflikt o charakterze nieantagonistycznym, konflikt tendencji konformistycznych z krytycznymi, konflikt dwóch sposobów widzenia rzeczywistości — postulatywnego i „bezpośredniego".

I zapytajmy: który z tych dwóch konfliktów jest żywszy oraz istotniejszy dla rozwoju i dynamiki współczesnej literatury? Który jest dla naszego okresu reprezentatywny, typowy?

Niejednokrotnie próbuje się zastoso-

wać w nowych sporach koncepcję „dwóch nurtów", wykorzystując wszystkie nieprecyzyjności, jakie popełniono przy przeniesieniu tej koncepcji na teren współczesności. Usiłuje się przeprowadzić antagonistyczną granicę tam, gdzie może przebiegać tylko linia demarkacyjna. Tym, którzy piętnują pewne widzenie rzeczywistości, zarzuca się na przykład estetyzm, ucieczkę od rzeczywistości, aby tylko zrównać ich postawę z jakąkolwiek postawą schyłkową; tym, którzy nalegają na zaostrzenie realistycznego zmysłu literatury, zarzuca się — wszystko jedno co — formalizm, eklektyzm — zależy od pomysłowości. Krótko mówiąc, wyczynia się różne dziwne rzeczy, aby tylko komplikującą się mapę ideologiczną z powrotem sprowadzić do „dwóch nurtów".

Niedostrzeganie nowych konsekwencji ideologicznych zrodzonych przez nową problematykę, to główna przyczyna, dla której teoria „dwóch nurtów" w odniesieniu od współczesnej kultury spełnia rolę opaczną: nie porządkującą, ale upraszczającą. Nie dlatego, aby sama była zła, ale dlatego, że nie wolno jej stosować z pominięciem współczynnika nowej rzeczywistości.

Dyskusja prof. Schaffa z prof. Chałasińskim nasuwa jeszcze inne refleksje. Dotknęła ona mianowicie bardzo ważkich zagadnień z dziedziny społecznej kultury duchowej, tej, która istnieje poza dziełami sztuki, w życiu, w obyczajach, w moralności, w wyobrażeniach, w ideałach życiowych. Prof. Chałasiński zwrócił m. in. uwagę na problem ustosunkowania się do chrześcijańskiej tradycji moralno-obyczajowej, która przecież w naszym kraju odgrywa po dziś dzień wielką i nie zawsze negatywną rolę. I przyznam, że czytając tę wypowiedź, i kiedy indziej, gdy w *„Życiu Warszawy"* i w *„Nowej Kulturze"* czytałem artykuły o życiu erotycznym i o moralności życia codziennego, albo gdy na łamach *„Po prostu"* widzę podobne wypowiedzi i gdy złość mnie trzęsie nieraz na niesłychaną wprost naiwność tych moralizatorskich wywodów, na ich abstrakcyjność, utopijność, na brak jakichkolwiek związków z konkretem życiowym, jest mi bardzo przykro, że nasza literatura nie ma ani jednej pozycji, która by w rzeczywiście godny i mądry sposób pokazała to wielkie zamieszanie, jakie obecnie panuje w dziedzinie wiary i poglądów politycznych, obyczajów i moralności.

Tyle razy się u nas mówiło, że literatura nie może wyprzedzić teorii, że zanim przystąpi do jakiegoś zagadnienia, już tam przed nią jest myśl, polityka. Nasi powieściopisarze zdają się zazdrościć ministrom sprawowania władzy i najchętniej kończyliby powieści projektami dekretów. A kiedy się okazuje, że literatura nie jest elementem niezbędnym w administracji, gospodarce i polityce zagranicznej kraju, zawiedzione ambicje żalą się, że właściwie nikt ich nie potrzebuje, że literatura straciła znaczenie, że chyba się kończy, że zastępuje ją dzisiaj polityk i działacz.

Natomiast w dziedzinie, w której plączą się umysły i polityka, i uczonego, i dziennikarza, i wychowawcy, i prostego obywatela, w dziędzinie, w której wszyscy błądzą po omacku, w której zdania są bardzo podzielone, w dziedzinie, którą rozjaśnić mógłby właśnie rozum literatury — ona milczy. Tysiąc razy wypowiedziała się w sprawie organizacji pracy w przemyśle i rolnictwie, co się psu na buty nie przydało, ani razu w sprawach, które dotąd są tylko żerem wzniosłych pań i pryncypialnych młodzianków.

Andrzej Kijowski

PIERWSZE STRZAŁY WYBORCZE

A. B. Chandler, zwany też ABC Szczęściarz, przedwojenny gubernator Kentucky, postanowił wrócić do polityki. W Kentucky rządzi wszechwładnie Partia Demokratyczna i wyznaczony przez nią w prawyborach kandydat ma gubernatorstwo w kieszeni. Ale Chandler pokłócił się z machiną partyjną i postanowił zdobyć pozycję „od zewnątrz". Odbył huraganową kampa-

nię po całym stanie, całował niemowlęta i doił krowy nie gorzej niż McCarthy. Wyniki jednak były nader niepewne. Chandlerowi przyszedł z pomocą przypadek: dowiedział się, że gubernator obecny, Lawrence Weatherby, zainstalował w gabinecie biurowym dywan wartości 20.000 dolarów. Szczęściarz co prędzej zaprosił wyborców na swoją inaugurację: „pozdejmujemy buty i urządzimy spacer po tej drogocennej szmacie!" To przesądziło sprawę. W prawyborach Chandler uzyskał większość 10.000 głosów.

Próbka mała, ale znamienna. Świadczy bowiem, jakie czynniki nadal mogą odgrywać istotną rolę w amerykańskich wyborach. Powiedzmy zresztą lojalnie, że w skali państwowej ścierające się partie sięgają do sensacji znacznie większego kalibru niż najkosztowniejszy dywan. A właśnie padły już wstępne strzały jako preludium do przyszłorocznej prezydenckiej kampanii. Pierwszy do natarcia ruszył Harry Truman atakując wszystko, co republikańskie, od szynek do polityki. Demokratyczny senator, Estes Kefauver, odbył niedawno tournée po całym kraju z grupą asystentów komisji badania przestępczości młodzieży i zapowiada rewelacyjne odkrycia. Odkrycia te, bijąc w rząd, mają mu utorować drogę do Białego Domu. Szanse Kefauvera są co prawda dość nikłe, gdyż obok oficjalnego przywódcy Demokratów wyłania się jako kandydat gubernator stanu New York, Averell Harriman. Jego opiekun a szef nowojorskiej machiny partyjnej, Carmine de Sapio, uzyskał już zapewnienie poparcia u Demokratów Pittsburga, Bostonu, Baltimore i Kansas City.

W ogóle zaś — mimo choroby Eisenhowera — perspektywy wyborcze Partii Demokratycznej nie wyglądają różowo. W zasadzie od czasów Roosevelta ma ona potencjalną większość (o czym świadczą choćby zeszłoroczne wybory „w pół drogi") i tylko wyjątkowy zbieg okoliczności może zapewnić zwycięstwo Republikanom. Tak właśnie było trzy lata temu. Ale jak dotąd Demokraci robią wszystko, co w ich mocy, by sytuację powtórzyć, a wyjątek zamienić w regułę. Kongresman Francis Walter, przewodniczący (w Izbie Reprezentantów) komisji badań działalności antyamerykańskiej, pozazdrościł, cokolwiek zbyt późno, laurów Mc Carthy'emu i zorganizował w New Yorku hałaśliwą łapankę komunistów na deskach teatru. Głównym naganiaczem w tych łowach okazał się bulwarowy aktor z Broadwayu, George Hall. Podając szereg nazwisk swoich kolegów Hall wyjawił komisji straszną tajemnicę: oto jeszcze kilka lat temu, zarówno w sztukach poważnych, jak i lekkim repertuarze, występowali aktorzy zdradzający wyraźne sympatie dla komunizmu. Doszło do tego, że nie było pewności, czy pod łachmanami Leara lub zwiewną szatą rewiowej vedetty nie kryją się wywrotowcy, mimiką i gestami nakłaniający publiczność do obalenia przemocą rządu USA. Komisja przesłuchała 11 osób wymienionych przez Halla. Lecz wszyscy co do jednego odmówili zeznań. Okazało się przy tym, że już od paru lat staraniem FBI pozbawiono ich możliwości występowania na scenie.

Walter reklamował szeroko bieg swoich dochodzeń. Nadawano je w radio i telewizji, a dzienniki podały sążniste sprawozdania. Rezultat jednak był raczej żałosny. Wśród publiczności na sali panował wyraźny chłód, jaskrawo odbijający od histerycznego klimatu z epoki McCarthy'ego. A szeroka opinia w kraju reagowała jeszcze bardziej ospale. Sprawozdania w prasie były też zresztą oziębłe. Nawet najgorliwszy z gorliwych, organ Wall Street, *„United States News"*, opatrzył je ironicznym nagłówkiem *Teraz dla odmiany mamy walteryzm.*

Sensacji nie wywołało nawet głośno reklamowane odkrycie, jakiego dokonał senator Eastland, Demokrata ze stanu Missisipi, przewodniczący senackiej komisji bezpieczeństwa. Eastland, znany z tego, że nazywał Hitlera „obrońcą chrześcijaństwa", sprowadził współpracownika koncernu radiowego Columbia, Winston Burdetta, i z jego pomocą wykrył „gniazdo komunistów", czynne przed wojną w brooklińskim dzienniku *„Eagle"*. W następstwie denuncjacji Burdetta stracili natychmiast pracę D. A. Gordon, reporter wielkonakładowego brukowca *„New York Daily News"* i korektor w redakcji *„New York Times'a"*, Melvin Barnet. Wbrew oczekiwaniom sprawców rewelacji, ogół prasy amerykańskiej przyjął je z niesmakiem, a szersze koła spo-

łeczne z całkowitą obojętnością. A już z wyraźną niechęcią potraktowano uchwałę sądu apelacyjnego w Columbii (Karolina Południowa). Uchwała zniosła wprawdzie, zgodnie z decyzją Sądu Najwyższego, podział rasowy w szkołach, lecz wprowadzenie w życie odłożyła do „chwili sposobnej", czyli *ad calendas graecas*. Jako *signum temporis* i dowód przemian klimatu można jeszcze wskazać charakterystyczną przygodę byłego gubernatora stanu Missisipi, Fieldinga Wrighta, który wsławił się tym, że w r. 1948 kandydował na wiceprezydenta ze specjalnej antymurzyńskiej listy, wyłonionej przez stany Południa. W Missisipi, twierdzy rasizmu, lista cieszyła się wielkim powodzeniem. Pomny tego Wright ruszył do prawyborów pod tymi samymi hasłami. Ale ku swemu najwyższemu zdumieniu przyszedł w wyścigu trzeci. Pierwsze miejsce zajął liberalny, aż do tego stopnia, że pomawiany o „promurzyńskość", prokurator stanowy, Johnson.

Podobny stan umysłów zapanował ostatnio w całej Ameryce. Źródła jego są łatwo dostrzegalne. Bomba wodorowa ma w sobie jakiś makabryczny *quasi*-demokratyzm: nikt, spośród najbardziej nawet uprzywilejowanych, nie może się ukryć przed bezpośrednimi czy choćby pośrednimi skutkami jej wybuchu. A groźba śmierci silniejsza bywa zazwyczaj niż rozbieżności poglądów. Ale ten negatywny, oportunistyczny aspekt nie wyczerpuje obrazu. Po Genewie Ameryka w ogóle zaczęła oddychać swobodniej. Odwaga przekonań powraca w miejsce niedawnej psychozy strachu. W zabitej deskami okolicy Kalifornii proszono sklepikarza o podpisanie apelu przeciw wojnie. Przeczytał, zażądał dalszych formularzy i po trzech dniach zebrał 400 podpisów. W wielkim magazynie właściciel złożył swój podpis pod apelem i pozwolił zbierać swobodnie dalsze wśród personelu: podpisali wszyscy. Genewską deklarację Eisenhowera, że „Stany Zjednoczone nigdy pierwsze nie rozpoczną ataku", powitał taki entuzjazm, że czynniki rządowe, zaniepokojone nastrojem społeczeństwa i naciskane przez zbrojeniowe koncerny, podjęły kontrakcję. Tym się tłumaczą konsekwentne w uporze wystąpienia Dullesa i mniej konsekwentne deklaracje Eisenhowera.

Zapowiedź, że kredyty wojenne nie ulegną zniżeniu, wywołała natychmiast znamienną reakcję: w busoli prezydenckiej popularności igła drgnęła wyraźnie, choć nieznacznie, w dół. Republikanie są bardzo pewni autorytetu prezydenta w kraju i w przyszłych wyborach mają nadzieję przemycić za jego plecami nawet mocno kontrowersyjnych parlamentarzystów. Lecz i Republikanie zdają sobie sprawę, że akcje Eisenhowera stoją mocno tylko jako „człowieka pokoju". Że gdyby nie hasło „zachowałem wam pokój, ocaliłem przed wojną", także i Eisenhower nie miałby żadnej pewności wygranej. I trzeba przyznać, że Republikanie zręcznie lawirują. Posunęli się tak daleko, iż sam ustrój przedstawiany jest jako coś, co wyszło już z fazy kapitalizmu i wkroczyło w epokę wyższą. Niedawno ukazała się w dużym nakładzie, wydana przez urzędowe czynniki propagandowe, książeczka pod wiele mówiącym tytułem *Beyond capitalism (Poza kapitalizmem)* zachwalająca gospodarkę Ameryki. Pomińmy samochwalczą treść. Co najbardziej zwraca uwagę, to fakt, że nawet w oczach kół oficjalnych pojęcie kapitalizmu jest tak skrachowane i wyzbyte propagandowej wartości, iż lepiej go unikać. Jest to zresztą odbicie szerszej tezy, lansowanej obecnie przez wielu ekonomistów amerykańskich, o „przeżyciu się" kapitalizmu.

Wstępne kroki w rozgrywce wyborczej podjęli Republikanie jeszcze w okresie sesji kongresowej. Rząd wniósł szereg projektów ustaw, z których część miała ułatwić przestawienie gospodarki kraju na tory pokojowe. Do najważniejszych należał projekt budowy nowych szkół, a zwłaszcza wielki plan modernizacji dróg kosztem 31 z górą miliardów, rozłożonych na 10 lat. Eksperci z ramienia Demokratów, jak np. znany ekonomista Keyserling, od dawna już wysuwali podobny program. Toteż Partia Demokratyczna w Kongresie, gdzie ma jak wiadomo większość, spierała się tylko o szczegóły finansowania. Ale wtedy rząd zaczął grać w ciuciubabkę i ustaw nie uchwalono. Przejdą niewątpliwie w przyszłorocznej sesji. Ale Republikanie uzyskali atut w postaci twierdzenia, że z demokratycz-

nym Kongresem prezydent współpracować nie może. Demokraci odpowiadają słowami Trumana, że Eisenhower nie dotrzymał żadnego z zobowiązań wyborczych, „jedzie demagogią i wynaczaniem faktów", a dobrał sobie rząd, który gnębi robotników, rujnuje farmerów i pozwala wielkim koncernom dewastować bogactwa naturalne kraju. Twierdzeniom tym trudno zaprzeczyć, choć dziwnie brzmią w ustach Demokratów. W gruncie rzeczy smolącemu garnkowi przygania nie mniej zasmolony kocioł. Weźmy dwa przykłady. Wydatki na budowę szkół wzrosły wprawdzie od czasów Trumana do czasów Eisenhowera z 55 na 102 miliony dolarów; lecz równocześnie wydatki na budowę tanich domów mieszkalnych spadły ze 159 na 3 miliony. A ta licytacja w wykazywaniu, kto bardziej wysługuje się wielkim monopolom, jest nie mniej znamienna niż wywód, że superkapitalizm nie jest kapitalizmem.

Równolegle z akcją machin partyjnych, przymierzających jak najbardziej popularne hasła, rozwija się nadal kontrofensywa wszystkich czynników zaangażowanych w wojnie. W tym zaś „byznesie" obok potęg szczytowych — przemysłu wojennego i związanej z nim finansjery — operują ponadto liczne siły pomniejsze, które łącznie tworzą zwartą i mocną zaporę dla nadpływającej fali otrzeźwienia. Należy tu większość prasy, której histeryczna sensacja zapewnia stały wzrost nakładów, należy w ogóle każdy, dla kogo współistnienie oznacza stratę ogromnych inwestycji i ogromnych dochodów. „Magnaci filmowi — pisze Hearstowski „*New York Journal-American*" — zdają sobie sprawę, że gdyby jakimś cudem Stany Zjednoczone i Rosja wkroczyły w erę porozumienia i zgody, mnóstwo scenariuszy i gotowych obrazów milionowej wartości, w których komuniści są czarnymi charakterami, mogłoby nie tylko stracić aktualność, lecz znaleźć się na indeksie jako sprzeczne z polityką państwa. To samo dotyczy koncernów telewizyjnych." Dodajmy liczne „instytuty sowietoznawcze", wydawców najrozmaitszych „dzieł", od asów i bestsellerów literatury po *Siedem tajemnic Kremlu*, dziesiątki tysięcy ludzi żyjących — i to dobrze żyjących — z sowietofobii, „ujawnień", „naświetleń" i wszelakiego tropienia. Dodajmy olbrzymi aparat FBI z całą gromadą prawników, zawodowych świadków i mnóstwem przybudówek w rodzaju osławionych denuncjanckich pisemek „*Counterattack*" i „*Reveille*" oraz różnych spółdzielni szantażystów, jak „Aware, Inc" i inne. Dodajmy wreszcie plejadę polityków, z których McCarthy był tylko najbardziej kolorowy, lecz wcale nie jedyny i nie najbardziej wpływowy.

Imię ich legion. A jakiż los ich czeka teraz, gdy z Białego Domu padają słowa tak dokładnie pokrywające się ze zdaniem tych, których za ich poglądy zamykano w więzieniach, a co najmniej opatrywano wilczym biletem „nielojalności"? Trudno będzie wespół z kongresmanem Walterem napastować aktorów, jeśli nowojorskie sceny doczekają się wystawienia sztuk o tematyce pokojowej. Trudno nadal gnębić zecerów, którzy składali słynną książkę Matusowa, jeśli instytucję świadków zawodowych potępiają najwyższe autorytety i bożyszcza burżuazyjnej kultury. Trudno odmawiać paszportu Robesonowi w chwili, gdy Sąd Najwyższy uznaje odmowę paszportu za akt niezgodny z konstytucją; jeszcze trudniej w przeddzień rozpoczęcia wymiany kulturalnej ze Związkiem Radzieckim, dwukierunkowych podróży uczonych, pisarzy, artystów i całych teatralnych zespołów. Trzeba już było umorzyć sprawę Lattimore'a, skoro jego tezy wypowiada dzisiaj przewodniczący komisji spraw zagranicznych senatu. I nie podobna obecnie wciągać na listę „agentów obcego mocarstwa" tych, co głoszą konieczność współżycia z krajami socjalizmu, skoro jota w jotę to samo głosi prezydent USA. Nie podobna pomawiać o „zdradę i defetyzm" przeciwników wojny, kiedy przed histerią wojenną ostrzega zwierzchnik Pentagonu. Kiedy sam bóg reakcji, generał McArthur, stwierdza, że Stany Zjednoczone nie mają szans zwycięstwa w wojnie atomowej. Maluczko, a w proch rozpadnie się Smith Act i Walter-McCarran Act, i setka innych ustaw, mocą których zmieniono wolną ziemię Lincolna w państwo policyjne. Nic dziwnego, że wszystkie „*vested interests*" — wielkie i małe — wszyscy, którzy w antyczerwony byznes włożyli kapitały, ruszają do kontrataku.

Zacierali ręce widząc, jak zimna wojna zmusza nas do zaciskania pasa, jak państwom Europy Zachodniej narzuca zakup amerykańskiej broni, a kraje zależne i kolonialne trzyma w zależności coraz dotkliwszej. Chcieliby przywrócenia tego stanu rzeczy i utrwalenia go w nieskończoność. A że mają w ręku gigantyczny i niesłychanie sprawny aparat środków informacji masowej, więc walczą i, jak dotąd, walczą skutecznie.

Lecz sytuacja ich wcale nie jest prosta. I to nie tylko dlatego, że walka z faktami, walka z rzeczywistością skazana jest na przegraną. Nawet polityczni megalomani w Ameryce zaczynają pojmować, że zimna wojna w stosunku do socjalizmu jest tak bezsilna jak cień chińskiego smoka. Że nic nie zdoła powstrzymać procesu wyzwalania się spod władzy imperializmu narodów, które już teraz przestają być zależne, czego dowody przynosi każdy dzień lub tydzień. Że i w atlantyckim bloku powstają głębokie rysy, a klajstrowanie ich coraz mniej pomaga. Co więcej, na wzrastające trudności napotykają i w swoim kraju, w swoim obozie, gdzie nie każdemu interes własny zaciemnia widzenie realiów świata. Wprost przeciwnie, właśnie interes własny pozwala tym lepiej dostrzegać owe realia. Rzecz naturalna, że były prezes General Motors, a obecny minister obrony, Wilson, staje w szeregach stronników odprężenia i żąda oszczędności w budżecie wojskowym, jeśli General Motors szuka dostępu na rynek chiński. Przykłady można by mnożyć, przytoczyć mniej banalne i znane. Nie ma jednak po temu potrzeby, gdyż fakty są zbyt oczywiste.

Wiążą się one zresztą ze zjawiskiem nie tak już notorycznym, choć równie typowym dla Stanów Zjednoczonych. Jakkolwiek nie było to regułą absolutną, niemniej aż nazbyt często zdarzało się do niedawna, że politycy liberalni czy nawet postępowi w zagadnieniach wewnętrznych przejawiali daleko idący brak zrozumienia, czasem zaś i wstecznictwo w problematyce międzynarodowej. I *vice versa* — reakcjoniści wykazywali w polityce zagranicznej sporo wyczucia i dużą elastyczność. Za prezydentury Trumana Republikanie stale posługiwali się tym argumentem i wywodzili, że tylko oni potrafią konkretnie rozmawiać na forum międzynarodowym i uzyskiwać pozytywne wyniki. Słowem, że tylko patentowana reakcja może bezkarnie rozmawiać z „czerwonymi". A śmieszny dla nas, lecz robiący swoje w Ameryce, zarzut „różowości" i ulegania wpływom komunistycznym utrącał wszelkie, nieśmiałe zresztą, usiłowania rządu Trumanowskiego, by skierować politykę USA na tory rozumne.

Dziś to się zmieniło. Praktyka życia dowiodła, że większość miarodajnych polityków republikańskich uprawia reakcyjną politykę i wewnątrz, i na zewnątrz kraju. Jeden tylko prezydent Eisenhower dotrzymał pod tym względem obietnic przedwyborczych i po zaciętej walce z tendencjami większości swej partii zdołał wreszcie wprowadzić Stany Zjednoczone na drogę współistnienia. Opinia wybaczyła mu za to wielkofinansowe przyjaźnie, pogodziła się z jego teorią „umiarkowanego konserwatyzmu", i Eisenhower jest dziś bez kwestii najbardziej popularnym politykiem w Stanach. Ale tylko on jeden. W całym republikańskim stronnictwie nie znajdzie się nikt poza tym, kto mógłby się pochwalić niewielką choćby popularnością. Tak więc przyszłość partii zależy bezpośrednio od losów prezydenta. Stąd popłoch, jaki wzniecił niedawny zawał serca. Stąd zapewnienia lekarskie, że — jeśli nie wyłonią się komplikacje — prezydent będzie mógł bez ryzyka wziąć udział w kampanii wyborczej.

Czy napewno bez ryzyka? Wiemy, że nie ma w Ameryce „job'u" tak wyczerpującego nerwowo i fizycznie, jak kilkumiesięczny job kandydacki. A już zwłaszcza w tej koniunkturze, kiedy wszystko od niego zależy. Wiedzą o tym, rzecz jasna, i w Partii Republikańskiej. I zdają sobie sprawę, że w wypadku, gdyby stan zdrowia Eisenhowera nie pozwolił mu kandydować — o zwycięstwie nad urną nie zadecyduje najwspanialsza nawet i najkosztowniejsza inscenizacja kampanii. A przewidujący politycy muszą być przygotowani na wszelkie ewentualności. Czy w tych warunkach wysunie się na czoło nieliczne, lecz rzutkie, lewe skrzydło stronnictwa, ludzie typu Harolda Stassena i senatora Bensona? Czy mimo wszystko przeważy machina partyjna,

związana ściśle z przemysłem zbrojeniowym, „China lobby" i resztą akcjonariuszy zimnej wojny? Wyjaśni to zapewne już najbliższa przyszłość. A rozstrzygną zakulisowe międzybankowe zmagania.

Zbytni optymizm pod jakimkolwiek względem byłby z naszej strony naiwną lekkomyślnością. Mimo to wolno stwierdzić, że Ameryka idzie naprzód. Może bardziej powoli, niż byśmy sobie życzyli, chociaż w niektórych dziedzinach krok jej jest szybszy, niż o tym mówią pozory. W każdym razie są to kroki naprzód. I one właśnie stanowią jeden z wielkich faktów roku 1955.

Julian Stawiński

FERNAND LÉGER

(1881—1955)

Obok nazwiska jednego z największych malarzy współczesnych, Fernanda Léger, dopisaliśmy drugą datę — datę śmierci. Długie życie i 50 lat nieprzerwanej twórczości artystycznej przyjdzie nam streścić w krótkiej notatce.

Syn normandzkich chłopów, wyniósł z domu bez tradycji artystycznych — zdrowie, siłę, prostotę i optymizm. Początkowo zamierza być architektem, potem decyduje się zostać malarzem i w pierwszych latach naszego wieku odbywa nieregularne studia malarskie w Paryżu. Niezadowolony ze współczesnych nauczycieli ucieka „na lekcje" do starych mistrzów w Luwrze. Aby zarobić na życie, nocą retuszuje fotografie — zwykłe, szare zajęcie artystycznej młodzieży w błyszczącej metropolii. Od roku 1905 wystawia pierwsze obrazy: *Portret wuja*, pejzaże korsykańskie, bliskie jeszcze impresjonizmowi. W roku 1910, w roku głośnych manifestów kubistycznych, opinia artystyczna zwraca uwagę na nieznanego dotychczas Légera. Pisze o nim Apollinaire. Młody malarz bierze udział w nowym ruchu plastycznym, ale zachowuje swą indywidualność i nie angażuje się tak skrajnie w eksperymenty tego kierunku, jak Braque czy Picasso. Obrazy z tego okresu: *Palacze*, *Schody*, przedstawiają sceny zwykłego życia, codzienne przedmioty, surowy pejzaż wielkomiejski, ludzi bez radości. Zamiast przekazywania emocji przy pomocy anegdoty i epatujących tematów, artysta zadowala się dosłownym wyrażeniem rzeczy. Obrazy jego uderzają solidną kompozycją, nie dziwną u niedoszłego inżyniera.

Pierwsza wojna światowa stanowi przełom w życiu i twórczości artysty. W okopach pod Verdun (skąd wyniesiono go po jednym z ataków gazowych) saper Léger notuje dwa odkrycia: lud francuski, który odtąd będzie bohaterem jego płócien i — brzmi to pozornie niepoważnie w zestawieniu z pierwszą rewelacją — doznaje olśnienia magią światła na białym metalu.

Po roku 1918 rozpoczyna się faza dynamiczna i mechaniczna twórczości Légera, a jednocześnie wielki jego wpływ na plastykę współczesną. Elementy maszyn i motywy urbanistyczne stanowią najczęstszy temat jego obrazów. Świadczą o tym choćby tytuły płócien: *Ludzie w mieście*, *Dwaj robotnicy na rusztowaniu*, *Mechanik w fabryce*.

Bohaterami jego ogromnych epickich płócien są konstruktorzy. Léger narzuca epoce swoją wizję współczesności, potężny świat przemysłu zostaje wyrażony przez proste, z żelazną logiką budowane obrazy, w których kolor — jaskrawe, plakatowe żółcie i błękity, czernie i biele — otwiera przed widzem nowe napięcia, nowe rytmy, nowe kontrasty, nową przestrzeń, nowe piękno. Ostatnie wielkie prace malarza, wśród których znajduje się wystawiona w Warszawie kompozycja *Budowniczowie* z 1953 r., realizują ten program artystyczny z klasyczną prostotą, która — można to już teraz powiedzieć, kiedy ten najbardziej współczesny ze współczesnych podaje rękę wielkim zmarłym — przywodzi na myśl Davida i Poussina.

Ogromny wpływ Légera, wpływ, któremu jesteśmy poddani często nieświadomie, zawdzięczać należy jego plasty-

cznej wszechstronności. Uprawiał obok malarstwa sztalugowego wszystkie rodzaje sztuki stosowanej: grafikę, także książkową (ilustrował m.in. poezje Blaise Cendrarsa i *Iluminacje* Rimbauda), witraż, ceramikę, tkactwo, współpracował blisko z architekturą, z której jak nikt czerpał impulsy będąc jednym z najwybitniejszych twórców nowoczesnego malarstwa ściennego. Jednym z jego powojennych wielkich dzieł jest monumentalna mozaika zdobiąca fronton kościoła Notre Dame w Assy. Był także świetnym malarzem dekoracyjnym i tworzył oprawę plastyczną nie tylko baletów i oper, ale także świąt, kongresów i zjazdów robotniczych. Działał w dziedzinie filmu. Jego *Balet mechaniczny* z roku 1924 jest próbą wprowadzenia na ekran ożywionej wizji malarza.

Gdyby Léger nie był malarzem, pisałby powieści. W jego homeryckim oku mieściłyby się szerokie horyzonty współczesnego życia, wyrażone językiem prostym, niekiedy brutalnym i zupełnie wypranym z wszelkiej romantycznej afektacji. Człowiek byłby jednym z elementów wielkiej opowieści, byłaby to istota uproszczona, psychicznie nieskomplikowana, witalna, o silnej woli, prostych upodobaniach oraz mocnym instykcie życia. Świat ten, cały z materii, działałby na wyobraźnię nie mgłami nastrojów, ale intensywną realnością przedmiotu.

Wskutek niepełnej znajomości malarstwa Légera istnieje uproszczony pogląd na jego twórczość. Na dźwięk jego nazwiska zjawia się przed oczyma stalowa konstrukcja, czterech robotników zawieszonych między niebem a ziemią dźwiga żelazną sztabę. Plany zdefiniowane są czystym kolorem, perspektywa niepłynna prowadzi oko w głąb skokami, wszystko oddycha materialnością: obłoki i stal, powietrze i ludzie. Jest to tyrania jednej reprodukcji, dzięki czemu zapominamy, że Léger był pełniejszy niż sądy symplifikatorów. Był także lirykiem, oczywiście lirykiem współczesnym, który nie powierza się niekontrolowanym natchnieniom. O liryzmie Légera mówi choćby cykl portretów z roku 1947, a wśród nich *Paul Eluard* malowany miękką, witrażową linią.

Skrupulatnie zapisujemy ostatnie słowa poetów. Nie zapomnijmy, że ostatnim rysunkiem Légera były kwiaty. Widać myślał o nich, dostrzegł je z zawrotnej wysokości i postanowił ocalić.

Zbigniew Herbert

LUCYNA KRZEMIENIECKA

Około 30 lat temu do ówczesnej redaktorki *„Płomyczka"*, Janiny Porazińskiej, zgłosiła się młoda, nieznajoma dziewczyna. W teczce miała kilka utworów, w czarnych, dziecięcych oczach lęk i nieme pytanie — czy wiersze nadadzą się do druku? Nie nadawały się. Ani dla dzieci, ani dla pisma. Trudno już dziś przypomnieć sobie dokładnie szczegóły, jedno, co dokładnie pamięta Janina Porazińska, to że w tych utworach „coś" było. To „coś" przykuło jej uwagę i nakazało nie odprawić autorki z kwitkiem, ale podjąć z nią rozmowę a następnie pracę.

I tak Lucyna Krzemieniecka została uczennicą Janiny Porazińskiej. Wybitnie zdolną, ale niełatwą do prowadzenia, bardzo indywidualnie podchodzącą do literatury, niechętnie przyjmującą jakiekolwiek rygory. Porazińska szybko pojęła istotę natury swojej uczennicy, w lot oceniła jej talent; wiedza literacka, wyrozumiałość i zdolność wyzwalania z człowieka jego sił twórczych metodami doskonałego pedagoga, sprawiły, że Lucyna została wkrótce stałą autorką *„Płomyczka"*. W swojej zaś spuściźnie literackiej pozostawiła około 30 książek.

Myślę, że gdyby można zapytać Lucynę, co kochała w życiu, zdziwiłoby ją to pytanie, bo odpowiedź jest przecież taka prosta. Oczywiście, że Ojczyznę. I dzieci. I przyrodę. I swoją pracę.

Myślę, że w tych czterech sprawach wyczerpywała się cała niesłychanie uczuciowa natura Krzemienieckiej, cały jej wybitny talent i poetyckość stosunku do świata. Ta duża, ciężka kobieta, robiąca wrażenie prostodusznej, nieskomplikowanej, nosiła w sobie wielki ładunek poezji. Ładunek — bo była w tej poezji siła liryzmu i siła dynamiki. Lucyna, chodząc po swojej ulubionej Warszawie, potrafiła ułowić uchem istotny jej głos, zdawało się, że umie rozmówić się z Wisłą i gołębiami Starego Miasta. Na polnych ścieżkach słyszała jak trawa rośnie, piasek nadmorski i fale opowiadały jej swoje dzieje. Dzieci nie miały dla Lucyny tajemnic — otwierały swoje serca na oścież.

Wielka sugestywna siła Lucyny Krzemienieckiej polegała na tym, że podczas kiedy każdy pisarz w swoim dziele wypowiada coś, o czym nie mówi na codzień, często jakąś swoją inność, intymność — Lucyna wyrażała stale to, co komunikowała każdego dnia swoim kolegom i przyjaciołom — miłość do świata, wiarę w jego dobroć, ale nade wszystko piękność tego świata, piękność zachwycającą.

Śmierć zabrała Ją pośród bujnej jesieni. To smutne i niesprawiedliwe, bo jesień była Jej porą roku. Wiosną uskarżała się, że już nic nie napisze, że przeminął jej talent, latem milkła jakby w jakimś wielkim znużeniu. Jesienią gorączkowo rzucała się do pracy. Każdy dzień posuwał pracę naprzód, mnożyły się zamiary, pomysły, utwory. Ostatnia jesień Lucyny była szczególnie płodna i pracowita. Choć ostatnia — była jej złotą jesienią.

Śmierć zabrała Ją przedwcześnie, niespodziewanie. W tej bolesnej stracie jest smutek i ból, ale jest i gorąca wiara, że mali czytelnicy Lucyny czytając Jej książki uczyć się z nich będą i ba-

wić się nimi będą, i odpoczywać przy nich będą, przygotowując się do życia, ciesząc się życiem. Wśród swoich czytelników Lucyna pozostanie, tak jak to z dobrymi poetami się dzieje — żywa!

Wanda Żółkiewska

O BIOGRAFICZNY SŁOWNIK MICKIEWICZOWSKI

Jakkolwiek nie należy się śpieszyć z oceną dorobku badawczego Roku Mickiewiczowskiego, gdyż wiele jeszcze prac spoczywa w tece wydawców lub zgoła znajduje się w stadium planów i zamiarów — to jednak już dzisiaj z radością powitać należy nowe, pełniejsze od poprzednich wydanie *Listów* w opracowaniu prof. Stanisława Pigonia oraz przyklasnąć równie wielkiemu zamierzeniu, jakim ma się stać monumentalny Słownik Mickiewiczowski.

Gdyby ten drugi zamiar został szczęśliwie po latach zrealizowany — nie stworzy to nam jednak jeszcze gmachu, w którym moglibyśmy swobodnie się rozejrzeć po wszystkich dziedzinach twórczości wielkiego poety. I tutaj bowiem, jak i w innych dziedzinach dyscyplin humanistycznych, jesteśmy przecie „na dorobku", a potrzeb jest wiele.

Jednej z nich warto poświęcić kilka słów.

Piszący te słowa od lat kilku zajmuje się badaniem druków Mickiewiczowskich, a więc także i osobami wydawców dzieł Mickiewicza. Pracę tę wielce komplikuje i niezwykle wprost utrudnia brak podstawowych opracowań. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: osobę Jana Tysiewicza, malarza i grafika, wydawcy ozdobnej *Grażyny* i *Konrada Wallenroda*. Czy Jan Tysiewicz to przybrane już nazwisko, czy pseudonim (Niewiarowicza)? Kto to był, co stworzył? Tracąc cenny czas trzeba w ciągu długich miesięcy zajmować się „szperactwem", aby z trudem dokopać się jakiejś prawdy. Jakiejś, gdyż większość źródeł najczęściej zawodzi i mylą się nawet wydawcy Mickiewiczowskich opracowań krytycznych, nie mówiąc już o encyklopediach. Początek tych trudności mamy już przy ustaleniu imienia Tysiewicza. Jedni nazywają go Janem, drudzy Władysławem, inni Mieczysławem, a są i tacy, którzy mieszają go z Alojzym Niewiarowiczem. Podobnie jest z datą urodzenia, podobnie z miejscem urodzenia (Wileńszczyzna — twierdzą jedni, „rodem ze Stanisławowa" — informuje mylnie Schnür-Pepłowski). Wśród tylu wątpliwości ze wstydem trzeba czasem sięgać do użytecznego niekiedy, choć przestarzałego *Biographisches Lexikon* czy innych wydawnictw zagranicznych. Z podobnymi przygodami można się zetknąć i przy znaczniejszych osobach, np. w wypadku popularnego i zasłużonego księgarza i wydawcy pierwszych dwóch tomików *Poezyj* Mickiewicza — Józefa Zawadzkiego.

Ba, ale nie chodzi przecież tylko o druki i wydawców. Kto chce zrozumieć twórczość i działalność wielkiego poety — musi poznać twórczość i działalność osób z nim związanych. Gdzież ma jednak szukać ścisłych i wyczerpujących informacji o Januszkiewiczu, Rettlu, Wrotnowskim, Biergellu, Mainardzie, Olivierach, Niedźwiedzkim, Burgaud des Marets i dziesiątku innych? Oczywiście, w Mickiewiczowskim słowniku biograficznym, którego nie ma, a którego potrzebę tak silnie odczuwamy.

Kto zetknął się ze wspaniałym wydawnictwem radzieckim *Spuścizna literacka*, w którym każdy wielki twórca ma swój pomnik w postaci grubego tomu (zanotowano tam każdy niemal dzień, każdą ważniejszą okoliczność, każdą osobę, mającą związek z życiem i twórczością bohatera monografii) — ten z zazdrością myśli o pomocach naukowych, jakich nam właśnie brak. Może by Instytut Badań Literackich z okazji Roku Mickiewiczowskiego pomyślał o takim pomniku dla Mickiewicza?

S

MICKIEWICZIANA OPOLSKIE

Ciekawym a ważnym dowodem doceniania znaczenia Adama Mickiewicza i jego popularności są raporty żandarmerii pruskiej, znajdujące się w Państwowym Archiwum w Opolu.

Z datą mianowicie 17 sierpnia 1898 roku władze rejencji opolskiej rozesłały do władz powiatowych tajny okólnik, zawiadamiający o przypadającej na dzień 24 grudnia tegoż roku setnej rocznicy urodzin poety polskiego, Adama Mickiewicza. Z uwagi na jego znacze-

nie — podkreśla okólnik — należy przypuszczać, że obchody mickiewiczowskie mogą być również przygotowywane na Górnym Śląsku. Posterunki żandarmerii mają więc zwrócić baczną uwagę na wszelką „polską agitację" w tym kierunku. O wynikach obserwacji należy meldować do dnia 30 grudnia.

W dniu 5 września 1898 r. wysłany został drugi „mickiewiczowski" okólnik, tym razem do władz szkolnych i do proboszczy, z zakazem jakiegokolwiek udziału w obchodach ku czci polskiego poety. Okólniki te otrzymały wszystkie powiaty na Opolszczyźnie, z wyjątkiem powiatów nyskiego i grotkowskiego.

W państwowym Archiwum w Opolu, w aktach z powiatu opolskiego znajduje się cały szereg meldunków posterunków żandarmerii z ostatnich dni grudnia 1898 r. Donoszą one, że „agitacji ani przygotowań do obchodów ku czci Adama Mickiewicza nie zauważono" — co nie dowodzi wcale, że obchodów nie było. Ludność opolska umiała przecież doskonale organizować obchody patriotyczne pod zupełnie niewinnymi tytułami, dając przedstawienia błahych sztuk scenicznych, poprzedzanych za to odpowiednimi przemówieniami.

Jeden tylko posterunek w Chruścicach złożył obszerny raport. Z jego bowiem terenu dwaj młodzi chłopi, Jakub Kania i Bartłomiej Kampa, obaj ze Starych Siołkowic, wyjechali „za granicę" — jak podejrzewał komendant posterunku — do Warszawy na obchód.

Raport podaje, że obaj wymienieni należą do polskiego stowarzyszenia „Oświata", są zapalonymi i zaślepionymi zwolennikami redaktora Koraszewskiego i w ogóle znani są z „polskiej agitacji". Kania wyjechał mając paszport na swoje nazwisko, Kampa natomiast popełnił przestępstwo, wyjeżdżając pod obcym nazwiskiem, z paszportem Urbana Cebuli z Kolonii Siołkowice. Obaj opowiadali, że wyjeżdżają na odpust do Częstochowy.

Kampę więc i Cebulę pociągnęły władze do odpowiedzialności. Sprawa ciągnęła się do maja 1899 r. Dopiero bowiem z dnia 16 maja tegoż roku mamy pismo o ukaraniu obu grzywnami w wysokości 9 marek lub 3 dni aresztu.

Plik tych policyjnych dokumentów jest urzędowym, doskonałym uzupełnieniem znanych wspomnień Jakuba Kani, do dzisiaj mieszkającego w Starych Siołkowicach (Bartłomiej Kampa już zmarł), o pobycie jego wraz z Kampą w Warszawie podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w roku 1898, w setną rocznicę Jego urodzin.

Roman Horoszkiewicz

MICKIEWICZ W PIEŚNI POLSKIEJ I OBCEJ

Z okazji Roku Mickiewiczowskiego ukazał się zbiór pieśni pt. *Mickiewicz w pieśni polskiej i obcej*. Redaktorkami tego zbioru są Zofia Lissa i Olga Łada. Poezja Mickiewicza od samego swego początku miała urok pociągający muzyków i kompozytorów. Do słów jej powstały tysiące pieśni i kantat. Drobną tylko cząstkę tych utworów zebrało Polskie Wydawnictwo Muzyczne we wzmiankowanym zbiorku.

Taki Karol Loewe skomponował siedem ballad do słów Mickiewicza już w roku 1834. Pisał on je nie do niemieckich przekładów, ale wprost do tekstu polskiego. Należy przypuszczać, że Loewe jako Mazur stale mieszkający w Królewcu znał język polski. W prozodii jego nie ma wielkich błędów.

W niektórych poezjach Mickiewicza tai się widocznie szczególna pokusa dla pieśniarzy. Do *Mojej pieszczotki* wracają oni raz po raz: tom pieśni Mickiewicza zawiera muzykę do tego wiersza takich kompozytorów, jak Chopin, Moniuszko, Paderewski, Niewiadomski, Glinka, Czajkowski i Rimski-Korsakow. Kompania, jak widzimy, dosyć okazała. Świadczy to — jak cały zresztą zbiór — o wielkiej popularności Mickiewicza nie tylko u polskich muzyków, ale i u naszych sąsiadów. Muzykalność wiersza Mickiewicza, jego dźwięczność i giętkość musiała go spopularyzować u takich rasowych pieśniarzy jak dopiero co wymieniony szereg.

Kult muzyków dla poezji autora *Pana Tadeusza* nie zanikł w naszych czasach. Niedawno Szeligowski skomponował piękną balladę do *Renegata*, a na Konkursie Mickiewiczowskim, ogłoszonym ostatnio przez Związek Kompozytorów Polskich, zdobył pierwszą nagrodę za pieśń solową Stefan Kisielewski, drugą Piotr Perkowski. Obaj zaczerpnęli teksty do swoich pieśni z *Sonetów krymskich*.

ji

W najbliższych numerach ukażą się:

Juliusz W. Gomulicki

O NORWIDZIE

Mieczysław Jastrun

O MANNIE

Stanisław Jerzy Lec

NOWE WIERSZE

Anna Świrszczyńska

POEMATY

Irena Tuwim

ŁÓDZKIE PORY ROKU

Vercors

OPOWIADANIE

Cena zł 7.–